Sztuka to najwyższy wyraz
samouświadomienia ludzkości
/.../
Dzieło sztuki — mikrokosmos
odbijający epokę.

Józef Czechowicz

Cena 9 zł

9 770208 622007

AKCENT nr 3 (85) 2001

a

3

3 (85) 2001

akcent

literatura i sztuka • *kwartalnik*

Tuwim w listach Zegadłowicza • eseje o Safonie, Śliwiaku, Herlingu-Grudzińskim • wspomnienie o Marii Dąbrowskiej • S. Buryła: *Kto pił na wojnie?* • Mostwin, Pokraka, Danielkiewicz, Masiuk, Stevenson

akcent

Redaguje kolegium

MONIKA ADAMCZYK-GARBOWSKA
LECHOSŁAW LAMEŃSKI
WALDEMAR MICHALSKI (sekretarz redakcji)
TADEUSZ SZKOŁUT
BOGUSŁAW WRÓBLEWSKI (redaktor naczelny)
BOHDAN ZADURA

Korekta
Janina Hunek

Sekretariat i łamanie
Zuzanna Kaczorowska

Konsultacja techniczna
Janusz Solecki

Stale współpracują:

Marek Danielkiewicz, Kate Delaney (USA), *Stanisław Dłuski, Ewa Dunaj, Józef Fert, Michał Głowiński, Magdalena Jankowska, Alina Kochańczyk, István Kovács* (Węgry), *Marek Kusiba* (Kanada), *Jerzy Kutnik, Jacek Łukasiewicz, Wojciech Młynarski, Danuta Mostwin* (USA), *Magda Opoka, Dominik Opolski, Wacław Oszajca, Krzysztof Paczuski, Mykoła Riabczuk* (Ukraina), *Irena Sławińska, Andrzej Sosnowski, Sergiusz Sterna-Wachowiak, Jerzy Święch, Aneta Wysocka*

Czasopismo wydawane przy wsparciu ekonomicznym

Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego
oraz
Wydziału Kultury i Sztuki Urzędu Marszałkowskiego w Lublinie

Numer 3/2001 zrealizowano przy pomocy finansowej

Wydawnictwa Edytor Press sp. z o.o.

PL ISSN 0208-6220

NR INDEKSU 352071

© Copyright 2001 by „Akcent"

rok XXII
nr 3 (85)
2001

a akcent

literatura i sztuka

kwartalnik

Na pierwszej stronie okładki:
Piotr Fąfrowicz: *Miasteczko*, 1995

Na czwartej stronie okładki:
Piotr Fąfrowicz: *Bardzo stara bajka dla małych chłopców i dziewczynek*, 1994

Autorem wszystkich zdjęć obrazów Piotra Fąfrowicza jest Marvin Bolotsky.
Autorką zdjęć wykorzystanych w tekście Anety Wysockiej w dziale „Teatr"
jest Iwona Burdzanowska („GW")

Adres redakcji:
20-112 Lublin, ul. Grodzka 3, III piętro
tel. (081) 532-74-69
e-mail: akcent_pismo@hoga.pl

Materiałów nie zamówionych redakcja nie zwraca.
Redakcja zastrzega sobie prawo dokonywania skrótów.

Informacji o prenumeracie na kraj i zagranicę udzielają
urzędy pocztowe, „Ruch" SA, „Jard-Press"i „Ars Polona".

Cena prenumeraty krajowej na II półrocze 2001 r. wynosi 18 złotych,
na cały rok 2001 – 36 zł.
Pieniądze można wpłacać także bezpośrednio na konto wydawcy:
Wschodnia Fundacja Kultury „Akcent" Bank PEKAO SA, V O w Lublinie
nr rachunku: 12401503-26934158-2700-401112-001-0000
lub przekazem pocztowym pod adres redakcji,
podając wyraźnie adres prenumeratora
i zaznaczając na odwrocie przekazu „prenumerata Akcentu".

W USA „Akcent" rozprowadzany jest przez następujące księgarnie:

Polish American Bookstore, „Nowy Dziennik" – Polish American Daily News;
21 West 38th Street; New York, NY 10018

Mira Puacz; „Polonia" Bookstore; 2886 Milwaukee Ave.; Chicago, IL 60618

We Francji sprzedaż prowadzi:

Librairie Polonaise (Księgarnia Polska), 123 Bd St. Germain, 75006 Paryż

Wydawca: Wschodnia Fundacja Kultury „Akcent"
20-112 Lublin, ul. Grodzka 3

Oddano do druku we wrześniu 2001 r.
Druk: Multidruk S.A., Lublin, ul. Unicka 4

Cena zł 9,-

SPIS TREŚCI

Danuta Mostwin: *Magda*/ **7**
Maciej Cisło: *wiersze* / **14**
Olga Masiuk: *Brakująca część Safony* / **17**
Julia Fiedorczuk: *wiersze* / **21**
Jacek Bierut: *Profanik* / **24**
Marek Danielkiewicz: *wiersze* / **30**
Rafał Watrowski: *Poezja Tadeusza Śliwiaka w oczach krytyki literackiej* / **33**
Urszula Jaros: *wiersze* / **39**
Sławomir Pokraka: *Trzeba się napić* / **42**
Sławomir Buryła: *Kto pił na wojnie. Wojna, okupacja, alkohol – zaproszenie do tematu* / **47**
Tobiasz Melanowski: *wiersze* / **56**
Kacper Bartczak: *Zdarzenie* / **58**
Radosław Borzęcki: *Biedny chrześcijanin Nietzsche* / **62**
Tomasz Gerszberg: *wiersze* / **72**
Szczepan Woronowicz: *Śrubokręt* / **75**
Piotr Macierzyński: *wiersze* / **83**
Liliana Zubińska: *Ostatni letni deszcz* / **87**
Lars Kleberg: *Zauważmy tłumacza* / **90**
Anne Stevenson: *wiersze* / **100**

PRZEKROJE

Prozaicy, prozaicy…
Kamila Borysewicz: *Nowa proza Kuczoka*; Monika Kozioł: *„Diabelska przypadłość"*; Aldona Targońska: *„Historyje w Kuriryku" – czyli curriculum vitae współczesnego człowieka*; Edyta Królik: *Rok śmierci Ricarda Reisa*; Bartek Kruk: *Granice obłędu*; Sławomir Buryła: *Gdy chodzi o życie*; Jerzy Święch: *Wittlin znany czy nieznany?* / **108**

TEATR
Aneta Wysocka: *Dwa spojrzenia na klasykę* / **122**

PLASTYKA

Małgorzata Kitowska-Łysiak: *Miasta, miasteczka, prowincje...* / **127**

MUZYKA

Ludwik Gawroński: *Muzyka na dworze Czartoryskich w Puławach* / **132**

WSPOMNIENIA

Danuta Kelch: *Maria Dąbrowska we wspomnieniach siostrzenicy*/ **139**

PODRÓŻE

Wojciech Zalewski: *Afryka Zachodnia – rozważania pątnika* / **147**

ARCHIWUM

Mirosław Wójcik: *Julian Tuwim w listach Emila Zegadłowicza* / **154**

NOTY

Aneta Wysocka: *Rzecz gardzienicka* / **163**
Łukasz Marcińczak: *Kolekcjonerzy w sukienkach* / **165**
Bogusław Biela: *Odsłony z niedalekiej przeszłości* / **169**
Bronisława Karst: *List do Henryka Grynberga* / **171**
Leszek Sobkiewicz: *Osad, czyli zdanie. Szkic o tłumaczeniu jednego wiersza* / **172**

DANUTA MOSTWIN

Magda

I

Wracają! Jeszcze palą się miasta. Jeszcze na poszarpanych lejami polach wybuchają spóźnione pociski. Zagrzebane pod ruinami domów ciała, gnijące resztki końskiej padliny drażnią mdlącym, ostrym odorem wojny. Skończyła się, a jednak trwa. Czepliwa zatruwa każdą myśl, wżera się w nich, w ich sny, w ich marzenia. Zazdrosna. Nie dopuszcza innych myśli. Podporządkowuje je sobie na całe życie. Okrutna i nienasycona. Wojna. Sięga aż do dna. Do najbardziej intymnej ludzkiej głębi. Tam, gdzie kryje się tajemnica.

Wracają! Z oflagów, z przymusowych prac na roli i w fabrykach. Z obozów koncentracyjnych i obozów pracy. Wydręczeni do ostatnich granic wytrzymałości. Czujni i nieufni. Za dnia kryją się w lasach, nocą, jak widma, posuwają się bocznymi drogami i ścieżkami leśnymi skrwawionej Europy. Wracają do domów. Jak niegdyś czarni niewolnicy z amerykańskiego południa szli nieprzytomni odzyskaną wolnością do świętej rzeki Jordan, tak oni wracają do domów.

Wyczerpani, często chorzy, niepewni co zastaną, kto ich w kraju rodzinnym przywita. Wracają do siebie. Nie wiedzą, że wchodzą w nowe zasadzki, nowe więzienia i egzekucje, nowy rodzaj niewoli. A nad nimi i wokoło nich unosi się kwaśny zapach spalenizny, pieczęć wojny, którą, nie wiedzą dlaczego, przegrali. Czasem porywa ich pragnienie odwetu i w takiej chwili gotowi są na każdy szaleńczy krok. A jednak porywy zemsty bledną wobec radości zobaczenia najbliższych. To ich twarze przywołują gasnące siły. Twarze matek i żon zapłakane. Wzruszone. Twarze ojców i braci rozumiejące. Powściągliwe w rozpaczy. I twarze dzieci. Następne pokolenie, któremu mają przekazać tajemnicę.

Jest ciepły dzień październikowy 1945 roku. Paweł, oficer rezerwy, wraca przepełnionym, nieustannie zatrzymującym się pociągiem z oflagu. Tam przebył większość wojny. A teraz pontonowym mostem przechodzi Wisłę do prawobrzeżnej Warszawy. Wraca do żony i córki, której nigdy nie widział.

Nakaz mobilizacyjny do pułku na północno-zachodniej granicy otrzymał wcześnie, a dziecko urodziło się wkrótce po jego odjeździe. Pomimo starań urlopu nie otrzymał i tylko z fotografii, które przysyłała mu żona, poznawał Magdę. Stała się przedmiotem jego marzeń. Celem, dla którego warto żyć. W sierpniu ukończyła sześć lat, ale czasem wyobrażał ją sobie jako dorosłą, uroczą dziewczynę, którą on będzie wprowadzał w życie, uczył mądrości i prawd świata, z którymi zapoznał się w niewoli i przejął jako swoje. Czasem wydawało mu się, że bardziej tęskni za nieznaną córką niż za rodzicami i żoną. Ona mnie najlepiej zrozumie – myślał.

Był dorodnym, energicznym, trzydziestosześcioletnim mężczyzną. Przed wojną skończył szkołę handlową i wkrótce otrzymał posadę w dużym przedsiębiorstwie. A kiedy dał się poznać jako nadzwyczaj zdolny, lojalny pracownik, awansował na bardziej samodzielną pozycją. Ożenił się z panną, którą poznał w tej samej firmie. Była to osoba delikatna, wrażliwa, po której nikt by się nie spodziewał tak nadludzkiej siły i wytrzymałości, jaką okazała w czasie wojny.

Był zmęczony. Ostatni odcinek drogi musiał przejść pieszo. Przystanął nagle. Poczuł się zgubiony. Osaczony ruinami stracił przez chwilę orientację. Gdzie jestem? Przeraził się. Zabudowania na prawym brzegu Wisły pamiętał jako szare, nieciekawe, chaotycznie zabudowane przedmieście. Zachował jednak dla nich sympatię: tu się urodził, tu mieszkali jego rodzice, tu w nowej wtedy kamienicy było jego i żony pierwsze mieszkanie. Tu, w tej dzielnicy, wychowuje się jego córka.

Co się stało? Wypalone domy zieją grobową pustką. Otacza go jakiś dziki taniec czarownic. To połączone kikuty kamienic wstrząsane wiatrem chichoczą świszczącym, okrutnym śmiechem. Od zawalonych ruinami piwnic idzie ohydny, mdlący odór. Spłoszone szczury co raz przebiegały mu drogę. Boże, co tu się działo? Co dzieje się pod tą skorupą gruzów?

Uciekać stąd! To niemożliwe, aby tu mieszkały. Nie tu, nie na tej ulicy.

Ktoś nagle mocno pociągnął go za ramię.

– Człowieku, gdzie idziesz? Strefa zakazana. Nie widzisz napisu? Jeszcze chwila, a wpadłbyś i po tobie. Skąd idziesz?

– Z niewoli.

– A to nie wiesz, że do twojej ulicy trzeba teraz inną drogą.

– Nie wiedziałem.

– Bogu dziękuj, żem cię zobaczył.

Dalej na bazarze, gdzie ruch, krzyk, przekomarzania, kupił chleb i ser. Tu tylko, na tym placu, bucha życie, wszystko przezwyciężające. Prące naprzód. Pazerne. Kamienicę, w której mieszkali, rozpoznał z daleka, ale zbliżając się stracił pewność, czy obdrapany, poraniony kulami budynek to ten sam, w którym mieszkał przed wojną. Tu czy nie tu? Wahanie. Ale tylko przez chwilę. Już jest na klatce schodowej. Przeskakuje stopnie. Zadyszany staje przed drzwiami. Uchylają się natychmiast. Przez zamglone łzami oczy nie widzi. Nie słyszy słów powitalnych, bo wszystko zagłusza GŁOS. Jest w nim szaleństwo radości, duma i spełnienie marzeń, i odpowiedź na codzienne modlitwy. Mój tatuś, mój tatuś, mój tatuś wrócił.

II

W drugiej połowie lat 90. dochód w firmie Magdy podwoił się. Teraz dopiero poczuła, jak bardzo jest zmęczona. Postanowiła zwolnić tempo pracy.

Tego dnia przyszła do biura wcześniej niż zwykle. Przejrzała korespondencję i wezwała sekretarkę. Dziewczyna w minispódniczce i obcisłym sweterku wbiegła do gabinetu.

– Szefowa tak wcześnie dzisiaj, ja już lecę nastawiać kawę.

Magda zatrzymującym gestem podniosła rękę do góry:

– Zaczekaj, Wandziu, ja zaraz wychodzę.

– Na długo?

– Na cały dzień albo i na dwa.

Dziewczyna przysiadła na krześle. Zdziwionym, niespokojnym wzrokiem

przyglądała się Magdzie. Jej ulubiona szefowa nigdy dotąd nie opuściła godzin biurowych. Zawsze zajęta, zawsze w pośpiechu, a przy tym pewna siebie, poinformowana, pracę stawiała na pierwszym miejscu. Wanda podziwiała ją i chciała naśladować. W umiejętności prowadzenia firmy Magda była lepsza niż mężczyźni. A przecież nie zatraciła nic ze swego kobiecego uroku. Mówiono, że lata nie dotykają jej, a tylko dodają czaru jej gorącej dojrzałości. Oliwkowa karnacja, mocna twarz, odważne spojrzenie szeroko rozstawionych oczu – zwracały uwagę. Jej uśmiech zdobywał, ale ściągnięte brwi były ostrzeżeniem, że może być nie tylko twarda, ale nawet bezlitosna, jeśli zaistnieją ku temu powody.

– Czy szefowa gdzieś wyjeżdża?

– Idę do domu – powiedziała. – Nie telefonuj, nie przełączaj, powiedz, że mnie nie ma. Jestem cała spięta. Wykończona. Sama nie wiem, dlaczego mam tak ciężko pracować.

Sekretarka przysunęła się bliżej biurka, spytała:

– A jakby pan Jarek telefonował?

Dyskretnie obserwowała szefową. Widziała wełniany kostium koloru marengo, lśniące nowością buty na wysokich platformach, nową torebkę i rękawiczki.

Myślała: Ja nigdy nie będę tego miała... ale kto wie? Gdyby ona tylko chciała?

– On... Jarek nie zadzwoni – powiedziała Magda. – Ale gdyby... no to wiesz. Ja już idę.

Narzuciła na siebie pelerynkę i nie odwracając się wyszła.

Firma zajmowała całe piętro w starym budynku z lat 50. Na klatce schodowej było mroczno a sam gmach ponury. Lokal był jednak niedrogi i wygodny do spotkań handlowych.

Na ulicy pogoda listopadowa. Mżawka. Liście na chodnikach. I ta chandra dusząca, tęsknota za czymś, czego już nigdy nie będzie, żal za utraconym. Jestem zmęczona... zmęczona. A przecież niedawno chciałam tak dużo pracować. Bałam się, że nie dostanę pracy...

Jej czarny opel zaparkowany blisko czekał. Wsiadła i Trasą Łazienkowską dojechała do Zwycięzców. Tu, na 8 piętrze miała trzypokojowe mieszkanie.

Systematycznie i ostrożnie otwierała jeden po drugim dwa potężne zamki u drzwi. Odkąd w kamienicy założono domofon, dodatkowe zamki nie były potrzebne. Jednak Magda i większość lokatorów nie dowierzali nikomu i niczemu.

Weszła do korytarza. Chłodna, senna cisza wypełniała wnętrze. Przeszła szybko mieszkanie. Otwierała drzwi do pokojów, do kuchni i łazienki sprawdzając, czy nie znajdzie nikogo, czy też może ktoś się ukrywa i czyha. Sama śmiała się z tej przesadnej ostrożności. Nazywała ją fobią, której nie mogła się pozbyć. Ale potrzeba sprawdzenia czy ktoś (coś) nie ukrywa się w jej mieszkaniu, była silniejsza. Silna też, przechowywana z młodości, dręczyła ją obawa, że coś dziać się może za zamkniętymi drzwiami pokoju, coś o czym ona nie wie, ale wiedzieć powinna. Za wszelką cenę powinna dowiedzieć się, co dzieje się w pokoju, który zamknięty dla niej mógł być kolebką upiorów. W potrzebie konfrontacji kryła się też nadzieja, że może... Przecież Jarek miał klucze do mieszkania. Może się rozmyślił, może wrócił?

Stała w drzwiach pokoju syna szukając śladów jego obecności. Przygotowane do zabrania książki leżały na dywanie. Puste miejsce po łóżku, które wziął z sobą.

Nie umiem zagospodarować tego pokoju – szeptała. Chcę tu sobie urządzić mój gabinet... i nie mogę. To dziwne... myślę, dobrze się stało, że się wyprowadził z domu, już tak nie biegnę, żeby przygotować obiad, może powinnam pójść do niego... pomóc... może jeszcze nie powinien mieszkać samodzielnie... a jednak brakuje mi... brakuje mi... Pamiętam, jak się urodził... chłodny dzień... gnało mnie, żeby napisać do Oskara, jaki on śliczny, jak patrzy, jak ściska mój palec... jaki uroczy... jaki naprawdę nasz...

I potem stało się coś takiego... Ach, jakie to mieszkanie obce. Po co mi takie mieszkanie? Przecież ja się już nikim nie opiekuję.

Usiadła przy małym stoliku (Jarka dziecinne biureczko, które porzucił). Leżały tam kartki przedartego brudnopisu. Oryginał zaniósł już pewnie na uczelnię. I nic mi o tej pracy nie wspominał. Dawniej dyskutowaliśmy razem. Teraz milczenie. Rozmawia z ojcem. Ja nie jestem potrzebna. Zabiera mi syna. A kto go wychowywał całe życie? Ja sama. Sama. Boże, jak było trudno. Ale powiedziałam sobie: muszę! Muszę! Nie wolno mi się załamać...

Zbierała skrawki papieru, aby wyrzucić do śmieci. Były wilgotne. Zorientowała się, że całą twarz ma mokrą od łez i że prowadzi sama ze sobą jakiś niewyraźny dialog przerywany głośnym łkaniem.

Wyprostowała się. W łazience umyła twarz.

O nie – uspokajała samą siebie – nie! Nie nowy atak histerii. Nie zrobię im tej przyjemności. Bardzo dobrze, że się wyprowadził. Czas na niego.

W kuchni wyjęła z lodówki butelkę. Nalała sobie szklaneczkę. Piła rzadko i umiarkowanie. Nauczyła się kontrolować swoją skłonność do alkoholu. Wiedziała, co może jej grozić. Ale teraz był jej potrzebny. W sypialni przebrała się. Usiadła na łóżku. Na kolanach położyła mały komputer. Pisała...

III

Od kilku tygodni zaczęłam o tym myśleć. Musiałam myśleć bardzo intensywnie, bo budziłam się nad ranem, a w oczach miałam jeszcze ich twarze: twarze matki i ojca, Jarka i Oskara. I nawet pojawiła się twarz Zenona. Ale osobno. Inaczej. W świetle dnia rozpływały się natychmiast pozostawiając mnie wyczekującą, niepewną czego by chciały ode mnie. Ale teraz wiem. I wiem, że sama sobie nie ucieknę. Muszę to zrobić dla Jarka. Ten chłopiec tak bliski, a zdumiewa mnie, jak mało wie o mnie. Czasem wydaje mi się, że zostałam na peryferiach jego dzieciństwa. Jestem tam, mała figurka, stereotyp matki, ale nie człowiek, nie kobieta, którą życie potraktowało tak niesprawiedliwie, kobieta opuszczana, zdradzana przez tych, którym zaufała, przez ojca i męża, przez syna i kochanka.

A może ja nie jestem jedyna. Może w moim opuszczeniu podobna jestem do wielu innych kobiet. Uśmiechamy się ukrywając rozpacz. Za żadną cenę nie wolno okazać słabości. Słabość równa jest przegranej. A jednak jak często ogarnia mnie poczucie bezradności. I teraz, w tej chwili, gdy to piszę: ogromna bezradność, opuszczenie... bezradność... Jak go odzyskać? Jak odebrać ojcu?

Telefon dzwonił już kilka minut. Zagłębiona we własnych myślach nie słyszała. Podniosła słuchawkę.

Dzwoniła starsza urzędniczka z jej firmy.

– Tu Synergia...

– Mówiłam Wandzie, żeby mnie dziś zostawić w spokoju. O co chodzi, pani Agnieszko?

– Ja najmocniej przepraszam, pani dyrektor, ale w Brystolu nie mogą nas przyjąć. Telefonowali. Wstępna rezerwacja została odwołana. Co to będzie.

Zaproszenia wydrukowane. Zewsząd zapytania... nie wiem, jak wytłumaczyć...

– Nic nie tłumaczyć. Wszystko jak było. Brystol chce więcej pieniędzy. Damy im. To się opłaci. Proszę przefaksować do Berlina: pan Peter Guttermeyer, adres w książce adresowej na moim biurku. Treść: przyjmuję pańską propozycję. Proszę o telefon w środę, godzina czternasta.

– Ale, pani dyrektor, co z Brystolem?

– Zatelefonuje pani do nich, że sprawa załatwiona.

– Jak to załatwiona, pani dyrektor?

– Pani Agnieszko, są sprawy, o których pani nie musi wiedzieć.

Odłożyła słuchawkę. Stanęła przed lustrem. Przerwany wątek... Spojrzała na siebie ostro, krytycznie.

Położyła się na łóżku. Przymknęła oczy. Odbicie jej sylwetki w lustrze wtargnęło pod powieki. Patrzyła nie widząc. Przycisnęła klawisz komputera.

Co on powiedział? Co on mi takiego powiedział wczoraj? Aha... Masz sylwetkę młodej dziewczyny. A ja nie wierzę. No nie wierzę. Zaczynam zdawać sobie sprawę z trwałości tego związku. Jestem od niego starsza. I to już stało się punktem newralgicznym. Jak ostrożnie zaczyna dobierać słowa. Nie chce mnie zranić. Boi się konfliktu. Boi się mnie stracić. Jest mu ze mną wygodnie. A mnie? Tak sobie. Dobrze mieć kogoś, z kim się idzie do teatru, można pojechać na weekend. Ale nic stałego, nic rodzinnego. Nie. To wykluczone. Ale tak naprawdę, kto jest moją rodziną? Chyba tylko Jarek. Bo przecież nie Zenon. Nie Oskar. Skończyliśmy z sobą podpisując akt rozwodowy. A teraz Jarek odchodzi do ojca. Więc gdzie w tym wszystkim jest moje miejsce?

Głowę tracę. Muszę się cofnąć. Zawsze żyłam tą filozofią do przodu. Zdobywać! Jak trudno przedrzeć się przez granicę czasu w drugim kierunku. Tam wszystko już się stało. Nic się nie odstanie. Nic nie można zmienić. Słowa straciły dawną moc. Układają się w historię i brzmią fałszywie. Jedynie obrazy zachowały świeżość prawdy i prowadzą mnie drogą powrotną.

Ta śliczna twarz w śnieżnym kornecie to szarytka, siostra Maria, moja wychowawczyni. Stoi na straży mojego dzieciństwa. Jej wyciągnięte ku mnie ramiona obiecują spokój, jeśli tylko zdecyduję się zostać. Myślę: a dlaczego ona została? Zawód miłosny? Teraz myślę inaczej: potrzeba duszy. A jaka jest potrzeba mojej duszy? Nie, nie mogę jeszcze o tym myśleć.

Cały dzień, aż do wieczora, zostawałam w szkole. Był to rodzaj półinternatu. Wszystko ustalone. Rytm spokojny: szkoła – religia. Matka wracała z pracy o piątej i zabierała mnie do domu. Ale obraz matki wracającej z pracy, matki zmęczonej, która zaraz po przyjściu do domu zabierała się do gotowania obiadu – nie zachował się. Widzę ją na tle gałganianych lalek, które szyła mi ze skrawków materiałów.

Czasem opowiadała mi bajki. Ale nie chciałam bajek. Nie chciałam ich smutnego, ponurego końca. Podejrzewałam, że matka często płacze. Kryła się z tym, nie przyznawała. Czy my kiedykolwiek mówiłyśmy z sobą otwarcie, sięgając naprawdę głęboko? Dlaczego nie mogłam wyznać jej wszystkiego? Dlaczego nie zapytała mnie? Dlaczego nie ułatwiła rozmowy? Teraz – za późno. Tylko obraz nas, dzieci, powracających ze szkoły do domu. Marzenia: kiedy ojciec wróci.

Siostra Maria rozpinała białe skrzydła. Płynęła ponad nami, aby czuwać nad moim snem. Nie chciałam być jak ona. Kochałam ją, ale ciekawość życia była silniejsza. Czasem w trudnych chwilach widzę jej śnieżny kornet. Wtedy zmniejszona do wielkości gałgankowej laleczki chronię się w obszernych fałdach jej fartucha.

IV

Ojciec stał się obrazem wszystkich kolorów jesieni. Widzę go poprzez obfitość złota. Na tle tego bogactwa ciepłe plamy koloru pomarańczy i wina. Spacerowaliśmy alejami parku, a pod nogami chrzęścił kobierzec późnojesiennej monarchii. Taki mi został w pamięci. Takiego przywołuję we śnie. Czasem wydaje mi się, siedzi na fotelu. To przecież zarysy jego głowy. Ale kiedy podchodzę – rozpływa się, jak kręgi wody, którą na chwilę tylko ożywił rzucony kamyk. Tłumaczy ledwo słyszalnym szeptem, że mu niezwykle ciężko przejść granicę czasu. Ciężej niż innym, gdyż on wybrał. Wybrał ten los nie tylko dla siebie, ale wtłoczył weń matkę i mnie. Musiałem – tłumaczy się – to była kwestia honoru. Czy mu wybaczę? Skończyłem tak, jak wielu z nas – szepcze – droga przed nami urwała się. Kiedyś zrozumiesz. Nie pytaj o więcej…

Był cudownym ojcem. Wtedy, gdy wrócił z oflagu, gdy rodzina stała się pełna, odczułam jej podtrzymującą, wiążącą siłę. Świat się zmienił. Zmieniło się całe moje życie. Miałam ojca. Mogłam do niego mówić: tatusiu… tatusiu… tatusiu. Wiedziałam, że zajmuję pierwsze miejsce w jego sercu.

Kiedy jechaliśmy razem tramwajem, mówiłam głośno: tatusiu, żeby każdy wiedział, że mam ojca. Przez sześć lat czekałam na niego. Czy nie wystarczy cieszyć się z tego? Nie wiem, dlaczego nie przestawałam na coś czekać. Bakterie czekania miałam już we krwi. Są tam jeszcze. Stwarzają objawy wiecznego niedopełnienia. Niedosytu. Wydaje nam się, że życie przyniesie coś jeszcze ważniejszego, tylko należy cierpliwie czekać, bo to, co los ofiaruje nam teraz, jest niewspółmierne z tym, co może zaofiarować nam w nagrodę za długie, cierpliwe czekanie.

Ojciec wrócił entuzjastyczny, pełen zapału do pracy. Dopiero po długim czekaniu dostał pracę. Nie taką jednak, do jakiej był przygotowany. Nie taką, z której mógłby utrzymać rodzinę. Matka pozostała głównym żywicielem. Ale byliśmy razem. Szczęśliwi.

Zbieraliśmy się wieczorem przy głośnym czytaniu. Jak pięknie czytał mój ojciec! Nie mogłam głośno czytać. Zalewałam się łzami nad losem Janka Muzykanta i Anielki. Matka zbyt zmęczona po pracy szła spać wcześniej, a ojciec czytał tak długo, aż oczy same zamykały mi się i głowa opadała na ramię. Wtedy przenosił mnie na rękach do mego łóżeczka i jeszcze szeptem dopowiadał zakończenie opowiadania.

A jak cudownie śpiewał mój ojciec. Znał najpiękniejsze arie operowe. Siadałam na podłodze, bo wtedy widziałam go jak na deskach sceny. Słuchałam. Mogłam tak słuchać bez końca. Ach, jaka byłam z niego dumna.

W niedzielę i w święta chodziliśmy na obiady do rodziców mego ojca. Przy długim stole zasiadał cały klan. Wtedy narady, ściszonym głosem prowadzone dyskusje polityczne. Wspólne rozwiązywanie kłopotów, udzielanie pomocy w nieszczęściu.

A teraz jestem sama. Nie wiem nawet, kto jest moją rodziną. Jak to się stało? Dlaczego tak inna jestem od zgromadzonych przy świątecznym stole ciotek i wujów, dziadków, babek i kuzynów? Czy to oni mnie odtrącili? Czy ja sama odeszłam? A może to wojna? Może moja babka nie poczęstowałaby mnie pączkiem z tej wspaniałej piramidy świeżo upieczonych na przyjęcie rodzinne. Nie jestem już jedną z nich. Zostałam na bocznej ścieżce. I czekam.

Ojciec stracił posadę. Starał się o jakiekolwiek zajęcie. Wszędzie odmowa. Widziałam, jak gasł. Skończyły się długie z matką spacery, kiedy jak zakochany chłopiec czekał na nią przed biurem i później okrężną drogą wracali do domu.

Są daty, których wspomnienie jest bólem tak dotkliwym, że odrzucamy je od siebie. Boimy się cierpienia. Rok 1962 to okrutna data, data śmierci mojego ojca. Nie mogę się z nią pogodzić. A przed tym 10 lat udręki. Matka pracowała nadal. To ona utrzymywała dom. Codzienna, uparta, biurowa rutyna. Nie czułam potrzeby zwierzania się matce. A przecież współczułam jej. Wiedziałam, co się dzieje. Ojciec zajął się polityką i działaniem podziemnym. Do nas o tym ani słowa. Chociaż nietrudno było się domyślić. Co jakiś czas kilkunastu mężczyzn zbierało się w naszym mieszkaniu. Pozostawał po nich zadymiony pokój i brak wytłumaczenia.

Pamiętam tę kartkę. Leżała na stole. Łzy matki rozmazały podpis. Reszta była lakoniczna i przerażająca: *Będę na Okęciu. Może to być miejsce mojego pożegnania z Polską.*

Wrócił. Nie udało się. Uzyskana na krótko normalność życia opuściła nasz dom. Co jakiś czas znikał na kilka dni. Były to ucieczki alkoholowe. Zapijanie chandry. Przygnębiony, apatyczny, zniechęcony do wszystkiego wracał ze mną do domu. Umiałam wtedy wyciągnąć go z tej beznadziejności, rozweselić, zabawić. Był jedynym mężczyzną w moim życiu, upragnionym ojcem. Chciałam go ratować.

Wyprowadził się, kiedy zjawił się Andrzej. Poczuł się zagrożony. Nie byłam już tylko jego. Uśmiecham się: obraz Andrzeja to szkic surrealistyczny. Czarno-biały. W tych pretendujących do prawdziwej sztuki kreskach i cieniach gdzieś zgubił się mój 17-letni szkolny kolega. Dla ojca – groźny. Jak mogłam tego nie dostrzec? Dlaczego nie zerwałam z Andrzejem, aby ratować ojca? Dlaczego mu nie wytłumaczyłam, że Andrzej naprawdę nic nie znaczy?

Wyprowadził się z domu. Powiedział, że nie może być na utrzymaniu matki. Może uznał, że mnie jest już niepotrzebny.

To było moje przedwiośnie. Nabrzmiewanie pąków drzewa, które rozkwitnie po raz pierwszy. Andrzej był krótko moim chłopcem. Ale profesor był tym, którego zachwyciło rozkwitające drzewo.

A ojciec? Czy chciał mnie ukarać? Ostatni jego obraz ukryty we mnie wciąż boli, uwiera. Popołudnie. Wracam z uczelni do domu. Zamieszanie. Milicja dobija się do zamkniętych od wewnątrz drzwi pokoju. Twarz matki wykrzywiona przerażeniem. Wyważyli drzwi. Nie wpuszczają matki. Milicjanci wchodzą pierwsi. Krzyk matki: nie wchodź tam! Ale ja już skoczyłam. Rozepchnęłam milicjantów. Patrzyłam… patrzyłam… nie wiedząc, że krzyczę: tatusiu… tatusiu… tatusiu…

Danuta Mostwin

MACIEJ CISŁO

Drżę i nie dbam

Boję się i nie boję, że kiedyś umrę, albo że jestem nieśmiertelny,
Na zawsze przykuty do życia, dobrego i do podłego,
Na tym najlepszym i najgorszym ze światów.

Szkoda i nie szkoda, że nie ma Boga,
Albo że właśnie jest i nie spuszcza mnie nigdy z oka.

Drżę i nie dbam o sławę, lub jej brak:
Istnieje zysk w stracie. Zostać pomnikiem za życia:
Bardzo to utrudnia ruchy.

Bez trzymania

Czego się trzymać na tym świecie:
Może niczego, jedźmy bez trzymania,
Na kole ziemskim i słonecznym,
Środkiem tymczasoprzestrzeni,
Łapmy równowagę w ruchu,
Życie to ruch; ten świat,
Źle czy dobrze, ale zawsze działa.
Działanie tworzy dzieła, dzieje i nadzieję.

Wiara i wiedza

Wierzę w elektron, chociaż go nigdy nie widziałem.
Nie widziałem żywego ptaka kiwi,
Pierwiastka o nazwie „radiolaryt";
Nie byłem w Genewie, ale i w nią wierzę.
Chętnie ufam świadectwu o rzeczach, od których nie zależę.

Lecz bogowie są chlebem żywym;
Kto głodny, temu nie wystarcza wiara w chleb.

O bogach muszę *wiedzieć*:
O bożym zbożu, o ziarnie nicowanym w śnie śmierci,

Obracanym podszewką na tysięczną lewą stronę;
O bogactwie tego i Tamtego świata.

A jeśli prawdziwa wiedza jest niemożliwa,
To chciałbym przynajmniej dobrze poznać swą niewiedzę,
I dlaczego doznajemy, nie poznając.

Mówię „bogowie", myśląc o nich „liczne jedno",
Tak jak „listowie" i „sitowie".
I że oni-ono jest-są w każdej rzeczy może tym,
Co tę rzecz przerasta:
W ludziach są lepszymi ludźmi,
W zwierzętach – przyszłymi ludźmi,
A w kamieniach i polach sił – iskrą:
Najmniejszym zalążkiem ducha.

Wiara w to, że ojciec żyje,
I że kiedyś powróci z dalekich mórz,
Wystarczała synowi Odyseusza, dopóki ten był dzieckiem.
Lecz oto Telemach dorasta
I wtedy zjawia się przed nim sowiooka Atena
Z wezwaniem: *Uzbrój łódź, weź ze sobą dwudziestu wioślarzy*
*I ruszaj; trzeba ci już dziecinne porzucić zabawy.**

Upał i data

Upał dziś taki, że chyba dopiszę go do daty:
Jest 2 czerwca roku dwutysięcznego i 39 stopni.

Chodnik w słońcu polśniewa
Jak siarka na pudełku od zapałek.

Szurniesz mocniej sandałem –
I staniesz w płomieniach!

Widzieć i czytać

Siedzę na stoku Białej Góry pod Tomaszowem Lubelskim.
Po przeciwstoku pełznie cień małej chmury.
Ziemia Roztoczańska jest żółta, krucha i słodka jak chałwa.
Drzewa to chmur zgęszczenia.
Patrzę na krajobraz, przekrzywiwszy głowę:
Chcę naprawdę widzieć, a nie czytać widok.
Do góry nogami

* wersy z *Odysei* w tłumaczeniu Lucjana Siemieńskiego

Znaki stają się na powrót obrazkami.
Wstaję: pomagam drzewom stać.
Schodzę: pomagam iść drodze.

Skandal

Czysty wietrzyk oddechu polatuje nad przemianami
Strawy w truciznę, której się chyłkiem pozbywamy.
Kwitną policzki jak kwitną różyczki na mogile,
A myśl budująca żarzy się pośród zgliszczy.

Podtrzymuje nas piękno i makabra,
Szkielet wewnątrz najzdrowszego organizmu,
Serce jak mechanizm zegarowy
Podłożonej w piersiach bomby.

A my zgadzamy się na ten skandal, „takie jest życie!"
I odpowiednio się też nawzajem traktujemy:
jakże miałbym kochać bliźniego swego,

I siebie samego, skoro z wyroku bogów,
Wszyscy, bez wyjątku,
Zasługujemy na śmierć?

Jedna odbitka dla mnie

Mdłe latarnie brudzą blask poranka.
Przystanek w kształcie psiej budy;
W rowie – harde łodyżki traw,
O niezginających się kolankach.
Mucha wędruje mi po rękawie
Migawkowymi kroczkami aktora
Z niemych filmów.
Robotnik toczył po chodniku
Żelazną butlę z ciekłym tlenem
Zza chmur błysnęło słońce – jakby dzień
Zrobił sobie zdjęcie z fleszem.
„Jedna odbitka dla mnie",
Zażartowałem w myślach.
Dostałem ją natychmiast. I oto jest.

Maciej Cisło

OLGA MASIUK

Brakująca część Safony

Safona chyba nie była piękną kobietą, nie uznawała jej za taką starożytność, zapewne nie przedstawiałaby się w ten sposób mieszkańcom XX-wiecznego świata. Niska brunetka, być może o małych ustach, dość pospolitym, choć pokrytym przecież arystokratyczną skórą, nosie, możliwe, że bez tego ujmującego wcięcia w talii, które prowadzi do górzystości bioder. Ale, jak mawiali starożytni, pełna wdzięku, jakby spadła z nieba z Charytami, w jej głowie szumiała woda z leśnych źródeł, jej oczy przypominały kwiaty.

To, co stanowiło urok Safony, leżało poza zasięgiem ludzkiego wzroku. Należało raczej zamknąć oczy, aby poczuć zapach jej ciała, oddychać przesyconym jej słowami powietrzem. To, co najważniejsze nie przyjmowało żadnych kształtów, było ulotne, wręcz nieistniejące, a jednak zostawiało ślad wspomnień.

Safona nie przybiera dziś kobiecych ani nawet ludzkich kształtów. Nikt nie próbuje wyobrazić sobie jej rysów, może widzi dłonie, stopy, rzęsy, ale to tylko fragmenty zjawiska, jakim jest Safona, nie części ciała kobiety. Bez pełnych piersi, lekko rozchylonych ust, delikatnych linii twarzy, bez tych wszystkich zakamarków, które czynią kobietę fascynującą i piękną, ta nieistniejąca materialnie, nawet w najsędziwszych archiwach pamięci, postać stanowi najdoskonalszą formę kobiecości. Safona, której imię już dla greckich uszu brzmiało egzotycznie, powoduje tajemniczą grę zmysłów, wzbudzających w głowach kobiet tęsknotę, a w męskich zachwyt. Nie wiadomo o niej prawie nic, krótkie wzmianki o życiu przypominają zdania z wielkiej księgi baśni, które uniknęły ognia i wskazują tylko na niezwykły świat, choć nie pozwalają się do niego dostać. Czy Safona pomyliła morskie fale z silnymi ramionami Faona i skoczyła z Leukadyjskiej Skały w bezkształtność wody, jakby oddawała się ciepłu męskiego ciała? A może zmarła jako pogodna staruszka z kochającą i wdzięczną Kleis przy boku, nie myśląc już o zmysłowym tańcu mięśni, zapominając o liryce ud, zapatrzona w kwiecistą słoneczność Lesbii? Co czuła, żegnając miłą uczennicę, nauczywszy ją muzyki, poezji i słuchania rytmu własnego ciała? Co czuła, kiedy śpiewała jej hymenajos i wsuwała jej dłoń w silną męską prawicę? Żal za utraconą młodością lub rozkosznym towarzystwem pełnej wdzięku wychowanki? Czy radość, że oto świeża i pełna oczekiwania kobiecość zastanie złożona w szorstkich, lecz rozumnych i delikatnych dłoniach? A może bała się, że świat, w który wysyła swą Anagorę czy Eunikę na zawsze pozostanie obcy dla tych, które znają tylko spojrzenia przyjaciółek, tylko dźwięki dziewczęcych głosów i tylko takich dotyk rąk?

Fragmentaryczność wiedzy, jaką posiedliśmy na temat Safony, czyni z niej postać odrealnioną, na wpół legendarną, jak ślepiec Homer. A jednak jej istnienia nie kwestionuje się i nie kwestionowałoby się, nawet gdyby nie przechowały się wiersze ujęte w staranną saficką strofę, tak jak wierzący nie kwestionuje istnienia Boga, choć nie przyjmuje On żadnej postaci, której cząsteczki ciała nie byłyby zlepione dziwną, abstrakcyjną siłą. Bo nikt nie

potrzebuje Safony o piwnych oczach, metrze pięćdziesięciu wzrostu, ciemnych włosach, sześćdziesięciu kilogramach i o (choćby fascynującym) pewnym życiorysie. To, czego w Safonie i o Safonie nie ma, dało jej siłę przetrwania, jak najdoskonalszym, bo nieistniejącym, przedmiotom u Herberta. Paradoksalnie nieistnienie jest najciekawszą formą istnienia. To, czego nie wiemy, nadaje temu, co wiemy połysk i czar; to, czego się domyślamy, sprawia, że myśli tańczą w naszej głowie, choć nie ubierają naszych słów w dźwięki, bo to, czego się domyślamy, jest tylko nasze, wystawione na publiczny widok po pewnym czasie spowszedniałoby, zbanalizowałoby się. To, co czujemy, patrząc na zamieszczony w galerii obraz czy przewracając kartki książki, nie jest bólem, radością czy szczęściem. Jest mieszaniną wszystkich tych stanów, a granice uczuć nie są znane nawet nam. A gdy nie potrafimy zwerbalizować swojego nastroju, rezygnujemy z opowiadania o nim komukolwiek. Jaką bowiem treść niesie ze sobą zdanie: „Matejko tak pięknie namalował swoje dzieci, musiał je bardzo kochać"? Zawiera informację, dość cenną nawet, ale pozbawioną całej emocjonalnej strony, jaka powinna towarzyszyć słowu „kochać". O wiele doskonalszą formą tego zdania jest zawieszony w Muzeum Narodowym w Warszawie *Portret trojga dzieci artysty*. Rozkoszny nieład fryzurek, mięciutkie rączki, które, bardzo możliwe, jeszcze przed chwilą lepkie były od miodowych ciasteczek, wzruszające każdą matkę pozwijane w okolicach kostek, tuż nad szafirowymi sprzączkami sandałów, grube rajstopy czy wywołujące dumę każdego ojca, ściągnięte w tył ramiona i wypchnięty do przodu, jeszcze pachnący dzieciństwem, brzuszek chłopca. I obok wierny pies, przyjaciel i opiekun dzieci, z całą swoją poczciwą psiejskością w wielkich oczach i kosmatych uszach. Oglądający ten *Portret*... odczuwa coś dziwnego, patrząc na ozdobione błękitną szarfą koronki na sukience, bo patrzy na dzieci oczyma Matejki ojca, dla którego barwy na palecie miały na zawsze odcienie ubrań jego dzieci, lekko poddające się pędzlowi zamknęły miękkość ich maleńkich ciał.

I przenikając uczucia ojca malarza penetruje jednocześnie swoje wnętrze, tęskniącego za dotykiem aksamitnego policzka, beztroską paplaniną, wspominającego z rozrzewnieniem to, co porwał czas lub rozpaczającego nad tym, co zabrał okrutny los. A to dlatego, że dziewczynka ma za duże, zwijające się tak często małym dziewczynkom, rajstopy. Nie wiemy o niej nic, czytamy tylko z jej rajstop, jak z książki, o tym, czego na tym obrazie przecież nie ma – o zapachu jej ciała, o barwie jej śmiechu, o śmiesznych słowach, jakie wymyśla, żeby rozbawić rodziców. Ta dziewczynka nie istnieje, była kiedyś, tak samo jak było tysiące innych dzieci, ale dla zwykłego widza płócien Matejkowych, nie znającego kolei jego życia i stosunków rodzinnych, dziewczynka z obrazu nagle nabiera kolorów, jej portrecik przestaje być martwy. Nasz świat splata się w pewien sposób ze światem tego dziecka i nie jest to podróż w przeszłość, nie, tu i teraz czujemy, co bohaterka obrazu myśli, nie wiemy tego, ale odczuwamy maleńką Matejkównę, maleńkie dziecko... dziewczynkę... Kleis...

Córkę śliczną mam – jej postać
złotym kwiatom jest podobna –
Kleis moją ukochaną.
Nie oddałabym jej za nic.
Wolę ją od całej Lidii
i od miłej sercu Lesbos.

(przeł. Jerzy Danielewicz)

Wszystko zaczęło się w Grecji, to pewne. Trudno jednak określić rolę, jaką w świecie poetyckim odegrała Safona. Jest matką poezji czy jej kochanką? Pierwsza kobieta zajmująca się lirycznym rzemiosłem, pełna macierzyńskich uczuć, a jednak...

„Faonie, tylko Tyś jest moją troską, Ciebie powracają mi moje sny, sny jaśniejsze niż pogodny dzień. Tam Cię odnajduję, choć nie ma Cię w naszych stronach. Niedługie są jednak radości, jakimi darzy sen. Często zda mi się, że na twoich ramionach wspieram głowę, często widzę, jak moje oplatają Twoją. Rozpoznaję pocałunki, któreś złączywszy język swój z moim, tak umiejętnie umiał brać, tak umiejętnie dawać. Potem Cię pieszczę i mówię słowa zupełnie jak w rzeczywistości, czuwają me usta i zmysły czuwają. Wstyd nie pozwala mi opowiadać więcej, gdy wszystko się dopełniło i wszystko było radością, ale bez Ciebie nie mogę czuć się szczęśliwą" (Owidiusz, *Heroidy*, przeł. Wanda Markowska).

... pełna macierzyńskich uczuć, a jednak... a jednak kobieta, pociągająca i pożądająca, pociągająca i pożądająca poezja, kobieta – poezja.

Tak niewiele wiemy o Safonie i tak mało zachowało się jej utworów, że składamy te dwie postaci w jedno ciało, jedno serce, jedną parę ud i ód. To, co niosą ze sobą słowa, uwypuklają strzępki życia, to czego nie mówi życie, kryje się w wierszach.

Nie ma metafor, nie ma słów o dziwnym brzmieniu, jest prostota obrazu, postaci kobiety i mężczyzny, kobiety i kobiety, a nad nimi rozciągający się Eros glykypikros, obezwładniający stwór, słodko-gorzki, a przecież nawet on dla starożytnych był stałym elementem krajobrazu, jak woda, las czy nienawiść. Wszelkie uczucia nazywane są po imieniu, nieważne imieniu greckim czy polskim. Słowa tak proste, że trudno byłoby rozszerzyć zakres informacji, jakie niosą. To, co wywołuje u czytelników dreszcz, zlokalizowane jest na krawędzi słów i wchodzi w rejony, których tekst już nie obejmuje, w rejony, gdzie kończy się brzmienie wyrazu, prostego, surowego słowa, które nie zawierało żadnych dodatkowych treści poza tymi, które niesie w codziennych rozmowach. Łamiący się język, występujące poty i dreszcze, zieloność twarzy – stany znane każdemu, bo przecież nie tylko z miłosnych sytuacji zrodzone.

Wydaje się dorównywać bogom
Mężczyzna, który naprzeciwko ciebie
Siedzi i chłonie z bliska, urzeczony,
Słodkie twe słowa,

Słuchając śmiechu, co budzi pragnienie.
I moje serce w piersi on dziś spłoszył,
Bo ledwie spojrzę na ciebie, nie umiem
Dobyć już głosu,

Język się łamie, delikatny ogień
Pod skórą ciało me nagle przebiega,
W oczach mrok, widzieć przestaję zupełnie,
W uszach mi szumi,

Pot mnie oblewa, dreszcz przejmuje całą,
Robię się bardziej zielona od trawy
I sama sobie bliską śmierci wtedy
Już się wydaję.

Lecz wszystko można znieść, co i biednego
.....

(przeł. Jerzy Danielewicz)

Tajemnica nie tkwi więc w wyszukanych słowach ani w ich fascynującym brzmieniu, bo ani nie są wyszukane, ani nie dźwięczą jak roje złocistych pszczół. Gdzie więc zaczyna się odczuwać słodycz i gorycz pogrążone w zadziwiającym uścisku? Tam, gdzie nie ma już słowa. Napięcie buduje się

wręcz między linijkami wiersza. Ze słów wylewa się niezwykłe pragnienie, jak wylewa się ono z oczu spoglądającego na ukochaną i pożądaną osobę. To głód bliskości, tęsknota za gładkością skóry, za łaskotaniem włosów, mroźnym rankiem, którego nie trzeba powierzać samotności.

To, czego nie dopowiedziała Safona, uwypukliła jeszcze swymi zniszczeniami dziejowa zawierucha. Wiele tekstów zaginęło bezpowrotnie, kilka ocalało, kilka udało się, choć we fragmentach, wydrzeć czasowi, zamieszaniu czy głupocie.

Lecz wszystko można znieść, bo i biednego
. . . . . .

Dlaczego znieść można miłosne odrzucenie? Może wręcz warto dla jakiegoś powodu cierpieć i poddawać twarz barwom trawy? Czy coś może uratować biednego miłośnika, oszczędzić mu wstydu ukradkowych jedynie spojrzeń? A może śmierć, która czeka każdego, uwolni od miłosnych trosk, warto więc znosić odrzucenie i chłód ust, aby tym spokojniej i pełniej ułożyć się w ramionach tej ostatniej już kochanki?

Szczęśliwy oblubieńcze, jak sobie wymarzyłeś,
Masz dziewczę upragnione, spełnione twe małżeństwo . . . . . .
. . . . . .
Twa postać pełna wdzięku, oczy . . . . . .
Słodka, a pożądanie ze ślicznej bije twarzy . . . . . .
Niezwykle cię doprawdy uczciła Afrodyta.

Utwór słuchającemu go mógłby się wydać skończony, a jednak zapis na to nie wskazuje. Jak mógł wyglądać? Może tak: spełnione twe małżeństwo/ tak długo tego oczekiwałeś/ choć nigdy nie wierzyłeś, że los da ci tyle szczęścia/wiedziałeś, że staniesz się mężem.

Kim był przed rokiem ten szczęśliwy dziś oblubieniec? Pewnym ręki i uczuć ukochanej? Marzącym skrycie o jej wiecznym towarzystwie? Nędzarzem, któremu nie wolno było patrzeć nawet na otuloną w biel młodą osóbkę o wdzięcznym głosie i okrutnych dla biedaka słowach?

Księżyc ukazał się w pełni,
A gdy wokół ołtarze stanęły

A gdy wokół ołtarze stanęły/ bogowie wysłuchali modłów i połączyli tych dwoje/ nie było już nic i noc pokryła twarze i serca/ radosną pieśnią powitano nowe dni, które miały nadejść.

Safona to wszystko wiedziała, ale odeszła zabierając ze sobą pewność. Coś jednak zostało, zamknięte w brakujące wersy, zatrzymane w ciszy, która wieńczy każde słowo, ujęte w niepewne wzruszenie ramion, gdy pytamy o poetkę. Odszedł ze swoją mistrzynią (bo przecież nie odwrotnie) słodkogorzki Eros, wtapiając się w starożytne cienie, rozświetlane jedynie w książkach o Antyku, a jednak pozostały spocone dłonie, niedomknięte powieki, usta pragnące spaść na chłodne piersi.

Po Safonie, jak po porządnej burzy, zaległa cisza. Tyle że burza wypełniła na chwilę całe miasto swym dosadnie i niewątpliwie brzmiącym grzmotem, a Safona dotknęła tylko kilku lat w dziejach świata, uratowała tylko kilka wersów w gazecianej powodzi, dopisała tylko kilka milczeń do ogólnoludzkiego hałasu. A jednak możesz wybierać. Szukaj pewnych wszędzie słyszalnych grzmotów burzy lub

. . . . . .
Zaśnij na piersi ślicznej towarzyszki.

Olga Masiuk

JULIA FIEDORCZUK

Wracając z Krakowa

Po drodze na dworzec nagłe przejaśnienie!
I wszystko takie doskonałe.
Brad Pitt sprzedaje mi gazetę
A w torbie mam słodycze na drogę.

W dworcowym barku, nie uwierzysz,
William Wharton karmi gołębie!
Strofuje go biała pani, zanim
Poda mi kawę.

Pociągi rozjeżdżają się w słońcu,
Tarcza odlicza minuty.
I zaraz odnajduję swe miejsce
W wagodnie drugiej klasy.

Słowem

Słowem można wejść w wiersz
Lub zabrać je na spacer
Wzdłuż torów gdzie żółte koce
Gorczycy zasiały się same.

Mama mówi ognicha
Na gorczycę a koźlarze
To dla nas kozaki
Gołąbki to surojadki.

Mało jest pięknych słów
Na a i na i. Na b jest bursztyn
Czyli jantar a bursztynka
To ślimak płucodyszny.

* * *

Bardzo nieważne rzeczy
Cisną ci się w słowa.

Bo czym jest maskarada drzew
Sen jeża lub kamuflaż morza?

I lubisz cudze sny
Kiedy przychodzą do głowy
I pełno w nich dziwnych zwierząt
I mają własne słowa

Nocy w której pęka kra
I pancerzyki nasion
Rano wystają z wody
Gałęzie nowych lasów

Tahiti w lutym

Rano, czas luster.
Co dziś wywróży mi tafla?
Dzień z pomarańczą i liśćmi
Z okna o zwiewnej firance?
Słoneczny hałas sprzedawców
Narcyzów? Zielony napój
z grzechotką kostek lodu?

Szybko skończy się światło
W pokoju urośnie noc.
Poszukam ciepła w kącie
Przymknę oczy
Na sine plamy okien.
Trzy dni, dwa samoloty temu
Kwitły hibiskusy.
Piliśmy zimne wino
Na brzegu spokojnej wody.

Teraz noce, przezroczyste, trzeźwe
Nie proszą o sen.
Rozluźnił się rygor tygodnia
I dziś już przepowiadają
Nowe filmy na bardzo długi weekend.
Tyle się nam chce!
I wszystko musi się udać.
I czego tu się bać.

Twój uśmiech milczy, ja
Mówię ci co czuję, mówię
Co ty czujesz i zaraz
Wszystko jest proste
Jak cmentarz w liściach lipca.
I trzeba tylko skoczyć
Do jednej wody
I trzymać się za ręce

Kiedy odwróci się ziemia
Mignią kontynenty
I odleci księżyc.

Lądujemy na słońcu
I w oczach masz krzyż południa
Z nieba Polinezji.
Włosy pachną ci deszczem
Który przyszedł zza gór.
Jak spać kiedy twoja skóra
Kora deszczowych drzew.
Trzeba szykować podróże
Na nowe ciepłe dni.

Julia Fiedorczuk

Piotr Fąfrowicz: *Gra*, 1992

JACEK BIERUT

Profanik

Gdy owo magiczne teraz nikłe było, a wszystkie te, które dopiero miały nadejść, zapowiadały się równie marnie, zszedłem ze świętej góry Ślęży, która właściwie powinna zwać się Sobótką, poprofanić. Prosta rzecz. Jak łodyga i korzeń uprawiają całkiem sprzeczne penetracje, a jednak tylko razem są, tak i ja zadbałem o ten drugi kierunek. Zgasiłem magiczny ogień chłopięcym zwyczajem i poszedłem w dół, tuż obok posągu, przez ślepych i biorących cudze kłamstwa za swoją prawdę nazywanego Panną z rybą, co oczywiście jest jawną głupotą. I dalej, aż do samochodu, który czekał na mnie tam, gdzie powinien. Ruszyłem.

Pola potulniały pod szronem. Schizofreniczne białe trawki walczyły z ciężarem o powietrze. Blade słońce całkiem odpuściło parze kruków kończących tu na mokrym niebie swą podróż do ciepłych krajów. Wrzuciłem luz. Droga tylko lekko zmrożona pchała się w kępę wykoślawionych drzew, o które oparły się betonowe chmury. Czas się rozcapierzył i rozlał, jak przystało na najdłuższy miesiąc. Właściwie można było już skończyć, zatrzymać się i stać w zmrożonym polu, między surową fakturą grud. Wróciłem na bieg, docisnąłem obrotów. Lis odrywający kawałki innego lisa przyprasowanego do nawierzchni uskoczył w rów.

I zrobiło się kolorowo. Niebo uniosło się znad mozaiki poustawianych równiutko samochodów. Żółta trawa ustąpiła sierści asfaltobetonom. Błyskające lampki symulowały radość. Ludzie znikali w sezamie. Nawet plakaty usypały z literek dobrą nowinę: *wcale nie musisz płacić pieniędzmi.* Skręciłem, niech już zamienię się w kamień, skręciłem. Pojechałem, jak mi kazały strzałki, ustawiłem auto w wesolutkiej luce. Szczęście leżało mi u stóp, na mokrej nawierzchni. Wślizgnąłem się przez automatyczne drzwi, prosto w feerię barw. Przede mną stała drobna kobieta o popielatych włosach i miniaturowej twarzy i bawiła się telefonem komórkowym. „Ja mówię, że lepszy spacer po IKEI, a on, że po TESCO" – naskoczyły mi na plecy czyjeś słowa i zaraz dzieci pobiegły prosto do Mikołaja i powykręcały mu plastikowe palce, mimo że śmiał się i obiecywał prezenty. I zaraz cienki krzyk. Dziewczynka kopnęła matkę swoją małą nóżką, matka pogłaskała swoją dziewczynkę po włoskach. Dwaj wąsaci mężczyźni nachylali się ku sobie. „No i rozwiązuje krzyżówkę, narząd kobiecy na cztery litery, ostatnia „a" – pyta. Pionowo, czy poziomo? Poziomo. To pisz usta." Podskoczyły te wąsy i wszystko się wydało, kolorowe światła wdarły się w to, co miało być ukryte, w ten handel, na którym się zęby zjadło. „Ja bym mu pedział – gęba". I wtedy zobaczyłem w lustrze swoją uradowaną twarz. Oczy pełne chorobliwych błysków. Stanąłem. Od razu wjechał we mnie wózek popychany przez kobietę i mężczyznę, którzy rozmawiali ze sobą odwracając od siebie głowy. Zakręciłem się gwałtownie. Z wózka patrzył na

mnie zalążek buntownika. „O, Panwitek". Wspiąłem się na palce. Rzeczywiście szedł, od razu było widać. Dogoniłem go. Pchał ten swój wózek tanecznym posuwem i prawie śpiewał. Machał co kilka kroków głową, jakby krążyła wokół niej nabzdyczona pszczoła. Spojrzałem w górę, w szklane okno nad sztucznie żywym drzewem wyrastającym wprost z kafelkowej alei. Ptak tłukący się do szyby jak do raju mniej by mnie zdziwił niż te barwy rozlane po pikującym ku mnie niebie. Panwitek pochylił się, jakby próbował ocaleć, ale szybko okazało się, że markowaniem sznurowania buta próbuje dostrzec u dziewczyny przebranej za niebieskiego Mikołaja w stroju plażowym coś ekstra. Buzię miała taką ładną i drobniutką, wiotkie ramionka, okrąglutkie piersi wypchnięte przez ciasnawy gorsecik na wierzch niespokojnie falowały. Więcej tu mężczyzn stanęło dla załatwienia czegoś. Zdejmowali kurtki albo niby bardzo się interesowali ulotkami rozdawanymi przez asystentkę tej pełnej świątecznego blasku istoty. Ale tylko Panwitek zdobył się na to, żeby ujrzeć kwintesencję. „O, Mikołaj!" Podbiegł do niej mały chłopczyk i chwycił ją za nogę. Panowie westchnęli. Pewnie nawet uświadomili sobie tęsknotę za dzieciństwem. Panwitek mlasnął, bo ta nierealna osoba, którą kobiety zgromadzonych mężczyzn dźgały już soplami spojrzeń, odepchnęła chłopca unosząc swoją długą i cienką nogę. Zerwał się zaraz i wbił się razem z wózkiem w leniwy tłum.

Z gąszczu, w którym przed chwilą zniknęły jego plecy, spojrzała na mnie przelotnie jasnowłosa dziewczyna. Od razu poznałem, że z mojej jest rasy. W jej źrenicach rozbłysnął na chwilę i zgasł ten blask bez imienia, który niecierpliwie chciałoby się i poznać, i zapomnieć. Odwróciła głowę. Tłum zamknął się za nią szczelnie. Wypłynęła jeszcze na chwilę na powierzchnię jej jasna czupryna i pogrążyła się w odmęcie. Zajęczało. „Coś ty wygrzebał za złom! Zawsze tak jest." Jakaś kobieta dobierała się do swojego męża, ale jęki nie ustały, gadające kółka wózka nieczułe były na żywą prawdę jej głosu wznoszącego się aż do nabrzmiałych sokiem owoców z wysoko uniesionego plakatu, na których ktoś ułożył nagie stopy. Pyzata twarz Słońca przetaczała się po napiętych skórkach, a ludzie szli pod rytmem świateł wiszących u metalowego szkieletu i szukali bladego odbicia swojego dziś.

Dałem się unieść tej rzece, pozwoliłem przeniknąć się tej różnorodnej energii, która wniosła mnie prosto między półki i zwolniła, rozlała się leniwie po przygotowanych przez specjalistów kanałach. Rzuciło mnie między kolorowe okładki bestsellerów. W zasadzie mogłem już tu skończyć. „Cześć" powiedzieli do siebie jakiś chudy i gruby i minęli się w wąskim przejściu. Chudy poszedł na plastiki, gruby zatrzymał się przy kolorowych okładkach książek dla małych przedsiębiorców i tych, co zamierzają zmienić swoje życie. Nawet jedną chciał już wziąć do ręki, tylko nie bardzo się to spodobało jego żonie. „Co? Następne składowisko kurzu? Ty mi lepiej powiedz, co to za chudzielec". Gruby cofnął rękę. „A, kumpel, razem śmy pół Polski stopem zjechali i przeszli górami na słowacką stronę, się przeżyło razem, nie ma co." „A co on teraz robi?" „Komputery podobno naprawia." „Komputery? A żonę ma?" „Podobno znowu zmienił." „To po co ty mu cześć mówisz?" „To przyjaciel mój był." „Przyjaciel, ty się lepiej za te zakupy weź, a ja skoczę na ciuchy, może jakieś promocje będą." „Ale tylko z listy." Poszli. W stercie książek na wagę rzuconych wprost na podłogę dostrzegłem *Traktat o przyjaźni*. Schyliłem się. Kręgosłup z trudem uległ.

I wtedy ktoś mnie nieznacznie szturchnął. *Traktat o przyjaźni* nie mógł się zdecydować, dać się wziąć, czy leżeć sobie dalej. Podniosłem głowę. Chłopa-

czek z wielką czekoladą w ręku sprawdzał moją czujność. Teraz udawał, że mnie wcale nie ma. Wziął do ręki jakieś pismo, otworzył na przypadkowej stronie, ale nawet nie potrafił tam zajrzeć, bo zdaje się bez obrazków było. To pewnie musiało być coś o literaturze. Odłożył je bez pośpiechu. Poszedł. Zniknął za rogiem. Poszedłem za nim, bo chciałem zobaczyć, jak to jest. Zaraz się okazało, że jest ich dwóch, że na razie badają grunt. Tu podejdą, tam pukną kogoś, sprawdzą, do której kieszeni się pchać. Większość ludzi wcale na te ich zaczepki nie reagowała. Okazja przyszła sama. Jeden zastawił sobą jakąś parę zaaferowaną wyborem elektrycznej szczoteczki do zębów, a drugi odjechał powolutku ich wózkiem, w którym oboje ułożyli swoje kurtki. Poszedłem za nim. Za rogiem przyspieszył i kierował się na plastiki, tam, gdzie ludzi mało. Zaraz za mną szedł ten drugi. Poszedłem przez wiklinę, żeby się im nie rzucać w oczy. Wyłoniłem się od drugiej strony. Ten chudy dumał nad jakąś miską. Ci dwaj przetrząsali kieszenie kurtek. Wyjęli po portfelu, szybko wygrzebali pieniądze. Jeden pytał wzrokiem, czy wziąć ten ładny długopis, ale szybko odczytał karcące spojrzenie „ile mam cię uczyć". Potem odeszli od tego wózka, jak od niczego. Poszedłem za nimi, bo ten chudy ciągle obracał tę miskę w rękach i można by było zanudzić się na amen. Poszli oczywiście na elektryczne szczoteczki do zębów. Ta para zdążyła w międzyczasie zawęzić pole swoich rozważań do dwóch modeli. Wcale nie zauważyli zniknięcia wózka. Ci dwaj spojrzeli na siebie z kpiną i poszli zaraz kroić następną parę z małym dzieckiem, ludzi, którzy darli się na siebie w milczeniu. Poszedłem zobaczyć, jak to się odbędzie tym razem, chociaż szkoda było mi stracić reakcję tych od elektrycznej szczoteczki, którzy chyba już skłaniali się ku najtańszemu modelowi. Nie czekałem długo. Pod promocją puszek z ziarnem kukurydzy ludzie włazili sobie na plecy. Wystarczyło się tylko przykleić. Dziecko zostało w wózku. Jeden przytulił się do kobiety, drugi do jej mężczyzny i zaraz zawrócili na plastiki. Ten chudy obracał miskę we własnej cierpliwości. Oczy mu płonęły każdym z zachodów słońca, na które kiedyś patrzył z wyniosłych skał. Wózek z kurtkami stał. Ci dwaj umiejętnie wyjęli pieniądze, puste portfele bezgłośnie wsunęli do plastikowego pojemnika i zaraz popatrzyli na mnie jak gromada głodnych dzieci. „Psiknę mu po oczach" jeden spytał drugiego. Ten chudy w końcu się zdecydował i ułożył w wózku tę niebieską. „Zostaw". Poszedłem z powrotem na książki. *Traktat o przyjaźni* leżał w tym samym miejscu. Schyliłem się. Uniosłem go ze stosu dla nietrafionych dzieł tak cicho realizujących się ludzi. Otworzyłem. Zanim się zorientowałem, na buty wysypały mi się wszystkie literki. Szurnąłem je w europaletę. Źle zapakowany towar to nie towar. Przejrzałem to, co zostało mi w ręku. Samo milczenie. Najlepsza rzecz, jaką w życiu zdarzyło mi się czytać. Nie mogłem oderwać oczu. Całą przyjaźń (słyszysz?) miałem tu. „Wiesz, to jest bardzo groźne zjawisko, coraz wyraźniej obserwuję gettowość w literaturze, zamykanie się na inne koterie. Pisma literackie podobne do planety lub elektronu, o centralizmie których można mówić tak, jak się mówi o siłach wewnątrzcząsteczkowych lub grawitacyjnych – są one gwarantem pewnej stabilności układu, lecz nie decydują o parametrach fizykalnych cząstki." Znowu jakichś dwóch znalazło sobie miejsce i czas na TEMAT. Stali przy półce z prasą i patrzyli sobie w oczy z miłością. „Nawet pomyślałem, że zamiast tych wszystkich perfidnych wywiadów powinno się zadać każdemu jedno celnie postawione pytanie, choćby to, że pisarzem według Wajdy »może być każdy« i co z tego wynika?" „No dobra, Podsiadło." „Czy wszystko jest poezją?" „Stasiuk" „Czy reszta jest poezją?" „Tokarczuk" „Nad czym teraz

pani pracuje?" „Świetlicki" „Czy światu można walnąć książkę prosto w oczy?" „Kto tam jeszcze? Niewiadomski!" „Czy wszystko jest kontekstem?" „Tkaczyszyn-Dycki" „Bolało?" Zachichrali. „Gretkowska" „Czy potrafi pani odpowiedzieć na to pytanie?" „Sosnowski" „Jak można to w ogóle zrozumieć?" „Pióro" „»Nie liczę na nic szczególnego przed śmiercią ani po śmierci«– a co to jest to coś szczególnego?" „Dobre. Maliszewski!" „Czy krytykowi literackiemu wypada ogłaszać (...) wiersze?" „Majeran" „Lubi pan odpowiadać na takie pytania?" „Marcinkiewicz" „A kto jest trzecim?" „Sonnenberg" „»Najbardziej dziwnym jest pytać artystę, dlaczego robi to co robi. Ale spytam: skąd się wzięło pisanie?«" „Śliwka" „Jedna z moich koleżanek przyznała się księdzu na spowiedzi, że paliła trawę. On zapytał, czy gospodarz o tym wiedział. A twój gospodarz, co o tobie wie?" „Wiedemann" „Czy jak się myśli, że się jest ważnym pisarzem, to się jest ważnym pisarzem?" Objęli się tak czule i poszli między półki z filmami video zostawiając po sobie powietrze drżące od klejących się słów.

Zamarłem. „A gdzie Socha?" najpierw otarły się o mnie ich słowa, potem smród. Wszystko mieli inne, do czerwonej czapki niebieska kurtka, zielone spodnie i fioletowe plastikowe buty. Ten drugi bardziej żółte przyjął barwy dopełniając je szaroburym szalikiem. Twarze mieli ciemne i wygniecione i oczy zmatowiałe jakby ulane z porysowanej pleksi. „Co mnie tam Socha, co ja, dzieci z nią mam?" Popatrzyli na mnie chwilę. „Łykniesz z nami?" Wyjęli eksportową butelkę i zamruczeli. Przejrzysty, krystaliczny płyn zakolebał się z radości. „Łyknę." „Tylko filuj w dół i z węża, to cię nie chycą kamerą". Podszedłem. Odkręcili korek, wsunęli w płyn jakiś wentyl, butelkę ukryli w koszyku i podsunęli mi do dojenia gumową rurkę. Pociągnąłem. I oni pociągnęli po grzecznym strumieniu. „Chachacha" zaśmiały im się te zaszmulane żółte oczy. „To jeszcze po jednym". Nie odmówiłem, bo w żołądku już zatańczyła mi jutrzenka. Oni zaraz wessali się w tę rurkę, aż im urosły gały. „Idziemy, bo nasz namierzą." Poszli. Położyłem *Traktat o przyjaźni* na stosie i zachciało mi się żyć. To miasto zalśniło nagle pod szczurzą sierścią jak szlachetność kruszcu w blasku pochylanych świec, jak księżyc w witrynie jubilera. To tu schodzili się alchemicy z połowy świata i na straganach z solą wymieniali mapy, receptury i tajną broń. Westchnąłem.

„Pan Jan Kochanowski, pan Jan Kochanowski proszony jest na nabiał. Drodzy Państwo, za sześć minut w głównej alei zaśpiewa kolędę zespół Sutka Buflera." Z głośników znowu popłynęło Happy Christmas. Poszedłem za ludźmi wiedziony sztuką specjalistów od złotodajnej przestrzeni. I nagle zatęskniłem, zatęskniłem jak niemowlę do mlecznej piersi, aż zachwiałem się i z powiek musiałem odrzucić kamień. Jakże udawało mi się do tej pory zapomnieć? Nie pochłonie tego wędrowca wieczny lód, nie zostanie po nim puste miejsce obok was, miejsce którego udajecie, że nie ma, „Ja wiem, że promocja, ale po co ci sześć?" „Po hiwno, nie pytaj się, jeść to potem będziesz chciał." „No, ale aż sześć?" „To wezmę jeszcze dwie."

I wtedy po twarzach przesuwających się ludzi przesmyknął ptasi głos, jak słońce po końskich grzbietach. Podniosłem głowę. Kos. Z przęsła na przęsło, a za nim jego rodzina, wesoło i dźwięcznie. Ciemne malutkie ptaszki, które tu znalazły sobie dom. Poleciały nad warzywa. Człowiek w czapce narciarza znalazł je po moim spojrzeniu. „One tu na to wszystko srają" puścił do mnie oko. „Tylko nie na – s" upomniała go jakaś dziewczynka. „A co ty myślisz, że wylatują na ten wiatr? Tu srają." „Tylko nie na – s, kupkę robią." Taki z wózkiem pełnym plastikowych butelek strzepnął sobie z ramienia pył. „Ta

zabawa nie jest dla dziewczynek" ktoś zaśpiewał purytance. Odwróciłem się. Poszedłem za kobietą w skórzanych spodniach, żeby poczuć, jak to jest. Stawiała niewielkie kroczki. Zatrzymała się dopiero przy półce z kosmetykami. Ujmowała w dłoń strzeliste kształty, przecierała palcem niewidoczny kurz. Niektóre z pudełek dyskretnie przybliżała ku ulotom jamy nosowej i odkręcała wieczka. Pochyliła się. Zadrżałem, kiedy zobaczyłem zarys pod jej jedwabną bluzeczką. To o to tu chodzi? Przeleciało mi jak olśnienie. I nawet miałem już podejść do niej i powiedzieć, tylko ktoś chwycił mnie za kołnierz i uniósł. Odwróciłem się. Jakiś człowiek bez szyi patrzył mi zimno w oczy i wynocha mówił. Kobieta w skórzanych spodniach spojrzała na mnie przelotnie z małym uśmiechem i wróciła na półki. Ten bez szyi podprowadził mnie za róg. Wynocha mi powtórzył i jakoś nie puszczał. Dotknąłem mu serca i od razu zmiękł. Pogładziłem go po komorach jak dziecko, bo całkiem niedopieszczony był i puściłem mu z oczu potoczki łez. Stał i patrzył na mnie jak stado głodnych owiec. Idź – powiedziałem mu – i nie błądź więcej. Poszedł dookoła z przygiętymi nogami i głową dziwnie wzniesioną ku górze. Za rogiem skręcił w niewłaściwą stronę. Wróciłem popatrzeć jeszcze na kobietę w skórzanych spodniach, miała wargi i zęby, i miękkie powieki o fakturze bursztynu, i włosy ułożone w poplątany stos. Popatrzyła na mnie jeszcze raz, już bez uśmiechu i w końcu – czego – powiedziała, odwróciła się odginając swój doskonały tułów w tył i poszła niespiesznie na chemię kusząc każdą drobinką swojej cienkiej skóry.

Zamarłem. To ja porzucałem wciąż miejsca łożyskiem pogardy dla snu i nasienia obleczony obcością miast i dziewcząt rzucanych płomieniom, a oni tu tłumem rodzili w bólu szybką świętość nikczemną. To ja nie ustawałem, rozrywałem złom powiek, kalałem legowiska saren, a oni tu prowadzili warsztaty w tych niewiernych dekoracjach. To ja stwarzałem i przemierzałem wciąż miejsca: hic mortui et muti loquuntur, a oni z obojętnością wielką zachowywali się tu jak jacyś nieśmiertelni, jak jacyś spodziewający się dubli. „Zaczekaj" szepnąłem jej i stanęła natychmiast. Usłyszałem, jak tuż pod skórą serce jej napęczniało, rozdęło się w oczekiwaniu, jak żołądek się w nie wcisnął domagając się nowych słów, innych niż te pęczniejące kamienie, niż te gęsi wiszące kuprami znanymi z niedoskonałości, robione dla wielu coraz bardziej niestosownie, byle dotknąć zanim ściemni się może nawet na zawsze, byle nabrać prochu w usta, światła w kości. Odwróciła się. „Czego" spytała. Tego wszystkiego chciałem jej mówić, ale przeszło koło mnie jakichś dwoje i gadało. „Ja mu prawdę mówię, a on mówi, że nie ma czasu, taki jest, że wczoraj miał, to ja mu, że mógł zadzwonić, a on, że nie miał czasu, to ja mu, że przecież mówił, że miał, a on mi, że nie na wykręcanie numerków. A to wszystko z czego się bierze? Z zazdrości?" „Drodzy Państwo, zapraszamy na kolędę, a po kolędzie w głównej alei dostaną Państwo od firmy Bara Bara Bara prezent gratis." „Bara Bara Bara? Widzisz, jak te arabusy nas szanują. Też z zazdrości." „Ale prezent gratis!"

Nie spuszczała ze mnie wzroku, ale nie spytała jeszcze raz. Podszedłem do niej jakoś tak niezgrabnie i nie wiedziałem, co powiedzieć. „A gdzie ten mój?" spytała. „Poszedł." „To chodźmy, będzie na niego." Wzięła mnie za rękę i pociągnęła gwałtownie na mięso. Pusto było, bo wszyscy poszli po prezenty. Przyłożyła sobie moją dłoń do brzucha tuż poniżej piersi i szła. Jej ciało sprężynowało, a pierś jak białe chmury spełzła z północnym wiatrem w wyrazisty ciężar wrastający mi w palec jak góra o stromym zboczu wynurzająca się nad powierzchnię, jakby zaraz miała się przewrócić od kaprysu tego ciała,

które ją wydało. Regularna i gładka, jak z innego świata, w którym to czas wszystko mija, a nie tak jak tu. Przy lodówce jednym pewnym ruchem rozerwała folię z najlepszymi kawałkami z indyka i wepchnęła w to moje palce. „To właściwie to samo, tylko zimniejsze". Klepnęła mnie w czoło i poszła mrożąc mnie każdym kawałkiem swojego rozchybotanego ciała. Jak niewinna. Wyjąłem palce i wtedy Panwitek minął mnie biorąc z warkotem ostry wiraż otwierający mu drogę do głównej alei pełnej ukrytych znaczeń.

Usiadłem pod tą lodówką gotów czekać na to, co będzie. Bezlitosne zimne światło waliło mnie w kark. Kolędujący zespół podcinał nowocześnie frazę. Właściwie to mogłem już tu skończyć.

Stanęła nade mną. Wcale nie musiałem podnosić głowy. Ta, co z mojej jest rasy. Pochyliła się i napluła mi na czubek głowy.

Jacek Bierut

Książki nadesłane

Wydawnictwa różne

Hanna Bojar: *Mniejszości społeczne w państwie i społeczeństwie III Rzeczypospolitej Polskiej.* Wydawnictwo FUNNA. Wrocław 2000, ss. 259 + 15 nlb.

Elżbieta Cichla-Czarniawska: *Zapamiętania*. Powieść. Wyd. Towarzystwo Miłośników Wilna i Ziemi Wileńskiej. Bydgoszcz 2001, ss. 223.

Jean Grenier: *Albert Camus. Wspomnienia*. Przekład i opracowanie Kazimierz Brakoniecki. Wyd. Centrum Polsko-Francuskie. Olsztyn 2000, ss. 125.

Zygmunt Kubiak: *Nowy Brewiarz Europejczyka*. Wstępem poprzedził Bohdan Pociej. Biblioteka „Więzi", Warszawa 2001, ss. 313.

Zygmunt Kubiak: *Uśmiech Kore*. Biblioteka „Więzi", Warszawa 2001, ss. 276.

Kazimierz Brakoniecki: *Światologia*. Wyd. Borussia, Olsztyn 2001, ss. 239.

Lech M. Jakób: *Drapieżcy*. Powieść. Oficyna Wydawnicza MULTICO. Warszawa 2000, ss. 166.

Sylwester Marynowicz: *Twarze, miejsca i polityka*. O twórczości Adama Zielińskiego. Wydawnictwo NCK, Kraków 2001, ss. 132.

Ojczyzna i wolność. Prace ofiarowane Profesorowi Janowi Ziółkowi w siedemdziesiątą rocznicę urodzin. Red. Anna Barańska, Witold Matwiejczuk, Ewa M. Ziółek. Wyd. Towarzystwo Naukowe Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego. Lublin 2000, ss. 819+5 nlb. Seria: Towarzystwo Naukowe KUL. Prace Wydziału Historyczno-Filologicznego T. 81.

Stanisław Piskor: *Strategia kultury*. Wyd. „Śląsk". Katowice 2000, ss. 151.

Rocznik polskiej dyplomacji kulturalnej 1999. Wyd. Ministerstwo Spraw Zagranicznych oraz Instytut Adama Mickiewicza. Warszawa 2000, ss. 279.

Roztoczańskie spotkania. Wykłady otwarte w Ośrodku Edukacyjno-Muzealnym Roztoczańskiego Parku Narodowego. Wyd. Roztoczański Park Narodowy. Zwierzyniec 2000. T. 1 (1995-1997), ss. 334; T. 2 (1998-1999), ss. 305.

Henryk Sienkiewicz: *List otwarty do J.C. Mości Wilhelma II Króla Pruskiego*. Posłowiem opatrzył Lech Ludorowski. Panda Press. Lublin 1992, ss. 12 nlb. Druk bibliofilski.

Piotr Saługa: *Maraton*. Powieść. Wydawnictwo Mamiko. Nowa Ruda 2001,ss. 342.

Obraz Boga Ojca w kulturze. Praca zbiorowa. Red. Mirosława Ołdakowska-Kuflowa, Urszula Małgorzata Mazurczak. Redakcja Wydawnictw Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego. Lublin 2000, ss. 436.

Polska w oczach Irlandczyków – Poland Through Irish Eyes. Zebrał i przełożył Bogdan Wagner. Wydawnictwo CLIO. Lublin 2001, ss. 231.

MAREK DANIELKIEWICZ

Psi charakter

W moim mieście jest miejsce dla różowego pudla
który mimo upływu lat uważa mnie za atrakcyjnego
Warczy, gdy oglądam się za innymi
Jest heteroseksualny
Nie skarży się na samotność –
Ja skarżę się codziennie
Taktownie zasypia, gdy szuram butami
Nie wytrzymałbym, gdyby on szurał
Kiedyś porzucę go dla innego pudla
Oswoiłem się z tą myślą –
Ale on jest czujny
I nie pozwala mi samemu wychodzić z domu

Fotografia

Jasnowłosy chłopiec – tak wyglądałeś w 1963 roku
W drelichowych spodenkach i brudnej koszuli
Obok studni
I gdyby nie ta dziewczyna, której osiemnaście lat „znaczyło całe życie"
Która dzisiaj cierpiałaby z powodu nadwagi i nerwicy, to spadłbyś
jak kamień
Przeżyłeś, postarzałeś się, jak reprodukcja Milleta na ścianie pokoju
Gdzie niemodne ubrania, sterty gazet i lampka chanukowa

Portret trumienny

Dziewanny na mogile Marka Danielkiewicza
Jak na piaszczystym brzegu
Owady unurzane w ciężkim pyle, w lepkich słodkościach
A wszystko z Marka
Z jego ciała i kości, owłosionego brzucha
I opalonej tamtego lata twarzy

Dziewanny naburmuszone, utrudzone sierpniowym dniem
Wszystkie rzadkiej urody i niepewnej proweniencji –
Z nasion wydalonych przez ptaki

Trudno mówić o eschatologii w upalny dzień
Zlizując krople potu, jakby się pieściło wargi chłopca
Przed którym nic mnie nie obroni

Szafa

Opuszczona jak niejedna kobieta
Pachnie potem i krochmalem
Kapelusze i sukienki matki pogryzły mole
Ktoś moje mleczne zęby pozawijał w bibułki
i ukrył w cynowym pojemniku
Liczę z obrzydzeniem
Trzydzieści lat temu pieściłem je językiem
Pod stertą majtek butelka wina porzeczkowego
Zrobił je zmarły przed laty ojciec
Siedząc w szafie piję jego nieobecność

Lato 1999

Jaszczurki na polnej drodze
w upał odbierający rozum
Podcięte sosny nad rzeką –
zapach umierających drzew
Ważki uwięzione w dłoni
i natychmiast uwolnione
Powrót późnym popołudniem
w czasie dojrzewania poziomek
i przekwitania kosaćców

Inicjacja

Józefowi Opalskiemu

Nie zapominał o zielonym jabłku – ciężkim i mięsistym
które przyjął z niechęcią w teatralnej kawiarni

Kwiecień tej wiosny był gorący, koszule przylepiały się do ciała

Z hotelowego okna patrzył na Lublin
i nucił *Balladę o seksualnej powolności* Kurta Weilla

Nagle znikąd wyłonił się obraz ogrodu – krzewy agrestu
i pigwy, floksy i lewkonie
Z trudem wdrapywał się na najwyższe drzewo i płoszył ptaki

Nie wiedział skąd przyszła pomoc
W kałuży krwi zdążyły utonąć owady
Pragnął tej śmierci, lecz nie potrafił wytłumaczyć
dlaczego

Wynurzenie

Nie kochałem Bohdana Z.
ale irytowałem się
gdy zabawiał w redakcji recenzentki
Nie wierzyłem, że był królem Midasem
chociaż nie mogłem tego wykluczyć
Byłem wściekły
gdy mieszał alkohol –
białe wino z wódką i tak dalej
Tak postępują nierozsądni chłopcy
cierpiący z powodu inności
i rzadkiego zarostu na piersiach

Student

Konradowi Maciejewiczowi

Przychodził w każdą środę
i bawił się palcami
Ukończył dwadzieścia lat
a już miał wszystkiego dosyć
Tyle mięsa wokół – krzywił się
Był wiotki jak gałązka jaśminu
Mówił o muzyce baroku
lecz unikał drażliwych tematów

Sen

Wokół domu naburmuszone bzy
Na strychu maska gazowa sprzed wojny
i kapelusze ciotek
W kątach pająki –
wiara w ich moc budziła przyjemność
jak picie soku malinowego ukradkiem
Wdrapywał się na czworakach po schodach donikąd
Ostatni raz patrzył na wycięty sad
Był chłopcem z rozbitym kolanem

Marek Danielkiewicz

RAFAŁ WATROWSKI

Poezja Tadeusza Śliwiaka w oczach krytyki literackiej

Poeci – umierając – zostawiają poezję dla świata, który już nie należy do nich, podobnie jak ich osierocone wiersze. Co świat z nimi zrobi? „Jeśli zapomni, okradnie samego siebie" – zanotowała moja mama na marginesie *Nie dokończonego rękopisu*, jednego z ostatnich utworów Tadeusza Śliwiaka, z tomiku *Dotyk* (1989):

w jakąkolwiek udadzą się stronę
trafią w końcu tam
gdzie zostanie dla nich to jedyne miejsce
nie zastąpią ich zostawione wiersze
choćby były najlepsze
poeci ruszą przed siebie
zwodzone miesiące oświetlą im drogę
dalej będzie już tylko noc
a świt już ich nie przywita
na stole zostanie nie dokończony rękopis
w którym zawsze jest jeszcze coś do wykreślenia
nikt za nich tego nie zrobi
i tak już pozostanie
wiersz
i cały świat
ale już nie należący do nich

W „Akcencie" (nr 4/2000) pojawiło się wspomnienie o autorze *Nie dokończonego rękopisu*, skreślone ręką przyjaciela z czasów młodości, Stanisława Stanucha. To jeden z nielicznych głosów upominających się o pamięć poety i tłumacza, autora nieśmiertelnego *Songu o młodości*, człowieka chorego na „śmiertelną chorobę – życie" (jak pisał w 1982 r.), a zmarłego na własną i ludzką niepamięć w 1994 r.

Stanuch już w pierwszym akapicie zwraca uwagę na ten aspekt osobowości i twórczości Śliwiaka, o którym mało kto dotąd pisał – o jego wyczuleniu na upływ czasu i przemijanie oraz na więź, która łączyła go z przyjaciółmi, nawet po ich przejściu na drugą stronę Styksu. Cytuje wiersz *Pożegnania* z tomu *Solizman* (1981), w którym poeta żegna się – kolektywnie – z Bursą, Kobielą, Dymnym, Poświatowską, Falkowskim, Herdegenem, Stachurą i innymi. Wierszy dedykowanych odchodzącym przyjaciołom jest kilkanaście i pochodzą z każdego okresu twórczości. Najpiękniejsze z nich to: *Pojednanie* (Andrzej Bursa), *Pisanie bólu*, *Daleko od Montmartre'u* i *Cała jesteś ze srebra* (Halina Poświatowska), *Nasz dom ostatni* (Zdzisław Wątroba), *Koszula* (Stanisław Grochowiak), *Śmierć Konrada* (Konrad Swinarski), *Ostatnia scena* (Zbigniew Cybulski), *Gabriel* (Leszek Herdegen), *Bogowie deszczu* (Jerzy Krzysztoń). Nieobecność, sposób nieistnienia każdej z postaci jest

inny i indywidualny – jak indywidualne było ich życie i otulająca ich część kosmosu. Z wierszy można odczytać nie tylko żal za odchodzącą postacią (która – jak każdy człowiek – „zmieniła świat o siebie"), ale również zapis kolejnych prób pogodzenia się z przemijaniem. W ostatnich wierszach Śliwiaka śmierć występuje już „oswojona", niedarmo porównywana do domowego zwierzęcia. Poeta – niepogodzony z odchodzeniem ludzi, których kochał – godzi się na własne przemijanie i zaczyna dopuszczać myśl o ulotności swojej sztuki.

Mimo to trudno zrozumieć zapomnienie, jakiego doznaje jego twórczość w ostatnich latach. Nieobecność – w antologiach, opracowaniach, nie mówiąc o programach wydawniczych – mogłaby sugerować, że był poetą przelotnego sukcesu, autorem dobrze się kiedyś zapowiadającym, ale zmarłym nagłą i niespodziewana śmiercią. Jak się okazuje, podobna charakterystyka byłaby dziś lepszą przepustką do nieśmiertelności niż kilkadziesiąt książek poetyckich, jakie pozostawił Śliwiak. Myślę, że warto – w zarysowanym kontekście – przypomnieć wybrane głosy krytyki literackiej na temat jego poezji i to z kilku względów. Po pierwsze – jako uzupełnienie głosu przyjaciela z wspomnianego wcześniej tomu „Akcentu"; po drugie – jako prezentację sposobu czytania wierszy Śliwiaka w czasach ich powstawania, po trzecie – jako zaproszenie do weryfikacji prezentowanych tu sądów w lekturze, ponieważ wybrane wiersze Śliwiaka doczekały się właśnie – po kilkunastu latach – szansy stanięcia oko w oko z czytelnikiem (*Nie dokończony rękopis*, Wydawnictwo Zysk i S-ka, Poznań 2001).

Od połowy lat 70. do połowy lat 80., równolegle lub następczo do retrospektywnych tomów z 1975 r., a zwłaszcza do *Płonącego gołębnika* z roku 1978, krytycy zaczęli podsumowywać dorobek krakowskiego poety. Pierwszą poważną próbą było studium Bogusława S. Kundy (1976), drukowane w „Poezji". Autor szkicu podkreślał wielowątkowość twórczości Śliwiaka i jej nieredukowalność do żadnej z konkurujących ze sobą szkół poetyckich. Wyróżnił ważne dla tej twórczości kategorie i postawy, takie jak „ironia i negacja", „dialektyczna akceptaca" czy „postawa osobistej odpowiedzialności i świadomość ryzyka moralnego". Podkreślił, iż były one obecne już w najwcześniejszych utworach poety, mimo ich ideologicznej naiwności. Zwrócił też uwagę na świadomość „ekologiczną" autora *Czytania mrowiska*, zanalizował wyzwalanie „mechanizmów pamięci", w tym jej mechanizmów obronnych oraz zauważył rolę, jaka w wierszach Śliwiaka przypadła kategorii „domu", usytuowanego w bogatej siatce asocjacyjnej.

O wiele istotniejsze, bo ustanawiające na lata kanon interpretacyjny Śliwiaka oraz wzbudzające emocje wykraczające poza jego poezję było opublikowanie przez Artura Sandauera w tomie *Poeci czterech pokoleń* (1977) szkicu *Poezja tragicznego ładu. Rzecz o Tadeuszu Śliwiaku*. Sandauer uznał jego wiersze za jedno z istotniejszych zjawisk w polskiej poezji po 1955 roku, a autora *Widnokresu* za duchowego spadkobiercę „autora Księgi Rodzaju", Platona, Wergiliusza i Heideggera. Według Sandauera Śliwiaka na tle współczesnych wyróżniało dążenie do odnajdowania w rzeczywistości ładu i celowości, nawet jeśli jest to ustalona porządkiem umierania i zadawania śmierci „celowość tragiczna". To *twórczość, która (...) gloryfikuje zgranie człowieka ze światem, ukazując na sposób antyczny takie jego oblicze, jakim zwraca się on w stronę ludzi*. Sandauer zwrócił uwagę na niezwykle ważną w Śliwiakowej poezji obecność rzeczy uwikłanych w symboliczne i metaforyczne związki z egzystencją człowieka. *U Śliwiaka – nieomal jak u Heideggera – świat zaokrągla się wokół człowieka, staje się przedłużeniem jego dłoni. Przedmioty rozmieszczają się podręcznie jako instrumenty (...) Już samo pomyślenie o podmiocie jest – powołaniem go do służby*. Śliwiak, posługując się „dokładną odwrotnością formuły egzystencjalistycznej", jest dla Sandauera zdecydowanie „bliższy Platonowi niż Sartre'owi".

Sandauer był kontrowersyjnym krytykiem, nierzadko się mylił i wzbudzał polemiki. Tym razem nakreślił autorytatywnie panoramę polskiej poezji powojennej, irytując niektórych nie tyle doborem omawianych nazwisk, co nieuwzględnieniem pewnych twórców kandydujących na ołtarze historii literatury. Z furią zaatakował go za to w „Poezji" Jan Marx: *Co pod nieobecność Lechonia, Wierzyńskiego, Miłosza, Wata, Grochowiaka, Swena-Czachorowskiego, Czycza, Drozdowskiego robią tam Jastrun, Świrszczyńska, Szymborska, Śliwiak, Bryll i Hoffman?* Zamiast spieszyć z pomocą poetom „pokrzywdzonym" przez Sandauera, rozprawia się z jego „protegowanymi" – także w „Poezji", tyle że w rubryce *W poetyce pamfletu*. Jego tekst miał zrównoważyć zbyt przychylną ocenę poezji nie tylko Śliwiaka, ale i – warto przypomnieć – stawianej tuż obok Szymborskiej. W tekście *Dłużnik niespełnionych nadziei* Marx kpi po równo z „katarynkowych rytmów" i „przystępnego dydaktyzmu" wczesnych wierszy „first lady poezji polskiej" oraz Śliwiaka. Pikanterii niech doda fakt, że z pierwocinami Śliwiaka obszedł się znacznie łaskawiej, uznając, *że nie jest tak natrętnie deklaratywny, nie mówi wprost, posługuje się nośną metaforyką symbolu, który jest może patetyczny, wszelako pozostaje dość daleki od miałkiej katechizacji*. Marx dolał do beczki dziegciu kilka kropel miodu, przyznając autorowi *Poematu o miejskiej rzeźni* widoczną „sprawność warsztatową" i „troskę o architektonikę wiersza", a melodii jego wierszy „swoisty wdzięk i urodę". Stwierdza ponadto, *że nie ostatnia to zaleta tej liryki – we względnej równowadze znajdują się u poety trzy żywioły liryki: intelekt, wyobraźnia i uczucie*.

Dziś trudno ogrzać się w ogniu tamtej polemiki. Demaskatorska pasja Marxa miała tę niewątpliwą zaletę, że dostarczyła interpretacji wprawdzie jednostronnej, ale za to świeżej i samodzielnej. Nie sposób bowiem nie zauważyć, że pozostali krytycy pozostali nazbyt wierni wykładni zaproponowanej przez Sandauera, która – chociaż trafna, błyskotliwa i mająca oparcie w tekstach – była niekompletna.

Niektóre spostrzeżenia Sandauera powtórzył w swojej analizie Maciej Krassowski (1978). Przypomniał, że „humanizm jest cechą konstytutywną i fundamentalną tej twórczości" i wskazał na oszczędność i adekwatność używanych przez Śliwiaka środków wyrazu. *Nigdy nie mamy tu do czynienia z akceptacją fałszywych liryzmów i metaforycznych przerostów, nigdy nie nawiedza [go] mania roztapiania swego słowa w obrazach zdominowanych*

przez naiwną, sentymentalną kolorystykę (...) Bohater tych utworów, pisanych z godną podziwu wolą zawarcia wszystkich aspektów kondycji ludzkiej, przypomina kogoś, kto porażony wieczną, niszczącą go erupcją świata, nie jest w stanie odmówić aktywnego w nim uczestnictwa.

Wielokrotnie poświęcał twórczości Śliwiaka swoje szkice Jan Pieszczachowicz, m.in.: *Między naturą a cywilizacją* (1968) i *Dłużnik nadziei* (1979), a po latach *Zagrożone przymierze* (1996). Podkreślał, że gdy *inni wymuszali uwagę krytyki i czytelników głośnymi okrzykami i efektownymi woltami, Śliwiak – zawsze poważny, choć nie stroniący od ironii i delikatnego humoru – stał nieco na uboczu, miał swoich oddanych czytelników, pozostał wierny przez wiele lat swojemu widzeniu, które z latami pogłębiał i poszerzał.*

Śliwiak Pieszczachowicza nawiązuje myślowy dialog z Dantem, Blake'iem, Rousseau i Kantem, zaś sposób „bycia w świecie" lirycznego „ja" tej poezji skojarzył się krytykowi z irańską legendą o Ormuzdzie i Arymanie, symbolizując odwieczną walkę światła i ciemności, dobra i zła. *Ciążenie zła próbuje Śliwiak zrównoważyć dążeniem do bodaj instynktowego poznania Pierwszej Przyczyny (...) Oznacza to dla podmiotu lirycznego m.in. współistnienie kontemplatywno-refleksyjnego spokoju i dynamicznie poznawczego działania.* Wprawdzie podmiot liryczny Śliwiaka jest „w gruncie rzeczy bezdomny" i „cały z bólu", ale *jego przeznaczeniem jest ten ból znosić godnie, szukać możliwości zakorzenienia się, porozumienia ze swoim światem, z naturą – wszakże bez hipostaz i samooszukiwania.*

Pieszczachowicz dostrzega fundamentalną rolę *poczucia związku z przyrodą*, [które] *jest u Śliwiaka dramatyczne a nawet tragiczne, lecz zmierza ku katharsis.* Jest to może dlatego realne, że *przyroda – mimo że rządzi się bezwzględnie deterministycznymi prawami – okazuje się być czymś bardziej etycznym niż homo sapiens i jego historia.*

Ostatni ze szkiców Pieszczachowicza jest komplementarny do ujęcia zaproponowanego w 1987 r. przez Tomasza Wójcika. W studium *Wszystkie przedmioty świata* wskazał on na kluczową – tak dla planu wyrażania, jak i planu idei – rolę motywów przedmiotowych w poezji Śliwiaka. Za punkt wyjścia swoich rozważań przyjął oryginalną, dychotomiczną typologię „wyobraźni lirycznej współczesnych poetów", zdeterminowaną sposobem „widzenia" świata, określonego kategoriami „Pejzażu" lub „Przedmiotu". Dla „pejzażystów" typowe byłyby: *autorskie poczucie podmiotowości, świadomość własnego wyodrębnienia spośród innych form bytu, antynomiczność podmiotowej egzystencji i zewnętrznej wobec niej sfery przedmiotowej.* Takie cechy prezentować miała twórczość Iwaszkiewicza, Jastruna, Nowaka i Harasymowicza. Z kolei w „liryce wypowiadającej się poprzez przedmioty" dochodzi do *likwidacji różnic pomiędzy poszczególnymi stanami i formami bytu (...) wśród których człowiek wcale nie musi zajmować pozycji wyróżnionej i pierwszoplanowej.* Ten styl wypowiedzi można odnaleźć w twórczości Białoszewskiego, Szymborskiej, Grochowiaka, Herberta i Śliwiaka, u którego objawia się ona „w najczystszej i najbardziej konsekwentnej postaci". Wszechobecne u Śliwiaka *motywy przedmiotowe ingerują we właściwości formalne jego poezji, operującej wysublimowaną metaforyką, wszechogarniającą ironią egzystencjalną, paradoksem odsłaniającym jasność prawd elementarnych, filozoficznym konceptem, a wreszcie wykorzystującej różne rodzaje wiersza: od aforystycznego dwuwersu po rozbudowane formy quasi-poematowe.* Przedmioty zawierają w sobie „najważniejsze sensy liryki Śliwiaka", którymi są *śmierć jako element i antyteza życia, czas i jego różne warianty, poznanie*, a ich stała obecność zapewnia *poezji Śliwiaka jednorodność, godząc wiersze oscylujące pomiędzy Instynktem i Rozumem, Wzruszeniem i Konstrukcją, prawyobraźnią i wyczuciem współczesnych zjawisk socjologicznych, wyrafinowanym intelektualizmem i elementarnością pierwszych doświadczeń poznawczych.* Tekst Wójcika ma, spośród wszystkich omawianych, najwięcej rysów syntetycznych i systematycznych. Oprócz zanalizowanych w siedmiu podrozdziałach wątków „przedmiotowych", znajdujemy w nim także – w uporządkowanej postaci – arsenał reguł rządzących poezją Śliwiaka. Są to m.in.: „zasada funkcjonalności używanych form", „tendencja do uniwersalizacji stawianych pytań", „wyraźny współudział czynnika intelektualnego" z wyeksponowaniem kategorii ironii oraz „niezależność obsesji przedmiotowych od wątków tematycznych".

O wiele bardziej impresyjny charakter ma studium Konstantego Pieńkosza (*Świat nadziei paradoksalnej*), opublikowane jako wstęp do ostatniego wyboru poezji Śliwiaka (*Koń maści muzycznej*, 1986). Krytyk powtarza w nim niektóre z prezentowanych już ocen (np. poszukiwanie kosmicznego ładu, „psychofizyczny" związek człowieka z materią) oraz formułuje tezę, że cała twórczość Śliwiaka przeciwstawia się *Poematowi o miejskiej rzeźni*. Jego zdaniem utwór ten „nie odbił się tak głośnym echem, jakby na to zasługiwał", mimo iż był w twórczości Śliwiaka dziełem przełomowym, nie mniej ważnym niż *Niepokój* dla Różewicza czy *Ocalenie* dla Miłosza. Był „on milczącą ewokacją ładu tragicznego, celowości zbrodniczej", która kilkanaście lat wcześniej uzasadniała zagładę całych narodów. Ukazywał mechanizm oswajania się z zabijaniem i zadawaniem bólu, wprzęgniętymi w tryby zewnętrznej funkcjonalności i harmonii, a jego groza biła głównie z powściągliwości relacji poety. Według Pieńkosza, właśnie *ktoś, kto napisał tak wstrząsający utwór, ma tym większe prawo do ponownego budowania osi świata, do odnajdywania symetrii i ładu*, dlatego cała pozostała twórczość poety zmierza do odnajdywania „faktów i argumentów" pozwalających „usensownić i potwierdzić" obiektywną harmonię świata. *Zgromadził ich, zresztą, olbrzymią ilość, każdy wiersz opowiada się za tym ładem (...) Jego wiersze przeradzają się niekiedy w mistyczne modlitwy, w których pragnienie dobra i harmonii w świecie ukazuje jako najbliższą konieczność i spełnienie.* Siłą sprawczą tych działań jest nadzieja, „nie wynikająca z żadnych logicznych i racjonalnych przesłanek poety", chociaż „bez niej nie powstałby ani jeden wiersz Śliwiaka".

Na koniec warto wskazać na kilkustronicowe podsumowanie pisarskiego dorobku Śliwiaka, jakie umieścił Piotr Kuncewicz w III tomie swojej historii poezji polskiej (wydanej w 1993 r., pisanej kilka lat wcześniej). Z dystansem odniósł się w niej do wszelkich dotychczasowych opinii o Śliwiaku, którego tak naprawdę „niełatwo ująć w formułę", jako że w jego poezji „wszystko właściwie dzieje się we wnętrzu". Dlatego też *piękne koncepty (...) bywają raczej własnością samego krytyka niż opisywanych wierszy.* Kuncewicz podejmuje się więc samodzielnego podsumowania, wyróżniając *dwie, z grubsza biorąc, sfery tej poezji (...) piękny świat natury i znamię rany, kalectwa, śmierci.* Stwierdza, że powszedniością u Śliwiaka jest *przedmiot lub sytuacja, która nagle zyskuje wymiar symboliczny, aluzyjny*, sprawiające, że *ostatecznie wszystko prowadzi nas do pytań metafizycznych, wszystko staje się symbolem kondycji człowieczej.* Zwraca też uwagę, że *mało tu bezpośredniej historiozofii czy moralistyki, że Śliwiak najczęściej niczego nie dopowiada do końca, woli głos zawiesić* i podkreśla, że *punktem wyjścia całej tej poetyki, jeśli nie liczyć wczesnych zauroczeń Gałczyńskim, jest Różewicz, ale Śliwiak jest daleko bardziej ozdobny, ceni kolory, przyrodę, ma swoje słowa-klucze.*

W sumie można powiedzieć, że krytyka literacka dostrzegała w Śliwiaku przede wszystkim „poetę żywiołów", poszukiwacza ładu i harmonii w świecie „przedmiotów", „posłusznego Jahwe" twórcę „czyniącego sobie ziemię poddaną", autora uciekającego od obsesyjnych obrazów śmierci zwierząt i ludzi do „lasu", „drzew" i „mrówek". Praktycznie nieobecne są w tych przemyśleniach te aspekty, które – na każdym etapie twórczości – dopełniają

poetyckie widzenie świata i sugerowaną w tekstach filozofię. Był przecież Śliwiak także autorem licznych erotyków, w których objawił się jako piewca zmysłowej i intymnej więzi między kobietą i mężczyzną – więzi definitywnej („nie ma ciebie blisko/ znaczy nie ma ciebie wcale"), rodzącej „dom" (także jako symbol tożsamości) i nowe życie. Erotyki powstawały uwarunkowanymi biografią „falami", szczególnie obficie goszcząc w tomikach: *Żywica* (1964), *Ruchoma przystań* (1971), *Rajskie wrony* (1972) i *Chityna* (1981). W liryce miłosnej przyroda jest pełna optymistycznego, nie tylko „tragicznego" ładu. Celowość jest dosłowna i namacalna.

Nawet analizy powstałe stosunkowo późno (Wójcik, Pieńkosz, ostatni Pieszczachowicz) skupiają uwagę głównie na wierszach z lat 70. Nieobecne są w nich wątki tak powszechne w ostatnich zbiorach: refleksja nad osobistym odchodzeniem, cierpieniem i samotnością. Późne wiersze Śliwiaka są niejednokrotnie ascetyczne w formie, oczyszczone – jak to ujął Stanuch – z „wybroczyn sentymentalizmu". Są w nich w dalszym ciągu odczuwalne „ład" i „celowość", ale nie w wymiarze przyrodniczym, kosmicznym, lecz bardziej kameralnym, jednostkowym. Śliwiak nadal powierza przedmiotom istotne dla niego w tym czasie sensy. W jego domu *schody/ nie mają już tych sił co dawniej/ szkło w szybach/ mętnieje jak oczy starych ludzi*, a jego lustro jest „niewdzięczne" – *im dłużej cię zna/ tym szpetniej mówi o tobie*. Najwięcej nauczyć się można od zegara: *nie pytaj o godzinę/ bo nie ma odpowiedzi/ która mogłaby cię zadowolić (...) nie łudź się/ że zostaniesz pominięty/ poskrom swoją ciekawość/ i spróbuj uwierzyć, że żyjesz w ogrodzie/ pełnym słońc i księżyców*.

Niezwykłym świadectwem triumfu poezji nad chorobą są wiersze, w których cierpiący na Alzheimera poeta zwierza się z własnej niepamięci, na chwilę przezwyciężając swoją bezradność i dezorientację: *Stary poeta łapie się za słowo/ coraz częściej myli mu się/ szkło lustra/ z miednicą pełną wody/ Przy jego stole siedzi wilczy głód/ z widelcem z brzytwą z flaszką octu/ tyłem do świata odwrócony*. To bardzo ludzkie, ważne i niedostrzeżone przez krytykę oblicze tej poezji, w której *zegarki nie tylko wskazują godzinę/ ale i pokorę*.

Rafał Watrowski

Książki nadesłane

Poezja

Adam Borowski: *Kłótnia czworonogów*. Oficyna Wydawnicza ATUT. Wrocław 2000, ss. 47.

Wojciech Brzoska: *Niebo nad Sosnowcem*. Wyd. Lampa i Iskra Boża. Warszawa 2001, ss. 48.

Jarosław Wojciech Burgiel: *Chwilowe ucieczki ze świata*. Fundacja Kultury i Sztuki ARS LONGA. Kraków 2001, ss. 102.

Marek Danielkiewicz: *Droga do Kozłówki*. Wyd. Lubartowski Ośrodek Kultury. Lubartów 2001, ss. 21.

Anna Frajlich: *Znów szuka mnie wiatr*. Wyd. „Czytelnik". Warszawa 2001, ss. 49.

Paweł Lekszycki: *Wiersze przygodne i dokumentalne*. Wyd. „Kartki". Białystok 2001, ss. 45.

Andrzej Piotr Nowik: *Ścierniska*. Wyd. „Kartki". Białystok 2001, ss. 47.

URSZULA JAROS

Martwy obraz

dawno temu weszliśmy w tło
nadrealistycznego obrazu
główne zdarzenia
rozgrywały się daleko przed nami
        przypadkowość miejsca
        i rola statysty
        nadawała istnieniu
        posmak goryczy
każdy z nas czeka
aż po drugiej stronie
czyjeś usta powiedzą
bez niego cały ten obraz
byłby o wiele mniej
znaczący

każdy z nas czeka
aż po drugiej stronie
czyjeś oczy powiedzą
bez ciebie
cały ten świat
byłby tylko
        martwym obrazem

Fotografie pamięci

ich twarze jak obłoki
odpłynęły przepadły
nie ma nawet tęsknoty
wszystkie klamki zapadły
budzisz się kiedy noc
przeszywa ich szczęk

być może bez znaczenia
ich twarze jak obrazki
przerzucasz je w pamięci
tasujesz beznamiętnie
nim nowy dzień nastanie
ostatnia kartka zblednie

może nigdy nie było
we mnie miłości ludzi
koszmary powracają
nikt mnie z nich nie obudzi

Szorstkość

nie lubicie pająków wybaczcie
lepiej kochać pluszowe misie
jednak nic bardziej żywego
nie zdarzyło ostatnio mi się

w takiej chwili wolę uwierzyć
że jest miękki puszysty i czysty
i że dla mnie tylko jest taniec
maleńkiego ekwilibrysty

Marzenia

chciałabym choć jeden raz
być ważna tak
        jak telewizor babci
        konie dziadka
        i marzenia matki
które ciągle przekraczają
jej możliwości

idzie przez życie dorasta
słucha odpowiedzi
na cudze pytania

jej własne gromadzą się
jak stalowe znaki zapytania
ogromny bagaż
na jedno małe życie

Nieznany ogrodnik

nie mogłam się wyzwolić
od natręctwa myśli
        czy czas stracony
        to ten w którym byłam
        wśród tłumu ludzi
        czy ten od wielu lat
        z daleka od nich

nie mogłam się wyzwolić
więc pobiegłam
przez stary sad
pełen nowych owoców

nieznany ogrodnik
znowu każe mi wierzyć
że nic do końca nie dzieje się
bez drugiego człowieka
i nikt do końca
nie może być sam
choćby ci najbliżsi
najbardziej go opuścili

Dwóch

ty przychodzisz do mnie tak często
chcesz mi oddać kawał twego życia
a ja swego nie potrafię objąć
a ja sama się o swoje potykam

sen o męskim mocnym ramieniu
śni się jeszcze lecz już się nie spełnia
walczę z siłą która mnie przygniata
chowam dłonie spocone w kieszeniach

ty przychodzisz do mnie tak często
drugie ja – alter i tak dalej...
wciąż krążymy wokół swej biedy
dwie połówki
dwóch podobnych jabłek

Urszula Jaros

SŁAWOMIR POKRAKA

Trzeba się napić*

Kiedy idziesz rano – nie przesadzajmy, przed południem – Bourbon Street, to choćbyś nie wiem jak był dobry w opisach, to i tak stwierdzisz, że śmierdzi. Możesz oczywiście wznosić się na wyżyny kunsztu, budować coraz to dłuższe zdania, bogatsze w nazwy zapachów, reminiscencje ingrediencji, ale i tak gówno to zmieni. A raczej nie zmieni to gówna, którym śmierdzi to miasto. Codziennie na spacerze szukasz mimowolnie gejzeru ze studzienki ściekowej, który byłby odpowiedzialny za ten smród. Obwąchujesz się też dwa razy częściej niż zwykle, by upewnić się, że to nie twój zapach. I dwa razy dziennie przypominasz sobie kolejno: cytrusy a może cyprysy, zapach kobiety, której ci brakuje, ale tylko tej właśnie, a nie dowolnej, zapach sikacza, który udaje tu piwo, a może ze smakiem też masz coś nie tak, prawdziwy mocz i gówno, klimatyzację zionącą spleśniałym chlebem i francuskie ciastko o wdzięcznym imieniu dziewczyny, której zawdzięczasz więcej niż myślisz, i jeszcze zapach katedry w Auch, a czy nie była to bazylika, i właściwie tego zapachu do końca nie jesteś pewien. I poręcz z czarnej dębiny, która leżała pół wieku w wodzie, a potem przez wieki ocierały się o nią spocone ręce mniej lub bardziej wiernych...

– I takie tam... – uciąłeś i zmrużyłeś powieki, bo ostry promień słońca zakłuł w oczy.

A rano szedłeś nie sam, tylko z Markiem, bo tak się złożyło, że właśnie z Markiem spędzałeś tam tydzień. Gdzie indziej byłaby to normalna pora na spacer, ale tam było nieprzyzwoicie wcześnie. Z mieszkań, kawiarń i burdeli czy też nocnych klubów wychodzili właśnie lokatorzy i sprzątacze z workami pełnymi śmieci. Wystawiali je na ulicę i czym prędzej chowali się w klimatyzowanych wnętrzach domów lub samochodów.

Rozmawialiście, ale czy można to było nazwać rozmową? Marek cały czas mówił o literaturze. Ty wtrącałeś coś od czasu do czasu, podając przykłady z gier komputerowych. Całą drogę mówiliście tak na przemian – on o książkach – ty o komputerach.

I weszliście na śniadanie do pierwszego lepszego baru, gdzieś na Dauphine albo Canal – jedynego, który był wtedy otwarty. Wnętrze od razu skojarzyło ci się z kreskówką o Jetsonach. Obłe kształty mebli, jakby polerowane przez wodę lub układ trawienny gigantycznego dinozaura. Chrom i różowy plastik. Usiedliście na kosmicznych plastikowych fotelach przy różowym plastikowym stoliku nawet nie przerywając swoich monologów. Dopiero...

– Cześć chłopcy. Co podać? – obudziła was kelnerka, która mogłaby być waszą matką. Uśmiechała się przy tym filuternie, jakby chciała powiedzieć: „Nie martwcie się chłopcy. Znam wasz sekret, ale nikomu nie powiem. Jestem

* Fragment większej całości.

bystra i jeszcze nie taka stara. I mam oczywiście różowy fartuszek." Wtedy jak na komendę zauważyliście różowy fartuszek i białą, albo beżową, albo kremową, albo jasnoszarą sukienkę w czerwone grochy. I oczywiście zmarszczki pod oczami.

– Śniadanie – błysnąłeś wtedy jak rzadko, a i kelnerka popatrzyła na ciebie z politowaniem.

– Dwie jajecznice – powiedział Marek.

– Jajecznica dla dwojga – sylabizowała zapisując na kartce.

– Dwie jajecznice – powiedział dobitnie Marek, a kelnerka łypnęła tylko okiem i uśmiechnęła się. – I dwie herbaty – dodał.

– Chciałabym zaproponować wyśmienitą kawę, bo herbata właśnie się skończyła – powiedziała z uśmiechem i zaczęła wkładać do ucha koniec długopisu.

– To sok pomarańczowy. Dwa razy podwójny – Marek też się uśmiechnął.

– Jak sobie życzycie. Dwa razy pomarańczowy – mrucząc pod nosem zapisywała w notatniku.

– Dwa razy podwójny – nie dawałeś za wygraną.

– Po-dwój-ny. Zaraz będzie – tym razem nawet nie podniosła głowy znad swego karteluszka.

W końcu przyniosła jajecznicę i dwa podwójne soki, a kiedy jedliście, stała za barem i przyglądała się wam bezczelnie. Zjedliście jajecznicę do ostatniego strzępka, choć dziś żona pewnie wyrzuciłaby cię za taką z domu. Ty ją pewnie też.

Stała tak i patrzyła na was, aż w końcu nie wytrzymała i zapytała:

– Idziecie dziś do parku?

– Do parku? Może... – zaczął niepewnie Marek. – Dzieje się tam coś ciekawego?

– Myślałam, że wiecie. – Znów zaczęła się uśmiechać i już coraz trudniej było ci to znieść.

– Co wiemy? – zapytałeś niecierpliwie.

– Że wczoraj i dziś w parku są Dni Dumy.

– Dni Dumy?

– No w parku. Zobaczcie sami. Wstęp za piątaka.

– Zobaczymy.

I nie pytaliście o nic więcej, a kelnerka wciąż patrzyła na was jak na Marsjan. Zapłaciliście. Ciągle tak patrzyła.

– Bo my jesteśmy z Polski – powiedziałeś.

Głupia mina znikła natychmiast. Rozpromieniła twarz w uśmiechu od ucha do ucha. Czyli jednak miała rację – Marsjanie. Pokazała wam jeszcze drogę do parku: prosto i wyjdziecie prawie na park, a potem w prawo, aż po lewej będzie wejście i transparenty. Znajdziecie bez trudu, witajcie na Ziemi.

I rzeczywiście znaleźliście. Park, wejście i transparenty: „Dni Dumy", „dwudziesta rocznica", „Dumna przeszłość – silna przyszłość".

– Brakuje tylko „Proletariusze wszystkich krajów łączcie się" – uśmiechnąłeś się do Marka.

– Pewnie.

– Wiesz, że kiedyś myślałem, że proletariusze, to tacy nowocześni templariusze? Ale oczywiście nie miałem pojęcia, kim mogą być templariusze.

– A ja, kiedy czytałem o LODZIE u Vonneguta, to myślałem, że on istnieje na... – Marek przerwał, chwycił cię za ramię i powiedział: – Ty, zobacz.

– „Obchodząc dwudziestą rocznicę rozwoju – zacząłeś sylabizować – społeczności gejów, lesbijek, bi- i transseksualistów w Nowym Orleanie i

Luizjanie witamy i dziękujemy za przybycie na największe obchody dumy gejów, jakie dotąd widziało Południe". O, w mordę. To już rozumiem tę Dorotkę.

– Jaką Dorotkę?

– Tę z baru. Wyglądała jak Dorotka z „Czarnoksiężnika z Oz". Zrozumiałem, o co jej chodziło – śmiejąc się kiwałeś głową.

– Że brała nas za parę? – Marek był zdziwiony twoim zdziwieniem.

– No... Znaczy tak. To wiedziałeś?

– Pewnie. Tu przypomina mi się opowiadanie „Światło życia". Pamiętam dokładnie tytuł, bo chodziłem na Oazę.

– Chodziłeś? To musiałeś być silnie wierzący.

– I jestem, a co?

– Nic. To co z tym światłem?

– „Światłem życia". Tam też dwóch gości wchodzi do baru. I przeciwnie niż my, jeden gość miał dziewięćdziesiąt sześć lat, a drugi sześćdziesiąt dziewięć.

– Tacy starzy? – błyskałeś co chwila i gdyby ci dać swobodnie mówić, to mógłbyś oświetlić małą ulicę.

– Nie. To była taka metafora. Przenośnia. Barman wziął ich za parę i schował przed nimi śmierdzące nóżki wieprzowe.

– To opowiadanie akcji, że tak powiem. I co potem zrobili ci staruszkowie?

– Wyszli.

– A to mnie zachęciłeś. Przeczytam. Na pewno.

– I jest tam jeszcze o największej dziwce na świecie.

– Znaczy, że przeleciało ją najwięcej facetów?

– Nie. Takiej grubej, dużej.

– A to ładna historia. Wchodzimy? – zniecierpliwiłeś się już.

– Oczywiście. Służbowo.

– Służbowo? – Ty naprawdę nic nie rozumiałeś.

– Na statek.

– Na jaki statek?

– Na żaden. Żartowałem tylko. Chodźmy.

Gay Pride Days – wstęp za jedynego piątaka. Znaczek okolicznościowy i bezpłatne pismo dla gejów z najlepszymi reklamami, jakie w życiu widziałeś.

– Mam nadzieję, że nie ma tu telewizji, bo jakby to zobaczyła moja żona... – Marek uśmiechnął się do ciebie.

– Chrystus was kocha – wołała spod drzewa gruba Murzynka w szortach. – On was kocha takich, jakimi jesteście. Inni was odrzucają, ale on was nie odrzuci. Chodźcie i posłuchajcie, co wam chce powiedzieć.

Przy jej stoliku można było dostać ulotki z adresem „Kościoła Chrystusa Miłującego" prowadzonego przez pastor Mary jakoś-tam. Ktoś śpiewał soul za twoją duszę. Pamiętasz jeszcze? Wtedy myślałeś, że to najlepszy soul, jaki słyszałeś w życiu, ale parę dni później słyszałeś coś ciekawszego. Szukaliście mocniejszych wrażeń? I nic. Zwykły niedzielny piknik z wstępem po piątalu od twarzy.

Nic, aż po Drag Stage. Oczywiście najwięcej par siedziało na tamtych schodkach będących jednocześnie widownią. Scena znajdowałą się na sztucznej wysepce pośrodku oczka wodnego. Widownia była z nią połączona mostkiem, który stanowił coś w rodzaju wybiegu. Na scenie był dość wysoki podest, pod którym mieściła się garderoba. Stamtąd po wąskich kręconych schodkach wspinały się na górę Drag Queens. Później w rytm muzyki poruszały się chwilę na podeście, schodziły krokiem udającym rewiowy po schodach w kierunku mostku i ciągle się zbliżając zaczynały kokietować widownię.

– Chyba zostaniemy na chwilę – powiedziałeś.

– Zostańmy – Marek także chciał to zobaczyć.

Przeważnie wyglądały całkiem przyjemnie. Długie wieczorowe suknie z rozporkami odsłaniały starannie wydepilowane nogi. Całkiem niezłe zresztą. Ogolone twarze przykryte warstwą grubego, tandetnego makijażu wykrzywiały się w sztucznym uśmiechu. Schody, biodra, nogi, muzyka, uśmiech, biodra, szal, nogi... – wszystko to sprawiło, że nagle udzieliła się wam atmosfera zabawy. I już nie raził makijaż z buraka i wieczorowa suknia w samo południe. Widać wszyscy zaczęli się świetnie bawić, bo pierwsze banknoty zazieleniły się za podwiązkami. I było tak do pojawienia się chyba siedemdziesięcioletniej królowej w krótkiej kiecce, bez makijażu, z kępami włosów wystających spod pach. Zapał nagle prysł, bo ona zamiast tańczyć i kokietować starała się utrzymać pionową postawę po paru drinkach, działkach, jointach czy jak tam zwą to, co wzięła. I oklaski ustały. Tylko muzyka, milczący tłum i stara, chwiejąca się na nogach Drag Queen, która jeszcze ciągle miała na coś nadzieję.

Już zastanawialiście się, czy iść do hotelu i przespać się trochę, ale wylądowaliście w barze tuż przy hotelu. Z przerwą na chińskie żarcie siedzieliście tam od wczesnego popołudnia do północy. W końcu zaczęli przychodzić znajomi.

– Wiesz, Lola, on ma dzisiaj urodziny – powiedział Marek wskazując na ciebie.

– Naprawdę? Które?

– Dwudzieste piąte – odpowiedziałeś.

– Trzeba to uczcić – rzuciła Lola i już pobiegła do orkiestry i zaczęła krzyczeć coś do nich, potem przybiegła i wyciągnęła cię na scenę. Wokalista spytał cię o imię. Odpowiedziałeś do mikrofonu i wszyscy słyszeli, żeś nie stamtąd, ale tam nikt nie był stamtąd. A sala śpiewała: „Happy birthday", klaskali i uśmiechali się do ciebie. Miałeś tylko nadzieję, że nie będziesz niczego śpiewać. Ale nie było się czego bać. Musiałeś swoje odstać. I nie oszukuj, przyjemnie ci było. To był jeden z najlepszych prezentów, jakie kiedykolwiek dostałeś. I w pewnym momencie orkiestra klasyką zaczęła i coś sobie przypomniałeś, ale nie do końca jeszcze, choć już te przebłyski, muzeum w Chicago i penis w pochwie na obrazie. Podpisany jak fraza z tej piosenki, która już, już i usłyszałeś wreszcie: „Love is the nature's way of giving the reason to be living". Gdy tylko zszedłeś ze sceny, ludzie momentalnie zapomnieli o tobie. Przez chwilę czułeś się nawet urażony, że natychmiast odwrócili od ciebie wzrok, ale przecież kiedy tam stałeś, bałeś się każdej następnej sekundy na oczach ich wszystkich.

Odszedłeś na swoje miejsce przy barze. Lola rozmawiała z Markiem. Twoje piwo było już ciepłe, ale zmoczyłeś w nim usta...

– Cześć, ludziska – krzyknął Joshua przeciskając się przez tłum.

– Usnąłeś w domu? – zaśmiał się Marek podając mu rękę. – Dzwoniłem do ciebie chyba ze trzy razy.

– Nie, półtorej doby przesiedziałem w szpitalu, a teraz przyjechałem prosto tutaj. – Joshua stanął przy barze, bo nie było już wolnego stołka.

– Co się stało? – spytała Lola.

– Operowałem młodego chłopaka. Miał serce zupełnie do kitu. Taaa, piwko – rzucił kelnerowi, który spytał go wzrokiem – drafta. Zastawki chłopakowi szwankowały, więc trzeba było przeszczepić. No to wstawiłem mu dwie zupełnie nowe, jedną krowią, drugą świńską. Operacja była trudna. Cały dzień

spędziłem w sali na nogach. Potem ma się już wszystkiego dosyć. Ale wiecie, chłopak jest w wieku mojego Michaela, nawet trochę podobny. Zostałem przy nim jeszcze przez noc. Pomyślałem, że sam go przypilnuję, a jak się obudzi, to ja pierwszy się do niego uśmiechnę, choć pewnie wolałby jakąś dobrze zbudowaną pielęgniarkę. Dochodził do siebie dość długo, ale stan był stabilny. Znaczy powoli do przodu. W końcu otworzył oczy i patrzy na mnie. Nie mógł oczywiście mówić, bo oddychał jeszcze przez respirator. To pytam go, czy mnie słyszy. Ten kiwa głową.

„Dobrze", myślę sobie. Uśmiecham się do niego i mówię:

„Słuchaj chłopie. Operacja była ciężka jak cholera. Nieźle mnie wykończyłeś, ale wszystko jest już w porządku. Masz teraz w sercu dwie całkiem nowe zastawki, jedną od krowy, drugą od świni. Jak tak dalej pójdzie będziesz musiał zostać farmerem, żeby zapewnić sobie stałe dostawy części zamiennych..."

I wiecie co, chłopak zaczyna się śmiać, ale przecież oddycha przez respirator. No to ten oddech zaczyna mu się rwać, chłopak trzęsie się na łóżku, sinieje. Włączył się alarm i zaraz przybiegła pielęgniarka. Kiedy dowiedziała się, dlaczego chłopak mało się nie udusił, tylko popatrzyła na mnie i puknęła się w czoło. I rzeczywiście, kurczę, mało brakowało, a zabiłbym chłopaka śmiechem. Ale tak czy owak odwaliłem kawał dobrej roboty. Trzeba się napić.

Sławomir Pokraka

Piotr Fąfrowicz: *Most*, 1992

SŁAWOMIR BURYŁA

Kto pił na wojnie?

Wojna, okupacja, alkohol – zaproszenie do tematu

> [...] *popatrzcie na tego żołnierza. Pożyczyłem go sobie na dzisiejszy wieczór od oberlejtnanta Feldhubera, to jego pucybut. Ale on nie pije, jest ab-ab-ab-styn-nent i dlatego pójdzie na front. Ponieważ taki człowiek jest do niczego. To nie pucybut, ale krowa. Ta też pije tylko wodę i ryczy jak wół.*
>
> – *Ty jesteś ab-sty-nent* [...] *i nie wstyd ci, fujaro! Po pysku należałoby cię sprać.*[1]

Janusz Sławiński zastanawiając się nad możliwościami pisania o wojnie, obok zagadnień związanych z użyciem nowego języka i przewartościowań w obrębie poetyki dzieła literackiego, jakich wymagała od artysty „epoka pieców", stosunku do znanych i ugruntowanych w tradycji sposobów mówienia o doświadczeniach ekstremalnych oraz problemów związanych z wpływem okresu 1939-1945 na „przemiany modelu życia literackiego", wymienia na pierwszym miejscu „czasy pogardy" jako źródło materiału tematycznego.[2]

Bogata i stale narastająca literatura przedmiotu wydaje się zupełnie pomijać problematykę używek. W swoim tekście chciałbym naszkicować pola badawcze, jakie roztaczają się przed historykiem literatury oraz zasygnalizować najważniejsze tematy do namysłu. Szkic swój traktuję bardziej jako zaproszenie do tematu niż jego – nawet pobieżne – ujęcie w perspektywie całościowej.

Powstaje pytanie, czy to, co da się stwierdzić na temat relacji wojna a używki w innych epokach, można również odnieść do ostatniego kataklizmu o zasięgu światowym. Wydaje się, że nie. Druga wojna światowa, nazizm i stalinizm, wykorzystując metody biurokratyczne oraz zdobycze nowoczesnej techniki, wprowadziły nowe jakości do idei ludobójstwa (obozy zagłady) bądź przeformułowały już istniejące (system gett). Mając m.in. na względzie owe „innowacje" oraz propozycje Janusza Sławińskiego – sądzę, iż da się wyróżnić trzy kręgi badawcze: obóz koncentracyjny, dzień powszedni okupacji, getto i zagłada narodu żydowskiego.[3] Oczywiście podział ten nie ma i nie może mieć charakteru obligatoryjnego a jedynie porządkujący. Zapewne sensowne i uzasadnione byłoby również poszerzenie zaproponowanego wykazu, a w już istniejącym wyodrębnienie kilku podgrup, np. w kategorii „dzień powszedni okupacji". Należałoby też opisać osobno egzystencję oddziałów partyzanckich, funkcjonowanie konspiracji, życie ludności w mieście, na wsi.

---

[1] J. Hašek: *Przygody dobrego wojaka Szwejka podczas wojny światowej*. Przełożył P. Hulka-Laskowski. Warszawa [bdw.], s. 91.

[2] Zob. J. Sławiński: *Zaproszenie do tematu* (w:) *Literatura wobec wojny i okupacji*. Red. M. Głowiński, J. Sławiński. Wrocław 1976, s. 7-15.

[3] Ibidem, s. 8-15.

Jak dowodzą tego chociażby wspomnienia Stanisława Grzesiuka *Pięć lat kacetu* używki stanowiły istotny element życia obozowego.

Gdy jeszcze chodziłem między [...] *baraki sam, znalezione niedopałki dzieliłem między Krukowskiego i Jaczewskiego.* [...] *Stefan otrzymywał więcej, ale wszystkie mniejsze, niektóre rozbite i zamoczone. On na to nie zważał. Zawijał gazetę i palił. Musiał palić. Oddawał jedzenie, żeby tylko palić. Jak mu dałem kilka niedopałków, to przynajmniej wtedy zjadł swoje śniadanie.*[4]

Przerażający opis innej ludzkiej namiętności w łagrze sowieckim znajdujemy w *Innym świecie* Herlinga-Grudzińskiego:

Gra o cudze rzeczy należy do najpopularniejszych rozrywek wśród „urków", a główna jej atrakcja polega na tym, że przegrywający ma obowiązek wyegzekwować od postronnego widza umówiony z góry przedmiot. Kiedyś, w trzydziestych siódmych latach pionierstwa obozowego w Rosji, grało się o cudze życie, bo nie było cenniejszych przedmiotów; siedzący gdzieś w drugim końcu baraku więzień polityczny ani się domyślał, że wytarte karty, spadające z wysoka z ostrym trzaskiem na małą deszczułkę umieszczoną na kolanach grających, przypieczętowują jego losy.[5]

Podobnie w krótkim opowiadaniu Pawła Myewskiego *Komary* ze zbioru *Rzeka* toczy się hazardowy pojedynek o życie między urką, Babuszką Leninem, a „anonimowym" Polakiem.[6]

Każdy, kto spróbuje sobie wyobrazić potworny stres, któremu zostali poddani członkowie sonderkommando, więźniowie obozów koncentracyjnych pracujący przy rozładunkach kolejnych transportów, musi sobie zadać pytanie: Jak było to możliwe? W *Wycieczce: Auschwitz-Birkenau* Andrzeja Brychta znajdujemy taki oto fragment, opisujący pracę przy nowym transporcie:

Z rampy ludzie schodzili dalej, po selekcji jedni do gazu, drudzy na obóz, ale rzeczy już im przedtem odebrano, wszystkie rzeczy, pieniądze, biżuterię, walizki, ubrania, cały bagaż. Wszystko zwalono w jednym miejscu, tam się robiło segregację, lepsze do lepszych, gorsze do gorszych, nic nie miało prawa zginąć, sortowali więźniowie, śmierć im groziła, ale byli stale pijani, kradli rozmaite rzeczy, handlowali, zamieniali się dobytkiem, zakopywali w ziemi złoto i brylanty.[7]

W *Proszę państwa do gazu* Tadeusza Borowskiego uczestniczący w selekcji na rampie rosyjski jeniec z Sewastopola, kapo Andriej „oczy miał mętne od wódki i upału".[8]

[4] S. Grzesiuk: *Pięć lat kacetu*. Warszawa 1987, s. 80. Na kantynie za 20 marek każdy z więźniów, który miał pieniądze, mógł otrzymać określoną ilość papierosów. Przy ich odbieraniu „siedział jeszcze kapo, blokowy i sztubowy; każdy wiedział po co oni tam siedzą, i po otrzymaniu towaru co najmniej połową obdzielał tych ludzi. To było prawem. Kto nie dał, mógł się spodziewać, że następnego dnia zostanie posłany do gorszej pracy albo jego kapo będzie o tym wiedział i da mu taki wycisk, że jeśli dożyje do następnego rozdziału papierosów, to chętnie odda wszystko, żeby tylko odczepili się od niego [...]. Resztę palenia [więźniowie] albo wypalali sami, albo jeśli kto nie palił, sprzedawał za jedzenie. Bardzo niecierpliwi i głodni sprzedawali od razu i wtedy otrzymywali bardzo małą cenę; kto potrafił przechować, a mu nie ukradli, ten przed nowym rozdziałem, gdy było już mało palenia, dostawał cenę dziesięć razy większą niż na początku. Gdy brak było palenia, ludzie palili tabakę do wąchania i tytoń do żucia, zwany prymką" (s. 80-81).

[5] G. Herling-Grudziński: *Inny świat*. Warszawa 1996, s. 31.

[6] P. Mayewski: *Rzeka*. Przełożył J. Kempka. Londyn 1960.

[7] A. Brycht: *Wycieczka Auschwitz-Birkenau* (w:) *Dancing w kwaterze Hitlera*. Warszawa 1967, s. 27.

[8] T. Borowski: *Proszę państwa do gazu* (w:) *Utwory wybrane*, Opracował A. Werner. Wrocław 1997, s. 215.

Problem odporności na stres dotyczył także kata, czyli załogi Oświęcimia złożonej z esesmanów, którym również podawano alkohol, by rozładować napięcie. Wiesław Kielar w *Anus mundi* opisuje zachowanie esesmanów po zamordowaniu gazem jeńców rosyjskich:

Nagie już zwłoki [...] *były poddawane specjalnemu zabiegowi. Dentyści pod okiem esesmanów zaglądali każdemu nieboszczykowi do ust, a znalazłszy złote korony, zęby lub szczęki, wydzierali je szczypcami. Drewniana skrzynka szybko się napełniała, ku nie ukrywanemu zadowoleniu esesmanów. Z dumą podawali ją sobie z rąk do rąk, ważąc jej ciężar, nie mogąc się nadziwić, że ci „dzicy Azjaci" – jak nazywali pomordowanych jeńców – nosili za życia tyle złota w ustach. Pijani i rozochoceni, coraz częściej buszowali w stertach ubrań i śmieciach, szukając zegarków, pierścionków, złotych łańcuszków, a znalazłszy, po prostu kradli lub – rzadziej – demonstracyjnie wrzucali do skrzynki.*[9]

Bohater powieści wypija coś, co „śmierdziało [...] formaliną, benzyną i czymś jeszcze [...]".[10] Narrator opisuje też pijaną często załogę Oświęcimia, w tym jednego z największych katów: oberscharführera Schillingera[11] znanego m.in. z noweli Tadeusza Borowskiego *Śmierć Schillingera*.

Alkohol pili również więźniowie nie sprawujący żadnych funkcji w obozie. Wzmianki o tym pojawiają się w wielu pamiętnikach i tekstach paradokumentarnych z hitlerowskich lagrów oraz sowieckich obozów pracy. U Tadeusza Wittlina w utworze pt. *Diabeł w raju* – pełnym ironii, humoru i delikatnej drwiny – znajdziemy szczegółową instrukcję oczyszczania wody kolońskiej i przygotowania jej do spożycia:

Watę położono między dwie kromki spalonego chleba, po czym trzymając tę swoistą kanapkę na jednym z kubków, ostrożnie zlewano ją fiołkową wodą kolońską. Pachnąca woda, przepuszczana przez watę i spalony chleb, filtrowała się, stając się bardziej znośna do konsumpcji. Po kilkakrotnym powtórzeniu destylacji odkażony napój o mocy dwunastu procent spirytusu uważano za zdatny do picia. Przyjaciele raczyli się nim kolejno ze wspólnego naczynia, które krążyło z rąk do rąk i z ust do ust. Pili zgodnie, uczciwie, żaden nie pociągał więcej od poprzednika. Ucztę zakończyli papierosem i senni rozeszli się po swych legowiskach.[12]

Rozdział ten, opisujący alkoholową libację w warunkach łagru, zamyka ironiczna konstatacja:

W dalekiej Moskwie największa w Sowieckim Związku wytwórnia kosmetyków wyrabia wspaniałe perfumy, zwane „Oddech Stalina". Jeśli na Syberii oddech prostego Kozaka Markina, który pił tanią, za siedem rubli wodę kolońską, pachniał wonią leśnych fiołków, to pomyśleć, jakiemiż fantastycznymi zapachami kwiatów rozchodzi się na Kremlu oddech wodza, który prawdopodobnie spija najlepsze sowieckie perfumy.[13]

Używki były nie tylko formą zaspokojenia potrzeb człowieka. Niekiedy, co wyglądać może na swoisty paradoks, decydowały o możliwości przeżycia obozowej gehenny:

Tytoń w obozie był przedmiotem najcenniejszym, gdyż wzmacniał siły i przedłużał życie. Jeśli na robocie człowiek pragnął odpocząć, wartownik wnet skrzyczał go lub poszczuł psem. Spytany jednak czy pozwoli zapalić,

[9] W. Kielar: *Anus mundi. Wspomnienia oświęcimskie*. Opracował A. Werner. Wrocław 1997, s. 215.

[10] Ibidem, s. 102.

[11] Ibidem, s. 229: „Oberscharführer Schillinger, wiecznie pijany, znęcał się przy byle okazji nad więźniami, zwłaszcza tymi, którzy pod różnymi pretekstami dostawali się na FKL".

[12] T. Wittlin: *Diabeł w raju*. Warszawa 1990, s. 12.

[13] Ibidem, s. 13.

nie odmawiał nigdy. Dzięki temu można było usiąść, rozpocząć długą procedurę skręcania papierosa, spluwać i odpoczywać. Tytoń przeto posiadał w obozie większą wartość niż jedzenie. Palili wszyscy i ci, którzy uprzednio papierosa nie mieli w ustach.[14]

Odrębnej analizy wymagałaby sytuacja dipisów i mieszkańców przejściowych miejsc odosobnienia tworzonych po wyzwoleniu przez aliantów dla byłych jeńców wojennych i więźniów hitlerowskich lagrów. Rozluźnienie moralne, jakie w nich panowało, potwierdza *Obóz Wszystkich Świętych* Tadeusza Nowakowskiego. Ksiądz Henias, występując z propozycją nazwania polskich baraków imionami świętych, spotyka się z reakcją majora Kosko:

Jak to? Mamy mieć barak „św. Antoniego"? Barak „Pod Matką Boską"? Czy to nie bluźnierstwo? Alboż to księdzu nie wiadomo, że nasi łotrzykowie kradną jak kruki, urzynają się samogonem, wypruwają sobie flaki nożem i, za przeproszeniem, pieprzą się na pryczach od świtu do nocy? [15]

Podobne diagnozy, formułowane z pozycji obserwatora obozowej rzeczywistości wymierzone w martyrologiczną i patriotyczną pozę, przynosi *Bitwa pod Grunwaldem* Tadeusza Borowskiego.

Pod okupacją hitlerowską

Kazimierz Wyka w szkicu *Gospodarka wyłączona* nazwał i poddał diagnozie jedną z ważniejszych cech gospodarki polskiej w czasach okupacji.[16] Było to zjawisko moralnie naganne, zwłaszcza dla „społeczeństwa polskiego na progu trzeciej niepodległości". Jego skutki odczuwaliśmy przez następne dziesięciolecia. W czasie hitlerowskiej okupacji okazało się bowiem, że kradzież, oszukiwanie i kombinowanie nabrało wymiaru patriotycznego obowiązku, gdyż było okradaniem i okłamywaniem okupanta. Zerwanie moralnej więzi łączącej podmiot z wykonywaną pracą, które początkowo wynikało z konieczności życiowej, nędzy, dość szybko stało się formą uzależnienia sprawiającego, że robotnik, chłop czy inteligent często nie rozumiał już etycznej naganności własnego postępowania.[17] Ale „gospodarka wyłączona" miała też swoje pozytywne strony: uwikłana w nieprzeliczoną liczbę zależności i pośrednictw, dawała utrzymanie całym rzeszom ludzi. W *Pożegnaniu z Marią* prowadzony przez Inżyniera nielegalny handel cementem z udziałem hitlerowskiego aparatu władzy, doskonale ilustrujący mechanizmy „gospodarki wyłączonej", zapewnia źródło finansowych korzyści kilku osobom. Z nadwyżek i zarobionych dodatkowo pieniędzy Inżynier dość hojnie obdarowuje swych pracowników, z czego korzysta również Tadek. W ramach reguł „gospodarki wyłączonej" działał też handel bimbrem. Jego produkcja, choć niebezpieczna, była jednym z najbardziej dochodowych interesów podczas okupacji. Bohater tego opowiadania Tadeusza Borowskiego uczestniczy w podobnym procederze, który ma miejsce w wynajmowanym przez niego mieszkaniu. W sprzedaży detalicznej bimbru ma, jak sam zaznacza, „lwi udział", gdyż jego przełożony woli handel meblami, kosztownościami i złotem.

Otóż „gospodarka wyłączona" stanowiła w tych czasach rodzaj pozaideologicznej walki z najeźdźcą, dowodziła umiejętności przystosowania się do ciężkich warunków okupacyjnej nocy. Związany wspólnotą interesów niemiecki żołnierz stawał się mniej przydatny dla nazistowskiego systemu sprawowania władzy. Jeszcze większe znaczenie posiadał fakt, że poprzez interesy handlowe łączące kata i ofiarę, ta ostatnia odzyskiwała własną podmiotowość przestając być w oczach oprawcy przedmiotem przeznaczonym do maksymalnego wyeksploatowania.[18] Na terenie lagru handel sprzyjający nawiązywaniu więzi między prześladowcą a prześladowanym, nie wykraczających z reguły poza wspólnotę interesów, ale też wydobywających więźnia z anonimowego tłumu „numerów", stanowił podstawowe narzędzie przetargowe w „negocjacjach" z esesmanami, którzy przez wzgląd na osobiste kontakty z hoftlingiem przymykali niekiedy oko na zachowania niezgodne z regulaminem obozu. Niejednokrotnie łapówka od „znanego" więźnia ratowała życie.

Charakterystyczne, że z powodu możliwości, jakie stwarzał nielegalny handel, którego swoistym emblematem była produkcja i sprzedaż bimbru, pewna część naszego społeczeństwa tęskniła za okresem hitlerowskiej okupacji. Znamienne również, iż najczęściej domowej produkcji alkohol stawał się znakiem rozpoznawczym utworów literackich i filmowych ubranych w szatę satyry i humoru. Na marginesie zauważmy, iż podobne postępowanie, prowadzące do wypaczenia obrazu wojny, wzbudziło swego czasu protest autora *Kamiennego świata*, który recenzując reprezentatywny dla tego nurtu, pierwszy polski film nakręcony po wyzwoleniu – *Zakazane piosenki* – pisał: *Ponieważ jednak gloryfikowaniem okupacji niemieckiej jako sielanki konspiracyjno-muzycznej zajmuje się niejeden człowiek i nie robi tego w powieści, która minie bez echa, lecz zatrudnione są przy tym całe zespoły ludzi, a film obejdzie niewątpliwie całą Polskę, budząc sentymentalne wspomnienia (panie dziejku, jak to się bimber robiło), warto się spytać: po jaką cholerę był ten kicz spreparowany?*[19]

W miastach zajętych przez hitlerowców kwitło życie towarzyskie. W *Pożegnaniu z Marią* Borowskiego grupa młodych ludzi, „wyznawców poezji, sztuki i miłości" stara się zachowywać tak, jakby rzeczywistość wokół nie miała przerażającego oblicza śmierci. Pisał poeta w *Pożegnaniu Skaryszewskiej*: *Tu esencjaści w pierwszym swym klubie/ śpiewali hymn swój, Piotr się bradiażył,/ tu gryzł Arkadiusz, którego lubię,/ i Staś pił bimber na rogu w barze./* [...] *Ulico miła! Działo się wszystko,/ co ma młodości smak i poezji.*[20]

Z dystansem i poczuciem humoru, okupacyjne spotkania zakrapiane alkoholem ukazał Jerzy Andrzejewski w opowiadaniu *Paszportowa żona*. W efekcie zbiegu okoliczności wymuszonego specyficznymi warunkami wojny, obcy sobie ludzie, pochodzący z jakże odległych zakątków kraju (Warszawa i Lwów), których los, gdyby nie zawierucha dziejowa, najprawdopodobniej nigdy nie zetknąłby ze sobą, otrzymują lewe dokumenty z danymi nieżyjącego małżeństwa z Biłgoraja. Tym samym stają się mężem i żoną „na papierze". Nic nie wiedzący o tym znajomi „paszportowej żony" podczas nocnej eskapady postanawiają odnaleźć rzekomego męża – Jana Bielskiego – który w tych strasznym okresie pozostawił małżonkę samotną. Wizyta niespodziewanych gości wywołuje zaniepokojenie w kamienicy, w której wynajmuje mieszkanie Jan Bielski. Nocne odwiedziny podchmielonego towarzystwa w niefortunnej kamienicy stały się powodem licznych plotek i domysłów. Mówiło się w nich o blokadzie Powiśla i setkach ofiar, tudzież o bliżej nieznanym nikomu młodzieńcu bohatersko broniącym się na dachu oraz innych historiach, dla których atmosfera wojenna stanowiła szczególnie podatny grunt. Paradoksy wojny prowadzące do swoistej zamiany ról ironicznym komentarzem opatrzono również w utworze *Kukułka*, w związku z postacią

[14] Ibidem, s. 11.
[15] T. Nowakowski: *Obóz Wszystkich Świętych*. Warszawa 1990, s. 18.
[16] K. Wyka: *Gospodarka wyłączona* (w:) *Życie na niby*. Kraków 1984.
[17] Ibidem, s. 155.
[18] A. Pawełczyńska: *Wartości a przemoc*. Warszawa 1973, s. 87.
[19] Zob. T. Borowski: *Sielanka konspiracyjno-muzyczna* (w:) *Utwory zebrane. Krytyka literacka i artystyczna*. Red. W. Woroszylski, T. Drewnowski, J. Piórkowski. T. 3. Warszawa 1954, s. 40.
[20] Ibidem. T. 1, s. 140.

docenta fizyki, Masławskiego: „Uczony badacz promieni kosmicznych pędził obecnie znakomity bimber".[21]

Diametralnie inny obraz okupacji przynoszą opublikowane przed kilkoma laty dwie części dziennika wojennego Leopolda Buczkowskiego *Grząski sad* i *Powstanie na Żoliborzu*.[22] To jeden z najostrzejszych po 1945 roku ataków na tradycję i mitologię narodową. Przesycony skatologicznym słownictwem *Grząski sad* ukazuje rzeczywistość okupacyjną Kresów przez pryzmat życia społeczności ukraińskich i polskich chłopów. Swoisty konglomerat, jaki powstaje ze związku ludowej religijności, zabobonu, ciemnoty i tradycyjnego na Wschodzie pociągu do wódki, staje się przedmiotem szczególnej nienawiści autora dziennika. Pod datą 22 XI 1943 roku znajdujemy zapis:

Zdarza się teraz coraz częściej, że na rozmaitych weselach, praznikach choć młodzież kilkuletnia, dotrzymuje w piciu starym, doświadczonym pijakom. Dzieci zechlały się, dokazują niestworzone herezje – to jest ta część najweselsza. Grupę kompletnie zapijaczonych dzieci widziałem pod klasztorem; niełatwo rozpoznać, że są pijane – dopiero jak zaczęły się „szmulać" z dziewczynkami na stojaka i leżąco – to to już mnie zainteresowało. Ciekaw też jestem, jak to z tym pijaństwem w „dawnych wiekach bywało". Ten mały (6-letni) Barecki pije jak stary i pali jak kawaler, „sztacha się", czujesz bracie, jak mu smakuje to cygaro.[23]

A oto obraz ziemi mazowieckiej odnotowany przez diarystę 11 stycznia 1945 roku:

W czasie świąt nie słyszałem tu na tej ziemi ani ułamka śpiewu (kolendy!) (tak p. Rutkowski!), natomiast cały nabożny naród jezusowy był zalany w pestkę – od powijaków do deski grobowej – chłopaki szkolne piły i wypędzały bimber osobno, u jakiegoś tam Gawrycha. Ten to Gawrych na harmonii gra, chłopaków z wódką zwabia do dziewczynek, karbidówka ledwo, ledwo i chłopaki (nie za piecem!) za kozą i w sionkach uczą się podpirgiwać dziewczątka.[24]

Również w *Malowanym ptaku* Jerzego Kosińskiego – swoistym misterium okrucieństwa – zdolność do niewyobrażalnych wręcz potworności u chłopów z Kresów łączy się pijaństwem:

[...] *Garbosz nie puszczał psa. Siadał przede mną i, popijając bimber, zastanawiał się na głos, dlaczego ja żyję, podczas gdy jego synowie umarli tak młodo. Często i mnie zadawał to pytanie, nie wiedziałem jednak, co odpowiedzieć. Kiedy milczałem, spuszczał mi lanie.*[25]

Młynarz zwany Zazdrośnikiem, podejrzewający swą żonę o romans z parobkiem zaprasza go kiedyś do chaty na kolację i, popijając dużymi haustami gorzałkę, wydłubuje łyżką młodzieńcowi oczy. Wydaje się jakby w tym straszliwym świecie Kosińskiego jego bohaterowie zatracali się tak samo w pijaństwie jak w okrucieństwie.

[21] J. Andrzejewski: *Kukułka* (w:) *Niby gaj. Opowiadania 1933-1958*. Warszawa 1961, s. 404.

[22] Zob. L. Buczkowski: *Powstanie na Żoliborzu*. „Regiony" 1992, z. 3/4. – *Grząski sad*, „Ex Libris" 1994, nr 57. Trzecia część dziennika wojennego pisarza w opracowaniu Sławomira Buryły i Radosława Siomy została złożona w redakcji „Tekstów Drugich".

[23] L. Buczkowski: *Grząski sad*, op. cit., s. 5. W *Malowanym ptaku* Kosińskiego znaleźć możemy jakże podobny opis wesela na Kresach w czasie okupacji: „Po mrocznym obejściu uganiali się młodzieńcy; łapali dziewuchy i ciągnęli do stodoły. W środku, na stercie siana, leżał z wypiętymi do góry pośladkami jakiś mężczyzna; pod nim, na plecach, leżała baba. Po klepisku, potykając się, chodzili pijacy; przeklinali jeden drugiego, rzygali, naprzykrzali się kochankom, budzili chrapiących" (J. Kosiński, *Malowany ptak*. Przełożył T. Mirkowicz. Warszawa 1994, s. 84).

[24] *Koniec wojny* (maszynopis).

[25] J. Kosiński, op. cit., s. 116. W powieści Kosińskiego fragmentów opisujących pijaństwo chłopów jest więcej. Zob. m.in. passusy poświęcone Łubienie i jego żonie (s. 159-160).

Jako odrębny element życia okupacyjnego należałoby przedstawić dzień powszedni oddziałów partyzanckich. W *Echach leśnych*, debiucie literackim Tadeusza Różewicza, bimber przedstawiany jest jako część partyzanckiego folkloru i niezbędny element wszelkich uroczystości:

Oddział szykował się do Święta 11 Listopada, wiadomo było, że będzie Msza święta, będą goście z terenu, z Obwodu, z pobliskich leśniczówek, kucharze szykowali lepszy obiad, złożony z dwóch dań, liczono się, że goście zjadą ze swoim alkoholem, bimbrem czy też innym samogonem – w oddziale też było zawsze trochę wódki, która była wydawana przy specjalnych okazjach na rozkaz Komendanta...[26]

W *Do piachu*, w którym autor kolejny raz podjął temat partyzantki, alkohol jest czynnikiem demitologizującym rzeczywistość. Filozofię „ludzi lasu" jedna z postaci w sztuce naiwnie streszcza w słowach: „Ludzie patrzą jakoś przeżyć, zjeść, popić, jak trzeba postrzelać... ale tak, żeby myśleli, to nie powiem... Wodze za nas myślą..."[27] Samogon, który przez cały czas popijają bohaterowie *Do piachu*, istnieje w tle tragicznych wydarzeń: wykonanie wyroku śmierci na Walku, mało rozgarniętym koledze z oddziału, posądzonym o gwałt.

Getto i zagłada Żydów

Alkohol również w getcie stanowił, podobnie jak po „aryjskiej stronie", środek płatniczy. Doktor Winter ze *Sprawy godności* Artura Sandauera, były sędzia okręgowy, uniknął śmierci w zamian za kilka butelek wódki, które musiał zakupić w knajpie dla dwóch ukraińskich żandarmów.[28] W getcie, o czym trzeba pamiętać, istniało też życie kulturalne i towarzyskie. Działały teatry, biblioteki odbywały się koncerty.[29] Na brak gości nie narzekały liczne kawiarnie, restauracje, w których jednak przebywała jedynie nieliczna, najzamożniejsza część społeczeństwa.

Strach, życie w ciągłym lęku przed śmiercią najbardziej demoralizujący wpływ wywierały na młodzież: *Jedynym jej ideałem było hulaszcze życie. Karty, wódka, kobiety, ciasny egoizm – stały się plagą żydowskiej młodzieży, która w ogromnej większości straciła wszelkie zainteresowanie pracą społeczną.*[30] Perspektywa zagłady nakazywała dostosowanie się do maksymy: „chwytaj życie!" Eugenia Szajn-Lewin wspomina: *Więc zbierają się chłopcy i dziewczęta w sobotni wieczór. Dziewczęta szykują chleb, chłopcy przynoszą wódkę.* [...] *Muszą dużo pić, żeby się rozweselić, a kiedy już są dobrze podpici, znikają parami w kątach mieszkania.*[31]

Osobnego omówienia wymaga sprawa samej eksterminacji ludności żydowskiej. Chciałbym w tym miejscu nawiązać do książki Daniela Jonaha Goldhagena *Gorliwi kaci Hitlera. Zwyczajni Niemcy a Holocaust*.[32] Praca ta, opublikowana po raz pierwszy kilka lat temu w Stanach Zjednoczonych, doczekała się już wielu omówień i recenzji, bardzo często krytycznych wobec tez amerykańskiego badacza. Szczególnie dużo kontrowersji budzi determi-

[26] T. Różewicz: *Echa leśne*. Warszawa 1985, s. 6.

[27] T. Różewicz: *Do piachu* (w:) *Teatr*. T. 2. Kraków 1988, s. 275.

[28] Zob. A. Sandauer: *Sprawa godności* (w:) *Proza*. Kraków 1974, s. 86-90.

[29] Zob. M. Edelman: *Strażnik. Marek Edelman opowiada*. Przełożył I. Kania. Kraków 1999. Życiu towarzyskiemu i kulturalnemu getta warszawskiego poświecona jest sztuka Henryka Grynberga *Kabaret po tamtej stronie* („Dialog" 1997, nr 8).

[30] E. Ringelblum: *Kronika z getta warszawskiego*. Cyt. za T. Grosse: *Przeżyć! Obrona życia jako wartość podstawowa społeczności getta warszawskiego*. Warszawa 1998, s. 59.

[31] E. Szajny-Lewin: *W getcie warszawskim*. Tamże, s. 79.

[32] D. J. Goldhagen: *Gorliwi kaci Hitlera. Zwyczajni Niemcy a Holocaust*. Przełożył W. Horabik. Warszawa 1999.

nistycznie potraktowany związek między niemieckim antysemityzmem a ideą planowego wyniszczenia narodu izraelskiego.[33] W swej analizie jednak chciałbym się skupić jedynie na pewnym aspekcie *endlösung*. Historia 65, 101 i innych batalionów policji oraz ich działalności na terenach Generalnej Guberni ujawnia obrazy, dorównujące mrocznej wyobraźni Kosińskiego. Oto zapis rzezi w Łomazach z udziałem Hiwis – oddziałów na usługach Niemców, złożonych z miejscowej ludności – w czasie ostatnie wojny najczęściej tworzyli je Ukraińcy:

Rów [...] *miał w trakcie kopania go od półtora do dwóch metrów głębokości, 30 metrów szerokości i 50 metrów długości. W jednym końcu brzeg łagodnie schodził w dół. Żydzi musieli się zsunąć po tym nasypie i położyć się twarzą do ziemi. Członkowie grupy Hiwis stojący w rowie każdemu z nich strzelali w głowę z karabinu. Następna partia ofiar musiała kłaść się na okrwawionych ciałach poprzedników, których głowy zostały roztrzaskane kulami.* [...] *Hiwis, którzy bez przerwy raczyli się alkoholem, byli coraz bardziej pijani, dlatego celowali niedokładnie. Chybiali nawet z małej odległości.* [...] *Jak gdyby sceny te nie były dość przerażające, rów wykopano poniżej poziomu wody. Woda, podnosząc się, mieszała się z krwią, a ciała zaczynały w niej pływać. Hiwis dokonujący egzekucji weszli do rowu i stali po kolana w krwawej wodzie.*[34]

Dodajmy, iż nie był to na pewno jedyny przypadek upojonych alkoholem żołnierzy niemieckich i ich współpracowników uczestniczących w mordowaniu Żydów. W *Sąsiadach* Jana Tomasza Grossa, ukazujących tragiczny koniec ludności żydowskiej w małym miasteczku Jedwabne, jeden ze świadków stwierdza, iż przed pogromem rozdawano mordercom wódkę.[35]

Gorliwi kaci Hitlera uzmysławia nam też inny fakt. Goldhagen, który skupił się na społecznej, psychologicznej i kulturowej analizie osoby kata w III Rzeszy w oparciu o skrupulatnie gromadzony materiał źródłowy dotyczący konkretnych oddziałów wojskowych, zwraca uwagę, iż mordercy wykonywali swe zadania w sposób „profesjonalny". Mając świadomość w czym uczestniczą, zupełnie beznamiętnie rozmawiali na temat egzekucji, ich przebiegu, często też z dumą wymieniali liczbę zakatowanych przez siebie ofiar. Wieczorami korzystali z pływalni, kortów tenisowych, oglądali przedstawienia trup teatralnych, koncertów muzycznych, spotykali się na wieczorkach towarzyskich, odwiedzali przeznaczone tylko dla nich knajpy i restauracje.[36] Część zbrodniarzy przywiozła z Rzeszy swe żony.

Innym aspektem kręgu tematycznego, który nazwaliśmy *Getto i zagłada Żydów*, są „pośmiertne dzieje" potomków Mojżesza. Debiutancka *Ekipa „Antygona"* Henryka Grynberga przedstawia historię grupy trzydziestu „Negrów" pracujących nad ekshumacją zbiorowych mogił, w których złożeni zostali pomordowani w okolicy Żydzi. Pierwszoplanowa postać – Wiak – podczas ekshumacji grobów Izraelitów pojmie, iż dokonuje ich profanacji za sprawą swych stale pijanych pracowników, widzących w tym zajęciu przede wszystkim środek do zarobienia pieniędzy, profanacji tym straszliwszej i odrażającej, że dotyka tych, którzy nie mogą się jej przeciwstawić, są absolutnie bezbronni.

Na marginesie wyodrębnionych tu trzech kręgów tematycznych powinno się ukazać dzień powszedni i egzystencję żołnierza w armii polskiej, zarówno tej dowodzonej przez Berlinga, jak i Andersa. Problem alkoholu nadmiernie spożywanego przez wojskowych radzieckich nie jest niczym nowym. Pojawiał się we wspomnieniach samych uczestników działań wojennych oraz ludności cywilnej. Wymownie zostało ukazane to w powieści Henryka Grynberga *Memorbuch*:

Dowódca Malutin, jego zastępca liniowy, prawie cały sztab [...] *to byli Rosjanie, którzy nie umieli po polsku, nawet jeśli mieli jakieś polskie pochodzenie, i ciągle dochodziło do konfliktów i nieporozumień, zwłaszcza po pijanemu. A pili wszędzie – na postojach, w marszu i w warunkach bojowych.*[37]

Zbliżający się od Wschodu żołnierze radzieccy na wyzwolonych terenach poszukiwali najczęściej bimbru. Równie cenne były materiały, które mogły posłużyć do jego wyrobu. Wspomina Hubert Orłowski: *W sąsiednich splądrowanych pokojach, pośród przewróconych szaf, biwakowali żołnierze. I tęgo pili. Jedną z pierwszy czynności współmieszkańców było wymłócenie zboża z pełnego sąsieka. Zboże posłużyło następnie żołnierzom do pędzenia samogonu.*[38] Wiadomą sprawą jest też fakt, iż przed natarciem żołnierzom podawano często alkohol, by zniwelować, niepożądany w takich wypadkach, strach. Dają temu wyraz nie tylko literackie, ale również liczne filmowe realizacje.

Można oczywiście zadać pytanie, jaki procent wśród wojskowych nadużywających trunków stanowili Polacy? Jest to jednak trudne do oszacowania i nie miałoby – jak sądzę – większej wartości poznawczej. W *Memorbuch* wspomina się m.in. o Świerczewskim, „który pił jak Rosjanie i nigdy nie było go tam, gdzie się go spodziewano".[39] Analogicznego omówienia wymagałaby armia Andersa.

* * *

Czasy pogardy pozostawiły w naszej kulturze: malarstwie, rzeźbie, literaturze i filmie głęboki ślad, o wiele rozleglejszy niż w przypadku innych europejskich twórców. Literatura przedmiotu jest dość obszerna, poszerzana o coraz to nowe opracowania, by wymienić tylko opublikowaną niedawno znakomitą monografię pióra Jerzego Święcha.[40] A jednak istnieją obszary niemal zupełnie nie zbadane przez znawców zagadnienia, do nich należy rola i miejsce używek w straszliwych wydarzeniach ostatniej wojny. W swoim artykule zarysowałem jedynie – w sposób daleki od kompletności – problem związków alkoholu z wojną i okupacją. Jego dokładniejsze opracowanie wymagałoby nie tylko odwołania się do wiedzy socjologicznej, ale również – na zasadzie wskazania problemu – przedstawienia, pojawiających się zwykle obok alkoholu, innego rodzaju namiętności ludzkich: palenia tytoniu, hazardu, a także omówienia zachowań seksualnych w tych niezwykłych warunkach. Znamienne, że najwięcej wiadomości o używkach znajdujemy w literaturze, która – zgodnie z klasyfikacją zaproponowaną przez Andrzeja Wernera[42] – wymyka się ujęciu martyrologicznemu.

Sławomir Buryła

---

[33] Omówienie recepcji książki Goldhagena w Niemczech przynosi ostatni fragment artykułu Beate Kosmala: *Plany „ostatecznego rozwiązania kwestii żydowskiej" – niektóre aspekty i przemyślenia*. Przełożył H. Sekulski (w:) *Tematy żydowskie. Historia, literatura, edukacja*. Red. E. i R. Traba, Olsztyn 1999.

[34] D. J. Goldhagen, op. cit., s. 211.

[35] Zob. J. T. Gross: *Sąsiedzi. Historia zagłady żydowskiego miasteczka*. Sejny 2000, s. 65-66.

[36] Zob. Goldhagen, op. cit., s. 247.

[37] H. Grynberg: *Memorbuch*. Warszawa 2000, s. 166.

[38] H. Orłowski: *Warmia z oddali. Odpominania*. Olsztyn 2000, s. 44.

[39] H. Grynberg, op. cit., s. 158.

[40] Zob. J. Święch: *Literatura polska w latach II wojny światowej*. Warszawa 1997.

[41] Zob. A. Werner: *Zwyczajna apokalipsa. Tadeusz Borowski i jego wizja świata obozów*. Warszawa 1971.

TOBIASZ MELANOWSKI

Dochodzą mnie dźwięki płaczu

Dochodzą mnie dźwięki płaczu, to ktoś z góry układa kolejny
wiersz. Klei słowa, wykracza poza. U mnie radio (*Ania i Marcin*
zostali porzuceni przez rodziców.
Jak nas nie chcieli, to na chama się wciskać nie będziemy,
mamy swój honor.), pies i ryba w słoiku po ogórkach.
Prawie cisza, dzień powoli zasypia. Podchodzę za blisko. I co? I

uśmiech
psa.

Dzień rzeki

Marcie Podgórnik po przeczytaniu
rozmowy w „Dzienniku Portowym"
(zwłaszcza ostatnich kilku zdań)

Niepokój.

Jestem (oczywisty, jak wtedy, kiedy wychodziłem z „Zielonej
Gęsi" po wieczorze Sendeckiego. Oczywisty, jak
śnieżki wrzucane w dzieciństwie na dachy, wciąż tam
topniejące. Jak człowiek gubiący się w obcym mieście.)

zbyt oczywisty, by wywołać jakąkolwiek
rewolucję.

Gimnastyka korekcyjna

Dwa słowa już nie wystarczą, by cokolwiek
zmienić. Za późno na jakiekolwiek spadki
ciśnienia, zawczasu na przypadkowe
zderzenia z wszelaką pozornością. Jeśli powiedziało się a,
zaraz trzeba b dodać, a stąd już niedaleko do z.
Trzeba się poruszać jak salamandra, by móc w tym wszystkim
wytrwać. Taka mała ruletka, lista przebojów. Pora na te
kilka upragnionych kroków wstecz, niestety, minęła bezpowrotnie.

Płyń więc, płyń i nie mów nic.

Listopad. Na dwa dni po

A gdyby tak spróbować głębiej?
Nie naruszając niczyjej godności, zranić sobie wargi
ostrym tonem wypowiedzi? Można by też
odpowiedzieć na kilka prostych i bezczelnie oczywistych
pytań. Niestety, na Terry Street już nikt nie mieszka,
a schodzenie na ląd, gdy jest się na wyciągnięcie ręki
od celu, graniczy z absurdem. Choć, niewątpliwie, najlepszą
z tych wszystkich opcji jest pisanie wierszy tylko zimą.

Na dzień po śmierci Jerzego Giedroycia

Kultura umarła.

Wpadłeś mi pod klawiaturę –

pisze. Czyli wszystko tak jak dawniej. Jak na filmie,
który rozpoczyna się na pierwszym kanale, a kończy na drugim.

Tobiasz Melanowski

Piotr Fąfrowicz: *Rysunek z miasteczka*, 1990

KACPER BARTCZAK

Zdarzenie

Pokój wypełniał się przelotnymi obrazami, stosami kolorowych czasopism, w których nie było już nic ciekawego nawet do oglądania, i szklankami niedopitych alkoholi. Na stołach zalegały obrusy reklamowanych folderów, które codziennie znajdowali na swojej klamce, albo wycieraczce i których nie mieli już sił wyrzucać. Najprzedziwniejsze narzędzia Boscha walczyły o ich spojrzenia z frytkownicami, muszlami fantastycznych mięczaków, pluszowymi tygrysami i owieczkami. Co pewien czas docierała do nich świadomość, dość jednak nikła, że trzeba pozbyć się stosów kłamstw, choćby najpożyteczniejszych, nawet jeśli ktoś poświęcił im już całą wieczność, w której były najprawdziwszą prawdą. Na ścianach wisiało coraz więcej tablic korkowych z łuszczącymi się warstwami ważnych informacji, o których mieli pamiętać, i o których zapominali na zmianę. Co jakiś czas któreś z nich z triumfalną miną wyłuskiwało z pstrokatego kożucha kartoników wizytówkę jakiejś ważnej szychy, której drugie nie mogło znaleźć przez cały wieczór w najzasobniejszych w stare skoroszyty i notatniki szufladach. Zdawało się, że każdy zapisek, każda notatka poczyniona w pośpiechu mogła równie dobrze dotyczyć jego jak jej. W łazience wyrastało coraz więcej poskręcanych do granic wytrzymałości tubek po pastach do zębów, a zapachy kosmetyków łączyły się w powietrzu. Źle domknięte wody po goleniu nabierały zapachów roślinnych balsamów do ciała. W takich chwilach obiecywali sobie, że zrobią porządek w szafkach, segregatorach i teczkach z papierami. Ich dokumenty mieszały się, podobnie jak części garderoby w przepełnionych szafach i na krzesłach. A przecież były to dni pełne lenistwa i wypoczynku, bo ferie dopiero się zaczęły i nie było widać ich końca, a oni bez końca nie wiedzieli co robić. Wciąż zdawało mu się, że jest za późno, albo za wcześnie, ale nigdy nie mógł zweryfikować tych wrażeń. Zegarek przepadł bez śladu. Sypiali ciężkim, pogmatwanym snem w ciasnych splotach włosów, spojrzeń i nieskazitelnie czystej bielizny.

Budził ich telefon albo dzwonek do drzwi i wchodzili znajomi, Adam i Ewa, oczywiście niezapowiedziani, podając im świeżą reklamówkę wołowych żeberek zdjętą z klamki i okazywało się, że rzekomy bałagan był pomyłką w nazewnictwie. I wy to nazywacie bałaganem. Nazwijcie to inaczej. Mieszkanie przestronniało, odnajdywało się w nim drugie pokoje, które narzucały inne refleksje. Ojej, macie nową lampę. Pokój bawialny zaskakiwał ich pełnym opanowania ładem i na jakiś czas zapominali o nieporządkach w sypialni. Znajomi nie wiedzieli, czy wolą kawę czy herbatę, a pić nie mogli, bo byli samochodem. Mgliście zarysowała się możliwość przyszłości. Pomyślał, że tak będzie lepiej, że w zmiennych kontekstach świateł i twarzy będzie mu łatwiej przemyśleć niepokojące podobieństwo jej słów do jego snów i pełne milczenia rozmowy, które zdarzały im się bez zapowiedzi o różnych porach

dnia i nocy. Być może musieli się zatopić w kilku płytkich przypadkowych spotkaniach, nie tylko w swoim gronie, by później zanurkować i zachłysnąć się ciszą, żeby ich wypełniła, aż pojawi się w niej nowy głos i pozwoli lepiej zrozumieć pusty słownik wyrazów i wyrażeń podręcznych, którymi wspierali się ostatnio, a które odkładały się w zupełnie nieoczekiwanych miejscach. W sekretarzyku w przedpokoju znalazł zeszyt z wykładami z neoplatonizmu, na które przestał chodzić całą wieczność temu i już słabo je pamiętał. Musiał położyć się na podłodze, by wydostać zeszyt spod stosu jej atlasów botanicznych i niezliczonych roczników poradników meblarskich. Gdy już miał go w dłoniach, stanęła nad nim i popatrzyła z politowaniem na jego znalezisko. Zginiesz beze mnie. W takich wypadkach przepadał na całe godziny w swoim fotelu pośród albumów z malarstwem religijnym, a ona słuchała radia, ustawiając buteleczki po egzotycznych przyprawach na swoim biurku i wklejając liście do zielnika. Cały czas był piątek wieczór i znajomi dzwonili od nich do swoich znajomych i wszyscy chcieli się gdzieś wyciągnąć, ale godziny seansów i kulinarne preferencje kłóciły się ze sobą zajadle. Może gdzieś pójdziemy.

Adam i Ewa znów chcieli iść na pizzę. Tylko nie Pizza Hut. Trzeba było po prostu się ruszyć, a sprawy wyjaśnią się same. Z Adamem przyjaźnił się od dawna i nie mieli już sobie wiele do powiedzenia, ale przynajmniej mogli sobie mówić wszystko, choć tylko pozornie. Czasem wymieniali narzędzia do samochodów, uwagi o koleżankach z liceum i nigdy nie rozumieli, czego w danej chwili chcą od życia ich kobiety. Kończyło się na żartach o sekcji filmów erotycznych w najbliższej wypożyczalni kaset video i wtedy podnosili się z ciężkimi westchnieniami z foteli, by przejść w mrok samochodu, który był markowy, służbowy, umyty, pachniał nowością, a komfort jazdy mógł przyprawić o mdłości co bardziej skłonnych do choroby lokomocyjnej. Miasto otwierało przed nimi swoje możliwości, nieograniczone w suchym podmuchu gorącej letniej nocy. Choć z drugiej strony miał wrażenie, że zrobiło się ciut chłodniej, że owiało go ożywcze tchnienie, jakby ktoś nieoczekiwanie wypowiedział myśl, której sam nie potrafił z siebie wydobyć. Po ulicach krążyła miłość, ale było to ulotne wrażenie i nie miał się z kim nim podzielić, bo żona akurat coś mówiła. Zawsze podejrzewał, że życie uczuciowe jest kwestią synchronizacji. W tym sklepie lubię kupować porcelanę, bo sprzedawczyni to prawdziwy anioł. Skończyło się na tureckiej restauracji, w której przy trzech złączonych stolikach po przekątnej od nich siedziało już kilku śniadych blondynów w ciemnych marynarkach, białych golfach i złotej biżuterii w towarzystwie dziewczyn w opiętych spodniach z lycry i ciasnych bawełnianych sweterkach, których twarze były jak wizytówki miejskich solariów. Nad stolami, w palmiarni zaaranżowanej w rogu sali, przemykały sród listowia papugi i jakieś inne kolorowe ptaki. Na ścianach zobaczyli obrazy drzew i fontann. Między nimi wisiały pięknie oprawione lustra. Kobiety blondynów były blondynkami prosto z salonu wziętego fryzjerskiego mistrza.

Podniecenie jest funkcją gry kulturowych obrazów, ale co z męskością. Prawdziwa męskość weźmie w siebie niewierność i przemieni ją w wierność. Pewien bohater słynnej powieści latynoamerykańskiej miał tak ogromnego, że mógł go sobie wytatuować i dziwki chciały go oglądać za pieniądze, a mężem i tak był wspaniałym. Żona i Ewa chciały tego samego i zamówiły baraninę. Adam nie mógł się zdecydować na nic konkretnego, bo męczyła go zgaga, więc na razie wziął tylko niegazowaną wodę mineralną. Po chwili jednak też zdecydował się na coś ostrzejszego. Co ci mówi twój gastrolog? Już nie te lata. Teraz będzie tylko gorzej. Opaleni blondyni w złotych sygnetach

i ciemnych okularach śmiali się z czegoś w głos, ich panie szperały w złotych torebkach, a kelner miał z nimi cos wspólnego. Pod stołem przechadzały się rozleniwione koty, ocierając się o nogi kobiet. To miasto to pralnia pieniędzy. Pewien kumpel wyznał mu kiedyś, że nie znosi prezerwatyw, bo na nim pękają. Dobry powód do złożenia reklamacji w aptece, szczególnie jeśli w kolejce do okienka stoją jakieś siksy. Spojrzała na niego z pobłażliwym uśmiechem Czy zamiana kompleksów w żart oznacza pozbycie się ich, czy też ich niezręczne maskowanie? A może pomaga przyjrzeć się sobie uważniej? Jedzenie było dobre, było go dużo i było śmiesznie tanie. W końcu skusił się na kebaba. Przyjechały sosy. Nad talerzami i miskami unosiły się uwagi o poszczególnych daniach, które krążyły przed nimi na obrotowym stole i każdy mógł skosztować potraw wybranych przez innych. Ewa zamówiła drugą porcję soku pomidorowego. Nikt nie wiedział, co przyniesie przyszłość, ale wszyscy liczyli na zapamiętanie w rozmowie i na to, że będą mogli zostać tu dłużej. Zdania wplatały się wdzięcznie w kolejność dań i nasuwały kolejne zdania. Pomału kończyły się mięsa, frytki, sosy i sałatki. Zaczęli się zajadać owocami. Adam wyjął papierosy i pokazał swoje nowe wizytówki. Awans zmienia personalia, ale jesteśmy ponad to. Zresztą, im wyżej siedzisz, tym boleśniej upadasz. Ewa marzyła o Majorce, a Adam pierwsze słyszał. Żona mówiła, że ma dość południowców, ale jedzenie było dobre. Wpadnijcie do nas na prawdziwy polski miód pitny. Bardzo opalony kelner, prawie Murzyn, który miał coś wspólnego z miejscową mafią, giął się w bogatych układach uprzejmych póz polecając desery i najprzeróżniejsze słodkości. Wreszcie zaproponował herbatę po turecku na koszt firmy i kobiety nie odrzuciły jego oferty, a mężczyźni zgodzili się z nimi. Czy nie uważacie, że filmy Coppoli gloryfikują zbrodnię? Ta ojcowsko-mężowska męskość jego gangsterów: spaghetti, wino, żona w ciąży, mord w restauracji, a w niedzielę kościół. Jeden ze śniadych facetów, gość w złotej bransolecie na owłosionym przedramieniu wyraźnie przyglądał się żonie, rzucając ukradkowe spojrzenia na niego. Zastanawiał się, czy była w nich pogarda, czy tylko politowanie. Na przegubie nie miał nawet zegarka, ale nawet gdyby, to i tak pasek był wytarty, rachityczny i skórzany. Właściwie jego zegarek miała na sobie akurat żona i dobrze, bo na niej wyglądał lepiej. Po tej herbacie chce mi się czegoś słodkiego, a tobie? Podała mu jakiś owoc i wgryzł się w niego bez zastanowiena.

Zdał sobie sprawę, że Ewa bardzo go pociąga. Zdziwił się, bo zrozumiał, że było tak od dawna. Spojrzał na Ewę i ze zdziwieniem skonstatował, że jej bluzka jest prawie przezroczysta, a pod nią widać wyraźnie jej dorodne, białe piersi. Przypomniał sobie, że żona ma na sobie podobną kreację. Któryś z młodszych kelnerów przemknął pod ścianą, niosąc pięknie oprawione lustro. Nazywam się Adam, powiedział Adam do telefonu komórkowego, patrząc na niego z uśmiechem. Rachunkiem nie należy się przejmować, w końcu nie po to tu przyszli. Kelner podał go na eleganckim spodku z wzorkiem w złote kindżały, ale zanim ktokolwiek zdążył po niego sięgnąć, do ich stolika zbliżył się jeden ze śniadych młodzieńców. Czarną marynarkę zostawił za sobą na krześle i stał nad nimi milczący, potężny, z pieczołowicie wyrzeźbioną w osiedlowej siłowni muskulaturą wyraźnie rysującą się pod białym golfem. Powoli sięgnął po rachunek i nim ktokolwiek zdążył coś powiedzieć, podarł go na strzępy zdecydowanym ruchem. Zapłaci kto inny, ale wy już stąd idźcie i nigdy nie wracajcie. Restauracja jest zamknięta. Do odwołania.

Zimno. Zimniej niż przedtem. Ulica dmuchnęła w nich suchym i chłodnym wiatrem. Żona przylgnęła do niego, a on objął ją ramieniem i przytulił do

siebie. Zobaczył jej twarz, brązowe oczy i pełne usta. Ciała z jego snów uleciały w przestworza. Zdawało mu się, że słyszy każdy puls w jej tętnicach, że czuje zapach i smak jej skóry, a jej sny były odległe, niedostępne i kuszące. W taką noc można spotkać samego siebie, jakiego nigdy się jeszcze nie znało. Jest zimno, a ich mieszkanie jest skromne, ale przyjemnie urządzone i ciepłe. Nie potrzebował cudować z żeberkami kaloryferów. Adam i Ewa zniknęli za rogiem. Nie możemy was podrzucić, bo rano idziemy do pracy. W pobliżu nie widać było żadnych taksówek. Szli pieszo, samotni, ale już dawno nie czuli się tak na siebie napaleni. W domu nastawią zegary i będą się kochać jak nigdy, do upadłego, rozpaczliwie, nie mogąc spożyć swego pożądania, w powtarzanych wciąż od nowa objęciach, kosztując swych ciał w nienasyceniu, łapczywie, jakby chcieli sobie coś wydrzeć, coś przypomnieć.

Kacper Bartczak

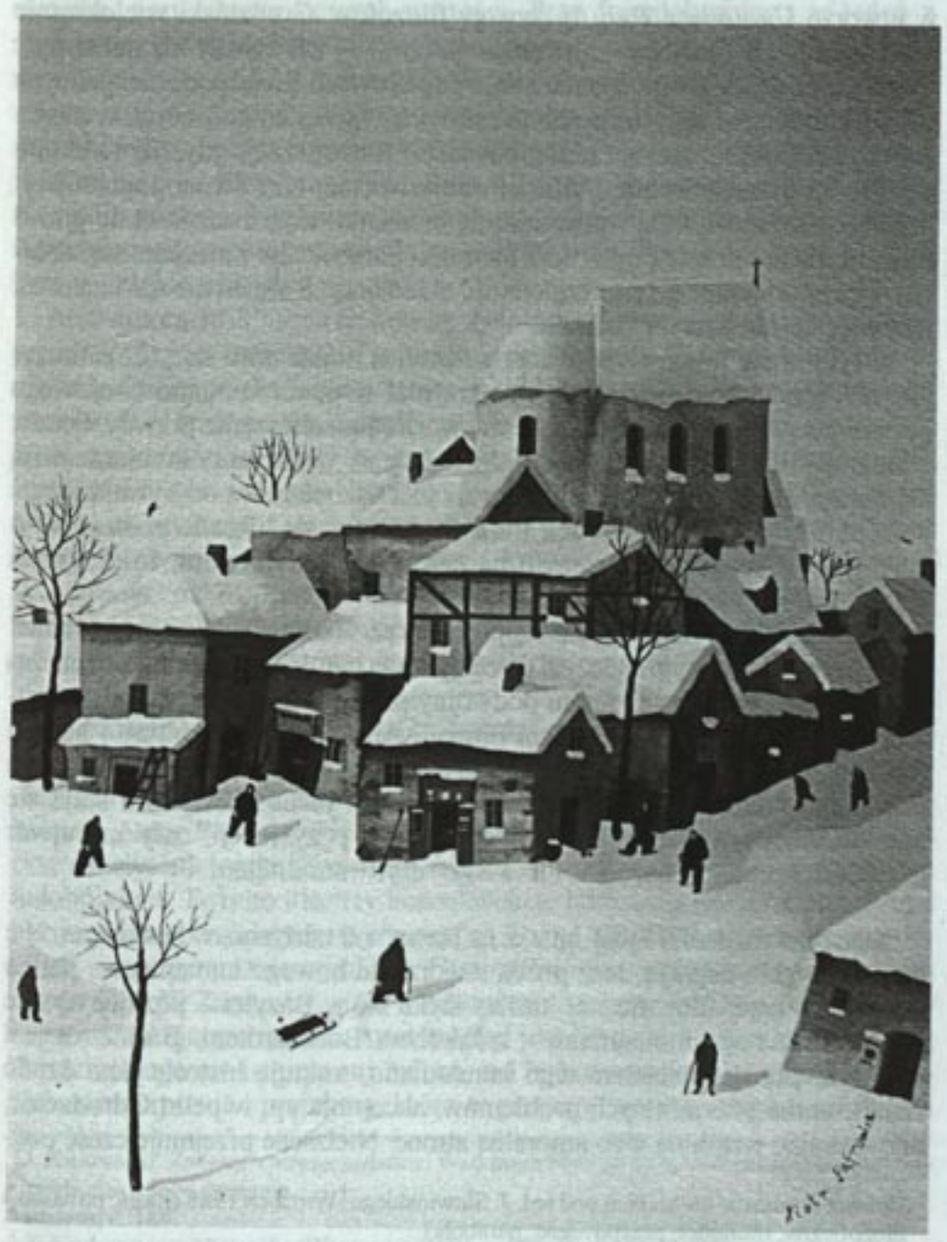

Piotr Fąfrowicz: *Zima*, 1993

RADOSŁAW BORZĘCKI

Biedny chrześcijanin Nietzsche
(*Gasnący Antychryst*)

Antychryst Gustawa Herlinga-Grudzińskiego to opowiadanie, które w roku 1978 roku znalazło się jako pierwsze na łamach *Dziennika pisanego nocą*. Otwiera ono krąg zainteresowań Herlinga, który znajdzie pełną realizację w utworze *Ugolone z Todi*, tj. żywoty filozofów. Grudziński wielokrotnie podkreślał, że u filozofów „interesują go bardziej ich żywoty niż doktryny". Filozofię obwinia pisarz o budowanie papierowych koncepcji, niezgodnych z doświadczeniem egzystencjalnym człowieka, przez co godzących w niego. Aby to udowodnić, stosuje formę powiastki filozoficznej, gdyż jej struktura umożliwia przedstawienie i zilustrowanie własnej tezy światopoglądowej.

Daje także możliwość wprowadzenia momentu wieloznaczności do prawd filozoficznych czy moralnych oraz ukazania paradoksów i niespójności doktryn. Uprzytamnia przy tym względność składających się na nie tez i zaleceń, jest więc formą krytyki filozofii.

W tym konkretnym wypadku przedmiotem ataku stała się „filozofia życia" Fryderyka Nietzschego, to on otrzymał w utworze miano tytułowego gasnącego Antychrysta. Następuje tu swoiste przemieszanie prawdy, faktów z biografii filozofa oraz zmyślenia. Świadczy to, iż elementy fabularne mają dla autora wartość pretekstową, zaś rolę pierwszoplanową odgrywają ukryte poza nimi treści moralistyczne i filozoficzne sugestie.[1] Realia podlegają rygorystycznej selekcji ze względu na nadrzędny sens utworu, to przybliża tekst do przypowieści.

W komentarzu, znajdującym się po utworze, Herling zadaje sobie pytanie: „Czy potrafiłbym wytłumaczyć, dlaczego uważam katastrofę za tak znaczącą?"[2] Słowo „katastrofa" ma tu podwójny sens. Po pierwsze jest to „katastrofa" związana z konsekwencjami filozofii Antychrysta dla kultury i historii XX wieku, po drugie w odniesieniu do losów osobistych filozofa. W drugim przypadku Nietzsche przestaje być bohaterem jednostkowym, a staje się przykładem uniwersalnych prawideł ludzkiej egzystencji, cały zaś utwór przypowieścią na temat losu ludzkiego, czyli moralitetem.

Nietzsche rozpoczął swój „marsz na Rzym" od uderzenia w humanizm. Nie była to zwykła negacja, lecz próba stworzenia nowego humanizmu. Już na początku swojej filozoficznej kariery styka się w Bazylei – później wyspie arystokratycznego humanizmu – z Jakubem Burkhardtem. Burkhardt jest typowym przedstawicielem tego humanizmu, traktuje historię jako dzieło sztuki, unika przyziemnych problemów, akceptuje np. w pełni Odrodzenie, przymykając wzrok na jego amoralną stronę. Nietzsche przejmuje część poglądów – szczególnie estetycznych – od Burkhardta, gdyż uważa, że sztuka jest kluczem do rozwiązania zagadki świata. Różnią się natomiast w poglądzie na etykę. Burkhardt chce za wszelką cenę, choć zdaje sobie sprawę z nadchodzącej katastrofy, zachować choćby we własnej świadomości świat Goethego – zatrzymać dziewiętnasty wiek. Natomiast Nietzsche pragnie ten świat ratować, poprzez stworzenie nowego systemu wartości i nowego człowieka. Domaga się odrzucenia wszelkich zafałszowań i ograniczeń istoty ludzkiej, ujawnienia jej prawdziwej natury. Absolutyzuje więc znaczenie siły i instynktów. *Filozofia jest dla Nietzschego nie tylko królową nauk, lecz również zasadniczym motorem rozwoju świata. Prawodawca nowych wartości (np. Platon, Chrystus) zmienia dzieje, ma moc w istocie boską, gdyż tworząc nowe idee w decydujący sposób wpływa na zmianę postępowania ludzi. Filozof Zaratustra ma więc prawo rywalizować z Bogiem. Marzenie o deifikacji człowieka może się zrealizować dzięki filozofowi.*[3] Nietzsche bardzo często podkreślał swoją dekadencję, określał się mianem „pierwszego całkowitego nihilisty Europy", lecz tym, który przeżył już nihilizm w sobie do końca. Jest dekadentem, ale zarazem początkiem. Przezwyciężenie dekadencji widział w koncentracji kultury wokół mędrca – samotnika, prawodawcy nowych wartości. Prawdopodobne jest, że jeden z rozdziałów ostatniej książki Nietzschego miał nosić tytuł *Moralność jako wyraz dekadencji*.[4] W dekadencji życie zanika ograniczane przez konwencje, zwyczaje i moralność. Według Nietzschego to właśnie chrześcijaństwo stanowi najbardziej jaskrawy wyraz dekadencji. Szczególnie mocno atakuje judaizm jako przyczynę wszelkiego zła, to on zatruł chrześcijaństwo słabością i kultem etyki. Po chrześcijaństwie pojawiła się reformacja, oświecenie i dziewiętnastowieczny racjonalizm, na końcu tej drogi anarchizm i socjalizm – kolejne przejawy upadku.

Atak autora *Woli mocy* na kulturę żydowską został później wykorzystany przez ideologów faszyzmu. Propaganda nazistowska, w sposób perfidny – nie respektując intelektualnej strony myśli, korzystała z często niejasnych przesłanek w retoryce, frazeologii czy leksyce pism Nietzschego, aby szerzyć hasła antysemickie. Duży wpływ na taką recepcję myśli filozofa miała Elżbieta Forster – siostra Nietzschego. To ona dokonywała redakcji ostatnich pism myśliciela, m.in. *Woli mocy* – dzieła, które miało największy wpływ na ruch faszystowski. Późniejsi krytycy „podważyli prawomocność skonstruowania *Woli mocy*, obalili autorytet Elżbiety jako interpretatorki nietzscheanizmu".[5] Mimo dostrzeżonych zafałszowań narodowy socjalizm mógł, nie bez pewnych racji, powołać się na tę myśl.

W prozie Gustawa Herlinga-Grudzińskiego można wyróżnić kilka obszarów zainteresowań; jednym z najważniejszych jest, według Stempowskiego, „historia spuszczona z łańcucha", czyli destrukcyjne procesy o zasięgu globalnym. Autor *Poza dobrem i złem* doskonale wpisuje się w te procesy, gdyż ekstremistyczna logika jego myśli znalazła swoje zastosowanie w masowym ludobójstwie. Były to niestety konsekwencje koncepcji filozoficznej. Próba bezwzględnego wyciągnięcia wniosków. To był nihilizm w działaniu i ujawnił on swoje przerażające oblicze. Herling sytuuje się na przeciwnym biegunie do filozofii Zaratustry, staje w zdecydowanej opozycji. Dla niego czynnikiem warunkującym wszelki światopogląd jest człowiek i jego dobro. Według Grudzińskiego nie istnieje ani ludzka, ani boska sankcja, dopuszczającą zasadność cierpienia i przemocy, która w programowym poniżeniu człowieka

[1] *Słownik terminów literackich* pod red. J. Sławińskiego. Wrocław 1988 (hasła: powiastka filozoficzna, moralitet, przypowieść, parabola)
[2] G. Herling-Grudziński: *Opowiadania zebrane*. Poznań 1991, s. 162. Wszystkie kolejne cytaty pochodzą z tego samego wydania, w tekście oznaczono je numerami stron.
[3] J. Kuczyński: *Zmierzch mieszczaństwa*. Warszawa 1967, s. 136. Wszystkie kolejne cytaty pochodzą z tego wydania.
[4] Ibidem, s. 184.
[5] Z. Kuderowicz: *Nietzsche*. Warszawa 1979, s. 155. Wszystkie kolejne cytaty pochodzą z tego wydania.

widziałaby wyższy szczebel rozwoju.[6] *Właściwi zaś filozofowie są rozkazodawcami i prawodawcami: powiadają tak być winno* [...], *a wszystko co jest i było, staje się dla nich, przy tym, środkiem, narzędziem, młotem.*[7]

Filozofów atakuje Herling za tworzenie papierowych koncepcji.

Na pytanie, które zadała Renata Gorczyńska (przytoczone w *Dzienniku)* – „Jak pan w ogóle ocenia odpowiedzialność filozofów i myślicieli za kształt świata?" Grudziński odpowiedział: „[...], że jest duża i ciężka. Że trzeba naturalnie filozofów czytać, ale nie wolno ich brać zbyt serio."[8] Najdobitniej słowa te znalazły odzwierciedlenie w *Ugolone z Todi*, opowieści o filozofie sprzed dziesięciu wieków, który nie zdając sobie sprawy, całe swoje „filozoficzne życie" poświęcił usprawiedliwianiu zła. Punktem wyjścia jest heglizm Gentilego, zakończył zaś na katolicyzmie mistycznym. Sam Grudziński wskazuje *w Postscriptum* do opowiadania, iż są pewne analogie między Ugolone i Nietzschem. Przesłanki o jego obłędzie są jednak zbyt niejasne, choć sugerowane. Trudno też, zdaniem Herlinga, wyobrazić sobie filozofa z Todi całującego osiołka na ulicy Asyżu.

Odnaleźć można w sylwetce zarysowanej przez autora także analogie z Immanuelem Kantem. Zarówno Ugolone z Todi, jak i Królewieckiego filozofa cechuje „żądza władzy, która chciałaby regulować obroty ciał niebieskich i wykreślić linię lotu jaskółki."

Przykład *Ugolone z Todi*, podobnie jak opowiadanie *Gasnący Antychryst*, obnaża jedno ze źródeł zła XX wieku, tzn. krańcowość spekulacji filozoficznej przejawiającej się w zakwestionowaniu danego od Boga ładu aksjologicznego.

Kiedy filozofia stanowi pole starcia jednostki i systemu, Herling staje zawsze po stronie jednostki, a jego przekonanie o słuszności wyboru jest tak silne, że nie podnosi problemu elastyczności doktryny, po prostu ją odrzuca. *System zawłaszcza sobie prawo do kreowania i wymuszania określonych zachowań politycznych, moralnych i religijnych. I tak w „Dzienniku" autor interpretuje hitleryzm jako totalną próżnię, właśnie dlatego, iż nie dopuszczał autonomii jednostki jako przeciwwagi dla państwa.*[9]

Innym polem starcia jednostki i systemu jest religia. Religijność Herlinga to dokładnie ten obszar, w który godzi Nietzsche. Chrześcijaństwo jest najbliższe kulturowo Grudzińskiemu. Traktuje je jak swego rodzaju zbiór mitów. Jest także czymś więcej – to zespół ewangelicznych norm etycznych. Ważny, w tym kontekście, jest dorobek artystyczny chrześcijaństwa, kształtujący jego rozumienie piękna. Stanowi więc dla niego swoisty układ światopoglądowo-aksjologicznego odniesienia.

Kiedy Zaratustra uśmierca Boga, podważa tym samym ów porządek, atakuje wszelką metafizykę, która stanowiła wiązania konstrukcyjne gmachu europejskiej tradycji. Na niej, na przesłankach i wzorcach metafizycznych, opiera się wszystko: religia, filozofia, nauki i prawo, nawet stosunki międzyludzkie. Jeżeli więc zostaną usunięte te stalowe filary, pozostanie bezładne rumowisko. Nietzsche, rozbijając dotychczasowe zasady pierwsze kultury europejskiej, przygotowuje totalną katastrofę. Interesujący jest fakt, iż to dopiero wiek dwudziesty odkrył Zaratustrę jako filozofa. Wiek dziewiętnasty postrzegał go bardziej jako pisarza. Stało się tak dlatego, że dawniej utopia była tylko grą rozpalonej wyobraźni, marzeniem o lepszym świecie. Im bliżej współczesności, tym więcej prób wcielenia jej w życie. Dzieje się to zaw-

[6] S. Starbo: *Gustaw Herling-Grudziński – Inny świat, fenomenologia cierpienia* [w:] *Etos i artyzm. Rzecz o Herlingu-Grudzińskim* pod red. S. Wysłouch i T. K. Przybylskiego. Poznań 1991, s. 25. Wszystkie cytaty pochodzą z tego wydania.
[7] J. Kuczyński, op. cit. s, 137.
[8] G. Herling-Grudziński: *Dziennik pisany nocą (1989–1992)*.Warszawa 1993, s. 333, zapis 14 lutego 1992.
[9] W. Kot: *Wobec wzorców literatury konfesyjnej* [w:] *Etos...*, op. cit., s. 171.

sze w imię szczytnych haseł. Jeśli już nie dla szczęścia ludzkości, to przynajmniej dla przyspieszenia konieczności dziejowych. Takie założenia, oczywiście zawsze teoretycznie uzasadnione, dają ich wyznawcom możliwość dyktowania warunków życia wszystkim, bez wyjątku. „Wiek dwudziesty zostanie kiedyś nazwany wiekiem totalitarnej hańby."[10]

„Jestem dynamitem"– krzyczy Nietzsche i każe iść przez zgliszcza starych norm do nowej „świetlanej przyszłości", która ma się wyłonić po nihilistycznym pożarze. Można więc nazwać go „pochodnią, która przez całopalenie pragnie rozświetlić mrok, ale i podsycić ledwie tlący się ogień pożaru."[11] Pierwszą i podstawową przyczyną nihilizmu jest utrata celu i sensu jakichkolwiek poczynań ludzkich. Po upadku transcendencji religijnej człowiek staje nagi wobec świata. Jeśli traci on wszelkie wartości, jego życiem zaczyna rządzić przypadek, wtedy błądzi w ciemnościach, a jego iluzoryczna wolność staje się wolnością ślepca. Nabiera tu szczególnej wymowy formuła „nie ma wolności bez prawa". Dawny wizerunek człowieka był wynikiem swoistego manicheizmu antropologicznego, tzn. istniały uświęcone przedziały między dobrem i złem. Ponieważ w filozofii Nietzschego to, co nadzmysłowe, tamten świat i niebo jest unicestwione, pozostaje tylko ziemia. Stąd musi wyłonić się nowy porządek. Będzie to władza nad ziemskim kręgiem sprawowana przez człowieka, ale nie tego sprzed przełomu, lecz nadczłowieka. Bowiem „człowiek winien zniknąć", jest on wszak *czymś, co przezwyciężonym być winno... człowiek jest mostem, a nie celem. Zaratustra będzie to wieścił wielokrotnie, już nie tylko jako diagnozę, ale jako nakaz, gdyż filozofia nihilistyczna nie tylko z kryzysu wyrasta, ale kryzys ów pogłębia.*[12] Człowiek to tylko przejście i zanik. Idea nadczłowieka jest wnioskiem ostatecznym filozofii Nietzschego. To najbardziej drastyczny manifest wymierzony przeciwko chrześcijańskiemu humanizmowi.

Właśnie człowiek, którego unicestwia Zaratustra, stanowi centrum metafizyki Herlinga – ten cierpiący i tragiczny, dotkliwie doświadczający własnej skończoności, a jednocześnie zdolny do wzniesienia się ponad własną ograniczoność i instynkt samozachowawczy. W sowieckim obozie Herling przekonał się, że prawda o mechanizmach fizjologicznych nie stanowi całej prawdy o człowieku. Człowiek Grudzińskiego zawieszony jest w odwiecznym porządku kultury i ciągle poszukuje Absolutu.

Nietzsche mówi o takich jak autor *Wieży*: *...cóż, zależy nam na waszej drodze wzwyż, na waszym powrozie, który wiedzie na zewnątrz?, który do cnoty i szczęścia wiedzie?, do was wiedzie, jak się tego obawiam.*[13]

Jednak tradycja humanistyczna jest żywa i jest to „kryształowy pałac". Trudno dziwić się, że pałac i jego blask wydał się iluzoryczny wtedy, kiedy wszystko zaczął spowijać mrok. Poza tym *humanizm kształtował się w walce ze złem i małością człowieka, nie jest idealnym wzorcem danym z góry. Był często tylko snem lub rzutowanym w przeszłość marzeniem.* [...] *A może jest tak, że im większy jego dorobek, tym mocniej widać kontury sprzeczności i kontrast z rzeczywistością.*[14]

„...to nie szczęście jest egalitarne, lecz cierpienie, ono dosięga każdego, ono wszystkich czyni równymi".[15]

Gustaw Herling-Grudziński rozpoczyna swoją opowieść od przedstawienia momentu szczególnego dla Fryderyka Nietzschego. Jest to chwila, w któ-

[10] S. Starbo, op. cit. s. 19.
[11] J. Kuczyński, op. cit. s. 286.
[12] Ibidem, s. 445.
[13] Ibidem, s. 199.
[14] Ibidem, s. 266.
[15] R. K. Przybylski: *W perspektywie cierpienia. O „Innych światach" Tadeusza Borowskiego i Gustawa Herlinga-Grudzińskiego* [w:] *Etos...* op. cit., s. 48.

rej filozof przyjeżdża do Włoch, aby tu pod gorącym niebem Italii napisać, jak to określa autor, wyrok dla świata i otworzyć pierwszy rok nowej historii. Tam w miejsce Boga przyjdzie nadczłowiek. Herlinga interesuje najbardziej katastrofa bazylejskiego filozofa, do której, według niego, doszło w momencie, kiedy *uwierzył, że zadał śmiertelny cios chrześcijaństwu i wraz z nim – radykalnemu podziałowi na to, co dozwolone, lub wręcz przykazane i na to, co objęte zakazem.*[16] Pierwsze sygnały nadchodzącej choroby pojawiają się już po pierwszym miesiącu pobytu w Turynie. Nietzsche ma dziwne widzenie bądź sen: *Motyw obrazu. Woźnica, z wyrazem wstrętnego cynizmu, odlewa się na własnego konia. Biedne stworzenie, z odparzoną i zdartą skórą zwraca ku niemu łeb – wdzięczne, bardzo wdzięczne* (s. 157). Wprawia go on w krótkotrwały stan rozdrażnienia.

Sen i ewokacja są stałymi elementami poetyki Herlinga, są one po części także potwierdzeniem jego poglądu o istnieniu czegoś ponad człowiekiem, jakiejś wyższej instancji. Stan taki zjawia się obok „życiowego", empirycznego czasu, w którym Nietzsche przygotowuje „nekrolog" dla świata. Pojawia się iluminacja, drobny znak, potwierdza on przekonanie pisarza, iż opisując świat bytujący w empirycznym czasie, natrafia się na znaki świata innego, którym nie rządzi czas ludzki mierzony narodzinami i śmiercią. Sen czy obraz, jakiego doznaje autor *Jutrzenki*, to sfera „pośrednicząca między realnością i pamięcią".[17]

Niepokój wywołany krótkotrwałą „migawką" szybko przeszedł i znowu filozof „uderzał piórem w kartki papieru". Swojemu dziełu nadaje tytuł *Der Antichrist – Fluch auf das Christentum*. Tekst jest pełny bluźnierstwa, pojawia się w nim postulat używania słowa „Bóg" jako obelgi. Świadczy to o tym, że Nietzsche nie był ateistą. Dzieło jego nie było próbą usankcjonowania ateizmu, ponieważ bluźnierstwo traciłoby jakikolwiek sens. Jest ono raczej próbą zanegowania porządku panującego na ziemi. Należy tu wyraźnie przeciwstawić Zaratustrę Antychrystowi. Są to dwa odrębne fragmenty życiorysu Nietzschego. Nagromadziło się naokoło niej bardzo dużo pytań oraz błędnych interpretacji. Z całą pewnością nie jest to teza ateistyczna, nie chodzi w niej autorowi *Tako rzecze Zaratustra* o bezpośrednie proklamowanie ateizmu, mimo iż jest on autorem najbardziej bezkompromisowej krytyki chrześcijaństwa. Jest ona dużo bardziej głęboka i radykalna oraz mówi dużo więcej niż teza ateistyczna. „Bóg jest martwy" (bo takie jest wierniejsze tłumaczenie, w przypadku Antychrysta – „Bóg jest hańbą, niech będzie przeklęty") oznacza, że nie ma sfery „tam" w przeciwieństwie do „tu", czyli nie ma transcendencji, która wyznacza początek i kres, wszystkie prawa i reguły oraz nadaje sens człowieczeństwu. Sfera „tam", którą przekreśla Nietzsche, uznawana była zwykle za sferę najważniejszych wartości i idei, układała się ona w trójkąt: Prawda–Piękno–Dobro.

Kiedy więc mówi – „Bóg umarł", znaczy to, że ta dziedzina najwyższych wartości, która nadawała sens istnieniu człowieka, została zakwestionowana. Nie oznacza to, że te wartości przestały istnieć, lecz że sama zasada ich stanowienia, według której mierzyliśmy świat jako wartościowy, uległa dezintegracji. Jaki jest więc świat, w którym żyjemy, skoro brak tych wartości? To świat „opustoszały i znicestwiony". Formuła ta nie mówi (jak potoczne rozumienie nihilizmu), że nic nie ma, ona mówi coś przeciwnego, „że nic jest". *Miejmy odwagę nauczyć się żyć w świecie, do którego drzwi puka nihilizm, ten tajemniczy gość, prawdopodobnie jednak to już taki świat, w którym owy gość mieszka.*[18]

[16] K. Pomian: *Manicheizm na użytek naszych czasów* [w:] G. Herling-Grudziński: *Dziennik pisany nocą (1971–1972)*. Warszawa 1995, s. 12-13.
[17] W. Bolecki: *Cienna miłość* [w:] *Etos...* op. cit. s. 122.
[18] Przy pisaniu korzystałem z programu telewizyjnjego „Ogród sztuk". Był on emitowany 8 stycznia 1996 r. w programie 2 TVP. Na temat filozofii Nietzschego wypowiadali się w nim: Karol Sauerland – filozof, Andrzej Mencwel – historyk idei, Bogdan Baran – pisarz, Cezary Wodziński – filozof.

Za Zaratustrą i jego mizantropią stoją jeszcze racje demaskatora moralności z resentymentu. Jest to najbardziej oryginalna koncepcja nietzscheańskiej psychologii moralności. Resentyment, czyli zawiść i zazdrość, tłumaczy Nietzsche zgodnie z zasadami swej filozofii. *Jest dla niego rodzajem aktywności charakterystycznej dla ludzi słabych, o niskim napięciu woli mocy.* [...] *Jest to działalność wtórna w stosunku do spontanicznej samodzielnej twórczości, nastawiona na zwalczanie jej wytworów.*[19] Polega ona na nieszkodliwym na pozór żądaniu równości, za którą kryje się chęć ściągnięcia jednostek większych i wybitniejszych do poziomu tych, które stoją na najniższym szczeblu „przeciętności". W tym procesie dostrzega Nietzsche manifestację nastrojów przeciętnych mas, które dzięki przewadze ilościowej zaczynają dyktować sposób życia we współczesnym świecie. Najbardziej odkrywcze w tym rozumowaniu jest ukazanie sprzecznych tendencji w moralności oraz odkrycie roli resentymentu „jako podłoża niektórych systemów normatywnych."[20] Do tych pomysłów nawiązał w swych pismach Max Scheler. Scheler stoi jednak na innej pozycji niż Nietzsche, uważa on mianowicie, iż „prawdziwa etyka istnieje tylko w obrębie religijnego objawienia."[21] Jego zdaniem, etyka nowoczesna, która uważa, że potrafi ją zastąpić, jest tylko jej zaprzeczeniem. *Etyka ta, przez zawiść w stosunku do najlepszych ludzi, zastępuje rzeczywistość wyższych wartości kryteriami prawomocności i jednogłośnej zgody.*[22] W tym kontekście wściekły atak na Boga i wartości chrześcijańskie, jakiego dokonuje Antychryst, to już właśnie resentyment, rozumiany tym razem jako „ideologiczne przekształcenie nienawiści – do tego co boskie oraz duchowej osoby w człowieku."[23]

W połowie listopada Nietzschego ogarnia apatia. Obserwuje u siebie powolny zanik siły witalnej. Coraz częściej z jego gardła dobywa się „charkotliwy śmiech", śmiech szatański. Odpadnięcie od Boga oznacza bowiem dostanie się we władzę szatana, przejście do królestwa Antychrysta. Nie przypadkiem w *Zbrodni i karze* Fiodor Dostojewski wkłada w usta Soni słowa, że Raskolnikow zaprzedał duszę diabłu. Zarysowuje się tu pewna ciągłość. Nietzschego określić można mianem Fausta epoki zmierzchu i zagłady. Analogię tę dostrzegł już Tomasz Mann. Sugeruje on w liście do Emila Preetoriusa, iż *Doktor Faustus*, powieść typowo niemiecka – motyw zaprzedania się diabłu dla zdobycia potęgi – to w znacznym stopniu powieść o Nietzschem. Uwidacznia się to już w samej konstrukcji bohatera: Nietzsche porzucił teologię dla studiów filologicznych, Adrian dla muzyki, Nietzsche zmarł 25 sierpnia 1900 r., Leverkühn dokładnie czterdzieści lat później – 25 sierpnia 1940 r. Dzieło Adriana Laverkühna jest w istotnej mierze muzycznym wyrażeniem filozoficznego i moralnego dramatu autora *Tako rzecze Zaratustra*. Lament *Doktoris Fustis* jest muzyczną transpozycją rozpaczy, płynącą z uświadomienia sobie klęski starego humanizmu.

Mann twierdził, że życie Nietzschego było zjednoczeniem „Dionizosa i Ukrzyżowanego".[24] Dualizm ten został oddany w powieści przez dopełniających się wzajemnie dwóch głównych bohaterów. Adrian dziedziczy po nim los oraz chorobę i sposób, w jaki Nietzsche ją na siebie sprowadził. Zeitbiom zaś odziedziczył po myślicielu klasyczną filozofię i niektóre cechy jego „zdrowej" krytyki kultury.

[19] Z. Kuderowicz, op. cit. s. 118.
[20] Ibidem, s. 119.
[21] M. Scheler: *Błąd etyki egalitarnej* [w:] *Panorama myśli współczesnej* pod red. G. Picon. Paryż 1967, s. 624.
[22] Ibidem, s. 624.
[23] M. Scheler: *Istota i forma sympatii*. Warszawa 1980, s. 163.
[24] J. Kuczyński, op. cit. s. 420.

Faust epoki masowej zagłady nie mógł przewidzieć, mimo swych nihilistycznych proroctw, że koszty powrotu jego wiecznej młodości będą tak wielkie, iż doprowadzą do bankructwa tradycyjnego humanizmu.

Nihilizm jest problemem, który stał się najbardziej istotny u kresu jego świadomego życia. Wpłynął on w sposób znaczny na klimat, w którym mógł się ugruntować faszyzm. Faszyzm stał się najbardziej jawną, niczym nie maskowaną formą nihilizmu, jego brutalną i barbarzyńską postacią. W centrum Europy pojawił się wtedy najgroźniejszy w dziejach szatan zinstytucjonalizowany, przerażający, bo rzeczywisty – totalitaryzm. Herling twierdzi, *że zarówno Marks i Nietzsche byli głównymi ideologami wojny domowej 1917-1945. Naszemu stuleciu Nietzsche wyprorokował wielką ideologiczną wojnę domową, której podporządkowane będą wojny narodowe i społeczne. Ostatnie notatki filozofa z roku 1898 do głębi są przeniknięte tym proroctwem, przy czym ideologiczna wojna domowa miałaby się zmienić w walkę o uwolnienie życia (pod wodzą partii kierowanej osobiście przez Nietzschego), zakończyć unicestwieniem całego rozwoju ludzkości od starożytności klasycznej*.[25] Cytat jest odpowiedzią na pytanie, jakie zadaje pisarz w komentarzu do utworu: „Czy potrafiłbym wytłumaczyć, dlaczego uważam katastrofę za tak znaczną". Atak Nietzschego, skierowany początkowo przeciw zepsuciu moralnemu zachodniej cywilizacji, przerodził się pod koniec jego świadomego życia *w tragicznie absurdalną próbę duchowej rewolty przeciw duchowi. Przypadek Nietzschego jest szczególnie pouczający z uwagi na ścisły związek między błędną analizą teoretyczną i praktycznymi konsekwencjami* [...]. *Duchowa rewolta nie przyniosła żadnego efektu, bunt przeciw duchowi uzyskał społeczne poparcie*.[26]

Przed Bożym Narodzeniem 1889 roku, według starego kalendarza, a pierwszym rokiem panowania Antychrysta, w jego ręce dostaje się *Zbrodnia i kara* Dostojewskiego. Filozof czytał już tę książkę i cenił rosyjskiego pisarza. Teraz jednak w perspektywie obrazu, który prześladował go od dłuższego czasu, sen Raskolnikowa opisany w piątym rozdziale nabrał innego wymiaru.

Fragment dotyczący *Zbrodni i kary* należy do fikcji literackiej, gdyż, jak przyznaje się Herling w komentarzu, nie ma dowodów na to, że przed ostatecznym atakiem obłędu Nietzsche przeczytał na nowo w Turynie utwór Dostojewskiego. Faktem jest jednak, że znał i cenił autora *Braci Karamazow*, wiedział, że spotkać u niego można własne tajemne myśli, których nie wyjawilibyśmy nie tylko przyjacielowi, ale nawet samemu sobie. Zbieżności losu Raskolnikowa i Nietzschego wydały się Grudzińskiemu tak duże, że postanowił włączyć ten motyw do opowiadania. Raskolnikow jest tym, który trzydzieści lat wcześniej w swym artykule dzieli ludzi, nie na dobrych i złych, ale na zwykłych i niezwykłych. Do kategorii zwykłych zalicza tych, którzy są dobrzy, kierujący się moralnymi nakazami, niezwykli sami ustalają prawa – im wszystko wolno. Jak to określa Razumchin, jeden z bohaterów *Zbrodni i kary*, „Raskolnikow przyzwala na krew zgodnie z sumieniem i to, [...] aż z jakimś fanatyzmem."[27] Czyli umieszcza się on „poza dobrem i złem" wtedy, kiedy Nietzsche jest jeszcze studentem z głową przepełnioną szczytnymi ideałami. W tym kontekście autor *Woli mocy* sytuuje się jako kontynuator myśli Dostojewskiego, gdyż ci „niezwykli" Raskolnikowa nie są niczym innym, jak nadczłowiekiem Nietzschego. W imię tych „niezwykłych" Raskolnikow dokonuje zbrodni, co jest fundamentem analogii między Antychrystem i Raskolnikowem. Tę analogię uczynił Herling ostatnią przyczyną szaleństwa Antychrysta.

[25] G. Herling-Grudziński: *Dziennik...*, op. cit. s. 332.
[26] E. Voegelin: *Lud Boży*. Kraków 1994, s. 26.
[27] L. Szestow: *Dostojewski i Nietzsche*. Warszawa 1987, s. 126.

Innego wymiaru w perspektywie znajomości *Zbrodni i kary* nabiera sen, staje się obszarem, który zostaje przywołany dzięki Proustowskiej magdalence – ulubionemu chwytowi Grudzińskiego, świadczącemu o sferze „tam". Pełni on rolę prefiguracji losu Nietzschego. Dochodzi tu do zetknięcia już nie tylko myśli Raskolnikowa i autora *Woli mocy*, lecz także odczuć czysto ludzkich. We wnętrzu obydwu odbywa się walka złych i dobrych duchów. W pierwszym obrazie objawiają się niszczycielskie skłonności Antychrysta. Przypomnijmy: *Woźnica z wyrazem wstrętnego cynizmu odlewa się na własnego konia. Biedne stworzenie, z odparzoną i zdartą skórą...* (s. 157). Lecz w następnym „widzeniu" daje o sobie znać coś, co stanowi rdzeń człowieczeństwa: *Boże! czyż ja naprawdę, rzeczywiście, wezmę siekierę, zacznę walić po głowie, zmiażdżę jej czaszkę* (s. 161). Właśnie poprzez sen dochodzi do głosu metafizyczna realność, która stanowi nieredukowalną wartość. Antychryst, wbrew temu co pisał, w podświadomości musiał wierzyć w taką wartość, gdyż stanowi ona jądro osobowości każdego człowieka. W walce tych dwu przeciwnych sił ujawnia się najpełniej moralitetowy charakter utworu. Obłęd Nietzschego, w tym świetle, stanowi chrześcijańską karę za grzechy.

W stanach chorobliwych sny częstokroć odznaczają się niezwykłą plastyką, wyrazistością i nadzwyczajnym podobieństwem do rzeczywistości... Słowa te, zacytowane za Dostojewskim przez Herlinga, można odczytać w innej perspektywie – czasami fikcja jest tak prawdziwa i bliska rzeczywistości, że może się wydać nią samą, *te same słowa – cierpienie, miłość, dobro, zło – mogą być na przemian żywym ciałem i pustym dźwiękiem* (s. 161). Ale może także dziać się odwrotnie, jak w wypadku opisanej w *Dzienniku* w końcu listopada 1978 roku przeróbki scenicznej opowieści *The strange case of Dr Jekyll and Mr Hyde*, wystawionej w roku katastrofy Nietzschego. Spektakl teatralny w tym wypadku wtargnął do rzeczywistości. Stevenson odsłaniał, zdaniem Grudzińskiego, *zło czynne z każdą metamorfozą bardziej agresywne, aż do zupełnego zawładnięcia osobą ludzką*. Skutkiem było kilka „realnych morderstw". Przelotny dreszczyk niesamowitości był wszystkim, co kwitowało jego opowieść. *Nikt się nie spodziewał, że zaczynał się czas dziwnych metamorfoz człowieka nowoczesnego. W ćwierć wieku później poczciwy Kafkowski komiwojażer Samsa obudził się rano w łóżku jako olbrzymi karakon*.[28] Popularne, a raczej odpowiadające masom, mity staną się motorem ruchu politycznego. Bajki, obłędne fikcje, czcze wymysły, mogą nie mieć nic wspólnego z prawdą czy rozsądkiem, a jednak stać się twórczą siłą warunkującą życie i tym samym okazać się dynamiczną rzeczywistością. Dostojewski był jednym z pierwszych, którzy dostrzegli tragizm przyszłych losów człowieka. Nietzsche ten tragizm jeszcze pogłębił.

U Dostojewskiego odnaleźć można klimat moralno-intelektualny tamtych lat, związany z anarchizmem i nihilizmem. Autor *Biesów*, podobnie jak bazylejski filozof, atakował poprawność mieszczańską i krytykował ruch socjalistyczny jako ten, który w drodze przemocy ma ustalić ustrój bez wyzysku i krzywdy. Bohaterowie jego powieści rzucają paradoksy swym pozytywistycznym przeciwnikom; brzmią one ahumanistycznie, ale wypowiadane są w imieniu ludzkości i z miłości do niej. Analiza Dostojewskiego polega na penetracji studni nieskończenie głębokich, a jego utwory zaludniają postacie bardziej fantastyczne od tych, które można dojrzeć *w Roncie nocnym* Rembrandta. Na kartach jego dzieł odbywa się ciągła walka dobra ze złem, ukazana najpełniej w kontrastowaniu postaci. Nawet *w Notatkach z podziemia*, uznawanych powszechnie za manifest nihilizmu (zresztą niesłusznie,

[28] G. Herling-Grudziński: *Dziennik pisany nocą (1973–1979)*. Warszawa 1995, s. 371.

ponieważ *„Notatki" miały być utworem o czuwaniu łaski uświęcającej nad obmierzłym człowieczkiem*[29], lecz przez ingerencję cenzury odczytywane są jako nihilistyczne), znajduje się jednostka dobra, która została zepchnięta na dno wbrew swej woli i zdąża do światła – to Liza. Bohater *Zbrodni i kary* Rodia Raskolnikow, na którym ciąży grzech zabójstwa, w końcowej partii książki sięga po Biblię – nawraca się. To nawrócenie stało się powodem sporu światopoglądowego pomiędzy Witoldem Gombrowiczem a Herlingiem-Grudzińskim.

Herling zarzucił Gombrowiczowi niedokładne odczytanie utworu, gdyż twierdził on, *że sumienie Raskolnikowa przejawia się tylko w jednym: gdy poddaje się temu sztucznemu. Międzyludzkiemu, zwierciadlanemu sumieniu*,[30] które tworzy kościół międzyludzki, on sam nie poczuwa się do winy. Grudziński na takie odczytanie przywołuje moment sięgnięcia po Biblię, który świadczy o nawróceniu. Na konkluzję „K", iż Gombrowicz *mógłby odpowiedzieć, że Dostojewski, który jak nikt inny przeniknął mechanizm świadomości i postępowania, po prostu „nie wytrzymał" bez Pascalowego „zakładu" wiary w istnienie Boga...*[31] *Zbrodnia i kara* jest właściwie powieścią o Ewangelii, o tym, czy przykazanie „nie zabijaj" w każdych okolicznościach musi być przestrzegane i czy „cel może uświęcać środki". To czyni Dostojewskiego przedstawicielem tradycji, w którą wpisuje swoją twórczość Herling.

Grudziński uważa, że „urodziła się" i trwa dalej epoka legitymizująca się jawnie lub skrycie hasłem sformułowanym przez Dostojewskiego: „Skoro Boga nie ma, wszystko wolno".[32] Dla autora *Braci Karamazow* jest to tylko „eksperyment metodologiczny",[33] założenie, że Boga nie ma, przyjęte po to, aby udowodnić autonomię wartości. Niestety, ukazuje się wtedy cała nędza człowieka, a świat wartości rozsypuje się jak mur, z którego usunięto spoiwo. Tracą wtedy sens wartości poznawcze, prawdy rozumu układają się w teorię zbrodni Raskolnikowa czy nihilistyczne wizje Nietzschego. Podobnie fałszywa staje się idea wolności absolutnej, powtarzając za jednym z bohaterów *Biesów* – „zaczynam od nieograniczonej wolności i kończę na nieograniczonym despotyzmie".

Raskolnikow czy Nietzsche to „odszczepieńcy", ludzie oszukani, bezwiedni słudzy szatana. Szatan udający Chrystusą, zło podawane za dobro, zbiorowe szaleństwo w imię prawdy naukowej, to już wizja Apokalipsy. Ostatnie słowa Nietzschego, według Herlinga, brzmią „un povero cristo".[34] Tragizm osobistych losów filozofa staje się, w tym kontekście, szczególnie przejmujący i stanowi zindywidualizowany przejaw tragizmu powszechnego. Epizod opisany przez Grudzińskiego w opowiadaniu zaprzecza konstrukcjom myślowym, które tworzył Nietzsche, *pokazuje ich namiastkowość i niewystarczalność wobec osobistych doświadczeń filozofa*.[35] Ów człowiek nie wytrzymał wielkiej odpowiedzialności, której podjął się po śmierci Boga. Jak gdyby, „nie można było obalić granicy między dobrem a złem, a zarazem zachować w całości to, co mamy w sobie swoiście ludzkiego. Jak gdyby nie można było uznać, że wszystko jest dozwolone i nie oszaleć".[36]

Antropocentryzm Nietzschego przywodzący na myśl poszukiwanie absolutnej autonomii nieuchronnie musi się zakończyć klęską. Grozi ona, zdaniem Tomasza Manna, wszystkim filozofom okresu przełomu.

[29] Op. cit., s. 83, zapis z 28 maja 1971.
[30] G. Herling-Grudziński: *Upiory rewolucji*, Lublin 1992, s. 289.
[31] Ibidem, s. 219.
[32] Ibidem, s. 292.
[33] G. Herling-Grudziński: *Dziennik...*, op. cit. s. 37, zapis z września 1970.
[34] B. Urbanowski: *Dostojewski. Dramat humanizmów*. Warszawa 1994, s. 164.
[35] G. Herling-Grudziński: *Opowiadania...* op. cit. s. 162.
[36] W. Kot, op. cit. s. 172.

...to nie szczęście jest egalitarne, lecz cierpienie, ono dosięga każdego, ono czyni wszystkich równymi. Ale ci, którzy to przypominają – Kafka, Camus, Becket – posądzani są o czarnowidztwo.[37]

Radosław Borzęcki

[37] K. Pomian: *Manicheizm...*, op. cit. s. 13.

Książki nadesłane

Poezja

Dorota Pająk: *TWA-rz*. Wydawnictwo Miniatura. Kraków 2001, ss. 56.

Edward Sakowski: *Cichy szept in between*. Agencja Wydawnicza CB. Warszawa 2001, ss. 46.

Jerzy Sikora: *Demony mieszkają w nas. Wiersze wybrane*. Wyd. Towarzystwo Miłośników Rajgrodu. Rajgród 2001, ss. 116.

Mateusz Szyszka: *Gdyby ludzi zabrakło*. Wyd. Polski Atlas Gospodarczy. Tarnów 2000, ss. 57.

Maria Wojtczak: *Rapsod jesienny*. Wstęp Marian Kisiel. Wyd. Górnośląskie Towarzystwo Literackie. Katowice 2000, ss. 98.

Agnieszka Wolny: *Lonty*. Wyd. Stowarzyszenie Pisarzy Polskich. Wrocław 2001, ss. 51.

Katarzyna Ewa Zdanowicz: *Szkliwo*. Wyd. „Kartki". Białystok 2000, ss. 56.

Lidia Zabiegałowska: *Trójkątny księżyc*. Wyd. Grupa Literacka „Łuczywo". Zwoleń 2000, ss. 54.

Teresa Ludorowska-Thevenaz: *Wiersze*. (Brak wydawcy). Lublin (brw), ss. 63. Ilustracje autorki.

Wydawnictwo Adam Marszałek, Toruń 2001

Jarosław Komuda: *Pionierzy doskonałości*. Ss. 60.

Paweł Tański: *Baśnie, głosy, przedmioty. Wiersze z lat 1994-2000*. Ss. 60.

Dorota Wichowska: *Czekając życia*. Ss. 85.

Jan Zumis: *Ucieczka z La Manczy*. Ss. 80.

Jan Kurowicki: *Figury wyobraźni XX wieku. Wykłady o literaturze z perspektywy filozofii kultury*. Ss. 201.

Zofia Mossakowska: *że cię nie opuszczę aż do śmierci*. Powieść. Ss. 299.

Artur Pastuszek: *Metafizyczne grymasy. Czysta forma Witkacego jako kategoria metafizyki*. Ss. 179.

TOMASZ GERSZBERG

Z cyklu: *Zjednoczona Europa*

Nicea

Nic tak nie śmierdzi jak śmietnik w Nicei.
Poza tym dzięki nieznajomości lokalnego języka
– błoga nieświadomość. Zamiast nagłówków
do leżącej gazety przykuwa niemy krzyk rybiego łba.
Śmierć jest cool, potwierdził X pakując do ust kawał
cielaka. Wstrząsnęło mną jak przed użyciem.
Zaraz potem zostałem zaaplikowany galaktyce
much na masce TIR-a, mlecznej drodze dżdżownic
pod koła ciężarówek, czarnym dziurom
oczodołów w rozjechanej czaszce kota.
Pod powiekami miałem plik listów z nieobecności,
za paznokciami pachnące nic.
Taka kuracja nie może się powieść.

Wa-wa

A.G.

Dzwon rozkołysany jak niebieskie jaja wzywał do powstania.
Po umyte zęby uzbrojony w cierpliwość stanąłem na wysokości
codziennych oczu. Po kilku godzinach landszaftu ze spalin
zobaczyłem najlepsze umysły mego pokolenia trawione gorączką
zakupów. Dziwnie było nie pomyśleć o tobie idąc piątą aleją
od kas w głąb trzewi Molocha. Trzy lata minęły od twojej śmierci,
lecz to nie ma znaczenia. Dla nikogo. Może oprócz ciebie.
My poczyniliśmy postępy. Poezja to już niezakłócony
przepływ nieświadomości. I coraz bardziej krucha wiara
w umieranie. Pamiętasz? Na środkowym pasie psie ścierwo jak przeszkoda
nie przestroga. (Ten fizyczny smród ściąga mnie znów do ciebie.)
Ostatnio wyobrażam sobie jak mruczysz mantrę, z kwiatem
w odbycie. Om i am krążą w powietrzu niczym superbombowiec
który jednym zrzutem może rozpirzyć to miasto.
I tylko ja jeden mogę go powstrzymać. I nic nie robię.

Genewa

Zapytałem o godzinę, po niemiecku. Z jego oczu
poleciał grad kamieni wszystkich zegarków Szwajcarii,
jakbym był coś winien, że kupował żydowskie złoto od Hitlera.
Dookoła sterylny brak wrażeń. Na lewo widokówka jeziora,
po prawo alpejski folder. Domy i ludzie bez śladów
zadrapań. Czy historia może mieć tu miejsce?
Jeżeli już, to taka jak ta: kilka gołębi dziobie frytki,
na ławce siedzi plastykowy clown, jak wolny futerał na duszę,
zaś brzegiem idą dwaj panowie w garniturach.
Trzymają się za ręce.

Saint Remy de P.

Ale nuda. Rozlewiska białego powietrza, krzywe kamienice,
żałobny kondukt cyprysów. Wszystko to już widziałem
na obrazach, nawet ładniejsze. Jednak natura nigdy
nie dogoni listów wyobraźni. Na przykład Witek pisze
do brata. Pisze i pisze a w jego fiołkowy e-mail
wkrada się wirus szaleństwa. I już po chwili jest
na wszystkich muzeoserwerach Europy i atakuje ludzi
odpornych jak nigdy dotychczas.

Šternberk

Lidovka – najmilsze życie na Ziemi. Wystarczy przestać
się uśmiechać, by kelner przyniósł następne piwo.
W tym kraju prowadzić wojnę jest zbrodnią przeciw ludzkości.
Nawet przestałem się dziwić, że Hašek napisał Szwejka,
teraz dziwię się, że chciało mu się cokolwiek napisać.
Ja jeszcze notuję. Kolejne kreski na tekturowej podstawce Litovela,
jak karby na kolbie winchestera, ślady walki o lepsze wczoraj.
Gdybym był swój, pewnie ocaliłby mnie tętent
filozofów kultury, papierowej kawalerii wolności.
Okrążony przez Komanczów w krawatach wojennych
Johnie Waynie naiwności, jeszcze jedną kulkę w łeb?

Bonn

Sztywność tego powietrza dusi kołnierzem.
Przez ulicę przechodzę na zielonym,
wyprostowany jak nigdy. Na schodach

ruchomych stoję jak wszyscy z prawej,
oczy przymuszane do symetrii opieram
na obydwu poręczach.
Patrzę na wieczór zajmujący miejsce przy parkomacie
i wiem jedno: chciałbym być kochany jak woskowany
Golf, z elektrycznym szyberdachem w czaszce,
przez który klimatyzowana fullopcja zagłuszyłaby rajdy
milionów oczu po szutrze nieistotnych nagłówków,
reklam niosących niepokój w tłum.
Wentylowana tarczo hamulców módl się za nami.

Tomasz Gerszberg

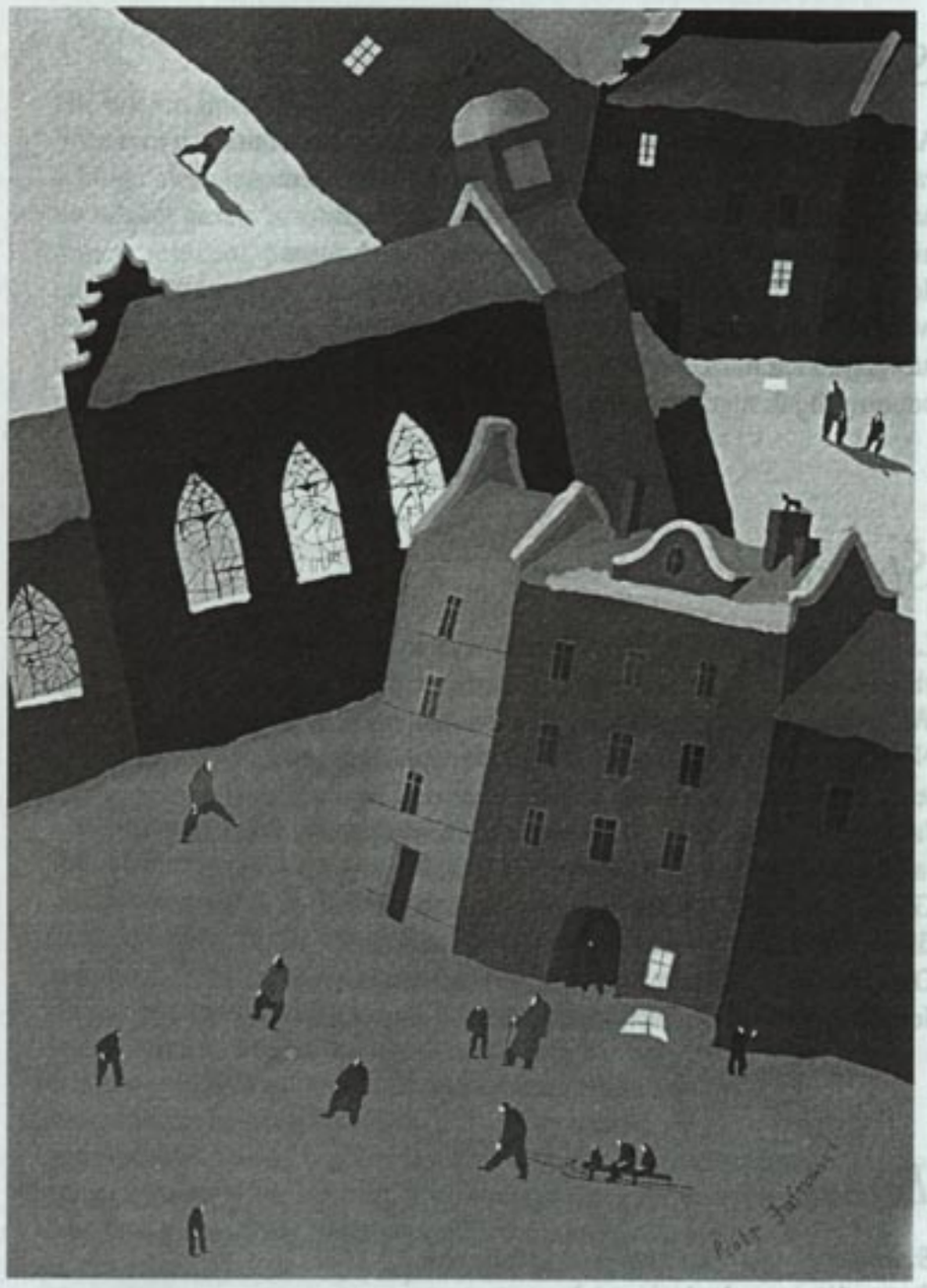

Piotr Fąfrowicz: *Zima*, 1993

SZCZEPAN WORONOWICZ

Śrubokręt

1.

Stalowy trzpień niewielkiego śrubokręta w pewnym sensie odziedziczyłem po ojcu. Kiedyś (może przed trzydziestu laty) mówił mi, że to klasyczna forma. Wierzyłem w to, oczywiście, bo w co miałem wierzyć? Trzpień od dołu szedł opływowo ku górze, do części rękojeści, która zachowywała dwa symetryczne miejsca na wypełnienie, które umożliwiało rzeczywisty uścisk, niezbędny przy wkręcaniu lub wykręcaniu śrub. W sumie siła zaklęta w stali narzędziowej (tu miejsce na Polską Normę PN), może być w istocie wszystkim, o czym wiedzą ludzie z Łucznika, którzy ostatnio zostali mocno doświadczeni i niewiele wskazuje na to, by można było różowo oceniać ich przyszłość. Słyszę, że zakład ma być zlikwidowany zapewne za radą zachodnich producentów broni, albowiem ludzie, którzy teraz rządzą, są sprzedajni, nie ma, *k'sażelenju*, innego wytłumaczenia. To jest zresztą wspólna cecha rządzących, niezależnie od maści, ponieważ tak naprawdę jest im wszystko jedno, co stanie się z rządzonymi. Nie zmartwi ich zbytnio ich śmierć, żałowaliby co najwyżej spadku liczby głosujących, która wynikałaby z masowego zejścia wyborców. Choć, z drugiej strony, zapewne spadłyby koszty. Biedni, skatowani pracą ludzie, którzy w dłoniach zachowali kształt kolby pistoletu maszynowego Kałasznikowa, nie mówiąc już o wsporniku lufy. „Kałasz" jest zapewne jednym z arcydzieł XX wieku. Dane statystyczne mówią, że najwięcej rosyjskich licencji sprzedawanych na całym świecie dotyczy właśnie tej broni. Nie należy się dziwić. Używa go cała Ameryka Południowa, nie mówiąc o Afryce, która ostatnio bywa nazywana kolebką ostatecznego kompromisu i pokoju pogrążonego, niestety, w adidasie, głównie za przyczyną działania zakłamanej Ameryki i w związku z tym Afrykanie są skazani na śmierć, zabijając się bronią pochodzącą z zagranicy, kupowaną za ich własne złoto i diamenty. Przejmujący te skarby, szmaciarze, m.in. z Manhattanu, nie słyszą oczywiście ryku tygrysa i nie czują gracji ruchów żyrafy. A tymczasem wspaniały konstruktor, jak wiadomo, odmówił kuszeniom, staromodny patriota. Oparł się kuszeniom, wiemy, niestety, jakim, spod znaku odrdzewiacza o nazwie Coca Cola. Nadal siedzi sobie w Rosji, w niewielkim mieszkanku i ma tam nawet pianino. Jego pracownia, nazywana, w porywach, instytutem, mieści się w nędznym, rozpadającym się baraku, jak dowiaduję się z rosyjskiej prasy.

Ów rdzeń śrubokręta odnalazłem po trzydziestu, z górą, latach, na dnie zardzewiałem żelaznej, otwierającej się „w wachlarz", skrzynki na narzędzia. Był w opłakanym stanie. Rdza wyżarła w nim widoczne, głębokie rany. Nie pomogłaby nawet Coca Cola. Użyłem zatem tradycyjnego odrdzewiacza, preparatu „Foskor", malując nim stelaż przez kilka kolejnych dni. Metaliczny blask stali wydobywał się powoli, ukazując swoje zimne piękno. Matowe,

brunatne rany, spowodowane rdzą, były wyraźnie widoczne, co mnie, przyznaję, trochę przygnębiało.

Myślałem o ojcu, chyba nietypowym człowieku antysukcesu, żołnierzu generała Władysława Andersa. Rdzeń był w jakimś sensie jego portretem i dziedzictwem. Oto ktoś, kto w zawirowaniu czasu odnosił właściwie tylko rany i doznawał niemal wyłącznie niepowodzeń. Ojciec nigdy nie zapisał się do Polskiego Związku Piłki Ręcznej (PZPR). Niespodziewanie przypomina mi się moja siostra Teresa, starsza ode mnie o trzynaście lat, właściwie Teresa Barbara, która po kilku latach po ukończeniu studiów, mając za sobą okres sądzenia w sprawach karnych, w gmachu z napisem „Sprawiedliwość jest ostoją i siłą Rzeczypospolitej" (dziś mieszczącego się przy alei Solidarności, dawniej generała Świerszczewskiego), pracowała w cenzurze PRL, przy ulicy Mysiej. Ojciec wstydził się tego, choć milczał. Wcześniej, w latach licealnych, w mojej siostrze kochał się, bez wzajemności, jeden z polityków dzisiejszej prawicy, pozostający trochę na uboczu. Dowiedziałem się o tym od obecnej żony zainteresowanego, kobiety o ciepłym spojrzeniu i silnym instynkcie życia, która jako kilkuletnia dziewczynka wyskoczyła z pociągu wiozącego ją wraz z babcią do Auschwitz. Moja siostra pracowała w gmachu cenzury jako prawnik. Z niektórymi cenzorami była zapewne na „ty". Nie usprawiedliwiam jej. Małego, cudem uratowanego życiu, *feminin* filaru systemu? Nie czuła się tam dobrze, musząc znosić kaprysy szefa, gościa z byłej AL (Armia Ludowa), trzymającego, za przeproszeniem, za twarz cały gmach. W młodości siostra domagała się, by rodzice uznawali jej, jak sądziła, święte prawo do prywatności, co wyrażało się w skłonności do przychodzenia do domu nad ranem. Po kilku latach z radością powitała zatem wiadomość, że rodzice, chcąc w jakiś sposób zrekompensować jej poniesione niewygody, kupili jej kawalerkę na Bielanach, gdzie robiła, co chciała, w czym, wyznam skrycie, byłem jej kibicem.

Śrubokręt (a właściwie jego metalowy rdzeń) był, jak już mówiłem, przeżarty rdzą. Mimo to nie zrezygnowałem, przeciwnie, traktowałem to jak wyzwanie. Mogłem przy tym swobodnie przywoływać myśli o ojcu, trochę, przyznaję, odsuniętym na bok w tym związku, w którym nie wiedzieć dlaczego przyszedłem na świat. Mówię „nie wiedzieć dlaczego", ponieważ trudno sądzić, żebym był owocem obopólnej miłości. Po kilkudziesięciu latach widzę, że związek mojego ojca z moją matką miał wiele wspólnego z klimatem *Panny Julii* Strindberga, przy czym jawił się on jako autor właściwie bardzo delikatny w porównaniu z tym, co działo się między ojcem a matką, a czego świadkiem byłem od wczesnego dzieciństwa. Wszystkie moje dolegliwości (które rzecz jasna, staram się ukryć) wynikają z tego, że w ósmym miesiącu ciąży ze mną moja matka uznała, że trzeba zrobić remont mieszkania, znajdującego się na poddaszu jednego z budynków przy ulicy Nieporęckiej, na warszawskiej Pradze, niedaleko tak zwanego monopolu. Mój ojciec miał na temat remontu zdecydowanie odrębne zdanie, choć nie manifestował swojego poglądu. Wolał raczej chodzić do jachtklubu mieszczącego się nad brzegiem mojej ukochanej Wisły i powoli sączyć drinki, najchętniej, jak przypuszczam, tzw. long drinki.

Tymczasem ona, jak to się mówi, niewiele myśląc, pożyczyła drabinę od sąsiada, zapewne uznawszy, że ósmy miesiąc daje jej jakieś poczucie bezpieczeństwa i zaczęła zasuwać na biało miejscami ukośne sufity (biel tytanowa). Nietrudno przewidzieć, że w tej sytuacje byłem tzw. wcześniakiem. Przyszedłem na świat 25 grudnia 1951 roku jako późne dziecko, ponieważ matka

rodząc mnie miała blisko 40 lat. Wcześniak i późne dziecko – człowiek paradoksów, o tym, że tak jest, przekonałem się znacznie później, mając zresztą w istocie niewielki wpływ na bieg wypadków.

Ale wówczas, tak naprawdę, nie chodziło tylko o brak kasy. Ojciec, mimo że jego stałym, jak to się mówi, miejscem zakwaterowania w owym czasie był wspomniany jachtklub, był emocjonalnie zupełnie zależny od mojej matki. Biedny człowiek. Robiła z nim co chciała – że ścielił się u jej stóp to mało powiedziane. Był jej dywanikiem, oględnie mówiąc. Chociaż się do tego nie przyznawał i niekiedy przechodził okres buntu, po którym następował zwykle moment sypania sobie popiołu na łysiejącą głowę.

Sprawa rekonstrukcji śrubokręta posuwała się naprzód, przyznaję, dość powoli. Najpierw myślałem, że na wypełnienie miejsca na rękojeść będzie dobry dąb. Minęło kilka dni, zanim zorientowałem się, że lite drewno w tym przypadku nie spełni pokładanych w nim nadziei, niezależnie od gatunku, to jest niezupełnie, ponieważ nawet ślepy widzi, że grab znacznie różni się od sosny.

Wziąłem zatem sklejkę czterowarstwową grubości 7 milimetrów. Kłania się współczesna technologia drewna: jest sklejka klejona plastikiem, a nie jak przed wojną krwią cielęcą (z lekką trawersacją, zapewne w tym można upatrywać jeden z powodów przegrania kampanii wrześniowej 1939 r.). Niemiecki generał Heinz Guderian, urodzony 17 czerwca 1888 roku, który doczekał się nawet polskiego wydania swoich *Wspomnień żołnierza* (1958), autor idei nowoczesnego ataku wojsk pancernych, zapewne nie myślał o tym, że jego czołgi trzymają się na klej. Co myślał, kiedy we wrześniu 1939 r. zobaczył, że ma do czynienia ze swietnie wyszkoloną kawalerią o bardzo wysokim morale? Zapewne, przyjacielu, nie mógł znać *Lotnej*.

Do scalenia nakładek użyłem drutu miedzianego fi 2,5 milimetra. Wiedziałem, że jego ciepły błysk później z pewnością ożywi rękojeść. Nie robiłem jednak nitów. Byłoby to zbyt kłopotliwe, zresztą nie mam imadła (zepsuł je krewny Tomka, sąsiada psychopaty na Wilanowie, podczas mojego pobytu w Londynie, po czym odkupił je, ale mniejsze), nie mogłem zatem zabrać go, zostawiłem mojemu synkowi, Grzesiowi, nie mogłem więc robić nitów, nie to, co mój ojciec, przygotowywał je z drutu miedzianego fi 8 milimetrów, potem nitował nimi łódź dębową, zrobioną z kilku pni, wspólnie ze swoim kumplem K., którego żona była obiektem chorobliwej zazdrości mojej matki. Uważała, że mój ojciec, żeglując, chciał ją zbałamucić. Pomijam to, uważając, że mojemu ojcu podobała się jego córka (oczywiście platonicznie). Są nawet zdjęcia, jak leży z moją siostrą, jego pierworodną córeczką na pokładzie tej już gotowej, świetnej łajby. Nie dziwię, że na tym czarno-białym zdjęciu uśmiecha się do jej biustu i płaskiego brzuszka, zapewne wie, co robi, w końcu, mimo wszystko, to mój kochany *pater*.

Stal wytrwała tylko do pewnego stopnia, nie wytrzymała, niestety, tych trzydziestu lat. Wżery są głębokie, nie do usunięcia. Chemia zazwyczaj nie pomaga tam, gdzie nie ma emocji, tak przynajmniej sądzę na wstępie, albowiem ciągle jestem na początku drogi, mówię optymistycznie, już bliziuteńko pięćdziesiątki, mając przed sobą niewiele normalnych lat, oczywiście w wariancie optymistycznym.

Biorę zatem sklejkę, ostrożnie przymierzam na wymiar. Opływowy kształt wymaga pewnych zabiegów na początku (zwężona i poszerzona elipsa dolnej i górnej krawędzi). Pomaga mi w tym pilnik, tzw. zdzierak wyposażony przeze mnie w drewnianą rączkę z pięć lat temu, przechowywany w otoczce z papieru

toaletowego nasączonego naftą, obłożony folią plastikową, żeby nie parowało. Obkładam go troskliwie tym kompresem zawsze po kolejnym użyciu, na nowo, co sprawia, że czuję muśnięcie, tchnienie nieskończoności.

Robię otwory w sklejce (stary Bosch, 2 tys. obrotów na minutę, wystany w najcięższych czasach, zimą, na ulicy Świętokrzyskiej w warszawskim Śródmieściu, przed niskim pawilonem, gdzie teraz sprzedaje się komputery). Wszystko pasuje, biorę więc dwa kawałki drutu miedzianego, przewlekam. Zostawiam tak przekłute warstwy sklejki przez kilka dni. Chcę, żeby odpoczęły. W końcu takie przekłucie dla nich jest większych przeżyciem niż doznanie jakiejś podlotki, kiedy robi sobie dziury w uszach, by, broń Boże, nie pójść dalej, w kierunku języka, co oznacza, a raczej, co robi się po to, by uzyskać zupełny inny, niemal transcendentalny wymiar *fellatio*.

Lakier nitrocelulozowy trafił mi się zupełnie przypadkiem, stał zapomniany na dolnej półce szafy, w której przechowuję pokost, farby, lakiery i narzędzia. Był elementem tzw. złotego zestawu, pochodził w istocie z późnych lat siedemdziesiątych, kiedy moja matka zażyczyła sobie wymalowania na ścianie w kuchni chińskiego, za przeproszeniem, ptaka, złotego pawia. Zestaw składał się z bezbarwnego lakieru nitro, do tego, w komplecie, był złoty (tak naprawdę mosiężny) drobnoziarnisty proszek. Trzeba było dobrze wymieszać oba składniki. Malowałem duży ogon ptaka. Tło było ciemnopomarańczowe, czyli trochę niekonwencjonalne, ale zestawienie kolorystyczne przypominało ładny komplet do herbaty, który przywiózł mój ojciec z Chin, gdzie sprzedawał samochody „Warszawa", ostatnie z europejskich, których karoseria była wykonana z blachy grubości 1 milimetra. (Ostatni samochód zszedł z taśmy montażowej w 1979 roku.) Ojciec odniósł zresztą liczący się sukces handlowy, sprzedawszy znaczną ilość aut, mimo że podczas całego pobytu trochę się denerwował, ponieważ mieszkał w pokoju hotelowym, w którym jakiś jego krajan zginął w okolicznościach nie do pozazdroszczenia; funkcjonariusze chińskiej bezpieki wtargnęli niespodziewanie do pokoju, podcięli mu żyły, położyli go do wanny, spuścili krew, wykąpali i czyściutkiego pozostawili do dyspozycji Wszechmogącego, co najwyraźniej wskazywało, że w jakiś sposób, a zarazem oczywiście, naraził się ówczesnym władzom ChRL.

Teraz pozostały mi już tylko resztki lakieru. Gęsta, skondensowana ciecz, w aptecznej buteleczce sto gram („Kto tam?" „Sto gram.") z ciemnego szkła. Złoty proszek teraz odkładam na bok. Mam czarny, amerykański pędzelek z kompletu otrzymanego od pewnej zdecydowanie antyamerykańskiej Amerykanki, córki anestezjologia z Triestu i Słowaczki, urodzonej już w USA. W sumie nie jest tak źle, tak czy siak, owa Amerykanka jest główną wygraną na loterii. Mogę malować.

Stal ma swoje prawa. To nie jest społeczeństwo, które można plastycznie kształtować jak chcesz, zmuszać do życia w nędzy, czyli robić z nim to, czego samo chce. Jeśli nadżerki rdzenne są głębsze niż 2 milimetry, to niewiele możesz zrobić. Śrubokręt pozostaje śrubokrętem również po kilkudziesięciu latach. Śrubokręt, a nie procentowe kiziu-miziu, czyli delikatne sączenie za i przeciw.

Wiesz, że jesteś sam i na to, niestety, nie ma rady.

Na pocieszenie powiem ci, że rękojeść wypadła ostatecznie bardzo dobrze. Jest zrobiona tak, że ja będę gnił, ona będzie piękna i błyszcząca, nawet jeśli trochę straci z blasku, gładka, nie jak te dzisiejsze podlotki. Bo one bardzo szybko się zestarzeją i będę pragnęły czułości obojętnych, bezsilnych, ale majętnych starców.

2.

Poczekałem trochę, żeby się przekonać, czy kilkuwarstwowa sklejka trzyma normę. U mnie leżakowała za lodówką piętnaście lat. Co powiedzieć, dobre rokowania. Doczekałem się. Była cicha, nie puchła. Wziąłem młotek – kilka uderzeń i już po wszystkim. Zgięcia miedzi były jak delikatne uda chudych kobiet, a ściślej ich zgięcie przy biodrach, elastyczne i podatne na czuły dotyk, w żadnym razie nie lubiące ekstremy. Rude kobiety są, mój syneczku, bardzo wrażliwe, nie zapominaj o tym. Miej to na uwadze, a zapewne, wcześniej czy później, odniesiesz sukces, co sprawi mi oczywiście dużą radość, jak możesz przypuszczać.

Teraz pozostało mi tylko łagodne zaklepanie drutu, a właściwie dwóch tzw. szpilek. Miedź poddawała się jak doświadczona, delikatna kobieta. Nie od razu, ale zapewne przeczuwając co będzie za chwilę, nie stawiając oporu, dając z siebie wszystko, to jest doświadczenie kilkudziesięciu lat i bezcenną wiedzę wieku balzakowskiego, wilgotne ciepło tego, co stale finezyjnie skrywa między nogami. W sumie, rzecz cała rozbija się o to, drogi przyjacielu, że nie jest wszystko jedno, czy ona trzyma cię nogami za szyję, czy w pasie. To bardzo istotna sprawa kąta, ale nie kąta padania i odbicia, rzecz jasna, o ile przypominasz sobie z lekcji fizyki.

Jeszcze ostateczne szlifowanie i lakierowanie, wiesz zapewne, że to ostatni etap, do którego dochodzi się stopniowo. Oczywiście to nie jest takie proste. Zanurzenie pędzla w lakierze nitro to chwila. Potem zasycha, by nie powiedzieć, usztywnia się, rzecz jasna, pędzelek. Musisz użyć acetonu, jeśli chcesz zrobić następny krok.

Rękojeść jest już gładka, dobrze pasuje do ręki. Powoli dochodzimy do istoty najgłębszych naszych, najbardziej intymnych wspomnień, przyjacielu. Pamiętaj, są takie, że nigdy się od nich nie wyzwolimy, chyba że nas pogrzebią, kiedy, nawiasem mówiąc, wyzwolimy się od wszystkiego.

Okazuje się, że mając do zrobienia (a właściwie do zrekonstruowania) śrubokręt, można powoli dążyć do absolutu. Tajemny blask metalu dostrzeżesz również w poblasku drewnianej rękojeści, pokrytej kilkoma warstwami lakieru, urozmaiconej, tylko dla przyjemności, ciepłymi w blasku przecinkami sklepanego miedzianego drutu okolonymi nieco ciemniejszym obszarem na rękojeści, który przywodzi na myśl delikatny cień. Pod jego osłoną czujesz się bezpieczny, *my friend*.

3.

W październiku 2000 roku po raz pierwszy zrobiłem użytek ze zrekonstruowanego śrubokręta. To była śruba fi pięć z nakrętką i podkładką, były kadmowane według Polskiej Normy (PN). Ręcznie nie mogłem wkręcić nakrętki, czułem opór metalu, a właściwie tlenków metalu, które zdążyły się zadomowić na powierzchni gwintów. Co dalej? Kombinerki i śrubokręt – poszło gładko.

Na jednej stronie rękojeści zauważyłem lekkie, ledwo widoczne pomarszczenie lakieru. To od nadmiaru, lakier spływał z przeciwległej strony, a śrubokręt był unieruchomiony w poziomie pomiędzy tekturowym pudłem piły tarczowej na 380 volt (tzw. siłę) a czterowarstwową sklejką, z której zrobiłem wierzchni blat, żeby było elegancko. A zatem wszystko zdarłem. Wszystko zeskrobałem stalowym ostrzem do żywego. Wyrównałem niezbyt kaleczącym papierem ściernym. Zdmuchnąłem. Na wierzch dałem lakier ftalowy, zastygający wolniej, ale dający za to pewność długoletniego, twardego, szklistego połysku.

4.

Grób jest ciszą, gwarantowanym oderwaniem od wszystkich i wszystkiego. Nawet gdybyś..., to i tak cię wszyscy, i tak dalej. Co najwyżej, kiedy przychodzisz im na myśl, decydują się na najtańsze *lastrico* dla ciebie. Co bardziej ambitni myślą o granicie, co oznacza, że oni sami i ich bliscy mają akurat jakąś luźną kasę do wyjęcia. A ty leżysz, przynajmniej półtora metra pod ziemią. Stary żelazny krzyż z siedmiomilimetrowej blachy stalowej nad tobą, przestrzelony w kilku miejscach w czasie wojny, chyba z kalibru dziewięć milimetrów, pomalowany przeze mnie kilka lat temu ciemnobrązową minią i popatrz, nikt nie pomyśli, co na to Stwórca. Cicho leżysz, nagi, bezbronny, ubrany tylko na pokaz, bez butów. Dziurawe, nylonowe skarpety zapewne przetrwają przegnicie twojego wełnianego garnituru. A zatem, jeśli cię kiedyś odkopię, jak każe zwyczaj panujący na Madagaskarze do dziś, by przepakować cię w czyste prześcieradło, będę mógł rozróżnić skarpety, miękkie, przegniłe kości z bardzo małą zawartością wapnia, wyssanego, jak przypuszczam, przez wilgoć, ponieważ, jak wiadomo, cmentarz bródziński jest podmokły.

Gdy przed laty zacząłem trochę świrować, mój ojciec, kiedy mi już przeszło, przysiągł, że pójdzie pieszo do Częstochowy, w dziękczynnej pielgrzymce za to, że oto ja dostosowuję się społecznie. Jak większość jego przyrzeczeń, to także pozostało pustą fikcją, o co nie mam, rzecz jasna, pretensji. Jego obietnice były zwykle puste, ponieważ był słaby, a tę słabość nabył po powrocie do Peerelu, w 1948 roku. Teraz, po latach, musiałem się z tym pogodzić, chociaż było to trudne, ponieważ wszyscy chcemy czerpać wzory z ojców – a nie z matek, na tym polega to delikatne coś, drogi przyjacielu.

Oczywiście wierzyłem w moc śrubokręta, ponieważ, jak sądziłem, właściwie, nie pozostało mi nic poza tym. Ojciec był na tyle stłamszony przez matkę, że niewiele mógł mi przekazać. Nawet nie nauczył mnie grać w brydża, choć podczas wojny sam trenował przez cztery lata, co stanowiło bezsprzeczny dowód, że nie przeszedł od Lenino do Berlina, za co, zresztą, zapłacił wysoką cenę, mniejszą jednak, jak sądzę, od wartości *bel canto*, Pucciniego i Verdiego, słuchanych w Rzymie, po zdobyciu Monte Cassino, w towarzystwie pulchnych Włoszek, które podówczas bez oporu oddawały wszystko za parę pończoch. Umarł samotny, bity na starość, kiedy chorował, przez uwielbianą przez siebie żonę. Wielosplotową, bawełnianą liną, złożoną w kilka pętów, którą przed laty sam wykombinował z polskiego pawilonu na targach handlowych w Budapeszcie, kiedyś, we wczesnych latach siedemdziesiątych, robiąc w ten sposób maluteńki przekręt, jeden z niewielu w życiu, ponieważ jeśli chodzi o przekręty, to zdecydowanie nie czuł *bluesa*. Wracając do liny, można więc powiedzieć, że jako człowiek przezorny i przewidujący, sam sobie przygotował to, co spotkało go na stare lata. Słowem, był otwarty na przyszłość.

Wkręt – oto co pasuje do mojego koła ratunkowego, przy którym, a właściwie trzymając je, czuję się nie tak bardzo zagrożony. A zatem wolność wygrzebana z dna zardzewiałej skrzynki na narzędzia. Taki mały *freedom de profundis*, mówię, przepraszając za tę dziwną formę *mixta*.

5.

Fajw, aż trudno uwierzyć, że tak, w istocie dość łatwo, do tego doszedłem. Czy można wytłumaczyć niekiedy chwiejną równowagę psychiczną gościa, który wie, że jego matka zapamiętale biła grubą linią jego ojca? Na usprawiedliwienie ma zapewne to, że musiała się rozluźnić, miała przecież za dużo napięć, za dużo pracy w związku z pielęgnacją chorego, biedactwo. Przedwojenna oszczepniczka, łuczniczka i aktywistka Przysposobienia Wojskowego (PW), jednego z elementów całej tej fasadowej bzdury, która doprowadziła do tragedii Września, za którą spokojnie chował się *monsieur* Wieniawa-Długoszowski, lubiący zdrowo tankować w towarzystwie delikatnych, nieco secesyjnych, pachnących kobiet. Historia naucza nas, że tak naprawdę to on miał rację, a nie ludzie, którzy ginęli w bitwie nad Bzurą, może trochę niepotrzebnie zapatrzeni w generała Tadeusza Kutrzebę (ur. 15 kwietnia 1885 r. w Krakowie). Z drugiej strony klimat, który panował w obozach PW, zapewne pomagał matce wędrować w czasie wojny na wieś, żeby zdobyć trochę słoniny dla mojej siostry. Matka miała dzięki niemu więcej odwagi, kiedy w nocy szła przez zaśnieżone pola, czując na łydkach, a właściwie na pończochach, zamarzające granulki lodu, spiesząc się, żeby zdążyć na pociąg, by na czas dotrzeć na ulicę Nieporęcką, na warszawskiej Pradze, gdzie moja siostra czekała na nią z utęsknieniem, siedząc w łóżeczku zakratowanym nie tylko z boku, ale również od góry, na wszelki wypadek.

Wyczynowy łuk matki sprzed wojny odnowiłem, wisi na ścianie, zawieszony na miedzianych zaczepach, wykonanych z tego samego miedzianego drutu (o średnicy fi 8 milimetrów) z silnika elektrycznego, z którego mój ojciec, już po wojnie, robił nity do łódki, nie mylić, oczywiście, z łódką Bols. Zaowocowała ta jego praca sceną w tej łódce, kiedy wpatruje się w moją siostrę, o czym już wspominałem, wówczas bardzo apetyczną, nie mówię w próżnię, mam na to kwity. I czym można to wyjaśnić, drogi przyjacielu? Nie ma takiej rzeczy, ani pojęcia, które sprawi, że wszystko to pozostanie nadal w zamknięciu. Jak w wilgotnym, opuszczonym grobie.

6.

Siks. Właściwie *six*. Do oktawy pozostały mi tylko dwa stopnie. Dowiaduję się, że z dna Morskiego Oka wyciąga się miesięcznie ok. 800 kilogramów różnych monet. Ile szlamu trzeba wyciągnąć ze mnie? Zapewne jestem bardziej zabrudzony, nie kokietuję. Nie wiem, jaką miarę tu ustalić. Pewnie nie ma miary.

Piszę dalej, żebyś miał trochę przyjemności.

Nie poddawaj się, pomyśl o tym, że Ameryka Północna, matka wysokich tui, gigantycznych jodeł, wysokogórskich sosen i cisów, wysokich na kilka pięter, zamieszkana jest przez ludzi, którzy w 72 procentach nie są w stanie poprawnie zaadresować koperty. Oto pomoc dla nas, ludzi zarabiających do końca naszych dni, niejako w formie wyroku, grosze, drogi przyjacielu. A i tak zadowolonych, że mogą te grosze otrzymywać, żeby utrzymywać państwo i że ominęła ich syberiada, na którą zawsze byli skazani. Czegoś musimy się trzymać. Niech tymczasem będzie to, mówiąc z anglosaska, tylko six.

7.

Siedem, *seven*. Do oktawy, mojego muzycznego ideału, brakuje mi zaledwie jednego dźwięku, jednego stopnia. Zapewne nie osiągnę go nigdy, co tylko utwierdza mnie w przekonaniu, że jestem w jakimś sensie skazany i przywoływanie na pamięć historii życia i śmierci miłego mi Józefa K., urodzonego w Pradze, nic tu nie da. To, że muszę, niestety, pozostawać na marginesie, powinno być dla nas bardzo celną wskazówką. Nigdy nie będziemy równi. Zawsze będziemy bowiem gorsi, tym optymistycznym akcentem kończę. Mam nadzieję, że pozostaniemy przy życiu, drogi przyjacielu, choć to wcale nie musi tak być, ponieważ są ludzie dobrze odżywieni, którzy chcą naszej cichej

śmierci, co na pewno wpłynie na poprawę sytuacji gospodarczej w skali globalnej, a w bankach będzie im przez to lepiej wszystko sztymowało, tak jak to zostało powiedziane *w Balu w Operze*.

Usiądź i posłuchaj, zachowuj się pokornie, wewnętrzne milczenie to prosta droga do podmokłego grobu, trumna będzie drewniana, skromna, sosnowa, pachnąca żywicą, z pni wyciętych z mazowieckich lasów. Powinieneś się cieszyć, że nie wyrzucą cię na śmietnik, drogi przyjacielu. Pamiętaj, zawsze może być gorzej, mógłbyś przecież skończyć z kilkukrotnie używaną strzykawą w żyle, zgięty w kabłąk, gdzieś na przydrożnym campingu, a twoimi aniołami-pielęgniarkami, jeśli zostałoby ci jeszcze trochę kasy, mogłyby być piękne, młode Ukrainki, kobiety taniego, przydrożnego, szybkiego nierządu, który kieruje się własnymi zasadami, wedle których, „w rot do końca", jest za przeproszeniem naturalnie drożej niż między nogi, z gumą, czyli kulturalnie, mając na uwadze oczywiście światowy dzień zdrowia. Podcierane jest to po każdej następnej kolejce papierowym ręcznikiem, oczywiście miękkim, „Velvet", jak aksamit (słyszysz ten chórek), a to tylko z braku prysznica, co można chyba, na skraju szosy zrozumieć, pamiętając, że naszym strategicznym sojusznikiem nadal powinna być Ukraina, drogi przyjacielu.

Zawsze możesz, rzecz jasna, cicho poszybować ku obszarom bezkresnej cnoty, wewnętrznego ładu i nadziei na lepsze jutro. Możesz szukać ideałów, za które będą cię szanować zamężne kobiety, które wzloty mają już za sobą i teraz zastanawiają się jak zrobić, żeby kasy starczyło jakoś do pierwszego. Cnota, przyjacielu, jest klatką, w której możesz się poczuć zupełnie nieźle. Musisz się tylko zastanowić, czy, przez nikogo nie przymuszany, dasz się w niej zamknąć. Pozwolisz, że tym razem nie będę ci doradzał, chcę bowiem uniknąć niezręczności wynikającej z tego, że będziesz mnie później obwiniał. Myśl przede wszystkim o swoim najczystszym obrazie, tym bardziej że każdy z nas o tym myśli, nawet jeśli się do tego nie przyznaje. Może właśnie dlatego, że ów najczystszy obraz jest zapewne nieosiągalny, co sprawia, że nikt nie spieszy przyznać się do porażki, wszyscy kochamy skrycie myśl o sukcesie, nawet jeśli będzie pozorny, mało znaczący i niezasłużony.

Jeżeli jednak według ciebie tak nie jest, jeżeli w to wszystko nie wierzysz, za przeproszeniem, czniasz skrajności, a przecież możesz, to jesteś, co tu dużo gadać, zdecydowanie do przodu. I co najważniejsze, nikt nie może ci naskoczyć, nawet gdyby bardzo tego chciał. Pamiętaj o tym, zanim odejdziesz na zawsze, bezpowrotnie tracąc możliwość oceny. Zrozumiesz zapewne, dlaczego kończę właśnie na siedmiu. Dziś, nie dochodząc do oktawy, zachowuję jednak dla siebie komfort niedoskonałości, *mio Caro*, pamiętaj o tym, kiedy ostatecznie odchodząc, nie licząc się z nikim, jak każdy żegnający się, nie zważający na nic, myślący tylko o śmierci, będziesz jednak zapewne chciał ostatecznie zachować swój najczystszy, kryształowy obraz, w tym najlepszym ze światów, nawet jeśli twój zamiar okaże się, niestety, jednak daremny. Pamiętaj, że nieznane są drogi Pana, a jego mądrość pozostaje, drogi przyjacielu, niezgłębiona i bezkresna.

Warszawa-Praga, październik - listopad, 2000 r.

Szczepan Woronowicz

PIOTR MACIERZYŃSKI

jeżeli chcesz się dowiedzieć kto zdjął mi majtki gdy spałem

(...) Tucydydes mówił tylko
że miał siedem okrętów
była zima
i płynął szybko
(...)

Zbigniew Herbert: *Dlaczego klasycy*

Tucydydes jest z tak szlachetnego metalu
że nie da się go podważyć
ale udało się go wygnać

było lato
wtedy nie miałem jeszcze za sobą Wojny Peloponeskiej
i nawet nie czytałem Herberta

miałem przed sobą dwie duże piersi
żadnej praktyki
i robiłem to szybko

wtedy nie myślałem co po nas zostanie
pewnie to samo co po Herbercie
trochę zapomnienia

jeśli chcesz się dowiedzieć kto zdjął mi majtki gdy spałem
to nie ten wiersz

Przestać zagłuszyć zapomnieć

Justyna nie czyta wierszy Podsiadły Biedrzyckiego i Śliwki
tylko ciągle ten Świetlicki i Świetlicki
ma małe piersi
na co dzień nie okazuje mi uczuć
tylko 1 maja 19 sierpnia i 24 grudnia
są dwa miejsca w których jest za gruba ma duże
problemy z trafieniem szyszką w drzewo
ani razu nie udało jej się wygrać ze mną w szachy tylko raz
nastąpiła sytuacja patowa gdy grała nago
i ciągle brała do buzi mojego konia
ale nigdy nie potrafiła wziąć mnie za rękę

iść nad tory kolejowe i powiedzieć
poczytam ci *Zlote myśli Psa* Dariusza Brzóski
a mimo to nie potrafię przestać zagłuszyć zapomnieć

* * *

nie wiem co robić gdy kurczy się kosmos
wszyscy się odchudzają
a ja znowu przytyłem

nie wiem co robić gdy zapala się światło
ja leżę nago przywiązany za ręce i nogi do łóżka
a do pokoju zamiast ciebie wchodzi twój ojciec

nie wiem co robić gdy jakiś gówniarz wrzuca mi na balkon zdechłego kota
a ja nie rozumiem tego żartu

nie wiem co robić gdy blondynki interesują się moją osobą
mnie podobają się tylko brunetki
może ten wiersz w końcu to uporządkuje

nie wiem co robić gdy mówisz my już nie będziemy razem
czuję się wtedy jak mieszkaniec Pompejów
w chwili gdy gorące powietrze wdarło się do miasta
a potem dzwonisz i mówisz że może byśmy się spotkali
więc wstaję otrzepuję pył wulkaniczny
opuszczam Pompeje i idziemy na spacer nad tory kolejowe
albo na glinianki w których utopiła się świnka morska Adasia

nie wiem co robić gdy zgodziłem się już na niewielki wibrator
znowu jestem związany a ty wyciągasz spod łóżka
coś co przypomina drążek zmiany biegów
w starych modelach Jelcza

nie wiem co robić gdy z jednostki ucieka żołnierz
i tłumaczy że kobietę zabił odruchowo
a faceta bo go zdenerwował
ja mam alergię na głupotę
i nie chcę się z tego leczyć

nie wiem co robić gdy w moim telewizorze Serbowie zabijają Albańczyków
jak zwykle interweniują Amerykanie
i straty są jeszcze większe a ty w tym czasie spotykasz się
z Maciejem Wicherkiewiczem

nie wiem co robić gdy świat od wielu lat stoi na krawędzi
i robi mi nadzieję
a jednak nie skacze w przepaść

nie wiem co robić gdy uświadamiam sobie
że moja miłość do ciebie jak brazylijski serial
nigdy się nie kończy

nie wiem co robić gdy publiczność na moim wieczorze w Łodzi
już po kilkunastu frazach przerywa mi czytanie
i nawet nie doczekawszy do pointy zaczyna mnie wyśmiewać
i mówić że tych bezeceństw nikt tu nie będzie słuchał

ale przychodzę do domu
otwieram Biblię na losowo wybranej wcześniej zaznaczonej stronie
i Bóg mnie pociesza
„Niech cofną się i okryją wstydem
Ci, którzy mówią: „Ha! Ha!"

* * *

Kwiatkowska w programie 997 pokazała jak sobie radzić
z Kobuszewskim udającym pracownika gazowni

ale jak sobie radzić z kibicem Legii Warszawa
który ma szalik w kształcie węża boa
i nóż w kształcie noża
i chyba się jąka
cytuję „kurwa dawaj
kurwa szybko
kurwa pieniądze"

co czynić gdy przypadkiem byłeś w kościele
i ksiądz powiedział że nie może być zbawiony
kto czyta pornograficzne pisma
i nie zastanawia się nad swoim życiem
a ty wszystko zbyt bardzo bierzesz do siebie

co zrobić gdy chce cię
wylegitymować dwóch żołnierzy pogranicza
a jedyny dokument jaki masz przy sobie to znaczek
przedstawiający Koziołka Matołka z napisem
17 OGÓLNOPOLSKI TURNIEJ ŁGARZY BOGATYNIA 2000

co zrobić gdy chcesz posiedzieć w spokoju
i nagle słyszysz kroki na schodach
jakby nadchodził Kobuszewski

co zrobić gdy lekarz weterynarii mówi że twojemu psu jest lepiej
płacisz kolejne pięć dych za wizytę i trzy za nadzieję
a pies po kilku godzinach zdycha

jak się zachować gdy za drzwiami stoi święty Mikołaj
otwierasz i okazuje się że jest to akwizytor

co zrobić skoro zupełnie nie wychodzą ci kontakty z rzeczywistością
boli cię głowa
w domu masz tylko krople żołądkowe
i pistolet kaliber 9 mm

tego wszystkiego i jeszcze wielu innych rzeczy
nie pokazują w programie 997

a z Kobuszewskim to bym sobie poradził

Perypetie świętego Wojciecha

raz żyłeś
a zostały po tobie cztery żywoty
i Drzwi Gnieźnieńskie z obrazkami dla turystów

zwiedziłeś pół Europy
nosząc wodę do kuchni i czyszcząc buty na dworach królewskich
trudniłeś się też rozdawaniem jałmużny

tysiąc lat temu dałeś się zamordować
w bardzo nieprzyjemny sposób
zamieniając biskupstwo w Pradze na siedem włóczni

moim zdaniem lepiej byłoby zapobiec odcięciu głowy cudzołożnicy
zwłaszcza że kobiecie bardzo na tym zależało
ale może mam miękkie serce

byłeś jednym z pierwszych męczenników na tych terenach
zabili cię w kwietniu 997 roku
miejscowi barbarzyńcy

to było jeszcze zanim Telekomunikacja Polska S. A.
połączyła te tereny z każdym miejscem na świecie
na pamiątkę twojego męczeństwa numer 997 jest telefonem na policję

Piotr Macierzyński

LILIANA ZUBIŃSKA

Ostatni letni deszcz

Cóż to? – zdziwił się. Głowa nie ciąży jak należy, gdy przyłożył ją do poduszki, nie zapadła się w nią, i tak z całym ciałem. Jakie to denerwujące nie czuć własnego ciężaru, gdy chce się odpocząć. Poczuć bezwład, tylko wtedy zmęczenie opada, a tu nic. Głowa lekka, ciało lekkie i jak tu wrócić do sił. Chyba już mi ziemski odpoczynek nie pisany – pomyślał pan Antoni i nie zmartwił się. To mogło oznaczać tylko jedno, że nadchodzi jego czas.

Kiedyś, to było dawno, gdy można powiedzieć, że był młody, miał ze czterdzieści lat, może kilka więcej lub mniej, zastanawiał się, obierając ziemniaki na niedzielny obiad, o co właściwie w życiu chodzi, czy istnieje wytłumaczenie, jakaś sensowna wykładnia egzystencji, jego, a zarazem wszystkich. Jakaś tajemnica, która pozwoliłaby wierzyć, że wszystko, co wokół się dzieje, nie jest przypadkiem, a dobrze przemyślanym planem. Antek, jak go najczęściej wtedy nazywano, nigdy nie był na tyle zarozumiały, żeby prosić Boga o wyjawienie sensu i zawiłości istnienia. Zresztą nie śmiałby, bo jego stosunki z Najwyższym były dość luźne, choć nie wynikało to z lekceważenia, raczej z zaniedbania. Coś spowodowało jednak, może właśnie to niezbyt nachalnie postawione pytanie, że to jemu, tuż przed zejściem z tego świata, miała zostać objawiona Prawda, cała, słowo po słowie, od początku do końca.

W międzyczasie pan Antoni kochał, nienawidził, robił głupstwa, rzeczy dobre, zupełnie nieświadomy mądrości, którą u swego kresu posiędzie. Dzieci poszły na swoje, żona umarła i prawie jednocześnie, wskutek redukcji, wysłano go na wcześniejszą emeryturę. Pan Antoni miał wiele zainteresowań, ale żadne z nich nie mogło go bez reszty pochłonąć, dlatego w tym przełomowym momencie życia los zesłał mu bezbronne stworzenie, któremu on miał być panem i bogiem. A był to szczeniak zostawiony na śmietniku, leżał tam na kawałku kartonu, na którym ktoś dziecinnym pismem napisał – „weś mnie". I pan Antoni wziął, wykąpał, nakarmił i nadał imię. Dość roztropnie, przeczuwając jego wpływ na los. Zatem Felicja, bo to była suczka. W tych latach odkrył wiele rzeczy, których wcześniej, choć były, nie dostrzegał. Wynikało to głównie z kontaktów z naturą podczas długich spacerów z Licią, jak pieszczotliwie nazywał swoją suczkę. Była jeszcze sfera olśnień duchowych, jak choćby poczucie odpowiedzialności za to stworzenie. Nigdy będąc ojcem rodziny nie podejmował decyzji tak świadomie, choć dotyczyły, zdawać się mogło, spraw błahych, jak dobór szamponu, właściwej diety, długości spacerów itd. Niektórzy taką pieczołowitość nazwaliby miłością, ale miłość, jak wiadomo, w swoich najbardziej typowych przejawach bywa dzika i w skutkach nieprzewidywalna. Większość znajomych, których miał niewielu, przeważnie wśród sąsiadów, traktowała go jak nieszkodliwego dziwaka, który zamiast poświęcić czas i pieniądze wnukom, co wydaje się poprawne, zajmuje się sprawami nie przydającymi chwały ani niczyjej wdzięczności.

Zatem owa odpowiedzialność przyczyniła się do, już nie oczekiwanego, zwrotu w stronę Boga. A była to prośba, modlitwa o to, żeby to on mógł pożegnać Felicję, żeby stworzenie nie zaznało utraty człowieka, który był mu całym światem, miłością i panem. Pan Antoni nie przeczuwał, że w tym pragnieniu przejawia się jego cała wiara w sens istnienia. Zresztą świadomość tego na nic by mu się nie przydała, faktem jest, że wrócił do modlitwy, która była nieustannym stanem skupienia. Wyglądał przez to na zamyślonego, czasem nawet zmartwionego. Starsze panie z osiedla, które jeszcze niedawno nie ustawały w zabiegach zwrócenia na siebie uwagi samotnego mężczyzny, uznały, że nic innego, tylko rak zżera go od środka i to na pewno prostaty, inaczej nie stroniłby od towarzystwa kobiet.

Zbliżał się czerwiec, wizyta papieża, po raz pierwszy w tym mieście. Pan Antoni nawet nie musiał postanawiać, że uda się na lotnisko, gdzie miała się odbyć msza, to było oczywiste. Zwłaszcza że lotnisko przylegało do peryferii jego osiedla. Trzeba było wstać o świcie, iść kilka kilometrów, miał wejściówkę do jednego z ostatnich sektorów, duże oddalenie od ołtarza nie umniejszało siły przeżyć.

Wracając, niesiony tłumem, poczuł, zrozumiał, że już niedługo Felicja odejdzie, że stanie się to, o co prosił Boga. Pies nie był stary, miał dziewięć lat. To mogło zapowiadać tylko jedno, że zbliża się również jego koniec. Wszystko będzie dobrze – uspokajał się, bo trochę bał się, bał się bólu i rozstania, bał się każdej chwili później. Ale był wdzięczny za to przeczucie, że będzie mógł się przygotować.

Kilka tygodni później Felicja odeszła, to była noc. Miała jeszcze dość siły, żeby wskoczyć do łóżka swego pana, by przez chwilę jeszcze poczuć jego ciepło, ale nie zrobiła tego, polizała tylko jego zwisającą z łóżka dłoń i umarła, jak należy, na swoim posłaniu.

Dopiero po południu pan Antoni zebrał się w sobie, żeby zawinąć psie członki w kraciasty kocyk, który był posłaniem. Włożył do parcianej torby razem z saperką i pluszowym misiem, maskotką jego młodszego syna, a później ulubioną zabawką Felicji. Zamówił taksówkę, która podjechała pod samo wejście do klatki schodowej. Schodząc z trzeciego piętra szczęśliwie nie spotkał nikogo, choć dwukrotnie zatrzymywał się dla złapania oddechu czy żeby jeszcze przeciągnąć te ostatnie wspólne chwile. Kierowca pomógł włożyć torbę do bagażnika.

Gdy już rozpoczął kopanie dołu w lasku niedaleko miasta, zdarzyła się rzecz straszna. Nie wiadomo skąd wyrosła wokół niego chmara policjantów, to było tak nagle, jakby same drzewa zamieniły się w mundurowych. Dwóch, trzech jednocześnie krzyczało coś, czego nie rozumiał. Sytuacja tak go zaskoczyła, że stracił głowę, upadł na ziemię przykrywając ciałem torbę. Wydawało mu się, że chcą mu ją zabrać. – Morderca, pedofil – najgłośniej krzyczał mężczyzna w cywilu, taksówkarz, który przed chwilą przywiózł go do tego lasu. – Zabierzcie mu torbę, tam jest to zabite dziecko, widziałem włosy.

To było najstraszniejsze, co mogło mu się właśnie tego dnia przytrafić. Taksówkarz później go przeprosił, tłumaczył, że po tym ostatnim morderstwie, Patrycji, każdy taksówkarz w tym mieście szczególnie zwraca uwagę na bagaż swojego pasażera. Pomógł nawet wykopać dół i po wszystkim odwiózł do domu, za darmo.

Pan Antoni nie chciał, a raczej bał się wracać do pustego mieszkania. Dlaczego mnie tam nie zabili, tak byłoby najlepiej. Usiadł w przedpokoju i dopiero teraz zaczął płakać, tak gorzko, tak mocno. Gdy uszedł z niego cały ból,

upokorzenie i cały lęk, był tak zmęczony, że usnął. Umieram – to była jego ostatnia myśl, zanim zapadł w głęboki, długi sen. Rano obudziły go ptaki; zanim otworzył oczy, uświadomił sobie, że Felicji już nie ma, że stało się to, o co prosił w swoich modlitwach, odeszła przed nim. Jednak wyszedł, jak robił to zwykle o tej porze, kupił gazetę, żeby jego wyjście miało cel. Odtąd robił tak codziennie rano, kupował gazety, bardzo różne, ale najczęściej ich nie czytał, nie potrafił skupić się, żeby zrozumieć sens poszczególnych zdań, a tym bardziej całości.

Prawie każdego popołudnia chadzał na cmentarz, do żony, milczał przy jej grobie. To był już koniec lata, jego spacery były coraz dalsze i dłuższe. Tego wieczoru szedł, szedł, aż tuż przed zachodem słońca znalazł się wśród pól, łąk, lasów. Tam odkrył dźwięki innymi niż były wcześniej, śpiew ptaków, szczekanie psa z wiejskiej zagrody, porykiwanie bydła, głosy nawołujących się ludzi były inne niż kilka tygodni temu, niż ledwie wczoraj. Dzisiaj, teraz zapadały się w siebie, rozprzestrzeniały się do wewnątrz, wnikając w sferę niedostępną zmysłom i tajemniczą bardzo, bo powracały stamtąd dojrzalsze, pełniejsze, jakby zaznały doznań metafizycznych. Coś jak dźwięki organów lub chóru, dobiegające z wnętrza niektórych kościołów. Kocham – powiedział pan Antoni otoczony tym i całą sferą towarzyszącą zachodowi słońca. Może tylko pomyślał, ale jednocześnie był tym uczuciem. Pojął świętość tej chwili, nie próbował tego definiować, ani zatrzymać. W pamięci przechowane gdzieś głęboko, wróciły z dzieciństwa krzyki żurawi nawołujących się do odlotu, to było rzeczywiście dawno i daleko, na wschodzie, hen.

Zaraz, gdy wrócił, zadzwonił do synów, do jednego za granicą i do drugiego mieszkającego na innym końcu tego samego miasta. Obu zastał, zapytał o jakieś błahe sprawy i o zdrowie wnuków. Wszystko było w porządku, choć nawet gdyby nie było, żaden z synów nie zasmucałby ojca złymi wiadomościami. Tak samo on nie poinformował ich o odejściu Felicji. Położył się i zdziwił po raz kolejny. – Cóż to? Głowa nie ciąży jak należy, gdy przyłożył ją do poduszki, nie zapada się w nią i tak z całym ciałem. Jakie to denerwujące, nie czuć własnego ciężaru, gdy chce się odpocząć. Poczuć bezwład, tylko wtedy zmęczenie opada, a tu nic. Głowa lekka, ciało lekkie i jak tu wrócić do sił. Chyba już mi ziemski odpoczynek nie pisany – pomyślał pan Antoni i nie zmartwił się. To mogło oznaczać tylko jedno, że nadszedł jego czas.

To był najbardziej prozaiczny wrześniowy poniedziałek. Pan Antoni, jak zwykle, zszedł do kiosku po gazetę, dzień był wyjątkowo piękny, niebo bezchmurne. Zwykle zaraz zanosił ją do domu, tym razem usiadł na ławce, na skwerze przy bloku. Rozłożył tygodnik na artykule wracającym do czerwcowej wizyty papieża w kraju, omawiającym, analizującym szeroko i z rozmachem homilię wygłoszoną w Licheniu. Było bezwietrznie, jeden jedyny obłoczek zawiązał się nad ławeczką, na której przysiadł pan Antoni, zbyt biały, żeby podejrzewać go o krople deszczu, które zaczęły opadać na pana Antoniego, choć głównie na gazetę, którą trzymał na kolanach. Poszczególne krople opadały dość szybko, ale nie na tyle, żeby nie nadążył śledzić wzrokiem kolejnych naznaczonych wilgocią liter, słów układających się w zdania.

Czy pan Antoni odczytał objawioną mu w ten sposób przez Boga tajemnicę? Tak, bo tak to wszystko było pomyślane. Jednak z nikim już nie mógł podzielić się tą mądrością, po chwili odszedł albo raczej dołączył do żony, do Felicji, bo nigdy, ani przez chwilę nie wątpił, że tam, po drugiej stronie, będą na niego czekać ci, których kochał.

Liliana Zubińska

LARS KLEBERG

Zauważmy tłumacza*

1

Tłumaczenie jest teoretycznie niemożliwe, jak też w praktyce w pełni wykonalne.

Teoria mnoży przykłady pierwszego, historia zaś drugiego. Podkreślał to już szwedzki krytyk Erik Mesterton w tytule klasycznego eseju *O niemożliwości tłumaczenia* z roku 1979. Tekst ten inicjuje okres wzrostu zainteresowania problematyką przekładu w Szwecji i można go uważać za źródło inspiracji dla powstania tej antologii.[1]

Myśl o przekładzie, niemożliwym teoretycznie, koniecznym w praktyce, w następujący sposób rozwinął niemiecko-żydowski filozof Franz Rosenzweig w obliczu utopijnego projektu, rozpoczętego w 1926 roku; chodziło o nowy przekład Biblii.

Tłumaczyć to służyć dwom panom, czego nie potrafi nikt. Z tłumaczeniem jest tak, jak ze wszystkim tym, czego nie umiemy w teorii, a z czym radzimy sobie w praktyce. Wszyscy musimy tłumaczyć i wszyscy to robimy. Gdy mówimy, wówczas przekładamy swą intencję na oczekiwane rozumienie drugiego i nie tego abstrakcyjnego i ogólnego drugiego, lecz właśnie określonego i konkretnego, którego widzimy przed sobą i który mruga oczyma. Gdy słuchamy, przekładamy dźwięki słów na myśli, ściślej mówiąc na język mówiony. Wszyscy posiadamy język. Albo raczej: wszyscy mielibyśmy własny język, gdyby wszelka mowa nie była (od początku) dialogiczna i gdyby w rzeczywistości i praktyce istniała mowa monologiczna (jak chcą logicy, którzy nader chętnie bywają mono-logami).

Jeśli wszelkie mówienie jest tłumaczeniem, wówczas pojęta i uznana niemożliwość teoretyczna tłumaczenia może dla nas oznaczać to samo, co oznaczają wszystkie inne niemożliwości teoretyczne (...) w życiu. W „niemożliwych" i potrzebnych kompromisach razem nazywających się życie zyskujemy odwagę i pokorę, wymagając nie pojętej niemożliwości, lecz danej konieczności.[2]

W monologicznym myśleniu lingwistycznym, jeśli nie historycznie, to teoretycznie – wychodzi się z jednego lub drugiego języka jako zamkniętego autonomicznego systemu; każde tłumaczenie jest tu kompromisem, który przynosi straty. Droga teorii przekładu usłana jest parami przeciwieństw nie do pogodzenia, z których wszystkie mówią to samo: aby uzyskać jedno, trzeba poświęcić drugie. Tłumaczenie oddać ma oryginał „słowo w słowo" albo jego „myśl", ma być „wolne" albo „wierne", dążyć do „formalnej" albo „dynamicznej" ekwiwalencji. Theodore Savory streścił to w następujący sposób:

1. Tłumaczenie musi oddać słowa oryginału.
2. Tłumaczenie musi oddać myśli oryginału.
3. Tłumaczenie winno brzmieć jak oryginał.
4. Tłumaczenie winno brzmieć jak tłumaczenie.
5. Tłumaczenie winno oddać styl oryginału.
6. Tłumaczenie winno mieć styl tłumaczenia. [etc.] [3]

Ironia Savory'ego wskazuje, że powyższy wzór z 1957 roku już w okresie, gdy był pisany, zaczął tracić swój nimb. Nadszedł bowiem czas, aby zacząć mówić o literackiej sztuce przekładu i to w innych, nie tak biegunowo opozycyjnych, kategoriach.

W latach 60. XX wieku lingwistyka żywiła nadzieję, że przy pomocy komputerów będzie można w niedalekiej przyszłości opisać i rozwiązać problemy przekładu, skupiając uwagę na fenomenach wychwytywanych precyzyjnie przez metody zapożyczone z nauk matematyczno-przyrodniczych. Wszystko miało się dać tymi metodami ustalić: od strukturalnych różnic między językami aż do najmniejszych elementów składowych wypowiedzi.[4] Krokiem naprzód z tej pozycji był przełom wywołany dynamicznym podejściem do języka lingwistyki tekstu, która postawiła w centrum takie pojęcia, jak „proces" i „strategia", umożliwiając tym samym wyjście ze ślepej uliczki. Lingwistyka zbyt długo traktowała tłumaczenia jako niezadowalające i zawsze cząstkowe próby rozwiązania problemu ekwiwalencji. Tłumaczenie zespolone było dotąd z natury rzeczy ze stratą.

Tłumaczenie zawsze oznacza pewną stratę: „poezją jest to, co się zatraca przy przekładzie" – zwykło się mówić.[5] Ale to trywialna prawda. Rosyjski semiotyk kultury Jurij Lotman powiada, że z prawdziwym tłumaczeniem mamy do czynienia tylko wtedy, gdy przetłumaczony tekst z powrotem przełożony na język oryginału z oryginałem tym nie jest identyczny. Pełnego przekładu nie ma i być nie może. Nawet bliskie sobie języki są w stosunku do siebie asymetryczne i przeniesienie elementów z jednego języka do drugiego według zasady 1:1 jest niemożliwe.[6] Gdyby było, nie mielibyśmy do czynienia z dwoma językami, zaś „tłumaczenie" byłoby jedynie taką operacją, jak zmiana typu czy kroju czcionki przy zachowaniu tego samego tekstu. Podobnie najbardziej poprawne językowo tłumaczenie nie może powiedzieć wszystkiego w taki sam sposób, jak to było powiedziane w tekście wyjściowym. W takim razie idealnym tłumaczeniem byłby nowy tekst, który pod każdym względem byłby identyczny z oryginałem. Pomysłem takim bawił się J. L. Borges w noweli, opowiadającej o kimś, kto poświęcił życie napisaniu, nie skopiowaniu, lecz napisaniu, po raz wtóry *Don Kichota*.[7]

Edwin Gentzler w swym przeglądzie *Współczesne teorie przekładu* (*Contemporary Translation Theories*) opisuje, jak to pod koniec lat 70. podjęto kilka inicjatyw, które – wraz z ruchami na froncie lingwistycznym – zaczęły zmieniać wyobrażenia, czym są i czym być mogły badania transla-

* Wstęp do o antologii tekstów, dotyczących teorii i praktyki przekładu pod redakcją Larsa Kleberga. Antologia ta, zatytułowana *Med andra ord* (*Innymi słowy*), opublikowana została w wydawnictwie „Natur och Kultur", Stockholm 1998.

[1] Esej Erika Mestertona, o którym mowa, zamieszczony jest w tej właśnie antologii, s. 172-188 (przyp. tłum).

[2] W międzywojennych Niemczech, gdy naziści maszerowali już po ulicach, Rosenzweig chciał na nowo przełożyć Stary Testament wraz ze swym partnerem Martinem Buberem, współuczestnikiem tego projektu, którego celem było zainicjować dialog między niemieckim i żydowskim sposobem myślenia. Cytat jest zaczerpnięty z artykułu Rosenzweiga *Die Schrift und Luther* (w): *Das Problem des Übersetzung*, hrs. von Hans Joachim Störig, Wissenschaftliche Buchgesellschaft, Darmstadt 1963, s. 220-221.

[3] Cyt. Erika Mestertona w tejże antologii, s. 173.

[4] Zob. Eugene Nida: *Translation* (w:) *Current Trends in Linguistics*, ed. by Thomas A. Sebeok, tom 12:2, The Hague: Mouton 1974, s. 1045-1068. Teoretyczną krytykę lingwistycznych modeli translacji – zob. Edwin Gentzler, *Contemporary Translation Theories*, Routledge, London and New York 1993, s. 43-73.

[5] Słowa te przypisuje się zwykle amerykańskiemu poecie Robertowi Frostowi.

[6] Jurij Lotman: *Universe of the Mind*, trans. by Ann Shukman, I. B. Tauris & Co, Ltd., London & New York 1990, s. 13-14, 127.

[7] Jorge Luis Borges: *Pierre Menard, autor Don Kichota*, przeł. Andrzej Sobol-Jurczykowski, w zbiorku opowiadań i nowel *Fikcje*, PIW, Warszawa 1972, s. 36-45.

torskie.[8] W roku 1976 odbyła się konferencja w Leuven w Belgii z udziałem badaczy strukturalnej i historycznej orientacji z Holandii i Belgii (Holmes, Lefevere, Lambert) oraz strukturalistów z Izraela (Even-Zohar, Toury). Wszyscy uczestnicy wyszli od tego, iż głównym zagadnieniem jest nie to, na ile tekst docelowy (przekładu) odpowiada czy nie odpowiada źródłowemu (oryginałowi), lecz jaką tłumaczenie pełni funkcję w kulturze, w której żyje.[9] Nowy kierunek, zwany czasem „szkołą manipulatorską", sam się jednak określający mianem „studiów translatorskich", translation studies, prezentował tezy, iż przekładany tekst literacki widzieć należy jako część literackiego „wielo-systemu" nowej kultury; jako twórcę nowych znaczeń; jako czynnik potencjalnych zmian norm kultury docelowej. Wymagało to zastosowania metod literaturoznawczych rodem z komparatystyki i z badań nad recepcją, a wreszcie szukania potwierdzenia w teoriach „socjalnych praktyk" (np. Michela Foucaulta). Z inspiracji konferencją w Leuven i następujących po niej rozwinęły się nowe badania nad przekładem i przekazem kulturowym, wywołującym: zdobycie czy podbój, uległość, zmiany norm, nieporozumienia, grabież, kształcenie, cenzurę itd.

Mniej więcej w tym samym czasie, gdy ustaliło się pojęcie „translation studies", przebudziło się przez długi okres uśpione zainteresowanie filozoficznymi aspektami przekładu. W 1975 roku Georg Steiner opublikował znakomity i przytłaczający erudycją przegląd *After Babel*.[10] Steiner uważał, że przekład jest zbyt poważną sprawą, aby zostawić ją lingwistom, ich teoriom i systemom (szczególnie krytycznie ustosunkował się do Noama Chomskiego i jego gramatyki generatywnej o ambicjach uniwersalistycznych). Steiner twierdzi, że wszelkie tłumaczenie jest interpretacją i dlatego powinno się je widzieć w świetle tradycji hermeneutycznych: krytyki przekładu od Friedricha Schleirmachera aż po pracę Waltera Benjamina *Zadania tłumacza*. Innym impulsem filozoficznym dla badań nad przekładem było odkrycie na Zachodzie spowinowaconego duchowo z Franzem Rosenzweigiem Michaiła Bachtina. Sformułowana przez Rosjanina w latach dwudziestych dialogiczna koncepcja języka utrzymuje, że jego najmniejszą jednostką nie jest jedno poszczególne słowo (tekst, idiom), lecz to właśnie słowo (ten oto tekst czy idiom) w kontekście – wszystko zaś ustawicznie się określające i przekształcające wzajemnie.[11]

Po 1980 roku zauważyć można intensywny rozwój międzynarodowych badań translatorskich. Zaczęło się pojawiać mnóstwo nowej literatury fachowej, stosującej tezy „szkoły manipulatorskiej" rozwijającej je w kierunku historiograficznym, feministycznym i postkolonialnym; podobną erupcję zauważamy w badaniach nad hermeneutycznymi podstawami przekładu i historią jego tradycji teoretycznych. Krytyka poststrukturalna, głównie w USA, przez postawienie znaku równości między przekładem a interpretacją, przyczyniła się nawet do inflacji pojęć „przekład" i „przekładalność" w psychologii i antropologii. Ważnym rezultatem jest wszakże to, że powstał teren badań, zwany w języku angielskim translation studies jako wynik głębokiego dialogu interdyscyplinarnego między językoznawcami (w obrębie stylistyki) oraz literaturoznawcami i filozofami języka.

Tak w ogólnych zarysach przedstawiałaby się sytuacja, w którą wpisują się nowe badania translatorskie w Szwecji. Zalążki interdyscyplinarnej współpracy zaczęły być czymś więcej niż zalążkami.

[8] E. Gentzler: *Contemporary Translation Theories*, Routledge, London – New York 1993.
[9] *Literature and Translation: New Perspectives in Literary Studies*, ed. by James S. Holmes, José Lambert and André Lefevre, Acco, Leuven 1978.
[10] *After Babel: Aspects of Language and Translation*, Oxford University Press, Oxford 1975; 2nd, rev. ed. 1992.
[11] M. Bachtin: *Voprosy literatury i estetiki*, Moskva 1975. Lars Kleberg: *Ordet som inte är lika med sig självt*, „Dialoger" 1997, nr 41, s. 3-5.

2

Lawrence Venuti w swej głośnej książce *The Translator's Invisibility*[12] zaatakował panujące w świecie anglosaskim przekonanie (rozpowszechnione także w Szwecji), że najlepsze tłumaczenie jest potoczyste i „niezauważalne". Tłumaczenie traktowane jest tutaj jako wytworzona w kraju odbiorczym reklamówka, w której możliwie najbardziej gładko i bez zakłóceń przeniesie się oryginał do czytelnika. A gdy reklamówka spełniła już swe zadanie, można ją wyrzucić; temu zaś kto ów oryginał zapakował (przetłumaczył) podziękować lub nie. Venuti twierdzi, że ideał niezauważalności tłumaczenia jest wyrazem etnocentryzmu anglosaskiej kultury, jej lęku przed tym co obce, co ujawnia się także w tym, iż tylko 2-3 procent książek drukowanych w Anglii i w USA to przekłady.

A jak się ta sprawa przedstawia w Szwecji? *Przekłady, mówiąc okrutną prawdę, to połowa literatury narodowej. Czym byłaby literatura szwedzka, jak by wyglądał jej rozwój, bez przekładów Shakespeare'a Hagberga czy tłumaczeń Homera Erlanda Lagerlöfa, bez Dostojewskiego Ellen Rydelius, bez Joyce'a Warburton, Musila Irmy Nordvang?* – pisała przed kilkoma laty Birgitta Trotzig.[13] Mimo że przekłady stanowią połowę książek drukowanych w kraju, szwedzcy tłumacze byli zdumiewająco niezauważalni: tak w społeczeństwie, jak z ich indywidualnymi stylami w samych tekstach. Przed stu laty nazwiska tłumacza w książce nie podawano w ogóle, albo było ono ukryte na samym końcu w postaci inicjałów.[14] Dzisiaj nazwiska te widnieją wyraźnie na karcie tytułowej. Niewątpliwie na pierwszy rzut oka tłumacz jest bardziej widoczny. Zdarza się również coraz częściej, że recenzenci, przynajmniej w przypadku literatury pięknej, poświęcą kilka słów krytyki lub uznania dla „szaty językowej" przełożonej książki.

W rzeczy samej zdaje się jednak panować brak jasności, a nawet zamęt, co do tego, czym tłumaczenie właściwie jest. To powoduje, iż nawet poważni krytycy mogą pochwalić oryginał za to, co właściwie przynależy do specyfiki i swoistości przekładu, do jego cech charakterystycznych: jak np. tempo, wyrazista obrazowość, stylistyczna różnorodność itd. Przekładem jest tu więc uformowany tekst, który można by nazwać „przepisanym" oryginałem – za pomocą szwedzkich środków wyrazu.[15] Ciekawe kwestie wyłonią się dopiero wtedy, gdy zapytamy: na jakich poziomach językowych przekład odpowiada lub nie odpowiada oryginałowi. Lecz tak daleko rozumienie krytyków sięga rzadko, nawet w czasopismach specjalistycznych; dopiero gdy się rozwinie krytyka przekładu, sztuka i rzemiosło tłumacza będą naprawdę dostrzegalne. Książka ta ma właśnie zainspirować powstanie takiej krytyki, zaoferować jej język.

Tłumaczenie było w Szwecji niewidoczne, tak w jednostkowych przypadkach, jak powszechnie. „To co narodowe i ojczyźniane było ongiś w swych początkach barbarzyńskie" – pisał Esaias Tegnér przed 160 laty. Jak zatem opisuje się perypetie tłumaczeń oraz zależność kraju od tego co zagraniczne, wziąwszy za miernik przyjęte i utarte pojęcia w słownikach i encyklopediach? Otwórzmy *Nordisk Familjebok*, klasyczną encyklopedię szwedzką, edycję II, tom 34 z roku 1922, hasło 'tłumaczenie' przedstawia się tam

[12] *The Translator's Invisibility. A History of Translation*, Routledge, London and New York 1995.
[13] B. Trotzig: *Till översättningens lov*, „Dialoger" 1995, nr 33, s. 9.
[14] Zob. studium z historii kultury Grety Hjelm-Milczyn: *Gud nade alla fattiga översättare: glimtar ur svensk skönlitterär översättningshistoria fram till ar 1900*, Carlssons, Stockholm 1996. Tytuł po polsku: *Panie zmiłuj się nad wszystkimi biednymi tłumaczami: migawki ze szwedzkiej historii przekładu literackiego do 1900 roku*.
[15] O „przepisaniu" zob. Susan Bassnett i André Lefevere: *General editors' preface* do książek z serii „Translation Studies" wydawnictwa Routledge, np. *Contemporary Translation Theories* Gentzlera, s. IX.

następująco: *Tłumaczenie. O prawie tłumaczenia dzieł literackich zobacz hasło: Prawo własności prywatnej (artystycznej i literackiej).*

Dla porównania poprzednie hasło, dotyczące 'powodzi' zajmuje trzy szpalty.[16] Tak samo jest w trzecim wydaniu *Nordisk Familjebok* z 1934 roku. W *Szwedzkiej encyklopedii*, wyd. II, tom 32 z 1955 roku znajdujemy następujące wyjaśnienie: *Tłumaczenie jest formą opracowania literackiego – dzieła. Prawo do przekładu, jak również do jego powielania i uwielokrotniania posiada wyłącznie autor oryginału. Przekład dokonany za zgodą autora (także autoryzowany) jest chroniony tak jak oryginał. Ustalenia konwencji berneńskiej obejmują twórców dzieł dramatycznych lub dramatyczno-muzycznych; prawa autorskie regulują przepisy na okres obowiązującej ważności tychże praw – odnośnie oryginału, chroniąc go przed nadawaniem w radiu przez tłumacza bez zgody autora. Prawa autora do przekładu, zgodnie z obowiązującymi przepisami, ważne są tak długo, jak inne prawa autorskie, zatem na okres życia autora oraz 30 lat po jego śmierci.*

Jeszcze bardziej uderzająca jest niezauważalność tłumacza w *Encyklopedii Bonniersa*, tom 15 z 1967 roku: zupełnie brakuje tu interesującego nas hasła. Encyklopedia wydawnictwa „Niezłe książki" (*Bra Böckers Lexikon*), tom 25, wydanie IV z 1996 roku nie zawiera hasła „tłumaczenie", w zamian za to znajdziemy tam osiem wierszy tekstu o tłumaczu i jedenaście o maszynie do tłumaczeń. Dopiero *Encyklopedia narodowa* z roku 1996, tom 20, daje porządny czteroszpaltowy artykuł, w którym Lars Wollin prezentuje podstawowe problemy teorii przekładu oraz jego historyczny zarys w Szwecji i za granicą.

Więcej niż połowa literatury szwedzkiej, wszystkich książek drukowanych po szwedzku – to przekłady; tak było prawie zawsze.[17] Mimo to nikt dotąd nie zaczął pisać historii o tym, jak w szerszym lub węższym znaczeniu przekłady przyczyniły się do kształtowania literatury szwedzkiej. Jest niemal normą, aby wkład tłumacza skwitować w przypisie; faktem jest, że więcej informacji było o stylu przekładu i jego wpływie na zmianę smaku w *Ilustrowanej historii literatury szwedzkiej* Henryka Schücksa z lat 20. niż w *Literaturze szwedzkiej* Larsa Lönnrotha z lat osiemdziesiątych. Trzeba było czekać aż do roku 1998, aby się w Szwecji pojawił pierwszy literaturoznawczy doktorat o pracy tłumacza.[18] O Carlu Auguście Hagbergu – najczęściej chyba cytowanym pisarzu w Szwecji, choć większość sądzi, iż cytuje Shakespeare'a – jak też o innych tłumaczach brak jest tak dysertacji, jak wszelkich profesjonalnych opracowań.

Czyli niewidoczność, tak w małym, jak w dużym wymiarze; jak w krytyce, tak w historii literatury. Mimo iż Szwedzi zawsze byli narodem w wysokim stopniu tłumaczącym (jeśli ich porównać z sąsiadami), to ich zainteresowanie teorią przekładu, jak i badaniem konkretnych przykładów tłumaczeń, było znikome.[19] Aby to zapatrzenie się w siebie wyjaśnić, potrzeba by osobnej dyskusji. Stosunek do tłumaczenia jako fenomenu kultury, a z drugiej strony jako przedmiotu badań, jest jednym z przykładów powszechniejszego wzorca. Oto kilka możliwych czynników:

– stanowczo zbyt długo pokutuje wyobrażenie tego, co „szwedzkie", jako czegoś naturalnego, bezproblemowego i neutralnego;

[16] W porządku alfabetycznym języka szwedzkiego tłumaczenie (översättning) poprzedza wyraz potop (översvämning).

[17] Zob. artykuł Larsa Wollina w tejże antologii, s. 62-91: *Fran Heliga Birgitta till Brabara Cartland. Kring den littärära översättningens sprakhistoria.*

[18] Christina Gullin: *Översättarens röst. En studie i den skönlitteräre översättarens roll med utgangspunkt i översättningar av Else Lundgren och Caj Lundgren*, Lund: Lund University Press 1998.

[19] Z kwantytatywnymi pracami jest nieco lepiej, zob. przyczynek Larsa Wollina w tejże książce.

– wysoka ocena ścisłego i precyzyjnego języka oraz racjonalnej procedury przy wysokiej randze nauk ścisłych;

– predylekcja do „naturalizmu", zamiast do poglądu, iż język i sztuka są iluzorycznym odzwierciedleniem rzeczywistości, na co zwrócił uwagę Gunnar Ekelöf;[20]

– sztywne struktury akademickie, które nigdy nie pobudzały interdyscyplinarnych badań, spychając je raczej na peryferie nauk i przedmiotów tradycyjnych, z przynależnymi tym poboczom niskim statusem oraz marnym poziomem kwalifikacji naukowej itd.

Rozwój, który z początkiem lat osiemdziesiątych uczynił z przekładu – i wynikających z niego przemian kulturowych – jeden z najbardziej ekspansywnych terenów badań za granicą, w Szwecji nie doczekał się swego przełomu. Obraz ulegał jednak zmianie: więcej się dziś pisze i mówi o tłumaczeniach i o języku niż kiedykolwiek. Nie jest to oczywiście uwarunkowane głównie przesunięciami w obrębie dyscyplin naukowych, lecz tym, iż w ostatnich czasach w kraju używa się wielu języków. Obcokrajowcy, którzy osiągnęli 20 procent populacji, usunęli z języka i kultury szwedzkiej czapkę niewidkę naturalności. Język szwedzki, kultura i historia, jawią się obecnie tym, czym właściwie zawsze były: głosami w chórze, wątkiem wielkiej tkaniny, która nie zna granic między Szwecją a oddzieloną od niej „zagranicą". W tej perspektywie, jak podkreśla Michail Bachtin, dialog między tym co obce i tym co własne – uzyskuje duże znaczenie: *Obca kultura tylko w oczach innej kultury odkrywa się i pełniej ujawnia (ale nie w całej pełni, gdyż następne kultury dostrzegą i zrozumieją jeszcze więcej i lepiej). Sens odsłania swą głębię w spotkaniu z innym, cudzym, sensem, w zetknięciu z nim: rozpoczyna się między nimi jak gdyby dialog, który rozsadza i pokonuje zamknięcie i jednostronność sensów i kultur. Zadajemy obcej kulturze nowe pytania, takie, jakich ona sama nigdy sobie nie stawiała, szukamy w niej odpowiedzi na nasze pytania; cudza kultura udziela nam odpowiedzi, odsłaniając nam nowe aspekty i nowe głębie znaczeń.*[21]

3

Sporządzenie antologii tekstów o literackim przekładzie w języku szwedzkim jest zarówno niemożliwe, jak i wykonalne.

Zadanie to wykonalne jest przede wszystkim dlatego, ponieważ (jedna) antologia nie może zaspokoić coraz większego i naglącego zapotrzebowania na tego typu teoretyczne i krytyczne teksty po szwedzku. Z wielu rzeczy trzeba było zrezygnować przy opracowywaniu pierwszej takiej antologii, mającej ambicje pokazać zarówno tradycję, do której należy dyskusja o literackim przekładzie, jak też podać przykłady współczesnych perspektyw teoretycznych. Wybrać coś z ogromu literatury obcej było łatwo i trudno zarazem: łatwo, ponieważ nie ma prawie żadnych tłumaczeń na szwedzki; trudno, ponieważ z tych samych powodów możliwości wyboru były nieograniczone. Materiał szwedzki nastręcza kłopotów przeciwnej natury. Bibliografia na końcu antologii daje przykłady interesujących tekstów, ukazuje jednak przede wszystkim, iż brak w języku szwedzkim zarówno teoretycznych rozpraw nad problematyką gatunku, jak i studiów nad indywidualnymi osiągnięciami sztuki translatorskiej. Niemożliwością było znaleźć choćby jeden reprezen-

[20] O skłonności Szwedów do życiowego prawdopodobieństwa i realizmu Gunnar Ekelöf trafnie powiedział, iż „był on szczególnie mocny w ubiegłym stuleciu, wieku fotografii; lecz skłonność ta się utrzymuje uparcie nadal, o czym świadczą ceny na aukcjach obrazów u Bukowskich" (G. Ekelöf: *Valfründskaper*, Bonniers, Stockholm 1960, s. 113).

[21] M. Bachtin: *Otvet na vopros 'Novogo Mira'. Estetika slovesnogo tvorčestva*, Iskusstvo, Moskva 1979, s. 334-335.

tatywny artykuł, a co dopiero doktorat o jednym ze wspomnianych tłumaczy, jak Hagberg, Lagerlöf, Rydelius, Warburton, Nordvang, którym rozwój literatury szwedzkiej zawdzięcza tak wiele. To samo dotyczy najwybitniejszych tłumaczy liryki, jak Anders Österling, Bertil Malmberg, Erik Blomberg i Johannes Edfeldt.

Celem tej antologii było więc zebrać i wydać po szwedzku główne teksty o literackim przekładzie, o jego warunkach i znaczeniu kulturowym, aby w ten sposób tłumaczenie zyskało należne mu miejsce na literackiej mapie. Dlatego wybór jest z natury rzeczy retrospektywny i różnorodny. Wszelako zadaniem na przyszłość byłaby pełniejsza prezentacja danej szkoły czy kierunku badań translatorskich bądź też sytuacji na polu międzynarodowej refleksji teoretycznej dzisiaj, jak również zebranie nowo napisanych przyczynków z zakresu teorii i historii szwedzkiego przekładu literackiego.

Antologię rozpoczyna dział „historyczny", który obejmuje trzy przeglądy historyczne. Jeśli czytelnik nie zapoznał się z działem II, zawierającym głosy o „sztuce przekładu" na przestrzeni dwóch stuleci, to może zacząć swą lekturę właśnie od nich i wrócić następnie do działu I, który odsyła do szeregu tekstów klasycznych. Przedwcześnie zmarły literaturoznawca belgijski, André Lefevere, współzałożyciel „szkoły manipulatorskiej", w szkicu *Przekład w ujęciu historycznym* oferuje retrospektywny przegląd znanych faktów, włączonych w perspektywiczny rzut oka na dzieje przekładu z jego mechanizmami zmian.

Zasadnicze kategorie, na które wskazuje Lefevere, to przede wszystkim autorytet – ważny w rozrachunku Lori Chamberlaina z metaforyką płci w krytyce przekładu na przestrzeni wieków. Fraza „les belles infidéles", że piękne żony, jak piękne przekłady, nie zawsze są najwierniejsze, liczy sobie już 300 lat. Mimo iż kobiety pod wieloma względami stworzyły przekład i dominowały w tym obszarze w czasach nowożytnych, kobieca płeć otrzymała negatywne konotacje w tradycyjnym języku seksizmu, co współcześni krytycy nadal utrzymują przy życiu – zwraca uwagę Chamberlain.

Historyczny przegląd Larsa Wollina, bardziej tradycyjny i empiryczny w swej metodologii, w niezbędny sposób umiejscawia przekład w szwedzkim systemie literackim na przestrzeni wieków. Autor wskazuje, iż nadal centralną rolę w badaniach translatorskich ma stylistyka, dając jednocześnie ważny materiał dla przyszłych opisów napięć pomiędzy tym, co rodzime i przetłumaczone w literaturze szwedzkiej.

Dział *Sztuka translatorska* zawiera starsze i nowsze teksty klasyczne, spośród których zagraniczne są prezentowane po raz pierwszy po szwedzku. Kellgren i Thorild, XVIII-wieczni pisarze szwedzcy, sformułowali wstępnie podstawowe kwestie sporne przekładu: czy tłumaczenie ma się wpisać w panujące normy, czy też przywołuje ono obce – właśnie po to i dlatego, że jest obce?

Międzynarodowe dyskusje w późniejszych dziesięcioleciach oraz klasyczne prace niemieckie o teorii przekładu miały znaczenie zasadnicze. Wykład Friedricha Schleiermachera *O różnych metodach tłumaczenia* (*Über die verschiedenen Methoden des Übersetzens*) z 1813 roku jest chyba najlepszym przykładem.[22] Schleiermacher zostawia na boku dyskusje nad pojęciem „wolny" lub „wierny", stawiając dwa inne podstawowe typy przekładu naprzeciw siebie: ten, który stara się „zostawić autora w spokoju" i wprowadza czytelnika do tekstu; oraz ten, który stara się „zostawić czytelnika w spokoju" i do niego dostosować tekst. Ponieważ języki różnią się swym „duchem", zaś obce ma dla romantyka Schleiermachera wysoką wartość, przeto zaleca on pierwszą metodę. Dualizm Schleiermachera zawiera

[22] F. Schleiermacher: *Sämtliche Werke*, III, Zur Philosophie, Bb. 2, Reimer, Berlin 1838, s. 207-245. Przedruk: *Das Problem des Übersetzens*, herausgegeben von Hans Joachim Störig, Wiessenschaftliche Buchgesellschaft, Darmstadt 1963, s. 38-70.

teoretyczne objaśnienia z praktycznymi skutkami, które są kontrowersyjne, jak podkreśla w swym artykule wprowadzającym André Lefevere.

Wielki Goethe, jak się można tego spodziewać, ujmie zagadnienie syntetycznie. Uważa on mianowicie, że nie ma absolutnego przeciwieństwa między trzema typami tłumaczenia (do dwóch typów u Schleiermachera dodaje tłumaczenie prozą jako renarrację czegoś dla młodzieży czy zbiorowości). Typy te w literaturze mogą się zmieniać i jeden może zająć miejsce drugiego, wreszcie wszystkie mogą występować równocześnie.

Po wykładzie Schleiermachera esej Waltera Benjamina *Zadanie tłumacza* (*Die Aufgabe des Übersetzers*) jest chyba najczęściej cytowanym tekstem w tej antologii.[23] Wynika to zapewne stąd, że traktuje on nie tylko o tłumaczeniu literackim, ale także o przekładalności i o utopijno-mistycznych doświadczeniach poza językiem, ale poprzez język. Dla nowej dyskusji o tłumaczeniu zasadnicze jest następujące sformułowanie Benjamina: tym, co przekład ma uratować z oryginału, jest nie znaczenie, które można sparafrazować i dać mu rozmaity wyraz, lecz „sposób oznaczania".[24] Benjamin wyzwala teorię translacji z dawnych sprzeczności między formą a zawartością, treścią (patrz dyskusja o „wiernych" i „wolnych" tłumaczeniach), przez co jego teoria współtworzy estetykę modernizmu.

Wskazówką dla doboru tekstów do tej książki była maksyma oświeceniowego filozofa d'Alemberta: „lepiej od reguł, przykładem się kierować".[25] Odnosi się to zwłaszcza do trzeciego działu książki, zatytułowanego *Przykłady*. Badania konkretnych przykładów na ćwiczeniach w grupie podczas dokładnej lektury tłumaczeń – wzorowych, albo też interesująco dyskusyjnych – pokazują zastosowanie różnych metod analitycznych.

Rozprawa Stena Malmströma o odrębnym gatunku tłumaczeń, jakim są przekłady Honoratiusza na szwedzki, rzuciła nowe światło na ustawiczną walkę czy oscylację w historii, między przekładami dostosowanymi do czytelnika i zmieniającymi czytelnika. Walkę tę w Szwecji zapoczątkowało zderzenie poglądów Kellgrena i Thorilda.

Studium Petera Szondiego o tłumaczeniu Paula Celana 105 sonetu Shakespeare'a jest analityczną lekturą, która pokazuje, jak poeta-tłumacz czyni z przekładu część swej własnej poezji. Dokładna lektura wymaga napiętej uwagi czytelnika, lecz wysiłek zapewne się opłaca. Komentarze oraz objaśnienia wyrazów na końcu książki mają ułatwić czytelnikowi zrozumienie tekstów. Tego typu prezentacją jest właśnie analiza Nils Åke Nilssona kilku tłumaczeń *Zaklęcia śmiechem* rosyjskiego futurysty Chlebnikowa.

O wyborze, mimo dobrej rady d'Alemberta, zdecydowały jednak pewne zasady. Jedną z nich było to, aby tłumacz nie włączał własnych refleksji o swym zawodzie, ponieważ stanowi to osobny gatunek, pracowicie uprawiany nawet w Szwecji.[26] Z drugiej jednak strony łamie tę zasadę włączenie tekstu d'Alemberta. Dotyczy to nawet zamieszczenia eseju *Hamlet* Clasa Zilliacusa, co było umotywowane tym, że Zilliacus jest w jednej osobie tłumaczem i naukowcem, co z dystansem pozwala temu drugiemu pisać o pierwszym.

Pojęcie „krytyka przekładu" oznacza w tej książce analizę tłumaczeń, a nie sprawdzanie błędów językowych. Milan Kundera, studiując trudności francuskich tłumaczy z jednym ze zdań Kafki, bada zarazem niedociągnięcia

[23] W. Benjamin: *Gesammelte Schriften*, IV, Suhrkamp, Frankfurt am Main 1972, s. 9-21.
[24] W. Benjamin: *Die Aufgabe Übersetzers*, op. cit.
[25] Jean le Rond d'Alembert: *Observations sur l'art de traduire en général et sur cet essai de traduction en particulier*, (w:) *Essai de traduction de quelques morceaux de Tacite*, (w:) *Mélanges de littérature. d'histoire et philosophie*, vol. III, Amsterdam 1760, s. 3-30. Przekł. na szwedzki w tejże antologii, s. 99-111.
[26] Ostatnio w *Nagot att orda om. Tankar kring konsten att översätta*, red. Lars Erik Blomqvist i Mats Löfgren, Norstedts, Falun 1997.

i braki. Zainteresowanie Kundery nie ogranicza się właściwie do tego, co „niepoprawne" contra „poprawne" (czy „wolne" contra „wierne"), lecz obejmuje podstawowe problemy praktyki i estetyki sztuki translatorskiej. Sposób, w jaki pisarz, drobiazgowo analizując przykłady, nie traci ogólnej i całościowej perspektywy, ukazuje, jak rozwinąć można stosunek tłumacza do stylu autora, oparłszy się na klasycznym już dziś studium Jiřiego Levy'ego *Sztuka przekładu*, z którego jeden rozdział wchodzi do antologii.

4

„Wszelka poezja jest tłumaczeniem" – powiada rosyjska poetka Marina Cwietajewa. Poezja – to szukanie wyrazu, który odpowiada przeżyciu wewnętrznemu, albo też przez zmiany wyrazu – torowanie drogi nowym odkryciom wewnętrznym.[27] Cwietajewa mogłaby równie dobrze zacytować Rosenzweiga: „wszelka mowa jest tłumaczeniem". Poetka wyrosła w dwujęzycznej rodzinie, mieszkającej przed I wojną światową w Moskwie, pisała w trzech językach, na emigracji żyła w różnych krajach. Być może dopiero doświadczenia naszego stulecia – masowe migracje, ekspatriacje i wędrówki ludów, przesunięcia granic, coraz szybsza komunikacja, większe zróżnicowanie na małym obszarze – uwidoczniły egzystencjalne warunki „prze(nie-sie)kładu" na wielką skalę.

Do szwedzkiej kultury doświadczenia te dotarły późno, lecz dzisiaj możemy powiedzieć, że czas epoki dogonił Szwecję. Widzieć ją jako kraj nie tylko „przekładający", z czym wielu gotowych jest się zgodzić, to nie to samo, co widzieć kulturę szwedzką jako kulturę przetłumaczoną. W tym jest zmiana perspektywy, która zdaje się podważać wiele ugruntowanych pojęć szwedzkiej tożsamości.[28]

Jak więc studia czegoś tak wyspecjalizowanego, jak literackie tłumaczenie, mogą się przyczynić do zrozumienia bardziej ogólnych problemów, jak kulturowa i językowa przekładalność? A jednak mogą i to w rozmaity sposób. Nie tylko dlatego, że więcej niż połowa szwedzkiej literatury to przekłady. Zaawansowany i rozwinięty przekład literacki można traktować jako wysoce niebezpieczne laboratorium wszelkiego rodzaju tłumaczeń danego kraju. Albowiem poszerzają się tu granice doświadczeń kulturowych, tutaj też sprawdza się formy wyrazu tego, co obce i co dopiero z czasem staje się wspólnym dobrem.

W końcu jednak coś innego pobudza sztukę translacji, co można by nazwać utopijnym wymiarem.

Oto wielką pokusą są dziś rozmaite formy fundamentalizmu – religijnego, etnicznego, genetycznego – które bronią prawdziwej wiedzy i ortodoksji przed interpretacjami i tłumaczeniami z zewnątrz. „Ty tego nie zrozumiesz nigdy, bo nie jesteś chrześcijaninem (czy też żydem, muzułmaninem, Rosjaninem, Niemcem, kobietą, mężczyzną)" – jest argumentem nie do odparcia i jednocześnie całkowicie statycznym. Zupełnie co innego twierdzi tłumacz, który podnosi wartość *dialogicznego rozumienia spoza i z zewnątrz*, o czym mówi Michaił Bachtin. Tłumacząc obce kultury na nasz język nie tylko je poznajemy, lecz one same oświetlają nieznane dotąd strony naszej „własnej" kultury.

Za przeciwieństwo fundamentalizmu podaje się czasem totalny relatywizm kulturowy, który mówi: „w ich kulturze kara śmierci jest przyjęta", „demokracja to nie dla Chin" itp.[29] Lecz relatywizm opiera się na tej samej

[27] Zob. artykuł Birgitty Trotzig, przyp. 13.

[28] Ciekawym tego sprawdzianem był artykuł Ulfa Olssona *Identitetsproblem* w dzienniku wieczornym „Expressen" z 22 lutego 1997.

[29] Thomas Hylland Eriksen: *Andras oseder och vart kultur*, przekł. na szwedzki Ingemar Karlsson, *Moderna Tider*, sierpień 1997, s. 26-33.

koncepcji zamkniętości co fundamentalizm, jest jego odbiciem lustrzanym, symetryczną odwrotnością.

Tłumacze, sprzeciwiając się tym bliźniaczym formom zasklepienia, utrzymują coś pośredniego: mianowicie, że można pośredniczyć w przekazywaniu czegoś radykalnie odmiennego. Nie ma „absolutnego" tłumaczenia, albowiem nie byłoby to tłumaczenie. Tłumacze unaoczniają i uzmysławiają – miejmy nadzieję również ta książka – istnienie relatywizmu z poczuciem odpowiedzialności. Innymi słowy, że jest miejsce dla kompromisu, a także dla tego, co zupełnie nie sprawdzone, trzecie, a zarazem nie mające nic wspólnego z widzimisię. Tłumacz może być gotów poświęcić cały tydzień jednemu zdaniu Shakespeare'a[30], ona lub on mogą włożyć bezgraniczny wysiłek, aby dotrzeć nie do podobieństwa i ekwiwalencji, lecz do możliwie najwyższej wyrazistości i jasności, których nie znajdziemy w komputerowym banku informacji czy też w wypróbowanym doświadczeniu – trzeba je po prostu stworzyć. W małym i konkretnym tłumacz demonstruje możliwość (z)rozumienia. W tym tkwi to, co nazywamy utopijnym wymiarem tłumaczenia. Nie możemy wszyscy być tłumaczami, lecz wszyscy musimy w pewnym sensie tłumaczyć. Dlatego tłumaczenie zasługuje na to, aby o nim mówić, innymi słowy zasługuje na to, aby być widocznym.

*

Antologia ta jest rezultatem długoletniej pracy, wspomaganej finansowo przez Radę Nauk Humanistyczno-Społecznych oraz przez fundację im. Magnusa Bergvalla. Należą im się słowa podzięki. Słowa podzięki należą się również tym, którzy swymi propozycjami oraz krytyką wspomagali proces jej powstawania, a więc w pierwszym rzędzie – kolegom z projektu badawczego „Dialog kultur" w Wyższej Szkole w Södertörn.

przełożył *Michał Legierski*

[30] Göran O. Eriksson: *Tre texter*, w tejże antologii, s. 189.

Książki nadesłane

Wydawnictwo Norbertinum

Anna Maria Mickiewicz: *Okruchy z okrągłego stołu*. Lublin 2000, ss. 142.

Małgorzata Matecka: *Sen*. Lublin 2001, ss. 54.

Józef Zięba: *Wspomnienia wołyńskie*. Lublin 2001, ss. 245.

Dora Kacnelson: *Skazani za lekturę Mickiewicza*. Lublin 2001, ss. 310.

Jan Krok-Paszkowski: *Mój bieg przez XX wiek*. Lublin 2001, ss. 420.

Jadwiga Skibińska-Podbielska: *Aforyzmy*. Lublin 2001, ss. 104.

Mogens Kjelgaard: *Cień tamtych dni. Opowieść tykocińska*. Lublin 2001, ss. 240.

Krystyna Litwiniuk-Płatakis, Kazimiera Litwiniuk: *Póki pamięć dopisuje, póki jeszcze czas...*. Lublin 2001, ss. 313.

Ks. Jan Kowalczyk: *Soli deo. Wspomnienie o księdzu Stefanie kardynale Wyszyńskim*. Lublin 2001, ss. 85.

Jerzy Hryniewiecki: *Turysta Sikorskiego i powojenne przygody w Peerelu*. Lublin 2001, ss. 285.

ANNE STEVENSON

Pastor składa kondolencje swojej córce pogrążonej w smutku po śmierci młodego męża, który zginął w katastrofie morskiej u wybrzeży Yorkshire

3 września 1829 *Clearfield, Vermont*

Moja biedna córko,

Przestudiowałem twój list nadzwyczaj uważnie i bezstronnie.
Cóż mam powiedzieć?
Chyba tylko to, że cierpię podobnie jak ty musisz cierpieć,
kiedy uświadamiasz sobie słuszny sens owej bolesnej straty.

A czegóż się spodziewałaś, córko
ty, która od dzieciństwa, wbrew moim ostrzeżeniom,
przedkładałaś wątpliwe pomieszkania świata
nad bezpieczniejsze dziedziny ducha?
Czyż nie słyszałem, i to nieraz, jak ogłaszałaś
że tylko jeśli twoje ziemskie aspiracje spełzną na niczym,
uciekniesz się pod obronę Boskiego Miłosierdzia?

Twoje przeszłe postępowanie zaciąży na twoim sumieniu.
Co Bóg w Swej Sprawiedliwości uczynił, jest dość oczywiste.

Czyżbyś sobie wyobrażała, że masz prawo do jego Nieskończonego
Miłosierdzia?
Bo jeśli nawet Bóg zażądał od ciebie tej ofiary, to czy
mniemasz, że w Jego interesie leży obdarzenie cię łaską?
Czyż ofiara nie jest karą za Grzech?
Czy to nie z Jego Woli nie giniemy wszyscy w tej chwili?
Nie pożera nas ogień piekielny?!

Omijaj, moja córko, owe skały, na których rzesze całe
znalazły swój koniec!
Nie sądź, że pojednasz się z Panem mierząc
Niezmienne Żądania ograniczoną calówką możności!
Bóg żąda od ciebie tylko trzech rzeczy:
Skruchy. Wiary. Miłości. Niczego więcej.
Jakże często w mym życiu Wszechmocny Swoim Dopustem otwierał

bezmierne jaskinie burzliwej nocy i zmiennych kolei losu!
Lecz nigdy przedtem tak prawdziwie, tak przejmująco
nie odczułem potęgi Jego Niezbadanych Wyroków.

Kres takiego talentu!
Wiedza. Pokora. Oddanie
Prawdzie i Obowiązkowi. Wszystko w mgnieniu oka zniweczone
przez tę Rękę Tajemniczej Opatrzności, co jak piorun poraża
nam serce, które całą – do ostatniej kropli – siłę
czerpie z zatrutej studni, co plugawi
– szkoda, że tego nie widać! – wodami ludzkiej niegodziwości
Wiekuistą Rzekę Niebios wypływającą spod Tronu!

Nie w mojej mocy jest dać ci pociechę, której tak pragniesz.
Raczej zwróć się do owego Pasterza, którym wzgardziłaś.
Niechaj On przeniesie cię na Swoje Chwalebne Pastwiska,
gdzie pospołu z Wybranymi z Jego Trzody
ukontentujesz duszę myślą, że to,
co dla ciebie jest stratą, jest zyskiem niezmierzonym
dla ukochanego, który przebywa z Bogiem.
Bo
jeśli nawet krępowany przez ciało
duch jego zadziwiał ziemię swym pięknem,
to jaki musi być teraz, skąpany w Krwi Baranka,
zanurzany codziennie w owym Niewyczerpanym Źródle,
które jest początkiem Wiecznego Wesela?

Udzielam błogosławieństwa tobie i twemu maleństwu.
Obyś w miłości Jezusa znalazła nadzieję, z którą się pożegnałaś.
Niechaj Światło Jego Oblicza świeci nad tobą i
przyniesie ci spokój, teraz i w Życiu Wiecznym.

Twój kochający cię ziemski ojciec, który żyje w Panu,
Adam Chandler

Syn marnotrawny: wyrzuty sumienia nie dają spokoju przebywającemu w Nowym Orleanie Reubenowi Chandlerowi, który porzucił dom rodzinny i Harvard College zrażony panującymi w nich surowymi obyczajami

23 czerwca 1832 *Nowy Orlean*

Mój drogi ojcze,
Może to, że piszę, chory,
z klasztoru żeńskiego w Nowym Orleanie,

zmartwi cię mniej
niż to, że w ogóle piszę.
Módl się za moją duszę.

Nie.
Szatan nie skusił mnie Papizmem.
Podobny wstręt budzą we mnie Antychryst i Rozum.

A jednak mój umysł
był i jest chory;
wychowanki tutejszego klasztoru

znalazły mnie nieprzytomnego na drodze,
gdzie leżałem prawie oślepły,
porażony mocą potężnego słońca, które dla nas,

chowanych w błękitnym, północnym klimacie,
jest jak ognista broń
w ręku Diabła.

Mimo to, nie przypisuję mojego stanu
upałowi czy chorobie.
Od wielu nocy prześladuje mnie

W tym miejscu pewien sen.
Jest to wizja tak żywa i tak
przekraczająca moje możliwości egzorcysty,

że, skruszony, składam ją u twoich stóp.
Żałuję mojej przeszłej samowoli i niegodziwości.
Błagam cię, byś traktował mnie jak syna.

Śni mi się, że idę jedną z tych
wysokich, południowych grobli,
droga jest spieczona i przysypana kurzem,

pokryta dziobami ludzkich stóp
i głębokimi bliznami po furach,
a także tropami bydła,

koni, owiec i innych zwierząt.
Taką oto drogą podążam ze spuszczonymi oczami
i głową, bojąc się spojrzeć w górę albo

w prawo czy w lewo, choć czuję
jak z mchu, podobna
drżącemu welonowi, wynurza się

bujna roślinność Zalewiska;
przyspieszony, cichy puls
Missisipi; i tuż

nade mną słońce,
co przepala własną
nietrwałą błonę,

płonące, ogromniejące, zstępujące
coraz niżej, aż przygnieciony
jego ciężarem, z konieczności

muszę uklęknąć w pyle
i, wznosząc ręce ku Bogu,
błagać Go o pomoc i zmiłowanie.

Spoglądam w górę.
I oto kopuła Niebios
wypełnia się słońcem,

a jego ogniste języki
chłoszczą
okrąg horyzontu.

Na lewo:
oddycha
bezkresny ocean.

Na prawo:
nie dżungla,
lecz pustynia!

Potem spoglądam na ocean
i widzę, że nie ma w nim wody, lecz
wypełniają go ludzkie ciała, szkaradne i nagie;

mężczyźni, kobiety i dzieci
jak potężne, miotane
wichrem fale, przewalają się

w dół i w górę, w dół i w górę.
I widzę, że są to żywe istoty,
nasi sąsiedzi i ziomkowie:

Oto Szalona Nauczycielka Beaton,
odarta ze szmat, bez okularów i peruki.
I biedny, nieszkodliwy poczmistrz Brown,

wydrążony jak czaszka owcy,
ale szara i podłużna jak
wyrzucona na brzeg skołatana kłoda.

Zawsze wydaje mi się, że widzę moją siostrę Elizabeth,
lecz kiedy krzyczę głośno, ona odrzuca
do tyłu sploty swoich niesfornych, falujących

włosów i przeziera mnie strasznym spojrzeniem.
Zaraz coś ją porywa i tracę ją z oczu,
a w jej miejsce pojawia się czarny jak węgiel,

broczący krwią Murzyn,
który wywija i potrząsa pięściami,
a znikając, podnosi lament:

„Pójdźcie za mną,
a sprawię, że staniecie się
rybakami ludzi!"

Odwracam się przerażony
w prawo… ku pustyni, tam
gdzie wylewa się

całymi milami nicości.
I modlę się, jak modlił się Chrystus,
o zbawienie przez odrzucenie Złego.

A potem biegnę,
oszalały z nieugaszonego pragnienia,
między głazami, kraterami i jałowymi,

złaknionymi roślinności górami.
Później potykam się
i upadam,

by obudzić się w mokrej od potu pościeli,
i płaczę jak dziecko
a obok stoi i wpatruje się

we mnie jakaś wyrwana ze snu wiedźma
w czarnym kornecie, która wątpi
w moją poczytalność i nie wie, co robić.

I cóż mam myśleć, ojcze?
Kim jest Nasz Ojciec Niebieski,
jeśli za Jego Sprawą takie sny powstają?

Czym jest Jego Miłość? Jego Wszechmoc?
Jego Wyzwanie? Jego Przebaczenie?
Nawet Jego Zemsta?

Czy znaczą tyle, co ciała z owego oceanu?
Co kamienie na tej piaszczystej pustyni?
Czy Bóg-prześmiewca siedzi obojętny

za wielką maglownicą słońca
ordynując tak zbawionym jak potępionym
moje własne Piekło na ziemi?

Moje cierpienie… ból istnienia?

Twój niegodny, najnieszczęśliwszy syn,

Reuben Chandler

Rodzinna pomyłka: Elizabeth Chandler pisze do brata, Reubena, z okazji jego zaręczyn z kobietą z Południa

25 września 1838 *Clearfield, Vermont*

Prawdę mówiąc, kochany bracie,
wiadomość o „planach twojego serca"
sprawiła mi niewypowiedziany ból.

Zaręczony! I z kim?
Z kobietą z Południa!
I jak o tym powiedzieć ojcu?

Gdybyś go mógł zobaczyć… prawie już
nie wychodzi z redakcji *Wyzwoliciela*
udręczony przez judaszową sprawiedliwość tego kraju!

W ciągu miesiąca przebywało z nami
czworo z naszych „nocnych kwakrów", wśród nich
dzielna, wspaniała, bliska rozwiązania Marie,

a obowiązek zajęcia się nimi,
jak zwykle, spadł na mnie!
Myślę, że są jeszcze *jacyś* uczciwi Południowcy.

Tymczasem Nathan i ja jesteśmy
spokojni na tyle, na ile to możliwe.
Co się tyczy małżeństwa, to jakiś czas temu

odłożyłam na bok wszystkie pamiątki.
Sądziłam, że ból się zaleczył
i na dobre zabliźnił.

Lecz teraz absolutna beztroska
twojego szczęścia (i egoizm)
wżera się w moją duszę jak mściwy robak.

Odszedł, odszedł, najdroższy przyjaciel!
Wszystkie pamiątki po nim, trupki, które jak
największe skarby przechowuję w złoconym puzderku:

jego obrączkę,
portret,
cudny, jedwabisty płomyk włosów...

zmartwychwstają teraz przede mną
jak niechciane duchy
i rozgłaszają ze swego grobu moją winę.

Pewnego dnia, kiedy siedziałam
(zapłakana) z jego podobizną,
kochany Nathaniel podpełzał do mojego kolana.

„Kto to" – spytałam, uśmiechając się
(widział, że płaczę).
„Bóg" – odrzekł tak niewinnie.

„Och nie!" – skarciłam go.
„No to Chrystus."
„Nie, *Papa*".

„No właśnie, Papa!" – krzyknęło dziecko.
„Czy Papa nie jest moim Ojcem,
a Ojciec Bogiem,

A Bóg zmienił się w Jezusa,
który umarł!?"
Wyobraź sobie, co czułam!

Wzięłam go na kolana
i obsypałam pocałunkami,
mówiąc: „Papa *jest* z Jezusem,

ponieważ Jezus *umarł* za Papę.
Ale my wszyscy będziemy z Papą,
kiedy umrzemy."

Wtedy zaczął płakać... i nawet ojciec
– który po chwili dołączył do nas –
płakał, błagając, byśmy się pomodlili!

Więc modliliśmy się,
a kiedy to czyniliśmy, czułam
jak słońce z czułością rozsiewa

wokół mnie swoje promienie, znosząc
całe naręcza cudownej nadziei.
I ujrzałam mego ukochanego męża

spoczywającego na łonie Wieczności,
a moja własna dusza, podobnie jak twoja
spała na Piersi Pana.

Niechaj więc, drogi bracie,
Jego światło świeci nad tobą i niechaj
z nim spłynie na ciebie Jego Spokój i Mądrość.

A grzech, który popełniłeś, zadając
ból innym, niechaj będzie ci odpuszczony.

Twoja kochająca siostra w Chrystusie,
Elizabeth B.

przełożył *Andrzej Szuba*

ANNE STEVENSON (ur. 1933 z amerykańskich rodziców, w Cambridge) – poetka brytyjska. Kształciła się na Michigan University, ale od lat 50. większość czasu spędza w Wielkiej Brytanii. Uczyła i była poetką rezydentką na uniwersytetach w Anglii i Szkocji. W 1978 roku została członkinią Royal Society of Literature. Najważniejsze publikacje książkowe: *Living in America* (1965), *Reversals* (1969), *Correspondences: A Family History in Letters* (1974), *Travelling Behind Glass: Selected Poems 1963–1973* (1974), *Cliff Walk* (1977), *Enough of Green* (1977), *Sonnets for Five Seasons* (1979), *Minute by Glass Minute* (1982), *Green Mountain, Black Mountain* (1982), *Turkish Rondo* (1982), *A Legacy* (1983), *The Fiction-Makers* (1985), *Winter Term* (1986), *Selected Poems 1956-1986* (1987), *The Other House* (1990), *Four and a Half Dancing Men* (1993), *The Collected Poems 1955-1995* (1996). Jest autorką biografii Sylvii Plath pt. *Bitter Fame* (1989). Prezentowane wyżej utwory pochodzą ze znakomicie przez krytykę i czytelników przyjętego zbioru *Correspondences*, będącego epistolarnym zapisem dziejów amerykańskiej rodziny na przestrzeni stu pięćdziesięciu lat.

Piotr Fąfrowicz: *Zaułek z niebieskimi schodami*, 1995

przekroje

Prozaicy... prozaicy...

KAMILA BORYSEWICZ

NOWA PROZA KUCZOKA

Z ust krytyków dochodzi nieustanne narzekanie, że w prozie polskiej ostatnich lat nic się nie dzieje. Że pustka, że bezładna gadanina, nic godnego uwagi, silenie się na oryginalność. Czy *Opowieści słychane* Wojciecha Kuczoka są w stanie obronić się przed tego typu zarzutami? O młodym krakowskim poecie (w swojej biografii wyraźnie podkreśla, że „nie mieszka w Warszawie") już słyszano, o prozaiku – jeszcze nie. Kuczok zadebiutował w 1996 roku tomikiem poezji *Opowieści samowite*, dwa lata później opublikował *Larmo*, a teraz „obdarowuje" nas prozą. Ciekawa droga artystyczna. Czyżby jakaś nagła potrzeba kreatywnego ducha? A może pewnego dnia poeta stwierdził, że zbyt hermetyczna forma nie jest w stanie zawrzeć wszystkiego? Pytania tego rodzaju można by mnożyć, ale... po co? Rzecz w tym, że każde opowiadanie niewielkiego zbiorku (raptem 69 stron!) nosi ślady „poetyckiego zacięcia" autora.

Osiem krótkich utworów plus dziewiąty, zamieszczony w aneksie, nie stanowią zwartej całości. Czytelnik może zatem bezkarnie zignorować kolejność i wybrać to, na co ma ochotę w danej chwili.

Każda opowieść koncentruje się wokół jednego bohatera. Różni to ludzie – młodzi, starzy, kobiety, mężczyźni. Kuczok nie ma ulubionego „typu". Interesuje go po prostu człowiek.

To bohater decyduje, ile zobaczymy, czego się o nim dowiemy. To on „zapisuje" swoje wrażenia. Może nawet nie zapisuje, tylko nagrywa. Już sam tytuł *Opowieści słychane* sugeruje, że zamieszczone tu historie były wcześniej wypowiedziane głośno, ze zostały usłyszane, a dopiero potem utrwalone na papierze.

Człowiek, który mówi u Kuczoka nie jest niczego pewien, gubi się w gąszczu wątpliwości, nierozwikłanych zagadek. Gdzieś za tym „szalonym słowotokiem" ukrywa się drugie „ja", niekoniecznie uświadomione, jakiś „wewnętrzny sekret", bez którego nasze bycie staje się niepełne, nieprawdziwe. W niektórych opowiadaniach celowo została wykorzystana narracja w drugiej osobie. „Rozpłakałeś się węchem", „i ta potrzeba cię naszła spóźniona", „Ach, czemuż zaniechałeś – zobacz, że w tobie tkwi coś, z czego być może nie zdajesz sobie sprawy!" Autor zmusza nas do podjęcia próby „przejrzenia się w sobie". Zaskoczenie? Może nawet przerażenie? Człowiek dla siebie – istota obca, niezrozumiała.

Sam Kuczok nie ucieka przed wyzwaniem rzuconym innym, ale się maskuje. „Opowieść słychaną z siebie" umieszcza w aneksie (uzupełnienie? czytelniku nie zważaj na to?), dodatkowo opatrując ją mianem apokryfu. A więc sugestia, że tekst został znaleziony w szafie, że ja – autor nie mam z nim nic wspólnego.

W każdym z nas czai się choćby odrobina szaleństwa; tęsknota, a jednocześnie strach za czymś niepojętym, niezgłębionym. Równocześnie wciąż zadajemy sobie pytania, poszukując sensu, jakichś wyższych sankcji dla uzasadnienia naszego istnienia. A może tak jak Kuczok lepiej po prostu zaakceptować ten Chaos w nas i wokół nas, nie starając się go zrozumieć:

i sam już nie wiem, kto winien,
z czyjej to wszystko przyczyny
z mojej, kleszcza, czy dziewczyny.

Wojciech Kuczok: *Opowieści słychane*, Wyd. Zielona Sowa, Kraków 1999, Biblioteka „Studium", t. 15, ss. 74.

MONIKA KOZIOŁ

„DIABELSKA PRZYPADŁOŚĆ"

Ta recenzja nie może być banalna! Jeżeli jednak taka będzie – jutro mogę nie żyć. Może gniazdo szerszeni znajdzie się w moim samochodzie, w moich ustach pojawi się gromada rozwścieczonych owadów i gdy pokłuty, puchnący język będzie skutecznie tamował dopływ powietrza, mój kat, stojąc na muszli klozetowej i przytulając twarz do pokrytej kroplami spłuczki, będzie bredził, sycząc przy tym z rozkoszy: *Zobaczyłam zęby Władysława Gomułki i szklankę herbaty, w której komsomolec w skarpetach szukał cytryny!* Oby nie było banalnie!

Te obawy nie są bezpodstawne, a ich istnienie to najlepszy dowód na to, że literatura potrafi wkraczać w ludzkie życie. Wszystko zaczęło się od tego, że Jacek Dąbała napisał szokującą książkę pt. *Diabelska przypadłość*, którą przeczytałam. Snuje tam opowieść o potworze, nimfetce, a skądinąd i pięknej kobiecie, która pierwszy orgazm przeżyła w gimnazjalnej szatni, a potem – chyba wszędzie, wyobrażała sobie pocałunki kochanków kończące się wybuchem paliwa wydostającego się nagle z pękniętej wargi albo opalone ciała młodzieńców ścigających się w basenie wypełnionym benzyną bezołowiową, a chleb smarowała od spodu, bo kolor żółty ją drażnił. Drażnił ją też każdy banał, za banał zabijała, bo ludzi banalnych uważała za zbytecznych, bezwartościowych. A jaki będzie mój los?

Przykro mi, ale nie potrafię napisać recenzji niebanalnej, kiedy za banał uznawana jest każda szablonowość, dopasowanie się do norm, reguł, oczekiwań. Ja muszę wspomnieć, o czym jest ta książka, bo inaczej nie spełnię swojego zadania. A jest ona o obozach koncentracyjnych, o niemieckim lekarzu i jego zakazanej miłości do przepięknej Żydówki. Jest o klonowaniu, o utracie, o ślepej, platonicznej miłości, czy dokładniej o tym, że przyjacielowi trzeba pomagać, nawet jeżeli on tego nie chce (trochę jak w najnowszym filmie Dominika Molla *Harry, twój najlepszy przyjaciel*). Ale to też książka o sile literatury, o jej roli w życiu ludzi, o tym, że pozwala ona zapomnieć, a swojemu twórcy daje ocalenie (także w sensie doczesnym).

To historia opowiadana w tajlandzkim więzieniu przez Europejczyka. Mówi on o niemieckim lekarzu, który podczas wojny, w obozie, zakochał się w Żydówce, wziął ją do siebie, ona go pokochała, mieli mieć dziecko, chcieli wyjechać daleko, być szczęśliwi. Ale to nie wszystkim się podobało. Więc ją zabito, usunięto problem. On ją jednak sklonował tyle, że klon zaginął, do późnej starości nie odnalazł swojego dzieła. Jednak klon żył – pod nazwiskiem spisanym z niemieckiego grobu, a brzmiącym Herburtt – Maria Herburtt. Żył, miał przyjaciela i jeden cel w życiu: sprawić, aby przyjaciel był szczęśliwy. Usuwała więc jego „problemy". Środki musiały być skuteczne. Benzyna, owady, prąd, szabla – jej sposoby działania były niesamowite jak ona sama. Policji ani śladu. Wychowana w domu dziecka na socjalistyczny ideał, jako dorosła kobieta potrzebowała cytatów z tamtych teorii, by osiągnąć szczytowe podniecenie. Świat widziała jako patelnię pełną pędraków usmażonych na oliwie z warzywami i czosnkiem, których życie kończono równie brutalnie jak iskrę w papierosie zaczynającym parzyć w palce.

Jedyną osobą, w stosunku do której prawo reakcji na banał nie miało zastosowania był przyjaciel – on miał prawo być banalny, jego banalność wywoływała w niej odruch opiekuńczości – jeden z niewielu przejawów człowieczeństwa. Gdy po wypadku został sparaliżowany, zbudowali „alfabet zaciskania ust" i właśnie za pomocą tego alfabetu poprosił ją, aby pomogła mu umrzeć. Nie chciała, ale pomogła – aby był szczęśliwy, ale zginęła

razem z nim, choć inaczej, bardziej niebanalnie, jednak ta niebanalność nie była wprost proporcjonalna do niebanalności jej życia. On je motywował, bez niego straciło sens, pozostanie na świecie przerastało jej możliwości. Banał i ucieczka przed nim stały się dla Marii tak ważne, że dotykała ich granicy, choć chyba jej nie przekroczyła.

Czytając *Diabelską przypadłość* miałam kilka, a może kilkanaście razy wrażenie, że dostaję w głowę twardym przedmiotem i przez chwilę nie wiem, co się ze mną dzieje, co ja w zasadzie robię. Miałam ochotę rzucić tę książkę i powiedzieć: „chwileczkę, tu są pewne reguły, książek się tak nie pisze, co to ma być". Bo Dąbała szokuje nie tylko samą fabułą, ale również jej układem. Opowiada przez wiele stron bardzo dziwną historię miłosną, żeby w najmniej oczekiwanym momencie dwoma krótkimi zdaniami uśmiercić jej bohaterkę. Chciałoby się krzyknąć: „to nie tak się robi panie autorze", ale po chwili oddechu czyta się dalej.

Nie wiem, o czym generalnie jest ta książka, zupełnie nie rozumiem jej zakończenia, nie mam pojęcia, co autor chciał przez to powiedzieć. Może właśnie to, że człowiek nie wszystko w życiu może wiedzieć, nie wszystko da się przewidzieć, kopia nie musi być równa oryginałowi, że alternatywne sposoby kreacji wytwarzają alternatywnych ludzi – psychicznie silne potwory bez moralności. Boję się jednak, że to zbyt banalne wytłumaczenie, a banał jest przecież niebezpieczny. Ta recenzja jest pewnie banalna, a więc nie wiem, co mnie jutro spotka, ale przeczytałam tę książkę, bo to niezwykła mieszkanka kryminału, horroru, powieści psychologicznej, obyczajowej, może czegoś jeszcze. Opowiadana w więzieniu historia splata się z późniejszym życiem narratora, ale kompozycja pozostaje otwarta – nie wiadomo, co z nim zrobiła nazwana przez niego Marią Herburtt stewardesa z samolotu, którym po wydostaniu się z więzienia i powrocie do zdrowia wracał do Europy. Nie wiadomo też, co zrobiłaby z każdym z nas, gdyby i z nami spotkała się w rzeczywistości. Może więc nie powinnam namawiać do czytania tej książki...

Jacek Dąbała: *Diabelska przypadłość*, Warszawa 2001, ss. 223

ALDONA TARGOŃSKA

„HISTORYJE W KURIRYKU" – CZYLI CURRICULUM VITAE WSPÓŁCZESNEGO CZŁOWIEKA

Historyje – od razu rodzi się pytanie: dlaczego nie historie. Może to poza, albo świadoma prowokacja. Jeszcze bardziej zaskakująca i niezrozumiała jest druga część tytułu zbioru opowiadań Dariusza Piórkowskiego: *Historyje w kuriryku*. A cóż to jest ten kuriryk, czy Bóg wie, co jeszcze? Już sam dziwny tytuł stanowi dla czytelnika zagadkę, ale właśnie dlatego wzbudza zainteresowanie. Wbrew pozorom tytuł okazuje się zupełnie prosty, wyjaśnień dostarcza autor w opowiadaniu tytułowym: *Z góry dziękując za wysłuchanie załączam własnoręcznie wydrukowane, te no... „si – wi", coś jakby „kurikulum czy kuriryku wide" (ojejku, to chyba wzięło się z marlboro? Tam jest napisane z boku na paczce „wici widi" czy coś w tym stylu). Zresztą pani w studiu tłumaczyła, że palenie jest groźne dla zdrowia i dlatego na tych papierosach jest umieszczone ostrzeżenie Ministra Zdrowia. Także dla turystów, w językach obcych, a oznacza mniej więcej: „czy widzisz co czynisz"? A więc, to było tak...*

Historyje w kuriryku to cykl opowiadań ukazujących wycinki rzeczywistości, migawki z życia współczesnego, składające się na całość ludzkiej egzystencji, ukazujących wszystkie jej aspekty. Można powiedzieć – współczesna „historyja" Everymana, Każdego.

Już pierwsze opowiadanie *Adin, dwa, tri* uświadamia czytelnikowi, że ma on do czynienia z prozą poruszającą tematy dotyczące życia codziennego u progu XXI wieku. Sytuacja zwyczajna, jakich wiele, mężczyzna został sam w domu, żona wyjechała na jakiś czas, więc swobodnie oddaje się swojej ulubionej grze komputerowej z wirtualnymi przeciwnikami. Nic takiego, samo życie, ale zakończenie nieco zaskakujące, otóż ta niegroźna rozrywka spowodowała wymazanie człowieka z rzeczywistości. I powraca istotne pytanie: czy stale doskonalona technika służy człowiekowi, czy jest dla niego zagrożeniem? Czy możliwe jest za pomocą jednego kliknięcia skazanie człowieka na nieistnienie? Oczywiście na te i podobne pytania nie znajdziemy odpowiedzi w książce, ponieważ każde z opowiadań ma formę otwartą, daje czytelnikowi pole do popisu, pozwala się „dopełniać" wedle własnej koncepcji. W ogóle cechą tej prozy jest fragmentaryczność oraz inwersyjność toku wypowiedzi, co sprawia, że nie są to proste opowieści z wyraźną pointą, ale zmuszają czytelnika do interakcji, aktywnego odbioru.

Utwory zgrupowane w tym cyklu podejmują ważne kwestie nurtujące myślącego człowieka. Zagadka istnienia, sposób trwania „pierwiastka ludzkiego" we wszechświecie jest tematem opowiadania *Tutaj też boli*. Człowiek wrzucony w wir życia bez swej zgody często nie potrafi cieszyć się tym życiem, dostrzega tylko ciemne jego strony. Czworo bohaterów: piosenkarz, autorka tekstów, poeta i pisarz, nawet w obliczu śmierci nie chcą czy nie potrafią się ratować, tak „uwiera", boli ich egzystencja. Jednak „życie" po drugiej stronie jeszcze gorzej boli, ponieważ trzeba trwać w samotności, nie można w żaden sposób zasygnalizować swej obecności. Zbliżoną tematykę prezentuje *Śmierć i (p)otępienie*. Sam tytuł jest wieloznaczny. Bohater to człowiek usiłujący dowiedzieć się, czym jest wieczność, czego doznaje się po śmierci. Reżyseruje szereg wypadków i chyba udaje mu się osiągnąć cel, gdyż zostaje znaleziony martwy, ale zabiera swoją tajemnicę ze sobą. Tekst strukturą przypomina nieco kryminał, ale tak jakby ktoś powyrywał kartki, część wyrzucił, a resztę pomieszał. Tak jak tytuł jest zabawą słowem, tak forma jest igraniem z konwencjami. Zabieg ten często stosowany jest w opowiadaniach Piórkowskiego, jak w przypadku tytułowej *Historyji w kuriryku*, gdzie obok siebie występują fragment *Kubusia Fatalisty*, jakby urywek pieśni chóru z tragedii, a także list motywacyjny pełen błędów:

„Ustalone czy nie, działo się to od wieków, dzieje dziś i będzie działo, póki świat trwać będzie. Czy mniema pan, że inni nie starali się tak samo jak pan uchylić się od tego wyroku i że pan będzie w tym szczęśliwszy od nich? Wyzbądź się pan tej myśli i poddaj się prawom konieczności, z której nie jest w pańskiej mocy się wyzwolić"

(chór) *Ja jestem Europą.*
Ja jestem Polską.
Ja jestem kłamcą.
...Tak czy owak, zwracam się do waszej firmy z prośbą o przyjęcie mnie na to stanowisko. Zawsze marzyłem w o pracy w waszej firmie. Bedem lojalnym pracownikiem, a moim jedynym celem będzie maksymalizacja zysków przy optymalizacji kosztów.

Dalej następuje coś na kształt życiorysu. Równie zaskakujące jest zakończenie będące długą listą bezsensownych podziękowań.

Pomimo zabawy formą utwory te podejmują problematykę zupełnie poważną: samotność i wyobcowanie człowieka. Wyrazistym przykładem jest *Obcy 3-go stopnia*. Sytuacja jak z kiepskiego filmu: mężczyzna odwiedza swój własny grób i rozmyśla nad nim. Opowiadanie to przynosi zaskakującą typologię więzi międzyludzkich. We współczesnym świecie, gdy każdy dba tylko o siebie w skali od 1 do 4, obcymi pierwszego stopnia okazuje się rodzina, drugiego stopnia znajomi, trzeciego – przedstawiciele pozaziemskich cywilizacji, a czwartego stopnia pozostali ludzie. Konkluzja nieco przerażająca, skoro okazuje się, że najbardziej obcy są reprezentanci własnego gatunku.

Obcość i samotność wśród ludzi nie są jedynymi zmorami współczesności w świetle prozy Piórkowskiego. Gorszy jest zanik uczuć i niezrozumienie drugiego, nie dlatego, że nie jest możliwe poznać człowieka do końca, lecz dlatego, że się tego nie chce. Przejaskrawiony obraz takiego zjawiska daje opowiadanie *Trwale wegetatywny*. Młody chłopak jest podłączony w szpitalu do urządzeń podtrzymujących życie. Lekarz szybko przekonuje rodziców, że nie ma nadziei na poprawę stanu chorego, a tak naprawdę to on nic nie czuje, jest jak warzywo. Rodzicom takie tłumaczenie wystarcza w zupełności, nie podejmują żadnej próby nawiązania kontaktu z synem, zresztą już mu przygotowali piękne miejsce na cmentarzu. Koniec jest łatwy do przewidzenia. A chłopak wbrew zapewnieniom lekarza cały czas zachowuje świadomość. Znów rodzą się palące pytania: Co jest miarą człowieczeństwa? Na ile wolno decydować o życiu lub śmierci drugiego człowieka? Jak wygląda kodeks etyczny naszych czasów? I czy w ogóle istnieje? Nie są to jedyne oskarżenia rzucone pod adresem ludzi u progu XXI wieku. Człowiek w pogoni za zyskiem i sławą przestaje być sobą i staje się nikim, liczy się umiejętność przybierania różnorodnych masek. Ukazuje to opowiadanie *Tak czy owak*: sławny alpinista, ratownik górski, dr fizyki i muzyk zarazem zgadza się na wywiad dla mało znanej stacji radiowej. Niby odpowiada na pytania, ale cały

czas przygląda się młodej reporterce i zastanawia, czy jej pieszczoty są przyjemne. Nie lubi udzielać wywiadów, więc musi sobie jakoś wynagrodzić to poświęcenie, poza anteną składa dziewczynie dwuznaczną propozycję. Pod tą otoczką tytułów i sławy skrywa się nędzny człowiek pozbawiony wszelkich skrupułów i jakichkolwiek zasad etycznych. Atutem tej prozy jest jej wszechstronność i obiektywizm w spojrzeniu na człowieka, ukazywanie całej, czasem brutalnej, prawdy o nim. Te opowiadania to próba prześwietlenia psychiki ludzkiej, wraz ze wszystkimi, nawet najczarniejszymi jej stronami, poszukiwanie motywów kierujących ludzkim życiem. Współgra z tym technika pisarska, każda historia jest prezentowana z punktu widzenia bohatera, narrator usuwa się w cień, oddaje głos samemu zainteresowanemu, co przydaje realizmu, sprawia, że czytelnik bardziej przejmuje się tym, o czym czyta. Brak tu jakichkolwiek ocen postępowania bohaterów, bo tym musi zająć się sam odbiorca.

Nie tylko człowiek z wielkiego miasta, młody, aktywny, niezależny, nie tylko inteligent borykający się z problemami, literat, krytyk są bohaterami tych opowiadań, także człowiek „prosty", niewykształcony, ale tak samo zagubiony w otaczającej go rzeczywistości, poszukujący swego miejsca w świecie. *Krótka historia sztuki po opolsku* – tytuł nawiązuje do cyklu wykładów ks. J. Tischnera, to pełna ciepła opowieść o losach rodziny przesiedlonej z Kresów na Ziemie Odzyskane. Ludzie ci, oderwani od swojej ojcowizny nie mogą do końca przyzwyczaić się do nowej sytuacji. Dorastający syn staje przed wyborem własnej drogi życiowej, więc pakuje plecak i udaje się nad pobliską rzekę, gdzie znajduje drewnianą łyżkę. W ten sposób staje się snycerzem, ale to zaledwie początek poszukiwań. O rzeczach ważnych mówi się językiem prostym, czasem nawet prostaczym i wszystko nagle staje się proste i – przynajmniej na moment – zrozumiałe. Bohaterowie Piórkowskiego są zwyczajnymi ludźmi borykającymi się, każdy na swój sposób, z rzeczywistością. Wśród *Historyj w kuriryku* znaleźć można teksty z pogranicza jawy i snu. *Plwocina (Rozpłynąć się nagle i na zawsze)* – tytuł jak zwykle szokujący, to historia młodej dziewczyny, która wygrała konkurs na modelkę. Pragnie się swoją radością podzielić z matką, ale ta nie wykazuje specjalnego zainteresowania. Czyżby nie cieszyła się z sukcesu córki? Nie, bo jej sytuacja jest trudna, mąż alkoholik, życie obrzydliwe jak ta plwocina na chodniku. Nic dziwnego, że chce się od tego uciec. Późną nocą pojawia się w domu dziewczyny skrzydlaty koń Pegaz czy Jednorożec. Pojawił się, by spełnić marzenia dziewczyny. Początek realistyczny, a zakończenie zupełnie bajkowe, trącające nieco o kicz, ale napawające czytelnika optymizmem, bo przecież może zdarzyć się „cud", choć niekoniecznie baśniowy.

Warto podkreślić, iż opowiadania są napisane językiem prostym, potocznym, często przetykanym obcojęzycznymi zwrotami, głównie angielskimi, co może razić a nawet denerwować czytelnika, ale warto zastanowić się, jaki język otacza ludzi współczesnych, czyż nie taki właśnie, tysiące dźwięków dobywających się naraz z głośników, urywki rozmów, SMS-y, e-maile – razem kakofonia dźwięków i słów. Na uwagę zasługuje także – jak wspomniałam – forma tych opowiadań, swobodne igranie różnorodnymi konwencjami, często pojawiające się aluzje literackie wywołujące u czytelnika różnorodne skojarzenia, jak w utworze *Zwierciadełko, powiedz, nie widzę przecie* ukazującym współczesnego Doriana Graya. Pojawiają się również nawiązania do filmów, jak w przypadku dwu ostatnich opowiadań *Życzenie życia II* i *Życzenie życia*. Pierwszy tekst nawiązuje bezpośrednio do poczynań filmowego ojca, który mści się za śmierć dziecka, ale tutaj ojciec próbuje uratować życie syna. Drugi natomiast w sposób przewrotny odnosi się do filmu. Młody chłopak ginie w wypadku samochodowym, a jego ojciec decyduje się na to, by pobrano zdrowe organy od jego jedynego dziecka. Znów został zasygnalizowany skomplikowany problem etyczny, z jakim borykają się ludzie XXI wieku.

Historyje w kuriryku Piórkowskiego to studium współczesnego człowieka uwikłanego w bolesną egzystencję, często zagubionego, poruszującego się nieporadnie, nieustannie poszukującego prawdy o sobie. Autor nie cofa się przed podejmowaniem tematów tabu, pokazuje człowieka takim, jakim on jest w całej swej nędzy, ze wszystkimi kompleksami i ograniczeniami. Dlatego warto zatrzymać się w pędzie, aby zastanowić się, czy rzeczywiście tacy właśnie jesteśmy.

Dariusz Piórkowski: *Historyje w kuriryku*, Wydawnictwo Nowy Świat, Warszawa 2000, ss. 196, 4 nlb.

EDYTA KRÓLIK

ROK ŚMIERCI RICARDA REISA

Kiedy w 1998 roku portugalski pisarz José Saramago otrzymywał Nagrodę Nobla, część jego rodaków żywiołowo okazywała swoją radość i dziękowała za tę pierwszą dla Portugalii nagrodę w dziedzinie literatury (do tamtej chwili, jedynym laureatem Nagrody Nobla był uczony Egas Moniz), podczas gdy inni głośno wyrażali swe niezadowolenie, twierdząc, że nagrodę powinien był otrzymać pisarz uważany za najpoważniejszego rywala Saramago, António Lobo Antunes. Uwielbiany przez jednych, znienawidzony przez drugich, Saramago pozostaje bez wątpienia jednym z najwybitniejszych autorów współczesnych, nie tylko w Portugalii, ale także na świecie. Jego powieści tłumaczone są na wiele języków i zyskują nowych czytelników, także i w Polsce. Ukazały się już przekłady *Memorial do Convento* (*Baltazar i Blimunda*), *Todos os Nomes* (*Wszystkie imiona*), *Ensaio sobre a Cegueira* (*Miasto ślepców*), a niedawno pojawiła się w księgarniach powieść uważana za jedną z najlepszych i najważniejszych pośród dzieł Saramago – *Rok śmierci Ricarda Reisa* (*O Ano da Morte de Ricardo Reis*), w przekładzie Wojciecha Charchalisa, wydana przez Dom Wydawniczy Rebis.

Jest to opowieść bardzo interesująca, choć niewątpliwie nieco skomplikowana dla czytelnika, który po raz pierwszy styka się z Portugalią, jej literaturą oraz ze specyficzną atmosferą tego państwa, a zwłaszcza jego stolicy, Lizbony. Już tytułowe nazwisko, Ricardo Reis, sugeruje czytelnikowi znającemu literaturę portugalską XX wieku, do jakiej wybitnej postaci nawiązuje Saramago. Czytelnikowi, któremu nic to nie mówi, należą się dodatkowe wyjaśnienia. Otóż Ricardo Reis to postać stworzona przez Fernanda Pessoę, najwybitniejszego poetę portugalskiego, żyjącego w latach 1888-1935. Niestety, twórczość jego jest prawie nieznana w Polsce, w przeciwieństwie do innych krajów, gdzie jego dzieła cieszą się ogromnym zainteresowaniem nie tylko badaczy literatury. Fernando Pessoa jest twórcą heteronimów, tzn. odrębnych postaci, które są nim, a zarazem posiadają swe własne życie. Pisał więc jako Ricardo Reis, Alvaro de Campos, Alberto Caeiro... Każdy z nich posiadał inny życiorys, inne cechy wyglądu, charakteru, tworzył zupełnie inny rodzaj poezji... będąc równocześnie Fernandem Pessoą. On sam stwierdził: „Czuję się wielokrotny." Geniusz czy, jak twierdzą niektórzy, chory na rozszczepienie jaźni? Nie będziemy się nad tym zastanawiać – wystarczy, że istnieje oryginalna i wzruszająca poezja, którą, miejmy nadzieję, poznają wkrótce także i polscy czytelnicy.

Kim był Ricardo Reis według Fernanda Pessoy? Poeta stworzył mu interesujące życie – wybrał zawód lekarza, wysłał go na emigrację do Brazylii i uczynił zeń poetę nawiązującego do klasyki – Reis pisał ody, był miłośnikiem zachowania proporcji i umiaru. Jego właśnie wykorzystał José Saramago jako przewodnika po Lizbonie roku 1936. Ricardo Reis powraca do ojczyzny rok po śmierci Fernanda Pessoy. Schodzi z okrętu w strugach deszczu, padającego nieustannie podczas portugalskiej zimy, który niemal przez cały czas towarzyszy bohaterowi, pogłębiając ponurą i groźną atmosferę, jaka go otacza. Wiąże się to z sytuacją Portugalii i Europy w owym czasie, dojściem do władzy faszystów – w powieści stale pojawiają się nazwiska Hitlera, Mussoliniego, Franco, a także postaci tak znaczącej w historii Portugalii – António de Oliveira Salazara, dyktatora, „zbawcy ojczyzny", który doprowadził swój kraj do zacofania gospodarczego w stosunku do reszty Europy, prowadził politykę zastraszania, zarządził ostrą cenzurę – wszelkie „niewłaściwe" publikacje nie miały prawa ujrzeć światła dziennego... Za jego rządów powstał też specjalny wydział policji czuwający nad bezpieczeństwem narodu, z którym to wydziałem styka się osobiście nasz bohater, wezwany w celu „złożenia wyjaśnień".

Po tej smutnej, deszczowej Lizbonie krąży więc Ricardo Reis, próbując odnaleźć się w tej nowej dla niego sytuacji, jednocześnie komplikując swe życie uczuciowe: rozpoczyna romans ze służącą hotelową Lidią. Jest to odniesienie do poezji Reisa, gdyż Lidia jest jedną z bohaterek ód, postacią budzącą uczucia platoniczne, co stanowi ewidentny i lekko ironiczny kontrast z czysto cielesną fascynacją, którą wyzwala w poecie młoda służąca. Jednocześnie Reis darzy uwielbieniem kaleką Marcendę, córkę notariusza z Coimbry.

Od czasu do czasu Ricardo Reis jest odwiedzany przez gościa bardzo szczególnego, mianowicie samego Fernanda Pessoę, z którym może dyskutować o przeszłości i o teraźniejszości. Odnajdujemy w ten sposób liczne nawiązania do danych biograficznych i wspomnień o Fernandzie Pessoi, a także do jego listów i utworów literackich. Oprócz tego możemy też odkryć odniesienia i aluzje do dzieł Cervantesa, Calderona, Moliera, Dantego, Petrarki,

Szekspira, Borgesa, a także do dzieł mniej nam znanych autorów portugalskich – Eça de Queirós czy też Luís Vaz de Camões. Powieść, dzięki tym nawiązaniom, zyskuje charakter uniwersalny: również czytelnicy nie znający Portugalii będą zafascynowani specyficzną atmosferą, będą mogli skupić się nad jej całością, zadziwić charakterystycznym stylem Saramago, który konsekwentnie unika używania różnorodnych znaków przestankowych, stosując jedynie przecinek i kropkę. Zdumiewające jest bogactwo słownictwa, różnorodność terminów, wszechstronność zainteresowań, co, jak stwierdził autor przekładu, było dla niego ogromnym wyzwaniem. Zachęcamy więc czytelników do sięgnięcia po tę pozycję i odkrycia nowych wrażeń i niezwykłego świata, który opisuje *Rok śmierci Ricarda Reisa*.

José Saramago: *Rok śmierci Ricarda Reisa*. Przełożył Wojciech Charchalis, Dom Wydawniczy Rebis, Poznań 2000, ss.384.

BARTEK KRUK

GRANICE OBŁĘDU

Marek S. Huberath to pseudonim, pod którym ukrywa się krakowski fizyk, pracownik Uniwersytetu Jagiellońskiego. Jest on jednocześnie jednym z najważniejszych polskich autorów fantastyki ostatnich dziesięciu lat. Zadebiutował jeszcze w 1987 roku opowiadaniem *Wróciłeś, Sneogg, wiedziaam...*, którym wygrał II Literacki Konkurs miesięcznika „Fantastyka". Za następne, opublikowane w 1991 roku, pod tytułem *Kara większa* zdobył najwyższe wyróżnienie polskich wielbicieli fantastyki – Nagrodę im. Janusza Zajdla. Tę samą nagrodę zdobył w 1997 roku pierwszą swoją powieścią *Druga podobizna w alabastrze*. Jest jednym z najbardziej oryginalnych twórców szeroko pojętej science fiction w Polsce, ale chyba i na świecie. Być może dlatego, że potrafi posługując się konwencją sf docierać do najbardziej skrywanych i rzadko przez człowieka dostrzeganych problemów.

W debiutanckim utworze było to pytanie o istotę człowieczeństwa, w *Karze większej*, pokazującej Piekło i Czyściec w sposób do tej pory w tej literaturze nieobecny, odsłania się teologia spraw ostatecznych, porażająca swoimi konsekwencjami, a jednocześnie całkowicie zgodna z chrześcijańską ortodoksją. Zawsze istota każdego utworu, niezwykle wyraźnie formułowane pytanie w nim zawarte kontrastowały z brutalnością opisu, ale i ze ścisłą logiczną konsekwencją, często będącą pochodną tradycyjnie rozumianej fantastyki naukowej. Metafizyka, do jakiej dzięki temu docieraliśmy, objawiała się z jeszcze większą mocą. Na ile obca siła może ingerować w ludzki rozum i wolną wolę? Czy i jak istnieć mogą jakiekolwiek inne rozumne Dzieła Stworzenia? Co tak naprawdę odróżnia człowieka od Obcych (kimkolwiek by byli) i czy jest to powód do dumy? Na te pytania Huberath starał się odpowiedzieć unikając postmodernistycznych gier, często nawiązując do znanych w literaturze fantastycznej konwencji, by następnie przełamywać je, wychodzić daleko poza fantastykę, poza getto, w jakim ten typ pisarstwa jest często umieszczany.

I oto mamy przed sobą prawdziwe magnum opus – *Gniazdo światów*. To powieść w pełni przynależąca do gatunku science fiction. Z początku będąca zwykłym kryminałem, w trakcie czytania wyrasta daleko poza świat fantastyki, a nawet świat literackiej fabuły. Czytelnik staje się uczestnikiem gry, która całkowicie może zmienić jego sposób patrzenia na rzeczywistość. A wszystko całkowicie zgodne z logiką, z fizycznymi i matematycznymi prawami, jakie przez autora zostały wprzęgnięte w warstwę fabularną. Doprawdy mamy do czynienia z czymś, co może zachwiać naszym widzeniem świata i przyprawić o chwilową schizofrenię.

Stworzony przez Huberatha wszechświat jest niejednorodny. Składa się z czterech Krain, między którymi stale wędrują mieszkańcy w równych pięcioletnich odstępach czasu pokonując gigantyczne przestrzenie oceanów. Jednak nie tylko przestrzeń jest niejednorodna, również czas na różnych wysokościach płynie inaczej. Do jednej z tych Krain przybywa główny bohater Gavein. Nie może przystosować się do brutalnej, skrajnej segregacji rasowej, która w tym świecie jest niejako wymuszona nie tylko przez charakter społeczeństwa wiecznie tułających się wędrowców, ale i przez fizyczne uwarunkowania. Po pewnym czasie jednak okazuje się, że jego obecności towarzyszy szereg zgonów, jakie nastąpiły jednakże w sposób całkowicie naturalny – w tym świecie bowiem każdy człowiek obdarzony jest jednym z 12 Ważnych Imion, w których brzmieniu jest przepowiednia śmierci ich właścicieli. Następnie, przy pomocy czytanej przez Gaveina książki pod tytułem... *Gniazdo światów* odkrywa on przytłaczającą prawdę nie tylko o jego własnym świecie.

Jak i we wcześniejszych utworach, tak i w tej powieści Huberath nie oddala się od ściśle naukowych, matematycznych i fizycznych założeń, jakie sobie postawił kreując nowy świat. Do końca powieści trzyma się ich niezwykle konsekwentnie, co zresztą ma decydujące znaczenie. Bo nagle okazuje się, że nie sama fantastyka powieści jest tu najważniejsza, a jej skomplikowana szkatułkowa konstrukcja – jej osią jest powieść *Gniazdo światów*, którą czyta bohater. Postacie z tej książki również czytają analogiczną powieść pod tym samym tytułem. W książce Huberatha mamy do czynienia z łącznie czterema takimi poziomami (jeśli nie liczyć dwóch poziomów odnoszących się do... nas samych!). Każdy ten świat wykreowany jest przy pomocy bardzo konkretnych matematycznych wzorów, które odkrywa przyjaciel Gaveina. Ale to on sam wyprowadzi z nich wniosek, który dotyczy rzeczywistości nas, czytelników. Można się tu doszukiwać wpływów postmodernizmu – oto autor w niezwykle wyrafinowany sposób łamie granice między fikcją literacką a światem czytelnika, niejako poprzez swą powieść wkracza prosto w nasze myślenie. Jednak przed nazwaniem Huberatha postmodernistą przestrzega wyraźnie widoczny cel tej specyficznej konstrukcji i całej zawartej w powieści *matematyki*, bo oto dzięki niej, w jej skomplikowanych wzorach odnajdujemy nie tylko nasz świat, ale i rzeczywistość wyższą, doskonalszą, wieczną. W ten sposób, poprzez literacką grę, poprzez naukę, poprzez fantastykę docieramy do Prawdy – nie ma tu więc miejsca na jakikolwiek relatywizm.

Autor *Gniazda światów* pozostając przy konwencji science fiction przełamuje nie tylko barierę literackich kanonów, ale i granice samej literatury. Czyni to w sposób do tego stopnia mistrzowski, że w pewnych momentach zastanawiamy się, czy tej książki nie odłożyć, nie przestać poprzez czytanie tworzyć nowych światów. Bo czy w rzeczywistości tak właśnie się nie dzieje? W jakim tak naprawdę świecie znajdują się literaccy bohaterowie? Co się z nimi dzieje, gdy na parę godzin odkładamy książkę na półkę? W powieści Huberatha każde szkatułkowe *Gniazdo światów* żyje swoim własnym życiem. Ale czyż my też nie jesteśmy zaledwie doskonale literacko określonymi literackimi bohaterami? Kim jest zatem Czytelnik/ Autor/ Bibliotekarz? Po raz kolejny Huberath stawia pytania nie tylko sięgające poza domenę fantastyki, ale i ponad całą literaturę. Dotyka także spraw egzystencjalnych – dzięki skomplikowanej strukturze poszczególnych światów, w których Imiona Ważne stają się coraz bardziej liczne, a same światy coraz mniej jednorodne i bardziej skomplikowane, docieramy do Świata, w którym i powieść, i my sami jesteśmy w jakiś sposób zakorzenieni i do którego w ten czy inny sposób dążymy. Bo czym w istocie jest śmierć – jedyna rzecz, jakiej jesteśmy najbardziej pewni? Czym jest dla autora tworzącego świat powieści, w której ona sama jest realnym bohaterem, skoro autor może przecież czuć się Bogiem stworzonego przez siebie świata?

O *Gnieździe światów* trudno pisać, bo nie wiadomo, co można przed przyszłym czytelnikiem odkryć, a co przed jego umysłem zachować. Rzadko dziś powstają powieści tak wyraźnie nawiązujące do idei fantastyki ściśle naukowej. Wszak konsekwencją naukowości zawsze przecież powinno być odkrywanie praw najbardziej pierwotnych, odwołujących się już nie tylko do rzeczywistości materialnej. Poprzez niezwykle oryginalną konstrukcję Huberath wręcz przemocą zmusza czytelnika do zastanowienia się, zawieszenia na chwilę jego własnego sposobu postrzegania rzeczywistości i przyjęcia wizji autora. Charakterystyczny przy tym jego brutalny często, naturalistyczny sposób kreacji tylko powiększa zamęt w umyśle czytelnika, aby następnie wciągnąć go w chłodną naukową analizę. Wypada powtórzyć za Markiem Oramusem, że jest to „powieść zaczynająca się dość niewinnie i niepozornie, lecz proponująca czytelnikowi grę, po której bez mała odmieni się jego spojrzenie na świat". Oto kolejny przykład niezwykłej oryginalności polskiej prozy fantastycznej, konkurującej z największymi dziełami fantastyki światowej.

Marek S. Huberath: *Gniazdo światów*, Wyd. SuperNOWA, Warszawa 2000, ss. 276.

SŁAWOMIR BURYŁA

GDY CHODZI O ŻYCIE

W rozmowie z Konstantym Gebertem (*Nie zawracaj mi głowy*, „Midrasz" 1999, nr 11) Marek Edelman mówił: *Dla mnie żydostwem jest to, żeby być z tymi ludźmi, których tutaj już nie ma, i z tym wszystkim, co zostawili po sobie. I tyle.* Henryk Grynberg, rejestrator żydowskiego losu, ujawniając motywy wyboru drogi życiowej, pisał w *Prawdzie nieartystycznej: Zostałem pisarzem zmarłych, bo żywi mieli dosyć własnych pisarzy. Zostałem strażnikiem wielkiego cmentarza. Grobów, których nie ma poza naszą pamięcią. Czuwam, aby ich nie bezczeszczono, i nie mogę narzekać na brak roboty.* Autor *Zwycięstwa* jednak w 1967 roku opuścił Polskę, Edelman pozostał. Nie jest to zarzut pod adresem Grynberga. Obydwaj bowiem znajdowali się w różnej sytuacji życiowej. I emigracja, i decyzja o pozostaniu w kraju miały swe konsekwencje. W przypadku Edelmana, kilkakrotnie przecież namawianego do wyjazdu przez jednego z najbliższych mu ludzi „Antka" (Iechaka Cukiermana, uczestnika powstania w getcie), oznaczała zgodę na ewentualne szykany i odrodzenie się tendencji antysemickich. I choć zaraz po wojnie podobna myśl musiała się wydawać czymś absurdalnym, to bardzo szybko, bo w 1946 roku, nabrała ona konkretnych kształtów podczas kolejnych pogromów w Krakowie i Kielcach.

W *Obrońcy i świadku* Jan Józef Szczepański, we wstępie do *Strażnika*, pisze: *Powstanie w getcie warszawskim zajmuje zawsze osobne miejsce, mimo że pod względem związanych z nim ofiar nie da się porównać z żadnym innym.* [...] *Główną przyczyną wydaje się fakt, że w odczuciu społecznym było to powstanie odmiennej kategorii – nie narodowe, ale żydowskie. A więc nie całkiem przynależne do ogólnej historii Polski. Mówienie o tym brzmi kłopotliwie, a nawet małostkowo, nie można jednak pomijać milczeniem faktu, który w historii polskiej istnieje i odgrywa w niej znaczną rolę.* Jego najistotniejszą cechą, stwierdza dalej autor *Przed nieznanym trybunałem*, była walka o godność. Od początku bowiem wiadomym było, że około dwustuosobowa grupa powstańców, na wyposażeniu której znajdował się jeden karabin automatyczny, znikoma ilość granatów uzupełnianych „koktajlami Mołotowa" nie ma szans w walce z posiadającymi artylerię i broń ciężką regularnymi jednostkami SS. Ale to właśnie z ducha solidarności i braterstwa zrodziła się Żydowska Organizacja Bojowa, a nie z terroru.

W *Strażniku* Marek Edelman ukazuje się oczom czytelnika jako człowiek „trudny": bezkompromisowy, często przekorny, można nawet odnieść wrażenie, że cyniczny. W osobie Mordechaja Anielewicza dostrzega nie tylko bohatera, ale też człowieka ogarniętego manią przywództwa, jego samobójstwo zaś traktuje jako coś, co przysłużyło się jedynie uformowaniu legendy. Ślad owej bezkompromisowości widać w jego antymitologicznym nastawieniu do własnego udziału w powstaniu w getcie, powstaniu warszawskim, działalności w opozycji, akcjach charytatywnych w Kosowie. Edelman nie lubi wielkich słów, drażnią go.

Wydawać by się mogło, że taka nieprzejednana postawa powinna sprzyjać niesłychanie surowej ocenie zachowania Polaków podczas powstania w getcie czy represji, jakie spadły na ocalałych z zagłady Żydów w marcu 1968 roku. A jednak tak się nie dzieje. Edelman nie jest skłonny do generalizujących rozstrzygnięć. Byli tacy, którzy pomagali, ale znaleźli się też żołnierze AK, którzy w trakcie powstania na placu Grzybowskich rozstrzelali grupę ukrywających się Żydów.

Autor *Getto walczy* próbuje też zrozumieć postępowanie znienawidzonej Służby Porządkowej, którą tworzyli żydowscy policjanci. Oceniając dziś ludzi zaangażowanych w tego typu działalność często zapomina się o tym, iż do momentu rozpoczęcia Wielkiej Akcji brali oni udział m.in. w szmuglu, bez którego getto umarłoby z głodu. Dopiero postawienie ich przed straszliwym wyborem albo śmierć, albo dostarczenie na Umschlagplatz codziennie co najmniej pięciu osób uczyniło z nich bestie. Dlatego też Edelman powtórzy za Tadeuszem Borowskim: najgorsza jest nadzieja na ocalenie własnego życia dawana przez władców w sytuacji, gdy wszyscy umierają. To ona paraliżuje wszelki opór, a z ludzi czyni bezwzględnych wykonawców woli kata.

Jednym z bohaterów *Strażnika* jest Bund (Ogólny Żydowski Związek Robotniczy Rosji, Polski i Litwy), partia żydowskich robotników założona w 1897 roku w Wilnie. Jej największą zasługą – mówi Edelman – było to, że przywróciła godność osobistą Żydom. Członkowie Bundu organizowali grupy samoobrony, które stanowiły odpowiedź na fale pogromów ludności semickiej, jakie przetaczały się przez wschodnie tereny Europy.

Wspomnienia Włodka Goldkorna dołączone do *Strażnika* noszą znamienny tytuł *Mama-Bund*. Pojawiają się nazwiska dwóch wybitnych działaczy, którzy przekształcili Bund w „mamę": Henryka Erlicha i Wiktora Altera. Partia żydowskich robotników, która przyznając się do socjalizmu zawsze odcinała się od komunizmu, szczyciła się swych demokratyzmem, który nie mógł i nie chciał być niczym ograniczany: *Dobry katolik musi wierzyć, że papież jest nieomylny. Dobry komunista musi wierzyć, że Stalin nigdy się nie myli. Dobry bundowiec może i ma obowiązek zawsze zadawać sobie pytanie, czy partia podąża słuszną drogą?* – pisał przed wojną Wiktor Alter. Ten demokratyczny wymiar Bundu (nienawiść do dyktatury, braterstwo, sprawiedliwość społeczna) podkreśla do dziś Marek Edelman widząc w nim podobieństwa z ideami „Solidarności".

Ostatni żyjący przywódca powstania w getcie pozostaje wierny bundowskim ideałom. Owa wierność to pamięć o przeszłości, która jest rodzajem przestrogi. Pamięć jednak zakazuje przyglądać się biernie rzeczywistości, zwłaszcza jeśli znowu objawia ona swe wrogie oblicze. Dla doktora ze słynnego utworu Hanny Krall *Zdążyć przed Panem Bogiem* Hitler i jego ideologia ciągle wypuszczają swój zaraźliwy jad we współczesnym świecie: Rwanda, wojna w byłej Jugosławii, Kosowo. Dla Edelmana holocaust, obozy śmierci stanowią dowód klęski cywilizacji europejskiej. Ale sama konstatacja o upadku i kryzysie kultury nie wystarcza. Marek Edelman mówi przy tej okazji o odpowiedzialności jako brzemieniu i szansie jednocześnie. Europa musi pamiętać, że niechciane dziedzictwo historii stawia ją w roli obrońcy wartości, które kiedyś sama wypracowała. Najgorsza jest obojętność, taka jak ta, która towarzyszyła Żydom ginącym w gettach i obozach śmierci. Bierny świadek jest winny. Zaś bezczynność w sytuacjach skrajnych jest przestępstwem. Dlatego też lekarz i senator Edelman pisze apele i odezwy do przywódców USA, Niemiec, Francji z prośbą o interwencję w Kosowie.

Ta swoista etyka maksymalistyczna, której zwieńczenie stanowi życie drugiego człowieka, każe mu zawsze występować w obronie słabszych, gdy ich życie jest zagrożone. Edelman wie jednak, że najlepszą odpowiedzią na przemoc jest siła. Wszelki totalitaryzm rozumie jedynie argumenty siły, dlatego walka z nim może być tylko wtedy możliwa, gdy – po bezskutecznych rokowaniach – włączy się do niej potencjał militarny. Ostatni żyjący przywódca powstania w getcie pamięta bowiem o sromotnym losie Żydów w czasie ostatniej wojny światowej. Wyczuwalny jest tutaj zresztą żal, jaki ten strażnik cmentarzy swych przodków ma wobec postawy aliantów, gdy bezbronni ludzie ginęli w komorach śmierci. Czy dokonując nalotów na niemieckie miasta nie można było zbombardować obozu w Oświęcimiu? Dlaczego tego nie zrobiono? To pytanie, które powraca we wspomnieniach wielu Żydów, pozostaje bez odpowiedzi. To, co działo się w państwach byłej Jugosławii, jest niczym innym jak tylko powtórzeniem zbrodniczej polityki nazistów. Milošević wydający rozkazy, by mordować muzułmańskich mężczyzn i gwałcić ich kobiety dla „ulepszenia rasy", jest potomkiem Hitlera, Rosenberga, Goebbelsa i innych bonzów z NSDAP. Jeszcze raz w historii te dwa ustroje: komunizm i nazizm spotkały się ze sobą.

Po pięćdziesięciu latach od klęski faszyzmu i stalinizmu powstają innego rodzaju getta. Obok znanych z epoki hitleryzmu, opartych na podziale rasowym (Serbia), tworzą się na Zachodzie getta bogaczy, wspomagane ustawami o cudzoziemcach oraz gastarbeiterach. Jest to jednak polityka krótkowzroczna. Biedna i głodna Afryka oraz pokaźna część Azji będzie coraz mocniej napierała na Europę szturmując jej rubieże. Głód bowiem nie zna granic. Przy tej okazji jednak słynny lekarz ze *Zdążyć przed Panem Bogiem* wskazuje na pozytywne przewartościowania, jakie się dokonują w świadomości milionów ludzi końca dwudziestego wieku. Oto okazuje się, że można – tak jak w przypadku Kosowa postąpili Amerykanie – interweniować zbrojnie w obronie innego narodu, nie mając w tym żadnego bezpośredniego interesu gospodarczego, ideologicznego, opowiadając się jedynie za wolnością.

Edelman jest wierny swym przekonaniom nawet wówczas, gdy wie, iż nie przysporzą mu zwolenników. Tak było w przypadku strajku służby zdrowia domagającej się podwyżki płac. Ci, którzy tak postępują – zdaniem Edelmana – zapominają o powołaniu lekarza, a studia na medycynie traktują w kategoriach ewentualnych zarobków. *W sprawach zdrowia i życia ludzkiego nie można się powoływać na prawa wolnego rynku. To nie kwestia przysięgi Hipokratesa, to sprawa zwyczajnej ludzkiej przyzwoitości. Lekarz nie ma prawa poprawiać swego bytu kosztem cudzego zdrowia i życia. Taka jest specyfika naszego zawodu. Kto tego nie akceptuje – może handlować pietruszką.*

Marek Edelman: *Strażnik*, przeł. I. Kania, SIW „Znak", Kraków 1999, ss. 294.

JERZY ŚWIĘCH

WITTLIN ZNANY CZY NIEZNANY?

„Skromna ilościowo spuścizna Wittlina dopiero teraz jest ponownie odkrywana w Polsce i za granicą".[1] Czy istotnie? Czy wreszcie oddano należną sprawiedliwość pisarzowi, który dziwnym zrządzeniem losu tworzył zawsze w cieniu innych, nierównie bardziej głośnych, tak że jego śmierć (w roku 1976) przeszła prawie niepostrzeżenie? Skromny, cichy, aż do bólu prawdomówny i uczciwy, nie zabiegający bynajmniej o sławę, o którą się zaledwie otarł – powieść *Sól ziemi*, za którą otrzymał nagrodę „Wiadomości Literackich" w roku 1936, a po ukazaniu się przekładu angielskiego dwie następne (American Academy of Arts and Letters oraz National Institute of Arts and Letters) była w swoim czasie przedstawiona do Nagrody Nobla – jest Wittlin pisarzem wciąż niedocenionym i do końca nieodkrytym. Czy nadszedł i czy kiedykolwiek nadejdzie czas na Wittlina? Otóż okazją do postawienia tych i wielu innych jeszcze pytań jest publikacja, z której pochodzą cytowane na początku słowa, będąca pokłosiem konferencji zorganizowanej w stulecie urodzin pisarza i dwudziestolecie jego śmierci jesienią 1996 w Nowym Jorku przez Department of Slavic Languages oraz Institute of East Central Europe nowojorskiej Columbia University i przy udziale Fundacji Kościuszkowskiej. Zgromadziła ona pisarzy, krytyków, historyków literatury zarówno przebywających poza krajem, jak i z Polski, znanych i mniej znanych, co sprawia, że szkice, eseje i rozprawy zebrane w książce odznaczają się różnorodnością w spojrzeniu na twórczość Wittlina, zmiennością perspektyw, nierzadko indywidualnym zabarwieniem oceny, odbiegającym od utrwalonych i – zdawać by się mogło – dobrze uzasadnionych opinii o pisarzu. Czy jest w tych ujęciach coś, co pozwala spojrzeć na Wittlina inaczej, czy są to więc (a jeśli tak, to w jakim stopniu) próby przewartościowania dotychczasowych ocen? W trakcie lektury pytania takie nieustannie nasuwają się czytelnikowi i już samo to świadczy, że niepodobna przejść obojętnie wobec tej nowej propozycji adresowanej do obecnych i przyszłych „wittlinologów", jeśli tacy kiedykolwiek się pojawią.

Wittlin wciąż fascynuje jako autor *Soli ziemi*, dzieła o pierwszej wojnie światowej, a drugiego takiego na próżno by szukać w literaturze światowej i jeśli zwyczajem stało się zestawianie go z klasycznymi już w tym zakresie utworami Remarque'a, Zweiga, Józefa Rotha (przyjaciela Wittlina, o czym dalej), Hemingwaya czy Barbusse'a (powieść Wittlina tłumaczona była na kilkanaście języków), to wszystkie te paralele podkreślają tylko wyjątkową oryginalność *Soli ziemi*, zaś pacyfizm, wspólny wszystkim tym autorom, okazuje się w tym przypadku niczym innym, jak tylko obiegową etykietą, której ogólnikowy charakter nie daje wyobrażenia o tym, czym dzieło Wittlina jest naprawdę. Wyrosłe ze specyficznej gleby, operujące swoistym ujęciem wojny z perspektywy reprezentanta prymitywnej wspólnoty chłopskiej, utwór o szerokich horyzontach myślowych... Wolno sądzić, że wszelkie dalsze paralele mogą tylko pogłębiać ów dystans, jaki wciąż dzieli Wittlina od pisarzy podejmujących wiele lat później temat pierwszej wojny (u nas np. okazję do takich zestawień mogłyby stanowić powieści Andrzeja Kuśniewicza *Król Obojga Sycylii* i *Lekcja martwego języka* czy Leopolda Buczkowskiego *Kamień w pieluszkach* i *Oficer na nieszporach*). I tak jest w istocie rzeczy.

Cóż bowiem może mieć wspólnego *Sól ziemi* z wydaną w roku 1971 powieścią-reportażem Sołżenicyna *Sierpień 1914*? A sugestię taką wysuwa autorka zasłużona w badaniach nad twórczością Wittlina, Zoya Yurieff, slawistka z New York University, autorka jedynej jak dotąd monografii o Wittlinie, wydanej w roku 1973 w ramach znanej z popularyzacji zdobyczy także i literatury polskiej Twaynes's World Author Series, której polski przekład (Michała Szczubiałki) ukazał się dopiero w r. 1997 (Świat Literacki Constans). Otóż Yurieff wydobywa wszelkie różnice między dwoma dziełami, których poza sprawą tematu wojny niemal wszystko dzieli, zarówno w sferze literackiej: wszak „epicka wizja" Wielkiej Wojny Wittlina w niczym nie przypomina realistyczno-reportażowej techniki Sołżenicyna, jak i – przede wszystkim – w typie wrażliwości i moralnej oceny wojny przez obydwu pisarzy, tak że nie dziwi, iż słowo „different" pojawia się w tym obszernym i ciekawym eseju bodaj najczęściej. Podobnie jest z drugim odwołaniem *Soli ziemi* do ostatniego, a niedokończonego dzieła Alberta Camusa *Le premier homme*, w którym Anna Frajlich (poetka,

[1] *Between Lvov, New York and Ulysses's Ithaca. Józef Wittlin. Poet, Essayist, Novelist*. Ed. by Anna Frajlich. Nocolaus Copernicus University. Department of Slavic Languages and The East Central European Center Columbia University. Toruń New York 2001, s. XV.

nagroda Kościelskich w r. 1981, profesor na Columbia University, spiritus movens całego zwieńczonego książką przedsięwzięcia) doszukuje się podobieństw z powieścią Wittlina, lecz tu z kolei mówi się więcej o podobieństwach niż różnicach, co musi wywoływać zrozumiały opór ze strony czytelnika. Warto może przypomnieć, że *Pierwszy człowiek*, najsłabszy tekst jaki Camus po sobie pozostawił, okazjonalnie tylko dotyczy tematu pierwszej wojny, w której zginął ojciec bohatera, Jacquesa Dormery i że ów człowiek, ukazany w czterdzieści lat później, kiedy to rozpamiętując swoje dzieciństwo w Algierze, napotyka wszędzie na zmistyfikowany obraz ojca i matki, wyraża dylematy i niepokoje typowe dla bohaterów dzieł autora *Dżumy*, co szczególnie dobrze widać na tle dołączonych do powieści „notatek i planów". Motywy nieznanego (żołnierza) i sieroctwa, macierzyństwa i ojcostwa stanowią, jak się wydaje, zbyt wątłą podstawę, by na tym przykładzie dopatrywać się głębszych pokrewieństw między tak różnymi i obcymi sobie indywidualnościami jak Wittlin i Camus, niezależnie od szacunku, jaki Wittlin żywił do francuskiego pisarza-filozofa. Wszystko inne jest sprawą czysto zewnętrznych, a przeto fałszywych podobieństw.

Czy znaczy to, że paralele nie mają sensu? Wydaje się, że nie, gdyż rozszerzając kontekst możliwych odniesień dla danego dzieła wzbogacają tym samym jego interpretację o nowe, nieprzeczuwane dotąd aspekty i możliwości, do pewnych granic, oczywiście, a tak jest w przypadku eseju Anny Frajlich, gdzie problemy anonimowości bohatera, jego obcości w nowym świecie, w jakim się znalazł itp., nabierają rysów bliskich (być może) filozofii egzystencjalnej, co z pewnością odpowiada refleksyjnej naturze pisarstwa Wittlina, ale też kłóci się z podjętą przez niego pryncypialną obroną wartości humanistycznych. Trzy kolejne szkice poświęcone *Soli ziemi* idą bardziej tradycyjnym, co nie znaczy, że w pełni znanym już tropem. Leonid Heretz (Bridgewater State College in Messachussetts) rozpatruje bowiem powieść jako dokument ilustrujący rozpad tradycyjnej wspólnoty chłopskiej pod wpływem procesów cywilizacyjnych, których kulminację przyniosła pierwsza wojna (przypomnijmy, że Stanisław Vincenz pisząc *Na wysokiej połoninie* miał też wyraźne poczucie przełomowego momentu, w jakim znalazły się egzystencja i kultura Huculów), zaś Elizabeth Kosakowska (Columbia University) zwraca uwagę na mitologiczne i religijne obrazowanie w powieści, na fakt, iż jest to na poły baśniowa, na poły poetycka opowieść o nowym stworzeniu świata, w którym miejsce Boga zajął człowiek, ustanawiając nowy porządek rzeczy, nieludzki, bo będący zaprzeczeniem praw, na jakich opiera się wiara chrześcijańska i wartości przez nią stworzone. A są to wartości stojące w ostrej dysproporcji do duchowych potrzeb człowieka, który oto teraz rodzi się na nowo jako czciciel i ofiara Subordynacji, wyzbyty ludzkich cech, zdegradowany do anonimowej masy. Uwaga, że *Sól ziemi* jest próbą stworzenia nowej wersji opowieści o biblijnym Adamie, koresponduje z sugestią Frajlich o bohaterze jako „pierwszym człowieku". Heretz widzi w pisarzu reprezentanta myśli konserwatywnej, Kosakowskiej jawi się on jako „a truly Christian thinker". Wreszcie Jadwiga Maurer (autorka znanej i kontrowersyjnej monografii o Mickiewiczu *Z matki obcej*) zestawia *Sól ziemi* z *Radetzkymarsch* Rotha, mając na względzie dwa przykłady ilustrujące zjawiska typowe dla rozkładu monarchii austro-węgierskiej, tym bardziej wiarygodne, że dane przez dwóch pisarzy galicyjskich, w których dziele ówczesna rzeczywistość stopniowo przeobraża się w mit, a wojna – w przysłowiowy koniec świata. Dzięki takim jak oni pisarzom pojęcie Mitteleuropa nabiera konkretnych znaczeń, stając się mitem produktywnym w literaturze XX wieku (padają tu nazwiska Kuśniewicza i Stryjkowskiego).

Wittlin-poeta dysponuje, jak wiadomo, skromnym dorobkiem, w którym na czoło wysuwają się jego *Hymny* z roku 1920, rezultat zbliżenia autora z ekspresjonistyczną grupą poznańskiego „Zdroju" i właśnie ten epizod przykuł uwagę Davida A. Goldfarba (Columbia University), który poddał ciekawej analizie jeden z hymnów, mianowicie *Hymn nienawiści*, dowodząc z dużym prawdopodobieństwem, iż utwór ten najpełniej ilustruje estetyczny program ekspresjonizmu, sformułowany w jednym z manifestów ruchu przez Kasimira Edschmida na łamach „Der Neue Rundschau" (*Expressionismus in der Dichtung*), dzięki zaakcentowaniu roli elementów wizualnych jako składników wizji artystycznej. Późniejszą poezją Wittlina, a po *Hymnach* pisał on już z rzadka i same tylko „wiersze przygodne" (tak je sam nazwał w wyborze wierszy, jaki ukazał się w kraju w dwa lata po śmierci autora), zajął się jeden z najlepszych aktualnie jej znawców, Wojciech Ligęza, utrzymując, że garść wojennych i powojennych wierszy Wittlina wyznacza poecie osobne miejsce wśród naszych poetów emigracyjnych z uwagi na inny stosunek autora do kwestii samej emigracji, która stanowiła dla niego przede wszystkim nieporównywalne z niczym doświadczenie egzystencjalne (wspomnijmy tu klasyczny już esej Wittlina *Blaski i nędze wygnania*), co skutecznie chroniło poetę przed pokusą śpiewania w chórze bliskich mu skądinąd towarzyszy

wygnania, czyniąc zeń poetę „prawd wiecznych". Wątek podjęty przez Ligęzę przewija się złotą nicią w całej książce: żyjąc w czasach powszechnego zamętu pojęć i upadku wszelkich wartości, Wittlin heroicznie próbował ich bronić, tj. uczynić ze zdewaluowanych pojęć na powrót coś w rodzaju busoli orientującej człowieka w obcym mu i nienawistnym świecie. Czuł się pełnoprawnym dziedzicem kultury śródziemnomorskiej, a jego kult antyku, jak pisze o tym w świetnym eseju Zygmunt Kubiak, wyrastał z potrzeby przeciwstawienia się największemu zagrożeniu, jakie dla europejskiej tożsamości kulturowej stanowił totalitaryzm. Całe swoje wyobrażenie świata rozpinał Wittlin, tłumacz *Odysei*, na mitologii antycznej, czyniąc z bohatera *Soli ziemi* nowego Odyseusza. Tytuł tomu jego esejów *Orfeusz w piekle XX wieku* (1963), esejów, które zapewniają mu wysokie miejsce w literaturze współczesnej, jest znakomitym skrótem postawy, z którą Wittlin jak najściślej się utożsamiał.

Ten element nigdy nie sformułowanego programu Wittlina zdaje się mieć dzisiaj największą siłę atrakcyjną. Nie dziwi przeto, że tak często pojawia się on w omawianej tu księdze, księdze nie mającej bynajmniej charakteru publikacji jubileuszowej. Pisarz skupiający w sobie najlepsze rysy polskiej inteligencji, ale też znający dobrze wszystkie jej słabości, obsesyjnie wręcz wyczulony na wszelki fałsz i pozory wielkości, Żyd głęboko przeniknięty duchem chrześcijaństwa, przywiązany do czasów i środowiska z jakiego się wywodził, ale nigdy na tyle, by zaniedbać obowiązków wobec wspólnoty ludzkiej, oto Wittlin, który w niejednym swym rysie dziś nas zaskakuje, bywa często anachroniczny w swych wyborach i nawykach, a zarazem zadziwiająco współczesny. Józef Olejniczak (Uniwersytet Śląski) próbuje np. dowieść, że w procesie odtwarzania stosunku Wittlina do zagadnień narzuconych przez wiek XX pomocna może się okazać filozofia spotkania, wyrażona chociażby w pismach Emmanuela Levinasa w kategoriach „Innego", „Spojrzenia", „Twarzy", gdyż dla pisarza pierwszoplanową sprawą jest świat sprowadzony do relacji „Ja-Ty" jako płaszczyzna wzajemnego wychodzenia sobie naprzeciw w akcie wspólnego zawierzenia Prawdzie.[2] Jak dalece jest to domysł słuszny, trudno przesądzać na kilku wybranych przykładach, ale tendencja do uniwersalizacji przesłania, jakie pisarz po sobie pozostawił, jest wszędzie silna. Oto Joanna Rostropowicz-Clark (Princeton Research Forum) wkracza w samo sedno pisarstwa i postawy Wittlina, w której tragizm sąsiaduje z komizmem, powaga z humorem, śmierć ze śmiechem. Każdy, kto bodaj raz zetknął się z utworami tego pisarza, mógł zauważyć, że zajmując się wyłącznie poważnymi sprawami i tematami, nigdy nie tracąc czasu na błahostki, był zarazem autorem obdarzonym niepospolitym zmysłem humoru i dowcipu, że stylem jego pisarstwa stała się ironia, metoda, która – jak tego dowodzi autorka – skutecznie broniła go przed nihilizmem, będąc w sumie wyrazem postawy optymistycznej, akceptującej świat i podstawowe ludzkie wartości. To samo jeśli przyjrzeć się dość nieoczekiwanemu porozumieniu, jakie nawiązało się między Wittlinem a Gombrowiczem (pisze o tym Jerzy Jarzębski, wybitny znawca dzieła drugiego), pisarzami tak różnymi pod względem osobowości, zainteresowań, pojmowania roli pisarza itp., a jednak właśnie nieoczekiwanie bliskimi w kwestiach takich, jak „blaski" emigracji, która dla obydwu oznaczała szansę wzmocnienia a nie osłabienia twórczości, jak samotność pisarza, będąca gwarancją wyzwolenia się spod nacisków zbiorowości, co w przypadku filozofii polskiego pisarza na emigracji miało szczególne znaczenie, jak refleksyjny stosunek do wszelkich zbiorowych mitów, z polskością na czele, choć każdy z nich rozumiał ją i czuł inaczej. Na tle środowiska emigracyjnego, z którym Wittlin był silnie związany, jego *Apologia Gombrowicza* – a pisał ją autor, który nie miał „zaszczytu należenia do osobistych przyjaciół Gombrowicza" – jest dostatecznym dowodem, jak dalece osoba pisarza nie mieści się w stereotypowych podziałach i szufladkach.

Nowy Wittlin jaki wyłania się z tej książki to niewątpliwie pisarz o rozległych kontaktach literackich, dopiero po raz pierwszy tak szeroko tu i drobiazgowo ukazanych. I tak Andreas Lawaty (Deutsches Polen-Institut in Darmstadt) wymienia szereg znajomości Wittlina z pisarzami niemieckimi: Józefem Rothem (rzecz stosunkowo dobrze znana, też dzięki samemu pisarzowi), Hermannem Brochem, Alfredem Doblinem, Franzem Werfelem, Brunonem Frankiem, Yvanem Gollem, więcej miejsca poświęcając nieznanej szerszemu ogółowi czytelników korespondencji Wittlina z niemieckim pisarzem, poetą i wydawcą Hermannem Kestenem (długa wymiana listów z lat 1939-1976), niezwykle ciekawej jako wymiana myśli dwóch przyjaciół – emigrantów w czasach nieprzyjaznych. Alice-Catherine Carls (University of Tennessee at Martin) daje z kolei szczegółowy wgląd w sprawę wpływu, jaki na Wittlina wywarła kultura i literatura francuska, z której znaczenia dla własnej twórczości wcześnie zdawał sobie sprawę i której wierny pozostał do końca. Chodzi też o kontakty pisarza z polską emigracją we Francji, a więc ze środowiskiem paryskiej „Kultury", do którego kręgu Wittlin też jakoś należy, mając korespondentów w osobach Giedroycia i Gombrowicza, będąc wydawany przez Instytut Literacki itp., choć równocześnie wiele go z tym kręgiem dzieliło. Wreszcie Rizel Louise Sigele (hiszpanistka amerykańska) pokazuje hiszpańskie tło twórczości Wittlina, jego zainteresowania tą literaturą, kontakty (m.in. z wybitnym poetą Jorge Guillen), współpracę nad hiszpańskim tłumaczeniem *Soli ziemi*, a także, na zasadzie ciekawych domysłów, pewne pokrewieństwo duchowe, jakie łączyło Wittlina z kulturą hiszpańską, przynależną do tak drogiej mu zawsze cywilizacji śródziemnomorskiej.

Obrazu całości publikacji dopełniają szkice zebrane w rozdziale ostatnim książki pod pojemną formułą „kontekstów, wymian i przejść [trespassings]", co – prościej mówiąc – oznacza problem tła pomocnego dla zrozumienia obecności i twórczości Wittlina na emigracji, zarówno gdy idzie o wspomniane już kontakty z Gombrowiczem, jak i środowiskiem slawistyki amerykańskiej (Robert A. Maguire, znany rusycysta i polonista z Columbia University, przypomina sylwetkę Manfreda Kridla, a Madeline G. Lewine, historyk literatury polskiej i tłumaczka z University of North Carolina at Chapel Hill – Wiktora Weintrauba), a także wobec dotychczasowych prób stworzenia teorii literatury polskiej na emigracji (esej Haliny Filipowicz, University of Wisconsin – Madison). Książka zaopatrzona jest w bibliografię (podmiotową i przedmiotową) twórczości Wittlina za lata 1945-1998.

Wróćmy do pytania postawionego w tytule tego skrótowego sprawozdania: jaki Wittlin wyłania nam się z książki, znany czy nieznany? Znany, to znaczy sprowadzony do kilku rysów stereotypowych i z pewnością nie jest to przypadek, jaki tu analizujemy. Ostatnia publikacja zbiorowa poświęcona pisarzowi uzupełnia jego portret w wielu nader istotnych kwestiach, będąc próbą nowego spojrzenia na rozmaite aspekty jego *opus magni – Soli ziemi*, prezentując także w wielu miejscach odkrywczo oblicze poety i eseisty, dostarcza ciekawych materiałów i obserwacji do zbadania rozlicznych kontaktów autora z pisarzami Polski i Europy, wreszcie ukazuje tło pomocne dla zrozumienia nowojorskiego etapu jego biografii. Są to niezaprzeczalne walory i osiągnięcia w zakresie dotychczasowych badań nad twórczością autora *Orfeusza w piekle XX wieku*. Z pewnością wiele jeszcze jest do zrobienia, ale dzięki takim jak ta publikacjom stopniowo wypełnia się obszar złożony z białych plam, gdy idzie o wiedzę na temat twórczości Wittlina, a jego miejsce na mapie współczesnej literatury polskiej rysuje się coraz wyraźniej.

---

[2] Por. Romuald Cudak: *„Otom przed Tobą, Abraham". Lektura wiersza Józefa Wittlina „Trwoga przed śmiercią"* oraz Krzysztof Kłosiński: *Cztery interpretacje ofiary Abrahama. Wokół wiersza Józefa Wittlina „Lament barana ofiarnego"*, w: *Studia o twórczości Józefa Wittlina*, pod red. I. Opackiego. Uniwersytet Śląski, Katowice 1990.

Between Lvov, New York and Ulysses's Ithaca. Józef Wittlin. Poet, Essayist, Novelist. Ed. by Anna Frajlich. Nicolaus Copernicus University. Department of Slavic Languages and The East Central European Center Columbia University, Toruń-New York 2001.

ANETA WYSOCKA

Dwa spojrzenia na klasykę.

Fredro i Szekspir w Teatrze Osterwy

W lubelskim teatrze odbyły się w tym sezonie cztery premiery. Dwie sztuki współczesne – *Diabelskie nasienie* Brešana i *Kąpielisko Ostrów* Huellego, obie w reżyserii Babickiego – zostały omówione w poprzednim numerze „Akcentu". Po ostatniej, czerwcowej premierze *Poskromienia złośnicy* pokusić się można o refleksję nad tym, w jaki sposób obecna jest w Teatrze im. J. Osterwy klasyka dramatu. *Damy i huzary* Wojtaszka oraz *Poskromienie złośnicy* Toszy stanowią dwie skrajnie odmienne odpowiedzi na pytanie, w jaki sposób pokazywać dziś na scenie komedie dawnych mistrzów.

Akrobatyka i łowy

Tak najkrócej scharakteryzować można sztukę Wojtaszka. W jego wersji *Dam i huzarów* niewiele pozostało z romantycznej dyplomatyki. W dawnym salonie liczyły się słowa i półsłówka, spojrzenia i drobne gesty. W lubelskiej inscenizacji dziewiętnastowiecznej komedii polowanie na męża podobne jest do łowów z nagonką – tyle tu zgiełku i ruchu. Damy dosłownie uganiają się za huzarami. Kiedy trzeba, potrafią ich nawet związać. Zamiast sznurów i kajdanów służą im do tego współczesne, kobiece utensylia: staniczki i pończoszki.

Teatr Wojtaszka stanowi przeciwieństwo teatru naturalistycznego. Sam reżyser przyznaje: *lubię, kiedy aktor gra całym sobą, tzn. że nie wchodzi, siada i mówi, tylko kiedy w tworzeniu roli, postaci bierze udział cała jego fizyczność, fizjologia, całe jego ciało. Kiedy wykorzystuje wszystkie swoje umiejętności, nawet cyrkowo-akrobatyczno-sportowe.* Prowadzi on lubelski zespół zgodnie z tą deklaracją, toteż w jego *Damach i huzarach* aktor nie modeluje charakteru postaci, nie tworzy (ani też nie odtwarza) jej osobowości, słowem – nie czyni z niej „żywego człowieka". W miejsce „żywych ludzi" Wojtaszek proponuje całkiem nową jakość – bohaterów przypominających marionetki i clownów. Jego postacie są umowne i jarmarczne. Raz wydają się zbyt dynamiczne, to znowu zbyt statyczne – nic tu nie jest skrojone na właściwą miarę. Mimo iż dialogi pozostały nie zmienione, mamy wrażenie, że Fredrowski tekst schodzi gdzieś na dalszy plan, ustępując miejsca barwom, dźwiękom i ruchom. Dowcip, żart i aluzja – czytelne w tradycyjnych inscenizacjach – zostają tu w pewnym stopniu zatarte. W konsekwencji komizm musi być osiągany środkami pozasłownymi. Śmiech na widowni wywoływany jest więc jaskrawym i rubasznym, burleskowym gestem, np.

Scena zbiorowa ze spektaklu pt. *Damy i huzary* Aleksandra Fredry w reżyserii Edwarda Wojtaszka.

rytmicznym czyszczeniem fuzji lub miarowym kołysaniem się w siodle, kiedy mowa o damach.

Z antynaturalistyczną grą w pełni koresponduje oprawa sceniczna, zrobiona bez troski o realia historyczne i autentyzm przestrzeni. Cyrkowo-akrobatyczno-sportowe umiejętności aktorów są w *Damach i huzarach* niewątpliwie przydatne, gdyż scenograf (Paweł Dobrzycki) zaprojektował salon bez płaszczyzn równoległych względem ziemi. Aktorzy poruszają się po drewnianych podestach, nachylonych pod kątem (wcale niemałym) do widowni. Całość przypomina raczej obóz wojskowy niż dom szlachcica. Zamiast sufitu jest niebo, zamiast ścian – parkan zbity z surowych desek, każda innej długości. Nad całością góruje wieżyczka strażnicza, z której stary ordynans Grześ może obserwować damsko-męskie potyczki (dopóki sam nie zostanie w nie wciągnięty). Właściwie jedynym salonowym rekwizytem jest w tym niby-salonie kanapa, na którą upadają zemdlone damy, gdy huzary wypalą z moździerzy. Widz jest więc od początku zdezorientowany, nie wiedząc, gdzie rozgrywa się akcja.

Ma także kłopoty z ustaleniem, kiedy się to wszystko dzieje, gdyż stroje nie tylko nie są z epoki napoleońskiej, ale właściwie nie są z żadnej epoki. Stanowią mieszankę różnych czasów i mód. Barbara Wołosiuk (kostiumolog) ubrała Majora, statecznego oficera ciężkiej jazdy, w ażurowy podkoszulek ze sztucznego tworzywa (z lat 70.), okulary lotnicze i czapkę-pilotkę (z początku XX wieku) oraz pagony (tylko one mogłyby uchodzić za element napoleońskiego munduru). W podobnym stylu pomyślany został strój panienki Zosi. Ma ona na sobie – jak przystało na skromną szlachecką córkę – szarą sukienkę haftowaną w kwiaty, lecz sukienka sięga ledwie za kolana, odsłaniając współczesne srebrne botki.

Eklektyzm stroju i otoczenia w połączeniu z błazeńską i cyrkową grą aktorską sprawiają, że w lubelskich *Damach i huzarach* nie ma miejsca na jakiekolwiek – psychologiczne czy historyczne – serio. Przez cały czas akcentowana jest umowność postaci i wydarzeń, ich teatralność, nieprzystawalność do „prawdziwego świata". Równolegle prowadzona jest „zwyczajna" gra salonowa, wpisana w dialogi Fredry. Takie balansowanie między

iluzją i deziluzją, mimetyzmem i ostentacyjną teatralnością, przypomina nieco operetkę. Przecież to w dramacie muzycznym aktorzy w jednej chwili przestają mówić „jak ludzie" i zaczynają śpiewać, przez co zatraca się cała „normalność". U Wojtaszka podobnie, przy czym śpiew, będący manifestem sztuczności w operetce, zastąpiony jest ruchem scenicznym przekraczającym naturalną ludzką fizyczność. Jeśli cokolwiek zaczyna być w tym spektaklu „podobne do prawdy", możemy mieć pewność, że za chwilę „prawda" zostanie zanegowana i zamieni się w swoje przeciwieństwo – sztukę. Dla odbiorcy wiązać się to może z koniecznością rezygnacji z pewnych przyzwyczajeń, z utratą „intelektualnego bezpieczeństwa", jakie daje teatr dramatyczny w swym klasycznym modelu. Jednakże, sądząc z donośnego śmiechu, rozlegającego się podczas premiery, widz nie odczuwa boleśnie tej straty, gdy otrzymuje w zamian porcję czystej rozrywki i dobrego – choć niekonwencjonalnego – teatru.

Szekspir tradycyjny

Homeryckie kaskady wywoływało także *Poskromienie złośnicy*, lecz Tosza uzyskał ów efekt w zupełnie inny sposób niż Wojtaszek. Jego spektakl ma prostą, skromną oprawę. Na scenografię (dzieło Aleksandry Semenowicz) składa się – jak za czasów Szekspira – płaskie, malowane tło. Rekwizytów niewiele. Gra aktorska klasyczna i, chciałoby się powiedzieć, konserwatywna – jej istotą jest wczucie się w rolę i stworzenie ciekawej, wiarygodnej postaci „z charakterem". Tosza w swojej realizacji *Poskromienia złośnicy* jest niedaleko teatru elżbietańskiego i niedaleko teatru Stanisławskiego. Wszystko to sprawia, że na pierwszy plan wysuwa się tekst. Jego niezrównana uroda jest na tym „czystym tle" znakomicie wyeksponowana.

Reżyser wybrał przekład Stanisława Barańczaka: *To tłumaczenie wydaje się kongenialne... Okpisz brzmi po prostu wybornie, tak mięsiście, tak po polsku. Szczególnie w mieście Biernata z Lublina pobrzmiewa jeszcze jakąś rozkoszną staropolszczyzną... Albo jak w czasie lekcji muzyki każą Hortensjowi nastroić instrument, a ten, zrozpaczony, że go odrywają od dziewczyny, pyta: „A gdy nastroję, wciąż będzie nas troje?" Tego typu zabawy literackiej, zabawy słownej nie mieliśmy dotąd. W żadnym z wcześniejszych tłumaczeń nie było kwestii „Uroda Kasi kosi z nóg i kusi"... Zdarzył się ktoś, czyj talent słowotwórczy jest porównywalny chyba tylko z Tuwimem.* Tosza przyznaje, że realizując najsłynniejsze Szekspirowskie tragedie wahałby się, czy wziąć przekład Barańczakowski, czy też skorzystać z innych tłumaczeń, tych tradycyjnych, które już stały się częścią tradycji literackiej w Polsce. Jednak w przypadku *Poskromienia złośnicy* najwłaściwszy wydał mu się Barańczak. Widzowie w pełni akceptują tę reżyserską decyzję i bawią się znakomicie.

W spektaklu Toszy obok Barańczakowskiej poezji i dowcipu liczą się, oczywiście, znakomite Szekspirowskie charaktery. Reżyser i aktorzy koncentrują się na tym, by je jak najlepiej i najzabawniej ukazać. Nie jest to, wbrew pozorom, proste zadanie – niełatwo dziś na scenie opowiadać fabułę wierszem, gdy mowa wiązana zniknęła nawet z liryki. Niełatwo też stworzyć za jego pomocą autentyczną, naturalną postać.

Sienkiewicz pisał kiedyś o Szekspirze, że to po Bogu najpotężniejszy twórca dusz. Rzeczywiście, geniusz zaludnił swoje dramaty niezwykłymi bohaterami, toteż jego sztuki, czy to komedie, czy tragedie, stawiają przed teatrem spore wymagania w zakresie obsady. Do *Poskromienia złośnicy* – co podkreśla reżyser – *po pierwsze trzeba mieć Petruchia, po drugie Kasię i Biankę, które będą autentycznie młode i świeże. Ponadto w tej sztuce nie ma właściwie nieważnego drugiego planu, toteż liczba ról, które – aby nie*

Aneta Stasińska (Kasia) i Paweł Sanakiewicz (Petruccio) w spektaklu pt. *Poskromienie złośnicy* Williama Shakespeare'a w reżyserii Bogdana Toszy.

stracić walorów dzieła – muszą być świetnie zagrane, jest wcale niemała. Lubelski zespół aktorski sprostał temu wyzwaniu. Niemała w tym zasługa dwu nowych aktorek: Anety Stasińskiej i Anny Bodziak. Obie zadebiutowały w Teatrze Osterwy w tym sezonie, jako Józia i Fruzia – pokojówki dam w komedii Fredry. W *Poskromieniu złośnicy* zagrały już znacznie bardziej eksponowane role, wcielając się w główne bohaterki. Kreacja Stasińskiej – Szekspirowskiej złośnicy – była naprawdę przekonująca. Poprzez mimikę i ruch aktorka świetnie oddała zarówno krnąbrny charakter Kasi, jak i skryte niepokoje dziewczęcia przekraczającego próg dorosłości. Zaś Annie Bodziak udało się przekonać publiczność, że Bianka nie musi pozostawać jedynie tłem dla tytułowej bohaterki, lecz stanowi interesującą, choć odmienną osobowość.

Ciekawie pomyślane zostały w *Poskromieniu...* role Okpisza i Petruchia, gdyż gra je ten sam aktor, Paweł Sanakiewicz. Ta podwójna kreacja wydaje się być najistotniejszym elementem szerszego, bo obejmującego całość dzieła, pomysłu realizacyjnego. Reżyser wyeksponował bowiem i skonfrontował ze sobą dwa światy ukazane w tekście Szekspira: słotną Anglię i słoneczną Italię. Okpisz przynależy do pierwszego z nich, Petruchio zaś – do drugiego. Przedstawienie zaczyna się w kraju piwożłopa – w rubasznej, karczemnej atmosferze prowincji w północnej części Europy. Najpierw deszcz perlistą ścianą odgradza scenę od widowni, potem z boku wytacza się wspomniany angielski bohater, za nim szynkarka, krzycząc i domagając się zapłaty za *wydudlone* piwo. Za chwilę słotę zastąpi słońce i akcja przeniesie się z Anglii do Padwy, mekki europejskich artystów i intelektualistów. Okpisz zmieni się w smakosza win – Petruchia. Plebejusz w patrycjusza. Jaki cel ma ta metamorfoza? Reżyser przyznaje, że obmyślając swoje *Poskromienie złośnicy* zastanawiał się, dlaczego Szekspir nie napisał od razu historii włoskiej, tylko najpierw tę angielską, brytyjską? Znalazł na to pytanie następującą odpowiedź: *marzenie ludzi Północy o Południu...* Uznał to *marzenie* za fundamentalne dla tej sztuki i tak ją wystawił.

Obecność owych „dwu światów" przekłada się w jego przedstawieniu na ukształtowanie przestrzeni: „obrazki" angielskie grane są na widowni, włos-

kie zaś – na scenie. W gruncie rzeczy jednak – jak się wydaje – reżyser nie widzi antagonizmu między Północą i Południem, nie stanowią one dlań przeciwstawnych biegunów, skrajnie różnych modeli życia. Zamożny Petruchio nie jest przeciwieństwem Okpisza. Stanowi raczej jego „włoską wersję" – bardziej elegancką, bogatszą, słoneczną. Bez wątpienia to właśnie jest powodem, że Tosza powierzył obie role jednemu aktorowi, co – nawiasem mówiąc – wymagało niemałej pomysłowości realizatorów i sprawności Pawła Sanakiewicza. W finale obie te postaci widz może zobaczyć nawet jednocześnie.

Wśród odtwórców ról drugoplanowych, które – jak zwykle u Szekspira – bywają szalenie interesujące, na uwagę zasługuje Tomasz Bielawiec, który świetnie zagrał sługę Petruchia – żartownisia i opoja Grumia. Słowem, zobaczywszy lubelskich aktorów w *Poskromieniu złośnicy* wierzę zapewnieniom dyrektora Babickiego, że Szekspir, którego dawno nie grano w Teatrze Osterwy, będzie w nim obecny przynajmniej co dwa sezony, gdyż w zespole znajdą się tacy, w których będą się mogły wcielić wspaniałe szekspirowskie „dusze".

Recepta na klasykę?

Ostatni sezon w Osterwie to kolejne potwierdzenie, że w teatrze nie ma jedynie słusznych dróg i niezawodnych sposobów na dobre przedstawienie klasycznej komedii. Pozytywna reakcja publiczności na spektakle zrealizowane według dwóch różnych wzorów świadczy o tym, że współcześnie uzasadniony jest zarówno sceniczny eksperyment z dawnym dramatem, jak i tradycyjny teatr słowa, komedia charakterów, która – choć archaiczna – nie jest anachroniczna.

Aneta Wysocka

W poprzednim numerze:

Agnieszka Borek, Wojciech Brzoska, Erich Fried, Witold Graboś, Krzysztof Gryko, Marta Jedliczko, Mateusz Melanowski, Dorota Pankowska, Alicja Rybałko, Paweł Sarna: *wiersze* • Tadeusz Chabrowski: *Białe nieszpory* • Małgorzata Łukaszuk-Piekara: *W mocy konwencji. Maria Jasnorzewska-Pawlikowska* • Ewa Drzewiecka: *Rękopis napisany ponownie* • Romana Patyk: *Krótkie wprowadzenie do ejdetyki krzyku* • Urszula Białecka: *Wypędzenie z raju* • Zbigniew Masternak: *„W ptaszarni" Grzegorza Musiała* • Leszek Carnuth: *Pierwsza praca* • Adam Miłobędzki: *Kazimierz Dolny – „małe polskie miasteczko"* • Ewa Wierzbowska: *Kobieta fatalna w mitach i legendach* • Elżbieta Kornacka: *Femme fatale: rywalizacja z mężczyzną* • Piotr Skórzyński: *opowiadania* • Maciej Kociuba: *Przestrzeń zamknięta w metaforach* • Joyce Carol Oates: *Upał* • Lechosław Lameński: *Życie, miłość i poezja w rycinach Artura Popka* • Jarosław A. Sawic: *„Nić babiego lata" – kilka uwag o płycie zespołu „Indian Summer"* • Aneta Wysocka: *Dwie prapremiery w Teatrze Osterwy* • Marek Danielkiewicz: *Pochwała Widma czyli o „Weselu" w poznańskim Teatrze Nowym* • Edyta Nieduziak: *Teatr. Widowisko* • Katarzyna Karska: *Pejzaż jarmarczny – kreowanie świata przedstawionego (o „Dolinie Issy" Czesława Miłosza...)* • Bogusław Wróblewski: *Radio warszawskie czy ogólnopolskie?* • Mariusz Dzięglewski: *Hrabia de Toulouse. Legenda Montrmartre'u* • **Recenzje** • **Pryzmaty** • **Noty** •

---

plastyka

MAŁGORZATA KITOWSKA-ŁYSIAK

Miasta, miasteczka, prowincje...

Malarstwo Piotra Fąfrowicza jest dobrze znane miłośnikom Kazimierza. I nie tylko. Od lat malarz odnosi sukcesy, zdobywa nagrody (także zagraniczne) i cieszy się coraz większym uznaniem. Całkiem zasłużenie.

Uprawia bowiem sztukę, która może się podobać. Nie za cenę artystycznych ustępstw, bynajmniej. Uprawia zatem sztukę trudną. Chodzi własnymi ścieżkami, wydeptuje je pracowicie, szukając swoich motywów, swojej linii, swojego koloru. Przy tym maluje obrazy z ogromną szczerością, ale też pasją. Może dlatego przekazuje im dużą dozę bezpretensjonalności, wdzięku, zazwyczaj spotykanego u artystów zwanych – nie zawsze słusznie – „naiwnymi". Ale przekazuje im też siłę sugestywnego oddziaływania. Urokowi jego obrazów trudno się oprzeć.

Kompozycje Piotra Fąfrowicza, precyzyjnie obmyślane i skonstruowane, robią czasem wrażenie, jakby wyszły spod ręki cukiernika. Tak są dekoracyjne i – chciałoby się powiedzieć – smakowite. Mienią się wyrafinowanymi zestawieniami barwnymi; dużo tam tonacji ciepłych, różnych odcieni czerwieni i żółci. To świat pogodnego życia, przesuwającego się w niespiesznym rytmie. Wśród bajkowo przestylizowanej architektury (najczęściej Kazimierza, ale też Lublina i Paryża), pomiędzy ozdobnie zwieńczonymi bryłami kamieniczek, wież, bram, kościołów różnych proweniencji i stylów, spacerują, tańczą, saneczkują, a nawet lewitują niewielkie postacie pań, panów i dzieci w towarzystwie koni, psów i kotów. Umowny modelunek tych drobnych figur, fakt że zostały scharakteryzowane poprzez sam układ ciała bądź wykonywany gest, nadaje im lekkość, wprowadza je – i nas, widzów – w nierealny, nie do końca rozpoznany obszar na poły sennego, lirycznego bytowania. A może należałoby powiedzieć inaczej: wprowadza nas w klimat trudny do rozpoznania i opisania językiem dyskursu, a nieco łatwiej dostępny dzięki przełożeniu na język poezji.

Nie wiem, czy malarz zna, czytuje i lubi poezje jedynego wybitnego barda Lublina i Lubelszczyzny, Józefa Czechowicza. Gdzie jednak, jak nie u Czechowicza właśnie, natrafimy na aurę pokrewną atmosferze ludycznych scenek kreowanych przez Fąfrowicza. Gdzie znajdziemy podobne widzenie związków między Dniem i Nocą, nie przeciwstawianie ich sobie, ale łączenie węzłem intymności, ciepła, zaufania i życzliwości dla otaczającego świata... Oto jeden z wierszy Czechowicza – pozwalam sobie przypomnieć go w całości, chociaż jest dobrze znany. Może w kontekście, o którym piszę, zabrzmi interesująco, dopowiadając do sztuki Piotra Fąfrowicza to, czego nie da się powiedzieć w inny sposób, bez odwoływania się do metafor. Pisze poeta:

Piotr Fąfrowicz: *Spotkanie*, 1991

ze wzgórz promienieje i zielone za dnia
w zmierzchu piękno kaźmierza wzbiera w wonny nadmiar

żarzą się gwiazdy sypią broczą
w gwiazdach wygony baszta mlecznej drogi nurt
miasteczko ma okna z bursztynu
i tak ukazuje się oczom
zawieszone u gór
widnokrąg z ucichłym zamkiem
i jeszcze łysicą trzykrzyską
oddycha bardzo blisko
jakby rękę położył na klamkę
nie otwierając drzwi

nie otwieraj innego raju

dość mi
że drugi mleczny szlak
także gwiaździsty
w dolinie spoczywa płowej
gdzie pod wieczoru zapachem czystym
wisła ogromna mając ramiona założone na głowę
leży na wznak
śpi

Jest w tej poetyckiej ewokacji i precyzyjnie „odtworzona" fizyczna postać malowniczego, kazimierskiego świata, i jego barwy, i zapachy, wreszcie – powolna, spokojna, nieco senna atmosfera. „Nie otwieraj innego raju" – takie motto mogłaby mieć któraś z wystaw twórczości Fąfrowicza. Tym bardziej że malarz rozciąga ową rajską aurę również na te prace, które bezpośrednio z Kazimierzem nie korespondują. Niewątpliwie jednak właśnie doznanie specyfiki tego właśnie miejsca, z którym autor związany jest od bardzo wielu lat, gdzie ma dom i często bywa, stanowiło źródło wszelkich inspiracji, natchnień i w konsekwencji „zorganizowało" tę sztukę tak od strony motywów, jak ich artystycznego ujmowania. Malarz dzieciństwo spędził, co prawda, w Szczecinie, ale „resztę życia", co zawsze podkreśla, w Kazimierzu. Najważniejsza dla narodzin jego sztuki była niewątpliwie owa „reszta życia". Fąfrowicz nie należy jednak do tych twórców, którzy malują prace tradycyjnie kojarzone z czymś, co można byłoby chyba nawet nazwać pewną kazimierską manierą, ale potrafił stworzyć własną, odrębną jakość artystyczną. Może, z ducha oraz inwencji, jest ona nieco pokrewna twórczości Danuty Wierzbickiej, ale niewątpliwie jest swoista, rozpoznawalna, nie sposób pomylić jej z żadną inną. I to nie tylko z uwagi na indywidualny styl malarskiej wypowiedzi, ale również z uwagi na klimat. Rzadko dzisiaj możemy obcować ze sztuką powstającą jako owoc optymistycznego stosunku do świata. Trzeba mieć dużo odwagi, aby ludziom żyjącym w trud-

Piotr Fąfrowicz: bez tytułu, 1995

nych czasach, ludziom, których zewsząd media bombardują katastroficznymi informacjami, proponować malarstwo o takim „programie". Może to jednak sprawia pogodne, „włoskie" niebo Kazimierza, zaokrąglone pagóry, które oddzielają miasteczko od niesprzyjającego świata i łagodne zakręty leniwie płynącej Wisły? Wydaje się, że to ta właśnie sceneria, ów specyficzny krajobraz duszy, daje szansę życia w symbiozie z kulturą i naturą, które tutaj akurat sprzyjają sobie nawzajem; daje szansę życia na ich swoistym, zgodnym, bezkonfliktowym pograniczu. W kazimierskiej niszy wszystko wydaje się na swoim miejscu – proste i łagodne jak „oko błękitu".

[...]
po dachach niskich kamienic
wesoło
po ścieżkach po niwach
toczy się wkoło
pełnia szczęśliwa
[...]

– pisał w innym wierszu, tym razem dotyczącym Krasnegostawu, cytowany już tutaj Czechowicz.

Nie zawsze jednak u Fąfrowicza jest aż tak błogo. Czasem nad miasteczko nadciągnie zmierzch, zapadnie noc, ostry róg księżyca przetnie granatowe niebo, gwiazdy zaiskrzą, czasem powieje chłodem, mróz chwyci, śniegiem sypnie. Pojawia się cienka nić melancholii, delikatna zapowiedź odmiennego nastroju. Ale w gruncie rzeczy ludzie nie zmieniają trybu życia, nie przyspieszają kroku. Może w ten sposób zaczarowują potencjalne konflikty i odpędzają złe moce? Nie łudźmy się, że postępują tak sami z siebie. Zaczarowuje ich przecież autor, który z rzeczywistości wybiera to, co ciepłe, serdeczne, człowiekowi przyjazne. Jeśli wybiera dzień, wiosnę lub lato, maluje kwitnące drzewa, soczyście zieloną trawę, żółte łany zbóż, nasycając kolor, dając przy tym upust swojej fantazji w tej właśnie materii (kolorystycznej); jeśli natomiast wybiera noc, zimę, maluje oblane błękitną po-

Piotr Fąfrowicz: *Obrazek świąteczny*, 1995

Piotr Fąfrowicz: *Okolica*, 1996

światą kamieniczki, niebo, zaśnieżone ulice. I w jednym, i w drugim przypadku decyduje się na te motywy, które pozwalają utrzymać całościowy, optymistyczny, „program" tej twórczości: wiosną i latem uliczkami miasteczek krążą powolni przechodnie, dzieci jeżdżą na hulajnogach, grają w klasy; zimą zaś – tu i ówdzie, w sklepowej witrynie pojawia się napis „choinki", gdzieniegdzie przebiega św. Mikołaj, zaczyna się wieczór wigilijny...

Niekiedy można odnieść wrażenie, że Piotr Fąfrowicz chciałby pogodzić wszystkie aspekty rzeczywistości; że pragnąłby, aby świat był tylko dobry, bezkonfliktowy. Trzeba powiedzieć, że w sztuce marzenie to udaje mu się realizować. Może dlatego, że opowiada o świecie, który dobrze zna, który jest mu bliski; opowiada o świecie, z którym, jeśli można tak powiedzieć; jest zaprzyjaźniony i który takąż przyjaźnią mu się odwdzięcza. Pokazuje rzeczywistość, która jest człowiekowi przychylna, otula go, niczym dom; rzeczywistość, można rzec, na miarę prowincji. Ale jeśli malarstwo Piotra Fąfrowicza jest prowincjonalne, to w najlepszym, Czechowiczowskim sensie tego słowa – w sensie zakorzenienia, zagnieżdżenia w lokalności, w świecie, który jest do ogarnięcia z nieodległej perspektywy.

Małgorzata Kitowska-Łysiak

LUDWIK GAWROŃSKI

Muzyka na dworze Czartoryskich w Puławach

Księdzu Prof. Ireneuszowi Pawlakowi –

W roku 1731 Puławy wraz z dobrami okolicznymi (Końskowola) przeszły w ręce rodziny Czartoryskich dzięki małżeństwu Augusta ks. Czartoryskiego z dziedziczką tych dóbr Zofią Sieniawską, I voto Denhoffową. Uczynili oni z Puław wspaniałą, iście królewską rezydencję w stylu wczesnego rokoka. Najświetniejszy okres dziejów Puław przypada jednak na kolejnych właścicieli: Adama Kazimierza ks. Czartoryskiego i jego żonę Izabelę z Flemmingów. Pod wpływem rozdźwięków z królem Stanisławem Augustem Poniatowskim w r. 1782 Czartoryscy opuścili Warszawę i wrócili do Puław, które niebawem zaczęły konkurować z dworem królewskim, a *gdy jego zabrakło, wysunęły się na czoło życia kulturalnego trójzaborowej Polski. Mecenat Czartoryskich przyciągał do Puław całą plejadę literatów, artystów i uczonych. Funkcjonowało tutaj szereg instytucji kulturalno-oświatowych, jak: szkoła dworska dla młodzieży męskiej i żeńskiej, kapela i teatr domowy* (...). *Puławy stały się dla Polaków namiastką nieistniejącej ojczyzny.*[1]

Muzyczne tradycje na dworze puławskim sięgają roku 1785. W owym czasie prawie wszystkie kościoły katedralne, klasztorne, dwory królewskie, a nawet niektóre ziemiańskie posiadały własne orkiestry, zwane potocznie kapelami. Inicjatorką utworzenia kapeli puławskiej była Izabela ks. Czartoryska (1746-1835), uczennica Benjamina Franklina w Anglii, który ćwiczył ją w grze na harmonium, czyli fisharmonii. Działo się to w roku 1774:

W Londynie byłam chora, w stanie melancholii – pisze w swoim pamiętniku – *pisałam testament i listy z pożegnaniem. Mąż chcąc mnie rozerwać pojechał ze mną do Franklina. Franklin szlachetną miał twarz, z wyrazem ujmującej dobroci. Zdziwiony moją nieruchomością ujął mnie za ręce. „Pauvre jeune femme" (Biedna młoda kobieta). Potem otwarł harmonium i grał długo.* Księżna rozpłakała się. – „Jesteś pani uleczona" – orzekł Franklin.

Księżna Izabela wzięła później u Franklina dwanaście lekcji gry na harmonium, które przerwane zostały z chwilą wyjazdu państwa Czartoryskich do Spa.[2]

[1] Zofia Gołębiowska: *Anglicy w Puławach na przełomie XVIII i XIX wieku* [w:] *Lublin i Lubelskie w dobie porozbiorowej*. Red. A. Koprukowniak. Lublin 1996, s. 42.

[2] Gabriela Pauszer-Klonowska: *Pani na Puławach*. Warszawa 1980, s. 38.

przy ul. Senatorskiej 37 w Warszawie. Tu lekcji gry na klawikordzie udzielał ich córeczkom: Teresie i Marii niejaki pan Patonart, zaś tańców uczył Franciszek d'Auvigny.[3]

Z chwilą zamieszkania w Puławach Czartoryscy przywieźli ze sobą kilku muzyków z kapeli królewskiej, m.in. braci Lesslów: Wincentego i Franciszka, z których pierwszy był klawesynistą i kompozytorem, drugi – altowiolistą. Formowanie orkiestry dworskiej puławskiej rozpoczęło się w roku 1785, na co wskazuje list piętnastoletniego Adama Czartoryskiego pisany do matki Izabeli z 30 sierpnia tegoż roku:

Pan Lessel prosił mnie, aby oznajmić, że już dziesięciu muzykantów podług umowy zrobionej, jest akordowanych od brata [wspomnianego Franciszka Lessla, który zmarł 22 marca 1819 r. w Puławach, jako „gracjalista JOXięcia Czartoryskiego" – przyp. L.G]; *prosi usilnie, aby można jak najprędzej po nich posłać, boby i znaczne umniejszenie ekspensów stać się mogło, gdyby już na „Spartankę"* [operę do słów F. Kniaźnina z muzyką W. Lessla – przyp. L. G.] *w Puławach byli, co się stać może, jeżeli się zaraz po nich wyśle, po wtóre ciż muzykanci zaczynają sobie już formować pretensje do brata Lessla za niedotrzymanie uczynionych obietnic.*[4] W osiem miesięcy później, tj. 23 kwietnia 1786 r., nadworny poeta Kniaźnin, donosi swojemu przyjacielowi Stanisławowi Kłokockiemu: *Zrobiłem tu operę jedną pod tytułem „Matka Spartanka". Dzieło to jest wierszem i z chórem w sposobie greckim, stosowane do pożytku krajowego, mile od wszystkich przyjęte, a osobliwie od księżny jejmci samej, która ma ją grać z dziećmi swoimi. Muzykę do niej zrobił przedziwną JM Pan Lessel, signore virtuoso w tej sztuce. Uczą się śpiewania ustawicznie i za miesiąc może przyjdzie do reprezentacji.*[5]

Z okazji prawykonania tej opery, która odbyła się w teatrze puławskim 15 czerwca 1786 roku, poeta Stanisław Trembecki napisał okolicznościowy wiersz, w którym kapelę nazwał orkiestrą „niepowszechną":

Teatr mnie zastanowił wspaniały a skromny
Orkiestra niepowszechna, ludzi tłum przytomny.

Na ten spektakl miał przyjechać „pan na Tulczynie" – Szczęsny Potocki, któremu za podszeptem księżnej Izabeli Kniaźnin zadedykował swoją operę:

Z Twojej to duszy autor Spartanki
Brał myśli, Mężu jedyny!
Jemu za rymy dajemy wianki,
Tobie ojczyzna za czyny!

Wprawdzie Potocki na przedstawieniu nie był, ale w dowód wdzięczności ofiarował księżnie Izabeli swój wiersz: *Od wojewody ruskiego do księżnej jenerałowej, która gra rolę Matki Spartanki*:

Święta miłość ojczyzny, szlachetna chęć sławy
Dzielnie tchnie w duszach waszych i zdobi Puławy.

Wiemy, iż opera ta była kilkakrotnie wznawiana. Poszczególne role kreowali: Izabela ks. Czartoryska (Teona), jej synowie – Adam (Likanor, starszy syn Teony) i Konstanty (Kliton, młodszy syn Teony), Aleksandra Narbuttówna (Telezylla, córka Teony), Konstancja Dembowska (Leucyppe, kochanka Likanora), Jan Rembieliński (Helot) oraz chóry: ojców, matek, dziewcząt, chłopców, kapłanów i ludu. Muzyka opery zaginęła, podobnie jak i dru-

[3] Adam Jerzy Czartoryski: *Pamiętniki i memoriały polityczne 1776-1809*. Warszawa 1986, s. 81.

[4] Hanna Rudnicka-Kruszewska: *Wincenty Lessel. Szkic biograficzny na podstawie listów do syna*. Kraków 1968, s. 35.

[5] Tamże.

giej opery Lessla *Cyganie* z librettem Kniaźnina. Zdaje się, że muzykę do niektórych oper pisała również księżna Izabela. Oprócz Kniaźnina libretta operowe pisał także nadworny poeta puławski Józef Szymanowski (1748-1801), np. do opery *Trzy gody* do słów Kniaźnina, w której Szymanowski umieścił swoją piosenkę: *Zosiu, Zosiu, moja luba* z muzyką Jana Steganiego. Z kolei przebywający na dworze puławskim w latach 1802-1804 artysta malarz Jan Piotr Norblin wykonał kilka scen z niezidentyfikowanych oper (sielanek) granych w teatrze „Na Kępie" w tzw. pałacu Marynki, zbudowanym specjalnie dla Marii ks. Czartoryskiej Wirtemberskiej (1768-1854). Być może były to sielanki: *Anekreon*, *Marynki* czy *Zosiny* pióra Kniaźnina.[6]

Wróćmy zatem do kapeli, która należała wówczas do najlepszych orkiestr dworskich w Polsce. Jej członkami byli początkowo wyłącznie cudzoziemcy: Wincenty i Franciszek Lesselowie, Józef Hladyk, Andrzej Felber, Franciszek Engel, Jerzy Mayer, Michał Legrad, Gotfryd Heynrisch oraz Franciszek Cammer, który grał w pierwszej kapeli, tj. w latach 1786-1792, a po jej rozwiązaniu pozostał w Puławach, ale zmienił profesję. Został murgrabią dworu Marii ks. Wirtemberskiej. Tu poznał swą przyszłą żonę Wilhelminę Woytt, z którą ożenił się 11 listopada 1798 r. Świadkiem na ich ślubie był m.in. Wincenty Lessel. Listę członków pierwszej kapeli zamyka Franciszek Schmeidler.[7]

Między rokiem 1792 a 1799 brak jest wzmianek o kapeli puławskiej. W roku 1794 Czartoryscy opuścili Puławy, które zostały zniszczone przez wojska rosyjskie. Księżna Izabela wróciła do Puław dopiero w roku 1796 i wkrótce znowu zaczęto się tu bawić.[8]

Wiadomo, iż do zabawy była potrzebna kapela. 6 kwietnia 1799 r. Lessel pisał do syna Franciszka (1780-1839), przebywającego wówczas na studiach u Józefa Haydna w Wiedniu: „kapelę mam pod swoim kierownictwem", a już 11 grudnia tegoż roku przesyła synowi wiadomość o projektach rozwiązania kapeli:

Znowu bardzo zabiegano, by skasować kapelę, ale pan Dembowski [Józef, h. Jelita (1761-1831), rotmistrz kawalerii narodowej; 29 grudnia 1786 r. zaślubił w kościele włostowickim Konstancję Narbuttównę (1765-1827), wychowankę i ulubienicę księżny Izabeli – przyp. L.G.] *był temu projektowi bardzo przeciwny, ażeby przypuszczalnie nie zepsuć nastroju u młodego księcia* [Konstantego – przyp. L.G.] *gdyż jest przekonany, że on ma w tym przyjemność. Ponieważ czas mojego kontraktu także już upłynął, byłem więc skazany na swoją pensję wyznaczoną mi z łaski (mianowicie 6 dukatów miesięcznie). Jeślibym jednak zechciał się podjąć nadzoru nad kapelą, to bym otrzymał jeszcze 6 dukatów oraz drzewo, ale równocześnie musiałbym się zajmować strojeniem instrumentów. Na to się zgodziłem i zamierzam znosić to jeszcze rok lub dwa. Bo dużo dłużej trwać to zapewne nie będzie, chyba żeby młody książę nie pozwolił skasować kapeli.*[9]

Kapeli nie skasowano! Nadal prosperowała, odbywała próby, przygotowywała nowy program, aby swoimi występami uświetniać festyny dworskie, organizowane często z okazji przyjazdu znakomitych gości:

Bywali tutaj na zmianę rozmaici bardzo znakomici goście i dawano rozmaite festyny – informował pan Wincenty syna Franciszka 18 września 1800 roku – *przy czym muzyka, jak zwykle, zawsze zachowywała pierwsze miejsce, nawet gdyby to miało być za drzwiami czy za krzewami. Przy pewnej okazji ustawiłem ją na wyspie i w szybkości (nb. jeśli chodzi o stopy i nogi) na pewno przewyższyła ona francuską artylerię konną albo najzręczniejszy mechaniczny krzyżak do marionetek. Bo zaledwie usłyszano ich tutaj, trą-*

[6] Jan Prosnak: *Opera polska w teatrach magnackich XVIII wieku*. „Muzyka" r. 1965.
[7] Helena Mącznik: *Puławski słownik biograficzny*. Lublin 1994, T. 1, s. 61.
[8] H. Rudnicka-Kruszewska, dz. cyt., s. 38.
[9] Tamże, s. 83.

biących jakąś krótką piosnkę, a już z największą prędkością puszczali się w drogę, i ot – zanimby kto przypuścił – dawali się znowu słyszeć z innego miejsca. I działo się to 8 razy z rzędu bez potknięć.[10]

W dalszym ciągu swoich wspomnień pamiętnikarz mówi m.in. o Wincentym Lesslu i jego synie Franciszku:

W części muzycznej pierwsze miejsce zajmował Lessel, rodem Niemiec. Dawniej nauczyciel księżniczek, obecnie [w roku 1816 – przyp. L.G.], *chociaż był bez zajęcia, pobierał pensję. Miał swój domek i ogród, i namiętnie zajmował się doświadczeniami fizycznymi, a szczególniej elektrycznością i piękne narzędzia posiadał. Przy nim podówczas bywał syn jego Franciszek po powrocie z Wiednia. Uczeń Haydna i w istocie artysta niepospolity, ale muzykę zaniedbał zupełnie. Zająwszy się urządzeniem Pilicy i domu w Warszawie dla księżnej Wirtemberskiej (...) Orkiestra nadworna składała się z 12 muzykantów; dyrygował nią niezawodny i zdolny Niemiec, Schmeigler. Pomiędzy muzykantami za moich czasów prawdziwym talentem odznaczał się Zawiski, który grywał na klarnecie.*[11]

Jaki zatem był repertuar kapeli puławskiej? Grywano przede wszystkim utwory Wincentego i Franciszka Lesslów, a więc: opera *Matka Spartanka* (1786), melodramat *Piast* (1800), polonezy, tańce i piosenki zinstrumentowane na zespoły instrumentów dętych, muzyka na festyny (1801), pantomimy i operetki, m.in. *Dwaj strzelcy i mleczarka* (1804), *Pielgrzym z Dobromila* i wiele innych. Pan Wincenty wymienia w listach do syna Franciszka i jego utwory wykonywane w Puławach, jak: *Trio na trzy klarnety* (1800), kwartety (1801), *Wassermusik* (1803), dwie symfonie g-moll (1804), symfonie: D-dur i g-moll (1805), koncert na dwa flety, kwartet dedykowany nadwornemu lekarzowi Janowi Goltzowi (1781-1864), walce (1805), marsz i podwójny koncert (1806) oraz wszystkie jego koncerty i symfonie.

Pod koniec 1803 r. W. Lessel został dyrygentem nowo utworzonej kapeli, składającej się wyłącznie z rodzimych muzyków: Franciszek Brzoszczewski (1768-1816), o którym humorystycznie wspomina Wincenty Lessel w liście z 21 kwietnia 1807 r. do syna Franciszka: *Naszą biedną Teklę Morską pochowaliśmy wczoraj, a ja wykonałem w czasie egzekwii dobre utwory muzyczne, w których mi jednak stary Brzoszczewski grał na basach nędznie, a Jędrusz na oboju żałośnie. Dlaczego? Ponieważ przedtem, przy zimnej i ostrej pogodzie połknęli zbyt wielki ładunek gorzałki.*[12]

Dalej: Jan Franciszek Barczyński (1780-1807), w kapeli od r. 1805; Jan Kucki, Mateusz Lipnicki (1780-?), notowany w Puławach, 11 września 1804 r. poślubił w kościele włostowickim Barbarę Cymanównę, z którą miał troje dzieci: Józefa, Zofię i Ludwikę; Jan Walter (1781-ok. 1813), zięć W. Lessla, którego 22-letnią córkę Mariannę poślubił 19 lutego 1805 r., zmarł jako pisarz w dobrach szambelana Rozłuckiego w Korniowie k. Tłumacza, „ powszechnie żałowany jako jedyny dobry artysta w całej okolicy"[13]; Marcin Zawiski (1782-1824), wspomniany już jako dobry flecista i klarnecista, 7 listopada 1802 r. poślubił córkę Wincentego Lessla Elżbietę (1786-1857), która obdarzyła go aż dziesięciorgiem dzieci.

W końcu roku 1809 na dworze puławskim była jeszcze orkiestra wojskowa Konstantego ks. Czartoryskiego (1773-1860). Lessel cieszył się, iż teraz będzie mógł wydatniej koncertować z dwoma orkiestrami, a także „należycie obsadzić" symfonie i koncerty swojego syna Franciszka.[14]

Była to jednak krótkotrwała radość, bowiem w roku 1810 zaczęto zamykać niektóre z manufaktur puławskich. Pan Wincenty napisał wówczas

[10] Tamże, s. 96.
[11] Leon Dembowski: *Moje wspomnienia*. Petersburg 1898, T. 1, s. 102-103.
[12] H. Rudnicka-Kruszewska: dz. cyt., s. 124.
[13] Tamże, s. 21.
[14] Tamże, s. 42 i 129.

Pałac Czartoryskich w Puławach, wg fotografii z ok. 1905 r.
Rys. Agnieszka Wójtowicz

kać niektóre z manufaktur puławskich. Pan Wincenty napisał wówczas synowi, przebywającemu w Warszawie, iż „z pewnością przyjdzie wkrótce kolej także na kapelę"[15].

Obawy maestro Lessla okazały się słuszne; w roku 1811 kapelę rozwiązano, zaś on doniósł Franciszkowi: *Spotkał mnie ten sam los, co kapelę. Całkiem ich zwolniono* [muzyków – przyp. L.G.], *a mnie potrącono miesięcznie te 6 dukatów, drzewo, światło i tonę podpiwka, co stanowiło całą moją pensję za kapelę. Rozumie się, że gdzie nie utrzymuje się kapeli, nie potrzeba też kapelmistrza.*[16]

Wprawdzie kapela przestała istnieć, ale bakcyl muzykowania był silniejszy. Postawiono na muzykę kameralną, w której oprócz braci Lesslów: Franciszka i Wincentego brali udział: Konstanty ks. Czartoryski, trzej synowie doktora Karola Bogumiła Goltza: Jan, Karol i Józef, a nieraz także muzykanci hrabiny Zamoyskiej z Podzamcza.[17]

W latach 1811-1812 bracia Lesslowie byli w ciężkich warunkach materialnych. Rok 1813 zapowiadał się lepszy, gdy nowy dziedzic Puław i uczeń W. Lessla Adam Jerzy ks. Czartoryski zaprojektował założenie szkoły organistów i poprosił pana Wincentego o objęcie jej kierownictwa. W liście do matki z 6 stycznia tegoż roku pisał m.in., iż nosi się z zamiarem założenia *szkoły dla organistów i razem dyrektorów parafialnych* [wzorem szkoły dla organistów, założonej w r. 1809 w Warszawie przez ks. Izydora Cybulskiego – przyp. L.G.]. *Pan Zamoyski ma mały plan tego. Ksiądz Krasnodębski może by się tym zajął. Pan Zamoyski także uczniów przyszle.*[18] W rok później, tj. 14 stycznia 1814 r. książę Adam donosi matce: „teraz Lessla z sobą dlatego do Warszawy biorę". Wcześniej, bo 3 tegoż miesiąca pan Wincenty napisał do syna Franciszka: *...książę Adam pojedzie wkrótce do Warszawy i zabierze mnie tam ze sobą, aby przypatrzyć się szkole organistów u księdza Cybulskiego. Bo zamyśla założyć tutaj podobny zakład, aby zaprowadzić przynajmniej w swoich dobrach lepszy porządek wśród organistów oraz w śpiewie kościelnym* (...). *Na życzenie księcia Adama zacząłem od syna organisty z Włostowic* [Józefa Zaczkowskiego, żyjącego w latach 1796-1834 – przyp. L.G.]. *Życzyłbym sobie, żebyś był wówczas ze mną przy pierwszych lekcjach, by się przekonać, jak daleko sięga głupota u tego rodzaju ludzi* (...) *Jaśnie Oświecony nie zapytał mnie jeszcze, czego żądam za swój ciężki*

[15] Tamże, s. 130.
[16] Tamże, s. 132.
[17] Tamże, s. 61.
[18] Tamże, s. 28.

W trzy miesiące później (12 IV 1814) pan Wincenty doniósł synowi: *W końcu stycznia byłem w Warszawie, widziałem się z p. Elsnerem i dobrze się bawiłem. Także zawarłem równocześnie znajomość z p. Kurpińskim, który napisał właśnie i wystawił całkiem nową trzyaktową operę* [*Jadwiga, królowa Polski* do libretta Juliana Ursyna Niemcewicza – przyp. L.G.]. *U Lesslów* [Fryderyka budowniczego i Henryka cukiernika, braci Wincentego – przyp. L.G.] *pojawiła się też o tobie zaszczytna wzmianka, tak samo u Jawurka* [Józefa, pianisty i kompozytora – przyp. L.G.], *który mnie i p. Elsnera zaprosił był przedtem na kolację.*[19]

Wprawdzie pan Wincenty nic wspomina tu o wizycie w szkole dla organistów ks. Cybulskiego, ale z pewnością zapoznał się z jej działalnością dydaktyczną i programem nauczania. Po powrocie do Puław rozpoczął naukę z chłopcami pragnącymi zostać muzykami kościelnymi. Tegoż jeszcze roku (1814) napisał do syna:

Księżna oddała na ten cel pół domu i zapewniła mnie, że książę postara się o kogoś, kto będzie młodym ludziom udzielał nauki czytania, pisania, rachunków i nieco łaciny. Hr. Zamoyska także chciała oddać kilku na naukę i za pośrednictwem p. Lipińskiego nawet miano kilku przysłać z Warszawy. Wspomina też o Karolu Kurpińskim i Janie Stefanim, których kompozycje muzyki religijnej pragnie mieć w swoich zbiorach: *Jeżeliby on* [Kurpiński – przyp. L.G.] *nie był obojętny na przyjaźń, jaką go darzę, to powinien dać mi tego dowody i pozwolić mi odpisać swoje 4-głosowe pieśni mszalne* (...) *W tym sensie proszę także pana Stefaniego, mojego starego i wiernego przyjaciela, o takież jego kompozycje* (...) *Może jeszcze kiedy znajdziesz bez trudu wśród swoich rzeczy coś z utworów organowych i kanony Haydna – to przywieź mi coś ze sobą...*[20]

Nauka trwała nadal, skoro w roku 1815 pan Wincenty napisał do syna, że książę Adam powiedział, że słyszał, iż *zrobiłem dużo dobrego. Odnosiło się to do chłopców, których chcę kształcić na organistów. Bo niedawno była u mnie księżna (Izabela) i panna Zofia (Zamoyska), aby usłyszeć, jak oni grają; wtedy były one też niezwykle zadowolone z ich talentów i umiejętności. O tym jak można przypuszczać, rozmawiano z księciem Adamem.*[21]

Lessel dalej kształcił młodych adeptów kunsztu organistowskiego z nadzieją, iż wkrótce założona zostanie w Puławach szkoła muzyczna. W marcu 1816 r. swoje przypuszczenia przekazuje synowi, pisząc: *Nie słyszałeś nic, czy coś mówiono lub rzeczywiście poważnie postanowiono w sprawie założenia tutaj szkoły muzycznej? Księżna mówiła mi, że na przyszłą wiosnę ma być wydane zarządzenie i że ja dostanę od rządu patent jako jej dyrektor z pensją 3000 zł. Mówi się o tym od maja 1815 roku* (...) *Masz mi skomponować dla mojego organisty* [wspomnianego już Józefa Zaczkowskiego – przyp. L.G.] *łatwy utwór organowy czterdzieści kilka taktów.*[22]

Niestety, nadzieje pana Wincentego prysły, bowiem niewdzięczność księcia Adama, jak i niewypłacalność uczniów sprawiły, iż nauczanie zostało przerwane:

Pytasz mnie w swoim liście – czytamy w liście Lessela do syna z 26 czerwca 1816 roku – *czy książę Adam jest dla mnie łaskawy. Jest, i to w tak wysokim stopniu, że od roku i 9 miesięcy nie otrzymałem jeszcze za chłopców wiejskich żadnej zapłaty* (...) *i że dał mi 15 zł. Ponieważ najstarszym dawałem przedtem naukę zupełnie sam przez półtora roku, był on także tak łaskawy (należałoby powiedzieć: skąpy), że dał mi za mój gorzki trud 15 zł. W trzech więc latach zarobić 30 zł, to czyni rocznie 10 netto.*[23]

[19] Tamże, s. 137.
[20] Tamże, s. 139.
[21] Tamże, s. 140.
[22] Tamże, s. 142-143.
[23] Tamże, s. 144.

Izabela ks. Czartoryska przy klawesynie,
wg portretu z 1769 r.
Rys. Agnieszka Wójtowicz

Odbiorców muzyki na dworze puławskim traktował Lessel z przysłowiowym „przymrużeniem oka"; dzielił ich na dwie grupy: pierwsza – państwa, tj. Izabeli i Adama ks. Czartoryskich, których nie uważał za znawców muzyki. Ongiś napisał nawet, że „u starego księcia i księżnej partacz, albo tzw. skrzypiciel znaczy daleko więcej aniżeli ktoś, kto się musiał przedzierać przez nie lada trudności, aby tylko osiągnąć to, co posiada". Lessel, komponując dla dworu, musiał się starać, by utwór wypadł „jak najgorzej", wtedy dopiero zyskiwał uznanie; druga – uczniowie Lessla, pochodzący z różnych warstw społecznych: chłopów, robotników dworskich oraz arystokracji związanej z Puławami.

Życie muzyczne w Puławach ożywiło się ponownie z chwilą założenia w 1819 r. Instytutu Nauczycieli Elementarnych i Organistów z inicjatywy władz oświatowych Królestwa Polskiego. Była to szkoła utworzona przez rząd, której pierwszym rektorem mianowano Hipolita Pągowskiego, a po jego śmierci (1824) ks. Tomasza Barcińskiego (1801-1834) z Lublina, syna Małgorzaty z Morawskich. Pracował w Instytucie do końca jego istnienia, czyli do roku 1832.[24]

Wprawdzie dzieje tegoż instytutu nie są przedmiotem naszych rozważań nad życiem muzycznym w dawnych Puławach, ale jego działalność wraz z kapelą Wincentego Lessla wywarła ogromny wpływ nie tylko na życie kulturalne miasta i okolicznych dworów szlacheckich, ale wpłynęła znacznie na rozwój ruchu artystycznego, oświatowego i muzycznego w Polsce pod koniec XVIII i pierwszej ćwierci XIX stulecia.

Ludwik Gawroński

[24] H. Mącznik, dz. cyt. s. 22-23.

wspomnienia

DANUTA KELCH

Maria Dąbrowska we wspomnieniach siostrzenicy

Rodzoną siostrę mojej matki, o dwa lata od niej starszą, pamiętam od czasów mego dzieciństwa. Nieduża, o włosach blond z odcieniem lekko popielatym, uczesana w tzw. kukiełki zwinięte na uszach, była nazywana w rodzinie Maryjką. Pierwsze moje wspomnienia o niej pochodzą z opowiadania mojej matki, gdyż w maju 1914 r., a więc w roku i miesiącu moich urodzin, przebywała w Glinie – folwarczku dzierżawionym przez mego ojca Stanisława Hepke. Tam właśnie zrodził się u przyszłej pisarki pomysł napisania opowiadania pt. *Janek*, które po wielokroć w życiu czytałam zalewając się łzami. Janek to starszy braciszek Marii Dąbrowskiej, zmarły w wieku trzech lat, ukochany przez dziadków i zapowiadający się podobno na niezwykłego człowieka. W dniu jego śmierci dziadek chciał się zastrzelić, choć tak wiele już przeżył jako powstaniec 1863 r. Babcia również rozpaczała i całe dnie spędzała przy grobie synka na wiejskim cmentarzu. Dla mnie on żyje zawsze jak Janek ze zbiorku *Uśmiech dzieciństwa* i jako Piotruś z powieści *Noce i dnie*. Maryjka już wówczas była na świecie. Braciszek kochał ją bardzo i dźwigał na silnych wyjątkowo rękach trzylatka. Przed śmiercią prosił rodziców, by mu ją przynieśli i położyli na łóżeczku – czego jak opowiadała mi babcia Ludomira Szumska (Barbara z *Nocy i dni*) nie wahano się uczynić, choć był chory na dyfteryt. Janek w naszej rodzinie był zawsze jakby mitem.

Wyjeżdżając z Gliny w sprawach związanych z pracą społeczną i polityczną – powracała co jakiś czas. 2 lipca 1914 roku podawała mnie do chrztu wraz z moim dziadkiem Franciszkiem Hepke. Moja matka nieraz wspominała ten dzień, jak to Maryjka i dziadek musieli jeździć po okolicznych miejscowościach, gdyż proboszcz z parafii wyjechał, bo ojciec nie zamówił chrztu. Dopiero na jej prośbę ochrzcił mnie ksiądz z sanatorium przeciwgruźliczego w Otwocku, bo proboszcz z Otwocka też pojechał na jakąś konferencję. Kto oglądał film *Noce i dnie*, widział Barbarę wędrującą na wózku Szymszela, uciekającą z Kalisza przed Niemcami. Otóż babcia jechała wtedy do moich rodziców do Gliny. Tam też przybyła Maryjka, by odwiedzić swą matkę i rodzeństwo. Była tam siostra Jadwiga i brat Bogumił. Tych postaci nie ma w *Nocach i dniach* – zjawili się w *Przygodach człowieka myślącego* jako Joanna i Janek. To dla tego właśnie Bogusia sporządzała Maryjka zeszycik, by w nim zapisywał wspomnienia, gdy jako 17-latek na ochotnika wstąpił do legionów. Przez całe życie jego bożyszczem był marszałek Piłsudski.

W rodzinie Szumskich głęboko zakorzeniona była miłość ojczyzny i kult dla Marszałka. Obaj synowie byli w legionach. W 1920 r. moi rodzice mieszkali w majątku Suleżysz koło Ciechanowa. Tam też często bywała u nas Maryjka zamieszkująca wówczas w Warszawie ze swym mężem majorem Marianem Dąbrowskim, który został uwieczniony w *Nocach i dniach* jako Marcin. Lubiła śpiewać i grać ze słuchu na pianinie, malować. Wystawiała do ogrodu stoliczek, brała paletę z farbami i malowała. Najlepiej zapamiętałam jej obrazki przedstawiające sad, pasiekę, a także nasz wiejski, nieduży kościółek z czerwonej cegły.

Latem 1923 r. mama ze mną została zaproszona do Piaseczna pod Warszawą, gdzie moja babcia Ludomira Szumska, wraz z córką Jadwigą i synem Bogumiłem, przebywała na letnisku w willi swego bratanka Henryka, syna Bronisława Gałczyńskiego (Daniela z *Nocy i dni*). Tam kilka razy odwiedziła nas Maryjka z mężem Marianem, byłym działaczem studenckim, zaangażowanym w pracy niepodległościowej w Lozannie, Brukseli i Londynie. Ten tęgawy blondyn z niewielką bródką budził we mnie jakiś dziwny respekt i jak gdyby obawę. Był dla ludzi wymagający i surowy, również dla dzieci, których zresztą sami nie mieli. (Za to jego brat, profesor Józef Dąbrowski miał pięcioro, które często przychodziły do wujostwa.) Dla Maryjki był idealnym mężem. Stanowili wzorową parę małżeńską.

Rok 1925 okazał się dla Maryjki jednym z najnieszczęśliwszych w życiu. W tym właśnie roku Marian – ukochany mąż, najbliższy przyjaciel i powiernik, opuścił ją na zawsze.

Tego roku w sierpniu bawiła u moich rodziców we wsi Płonne w powiecie rypińskim, niedaleko dwóch miasteczek dziś połączonych w jedno (Golub-Dobrzyń) mostem na pięknej rzece Drwęcy. Obok wsi był majątek o tej samej nazwie, Płonne, którego młody, bogaty właściciel Ludwik studiował rolnictwo na Uniwersytecie Warszawskim. Mój ojciec zarządzał jego majątkiem. Co roku siostra matki, Jadwiga, przywoziła na wakacje babcię moją Ludomirę, bo sama, będąc nauczycielką, wyjeżdżała na wczasy lub na jakieś kursy. Do nas i do swej matki przyjeżdżała Maryjka. U nas mieszkanie było nieduże, więc mieszkała w szkole albo u gospodarza Chmielewskiego zwanego Chmielem. Spacerowała po polach i pobliskim lesie zachwycając się malowniczą okolicą. Miała sposobność obserwowania życia bogatych i biedniejszych gospodarzy, a także służby folwarcznej. Prowadziła z nimi rozmowy, co do jej twórczości bardzo się przydało. Wujek Marian w tym pamiętnym roku pojechał do sanatorium w góry na kurację odchudzającą. Mieli co jakiś czas wyjeżdżać osobno, co – jak twierdzili – wpływa na odnowienie i utrwalenie uczuć. Wyjeżdżała z jakimś nieokreślonym niepokojem. Pamiętam ten dzień jesienny, kiedy jako uczennica ówczesnej I klasy gimnazjum 8-klasowego w Toruniu (do którego się wstępowało mając 11 lat, a kończyło maturą mając 19), wracając zobaczyłam matkę, której przyjazdu nie spodziewałam się. Była zasmucona i rzekła: „Muszę ci oznajmić smutną nowinę: zmarł wujek Marian". Ta wiadomość spadła jak grom na naszą rodzinę, a mnie dotknęła szczególnie, ponieważ dotąd nie przeżywałam śmierci nikogo z rodziny. Na pogrzebie nie byłam. Opowiadano mi później, że był manifestacyjny. Wuj był znanym oficerem, byłym działaczem niepodległościowym, a także cenionym dziennikarzem. W moich wspomnieniach żyje jako surowy wuj, zwolennik surowego wychowania dzieci, ale niekiedy również jako młodzieńczy i uśmiechnięty, podnoszący mnie wysoko, wysoko do góry i wołający mocnym drgającym głosem „no i cóż ty ciapo!"

Rozpacz Maryjki po jego śmierci była bezgraniczna. W sierpniu 1926 r. znów gościliśmy ją w Płonnem. Czary rozpaczy dopełniła niespodziewana śmierć brata Mariana, prof. historii Józefa Dąbrowskiego, który mimo że miał liczną rodzinę, otoczył Maryjkę opieką, a w najcięższych chwilach, tuż po śmierci brata, towarzyszył jej do sanatorium, gdzie zmarł Marian.

Pamiętam, jak melancholijna i zamyślona krążyła po polach, już od młodości zakochana w przyrodzie. Zbierała polne kłosy i po powrocie stroiła w nie fotografię męża stojącą na stoliku w jej pokoju w wiejskiej chacie, bo i tym razem mieszkała na wsi. Nocami dręczyły ją niepokoje i rozpacz. Zrywała się z krzykiem wzywając ukochanego i nie mogąc pogodzić się z tym najsmutniejszym z faktów, że odszedł na zawsze. Moja matka wtedy nocowała u niej. Obawialiśmy się, żeby nie zrobiła sobie czegoś złego. Najwięcej oczywiście bała się o nią moja babcia, Ludomira Szumska, która jak co roku wakacje spędzała u nas.

W 1927 r. nieubłagana śmierć ponownie wkroczyła do naszej rodziny. 8 grudnia zmarła babcia. Byłam wtedy uczennicą III klasy gimnazjum w Toruniu. Na pogrzeb pojechała tylko moja mama. Opowiadała po powrocie o tym, jak Maryjka gorliwie zajmowała się przewiezieniem zwłok z Białegostoku do Warszawy. Tam bowiem mieszkała babcia ze swoją samotną córką Jadwigą. Przyjechali też dwaj synowie: Stanisław i Bogumił. Przybyła więc cała piątka, chociaż bez rodzin.

Wówczas moja mama pierwszy raz zobaczyła, na Powązkach podczas uroczystości pogrzebowych, Stanisława Stempowskiego – przyjaciela wuja Mariana. To jemu na prośbę Mariana ustąpiła Maryjka swoje miejsce w Ministerstwie Rolnictwa, gdzie pracowała. Pan Stanisław zamieszkał u niej, bo były trzy duże pokoje. W tym domu przy ul. Polnej 40 mieści się obecnie muzeum Marii Dąbrowskiej. W pokoju Maryjki na biureczku, przy którym pracowała, naczelne miejsce zajmowała fotografia zmarłego męża, ta strojona w kłosy.

W następnych latach odwiedzała nas nadal, zamieszkując u czekających na nią państwa „Chmielów". Ich dom stał w szeregu podobnych budynków górujących nad wsią, z widokiem na wiejski kościół i tzw. modrzewiową górę, na którą lubiła chodzić. Bracia Chmielewscy pamiętają Maryjkę do dziś. Tam, blisko kościoła, stała szkoła powszechna, do której chodziłam. Odwiedzałam Maryjkę. Wchodziłam do jej pokoju zawsze z pewnego rodzaju nabożeństwem. Stół był założony arkuszami papieru. Maryjka dużo pisała. Przeważnie były to opowiadania. Rodziła się też koncepcja wielkiej powieści. Podczas jednego ze wielu space-

rów rzekła do mnie: „Wiesz zdecydowałam się już na imię bohaterki – będzie to Agnisia". O Barbarze i Bogumile już nie mówiła. Te postacie były znane w rodzinie z dawnej napisanej powieści *Domowe progi*.

W 1931 roku wielkim echem odbiła się radosna wieść: ukazał się I tom powieści Maryjki *Noce i dnie*. Jaka szkoda, mówiliśmy, że rodzice nie doczekali triumfu swojej najstarszej córki. Nie doczekał też Marian. On wątpił, że jego żona napisze powieść, a już zupełnie nie wierzył, że kiedyś będzie mogła utrzymać się z literatury. W tym samym roku ojciec mój opuścił majątek Płonne, ponieważ młody dziedzic ukończył studia i zajął się jego prowadzeniem. Ojciec administrował teraz dobrami Dominów niedaleko Lublina. Był to majątek doktora z Warszawy, który kupił go dla syna, studenta SGGW.

W 1933 r., po zdaniu matury, pojechałam do rodziców i wstąpiłam na KUL na klasykę, bo tak mi poradziła moja pani profesor od łaciny. Mieszkałam u ciotki, krewnej mojej mamy, która w *Nocach i dniach* jest córką pięknej Teresy i nazywa się Oktawia. W rzeczywistości Stella. Co sobotę udawałam się albo końmi, jeśli ojciec przysłał, albo pieszo do Dominowa. Przyjeżdżała tam też Maryjka. Było bardzo wesoło. Młody właściciel miał dwie siostry i braci. Bywali oni często w Dominowie. Chodziliśmy wtedy na spacery. Maryjka lubiła nam towarzyszyć. Dominów nie był podobny do Płonnego, ale też ładnie położony. Był duży park i rozległe łąki. Ciocia stawała się już znaną postacią. Z wielką radością przeczytaliśmy w prasie o przyznaniu jej w 1934 r. Państwowej Nagrody Literackiej.

W tymże roku skończył studia na SGGW syn doktora i objął majątek. Ojciec mój był bardzo dobrym rolnikiem, mającym poważne osiągnięcia. Dlatego też Maryjka nie wstydziła się go zaprotegować. Miała w Banku Rolnym w Warszawie serdecznego przyjaciela, pana Leonarda Tura. Przez niego to wyrobiła ojcu administrację majątku Raczyn koło Dubna. Przemiłe, czyściutkie miasteczko Dubno z drewnianymi chodnikami, z piękną cerkwią, a także kościołem pozostanie na zawsze w mojej pamięci. O 6-tej rano już rozlegały się dzwony, a my wędrowałyśmy z matką pieszo, bo to było tylko 2 km od Raczyna.

Odtąd do śmierci już mój ojciec nie rozstał się z Bankiem Rolnym administrując kolejno różnymi majątkami. Ja zostałam w Lublinie. Przejeżdżając przez Warszawę wstępowałam zawsze do Maryjki. W jadalni czekała już na mnie herbata w imbryku przykrytym kołderką z wełny, żeby nie ostygła. Czekał na mnie też uroczysty nastrój pełen majestatycznej ciszy. Z półek zdawały się przemawiać liczne książki, które już od mego wczesnego dzieciństwa napełniały mnie jakimś nabożnym niemal kultem.

Witali mnie serdecznie, ona mała, dziewczęca, pogodna oraz pan Stanisław – wysoki, dostojny, piękny, tak różny od Mariana. Sam pisał książki, tłumaczył i wspierał jej talent swoją radą. Był pierwszym recenzentem jej utworów. Taki mądry, a jednocześnie tak bardzo prosty i niesłychanie serdeczny, nazywany był przez jej siostrzenicę i bratanków Stasiulkiem. Ta atmosfera ich mieszkania, gdzie przez wiele lat jeszcze na drzwiach wejściowych wisiała mosiężna tabliczka z napisem Maria i Marian Dąbrowscy, pozostała dla mnie niezapomniana.

Ojciec mój kierował teraz majątkiem Morsk na linii Grudziądz Świecie. Wtedy też do Grudziądza został przeniesiony mój wujek, najmłodszy brat matki, rotmistrz WP Bogumił. Radość była niesłychana, bo odwiedzał nas często przyjeżdżając motorem. Dzieci zaś jego, wtedy kilkuletnie, przyjeżdżały autobusem. Maryjka przyjeżdżała do Morska prawie co roku w lecie albo sama, albo z panem Stanisławem. Chodziła po polach pilnie obserwując pracujących ludzi i ich obyczaje, notując piosenki.

Z Morska wyjechaliśmy do Niszczewic koło Inowrocławia (też dóbr Banku Rolnego). W kilka miesięcy po naszym przybyciu, w 1939 r. zasko-

czyła nas wojna. Kontakt z ciocią na razie się urwał. Dowiedzieliśmy się później, że przebywała wtedy wraz z panem Stanisławem u jego syna, Huberta Stempowskiego w Łucku. Stamtąd po różnych perypetiach, m.in. pobycie we Lwowie i Białymstoku, w roku 1940 dotarli do Warszawy. W swoim mieszkaniu na Polnej 40, w tym samym, które tak dobrze znałam i lubiłam, zastałam siostrę Jadwigę Szumską i bratową – żonę Bogumiła Łucję Szumską z dwojgiem dzieci. Wkrótce do Warszawy dobiliśmy i my, tzn. ja z rodzicami. Musieliśmy opuścić Niszczewice, gdzie rządy objął niemiecki pełnomocnik. Zamieszkaliśmy u siostry mego ojca, która miała willę na Mokotowie. Z rodziną matki kontaktowaliśmy się często. Maryjka wówczas wyrobiła mi pracę w bibliotece na Chmielnej, ponieważ w czerwcu 1939 r. skończyłam w Warszawie roczną Szkołę Bibliotekarską. Na Chmielnej pracowałam zawsze po południu. Wracałam dopiero wieczorem. Ciocia otaczała czułą opieką dzieci swego rodzeństwa.

Pamiętam, jak starała się uratować od wywiezienia na roboty 15-letniego bratanka – syna brata Stanisława z Żyrardowa. Wprawdzie te starania nic przyniosły pożądanego skutku, ale chłopcu udało się potem z tych robót uciec. Maryjce za te starania był wdzięczny całe życie. Fakt ten został wykorzystany w powieści Maryjki pt. *Przygody człowieka myślącego*. Nadmienię, że w tej powieści sama autorka wcieliła się w dwie postacie: Ewy Radgoskiej i Józefa Tomyskiego. W tych czasach śmierć zabrała mego wuja Stanisława, który był nauczycielem w Mariampolu pod Żyrardowem. Zmarł na tężec. W 1942 r., kiedy my, tzn. ja z rodzicami, przenieśliśmy się do majątku Banku Rolnego Wola Osowińska, Maryjka ciężko zachorowała na nerki. Leżała w klinice Ministerstwa Oświaty. Byliśmy pewni, że umrze. Nie sądzone jej było. Bomba padła na budynek tej kliniki do sąsiedniej sali.

Dużo wtedy zrobiła dla rodziny swego brata Bogumiła, który jako oficer był w Anglii, gdzie służył w broni zmotoryzowanej u gen. Maczka. Żona jego z dziećmi przebywała cały czas w mieszkaniu Maryjki. Ona sama po powrocie z kliniki odwiedziła nas w Woli Osowińskiej koło Łukowa. Zapamiętałam dwa wydarzenia: raz w ciągu nocy wybuchł pożar budynku gospodarczego znajdującego się naprzeciwko naszego domku. Maryjkę obudzono pierwszą, bowiem spała w pokoju od strony drogi. Pamiętam, jak pobudziwszy nas pobiegła razem z nami na ratunek. Dźwigała wiadra wody gasząc wraz z innymi.

Raz, gdy wracała z Radzynia Podlaskiego, wieś u wjazdu otoczyli partyzanci. Przestraszyła się i rozrzewniła zarazem. Chłopcy dowiedziawszy się, kim jest, zasalutowali i wskazali wolną drogę. Przyjechała bardzo wzruszona i zatroskana o nich, żeby nie nadjechali Niemcy. Powstanie warszawskie przeżyli wraz panem Stanisławem w Warszawie. O tym koszmarze dowiedzieliśmy się dopiero później. Zaniepokojeni o Maryjkę i resztę rodziny otrzymaliśmy nagle list od naszej kuzynki Elżbiety Barszczewskiej, aktorki, stryjecznej siostrzenicy Maryjki, donoszący o śmierci mojej ciotki Jadwigi. Zginęła jako łączniczka w powstaniu. Opłakaliśmy ją, a jednocześnie uspokoiliśmy się co do Maryjki. Pomimo strasznych chwil oboje z p. Stanisławem ocaleli.

W 1945 r. wróciliśmy w Poznańskie, gdzie mój ojciec objął administrację majątku Piaski koło Grodziska Wielkopolskiego. W 1948 r. zawitała tam Maryjka. Jechała na Ziemie Odzyskane do Gryfina na spotkanie autorskie. Do ziem tych żywiła szczególny sentyment. Twierdziła, że należy na nich zaszczepić i umocować polskość.

W 1949 r. i nasza rodzina znalazła się na tych ziemiach. Ojciec został przeniesiony do instytucji macierzystej – Bank Rolny Oddział w Choszcznie. Ja pracując w szkole podstawowej w Kobylnikach koło Piasek na własną prośbę otrzymałam przeniesienie służbowe do Bytowa (wówczas województwo szczecińskie) i urlopowania ze szkoły na stanowisko kierowniczki Bib-

Maria Dąbrowska z siostrami Jadwigą i Haliną oraz bratem Bogumiłem.

lioteki Powiatowej. Z Maryjką korespondowałam często. Wyrażała w listach zadowolenie, że pracuję na Ziemiach Odzyskanych i zgodnie ze swoim zawodem. „Nigdzie bardziej, jak właśnie tam – pisała w jednym z listów – wkład pracy polskiej inteligencji jest nieodzowny". W 1951 r., gdy już pracowałam w Choszcznie w Bibliotece Powiatowej, odwiedziłam Maryjkę w Warszawie, kiedy pojechałam służbowo po rowery dla biblioteki. Wtedy ostatni raz widziałam się z panem Stanisławem. Nie czuł się dobrze, ale jak zwykle nadrabiał miną. Był pogodny. Maryjka dużo pracowała społecznie i była pochłonięta pracą twórczą. Oprócz opowiadań przygotowywała szereg artykułów do czasopism.

W 1952 roku dotarła do nas wiadomość o śmierci pana Stanisława. Ostatnio stan jego jak gdyby się poprawił, co uspokoiło nieco Maryjkę. Aż tu przyszedł nagły zgon. Zmarł, podobnie jak niegdyś Marian, na serce.

Ta śmierć również ją załamała. Straciła przyjaciela, pomocnika, recenzenta, doradcę, który przez przeszło 20 lat towarzyszył jej w doli i niedoli. Razem przeżyli wojnę i powstanie. Teraz zaopiekowała się nią przyjaciółka poznana we Lwowie w 1939 r. – Anna Kowalska, pisarka zamieszkała wówczas we Wrocławiu, gdzie jej mąż Jerzy był profesorem uniwersytetu. Anna świeżo owdowiała.

W 1954 r. Maryjka odwiedziła Choszczno. Była tu około 2 tygodni. Obserwowała życie naszego miasteczka. Chodziła do Prezydium Miejskiej i Powiatowej Rady Narodowej. Prowadziła rozmowy z przewodniczącymi i pracownikami. Rozmawiała także z niektórymi mieszkańcami i ze znajomymi moich rodziców. Zachwycały ją w niektórych ogrodach piękne egzotyczne krzewy poniemieckie, m.in. odkryła chiński bez. Uwielbiała samotne spacery pod Miejską Górą, gdzie napawała się ulubionym od dzieciństwa gwizdem kosów. Rozrzewniała się codziennie, słysząc jak na ulicy Mickiewicza pastuch trąbił na rogu nawołując posiadaczy krów do ich wypędzania, by mógł je pognać na wspólne pastwisko. Odbyła też w naszej bibliotece, znajdującej się wówczas przy ul. Chrobrego, spotkanie z czytelnikami. Wielu z tych, którzy jej wówczas słuchali, zajmuje dziś wysokie i odpowiedzialne stanowiska. Stąd odjechała do Szczecina, gdzie biblioteka wojewódzka zaprosiła ją na zakończenie konkursu czytelników wiejskich. W tym konkursie brały udział wszystkie biblioteki gminne pod egidą bibliotek powiatowych. Przyjechał po nią wizytator ze Szczecina pan Karakulski. Miałam przyjemność towarzyszyć jej w drodze. Tam opowiadała o swej twórczości. Odpowiadała także na pytania zgromadzonych konkursowiczów. Interesowała ją poczytność jej utworów na wsi. Przyjmowana była z wielkim entuzjazmem. Cieszyła się z nagrody, którą ja otrzymałam za upowszechnienie i organizowanie tego konkursu.

W 1957 r. byłam w Warszawie u Maryjki już w nowym mieszkaniu przy ul. Niepodległości 163. Mieszkanie to zajmowała wspólnie z panią Anną Kowalską i jej córką Tulcią. Maryjka wtedy kupiła zrujnowaną willę w Komorowie i zaczęła ją odbudowywać. Pochłonęło to wiele funduszu i kosztowało dużo zdrowia. Mówiła wtedy do mnie, że czyni to głównie dla Tulci, którą pokochała jak własne dziecko, a której jest potrzebne powietrze i ogród. W Komorowie zamieszkały razem z Anną i Tulcią. Maryjka przebywała w Komorowie stale, z małymi przerwami na Warszawę, a pani Anna z Tulcią częściej w Warszawie, gdzie Tulcia uczęszczała do szkoły. Oczywiście każde wakacje i święta spędzały w Komorowie. Maryjka w tym czasie kupiła sobie samochód. Woził ją przeważnie bratanek, syn Bogumiła, Jerzy Szumski. Umiała też prowadzić wóz w razie nieobecności Jurka znajoma panienka Hania.

W 1960 r. WiMBP w Szczecinie skierowała mnie na kurs dla kierowników bibliotek powiatowych i powiatowych domów kultury do Warszawy. Odwiedzałam wtedy Maryjkę w Komorowie. Willa była ładna, pokoje jasne, przemiłe. Ogród tonął w najpiękniejszych różach, jej ulubionych kwiatach. Do dziś pamiętam jej drobną postać z wężem do podlewania w ręku wśród powodzi tych królewskich kwiatów. Zjawił się też nowy towarzysz, pies Dyluś z łatką w kształcie serduszka na jednym boku. Tulcia go wzięła ze schroniska dla psów w Komorowie, a potem chciała zamienić na dużego wilczura. Maryjka go zatrzymała i bardzo przywiązała się do niego. Był jej najwierniejszym towarzyszem aż do śmierci. W Komorowie było bardzo wesoło i wiosennie, ale jedna ciemna chmurka zawisła nad pogodnym nastrojem – zdrowie Maryjki zaczęło się pogarszać. Przebywała wtedy w swym ukochanym Komorowie z częstymi przerwami na pobyt w klinice w Warszawie. Mimo to dużo pracowała nad swymi utworami i to przeważnie nocą. Dużo sił pochłonęła jej nowa, zamierzona na wielką epopeję międzywojenną i wojenną, powieść pt. *Przygody człowieka myślącego*, której niestety nie zdążyła już zakończyć. Zrobiły to pani Korzeniewska, opracowująca jej utwory, i pani Anna Kowalska, jej przyjaciółka – również pisarka.

Maryjka interesowała się żywo budową naszej nowej biblioteki w Choszcznie. Dużo ze mną na ten temat rozmawiała w czasie naszych spotkań. Niestety, zły stan zdrowia i liczne przy tym zajęcia nie pozwoliły jej przybyć na otwarcie, na które była zaproszona, ani potem. W 1963 r. zmarł mój ojciec. Nadwątlone siły były przeszkodą w przybyciu Maryjki na pogrzeb. Zwłaszcza, że śmierć nastąpiła 1 lutego, w czasie szczególnie ostrej zimy zwanej „zimą stulecia". Przysłała telegram, którego treść nas rozrzewniła: „Helu, Danusiu łączę się z Wami w żalu po śmierci Stacha. Maryjka". Było to dla nas szczególnie rozrzewniające, tym bardziej że sama czuła się coraz gorzej. Ona bardzo ceniła rolę męża w rodzinie. Od dziecka pamiętała swego ojca, ducha opiekuńczego domu, którego rola była tak wielka, że moja babcia, jakkolwiek sama wykształcona i rozumna, nic nie zwykła była czynić bez porozumienia się z mężem i zasięgnięcia jego porady. Po jego śmierci czuła się opuszczona i tak bardzo tych jego rad pozbawiona. Stawała nieraz, jak gdyby już krok zrobiwszy w kierunku do jego pokoju z myślą „trzeba się poradzić Józefa", nagle oświecona bolesną świadomością, że przecież jego już nie ma. Wiernie przedstawiała to Maryjka w *Nocach i dniach*. I tam Barbara stojąc przed jednym z problemów życiowych chce się poradzić

Bogumiła i przypomina sobie, że nic jej już nie poradzi. Sama też głęboko odczuwała odejście swych najwierniejszych przyjaciół – najpierw Mariana, potem Stanisława.

Śmierć Maryjki w 1965 r. napełniła nas głębokim bólem. Miała 76 lat. Przed śmiercią śnił jej się rodzinny dom w Rusowie i całe dzieciństwo. A więź rodzinna była u nich, zwłaszcza za życia ojca, silna. Przed śmiercią straciła troje rodzeństwa. W 1942 r. brata Stanisława, byłego oficera, a później nauczyciela wiejskiego i właściciela gospodarstwa koło Żyrardowa. W 1944 r. zmarła, ranna w powstaniu warszawskim, siostra Jadwiga, profesor gimnazjum w Białymstoku, a w czasie wojny żołnierz AK, uczestniczka powstania, zaś w 1957 zmarł najmłodszy brat Bogumił. Wszystkie te straty boleśnie przeżyła, a osieroconym rodzinom do końca życia pomagała. Pozostała ona i młodsza siostra Helena, moja matka. Były najstarsze po śmierci dwóch małych braciszków: Adasia zm. w wieku 3 miesięcy i Janka, zmarłego na dyfteryt w wieku 4 lat. Razem moja babcia urodziła siedmioro dzieci. Maryjka o mojej matce i o całej naszej nielicznej rodzinie pamiętała do końca swego życia. Siostry korespondowały ze sobą i od czasu do czasu spotykały się. Pamiętała też o swoich chrześniaczkach, o mnie i córce Bogumiła, a także o swoich chrześniakach, których miała na wsiach i w miastach. Po jednym z licznych pobytów w szpitalu, 18 maja 1965 r. stan Maryjki trochę się poprawił po transfuzji krwi. Wstała, poszła się wykąpać. Potem poprosiła p. Annę, która ją odwiedzała, żeby wysłała Heli 1000 zł, bo 22 maja są imieniny, a sama zaraz zabiera się do pisania listu. Listu tego już nie pisała. Nastąpiło nagłe pogorszenie, a wieczorem 19 maja, kiedy świat spowiły ciężkie chmury i rozległy się grzmoty, zgasło pracowite Maryjczyne życie.

Po rannej wiadomości radiowej przyszedł telegram od moich kuzynów, dzieci Bogumiła, zawiadamiający nas o tym ciosie. Matka moja nie cieszyła się najlepszym zdrowiem, ale na pogrzeb pojechałyśmy. Trumna ze zwłokami była wystawiona w pałacu biskupim. Wartę trzymali przedstawiciele partii i rządu oraz Ministerstwa Kultury i koledzy literaci. Odbyło się bardzo uroczyste nabożeństwo w katedrze św. Jana. Cudownie śpiewał chór kleryków. Pogrzeb zorganizowali Gabriela Lipska z domu Szumska i jej brat Jerzy Szumski, dzieci Bogumiła. Ksiądz w bardzo pięknym kazaniu podkreślił jej zasługi dla potomnych i jej głębokie ukochanie i zrozumienie człowieka. Na Powązkach nad grobem przemawiali prof. Łempicki i Jarosław Iwaszkiewicz. Po śmierci Maryjki moja matka utrzymywała kontakt i prowadziła korespondencję z panią Ewą Korzeniowską, opracowującą twórczość zmarłej, i z panią Anną Kowalską.

W marcu 1969 r. zmarła pani Anna, która już za życia Maryjki była chora na raka. Matka opłakała boleśnie jej śmierć. Po śmierci siostry ją uważała za najbliższą. Pani Anna w listach informowała ją o postępach w pracach nad porządkowaniem dokumentów i opracowywaniem utworów zmarłej. W październiku 1965 r. gościła ją w mieszkaniu przy ul. Niepodległości w dawnym pokoju Maryjki, który jeszcze był tak urządzony, jak za jej życia. W tym samym roku 1969, w kilka miesięcy po Annie, śmierć zabrała 16 listopada moja matkę – ostatnią z rodzeństwa Marii Dąbrowskiej.

Danuta Kelch

podróże

WOJCIECH ZALEWSKI

Afryka Zachodnia – rozważania pątnika

W okresie 18 lutego – 15 marca 2001 roku zwiedziłem Wybrzeże Kości Słoniowej, Mali, Ghanę, Togo i Benin. Poniższe rozważania są próbą zarysowania kilku wrażeń z podróży i spotkań. Piszę te słowa w „epoce" książki R. Kapuścińskiego pt. *Heban*. Książka Kapuścińskiego, trafnie ukazująca trudną do pokonania barierę psychokulturową dzielącą Czarnych od Białych, otwiera szeroko drzwi uchylone Sienkiewiczowskimi *Listami z Afryki* sprzed wieku. Chodziłem nieco innymi drogami niż autor *Hebanu* i obracałem się w innym gronie osób. Mam nadzieję, iż w tej właśnie „epoce" dodatkowe spojrzenie na bogaty kulturowo kontynent nie jest tylko uzupełnieniem *Hebanu*, lecz rekonstrukcją mojego własnego, nowego spotkania z człowiekiem Afryki.

Myśli spotkanych Afrykanów: bardzo istotną rzeczą jest radość życia, stąd praca nie ma celu sama w sobie; życie przepełnione jest jakąś obawą; Afryka nie ma ateistów; Afryka nie zna pojęcia przebaczenia.

Radość życia

Afryka Zachodnia od pierwszego momentu po wyjściu z samolotu sprawia wrażenie chaosu. Jacyś ludzie, a wydaje się ich być bez liku, ubiegają jedni drugich w próbach narzucenia swojej pomocy przy bagażu, w załatwianiu formalności paszportowych i celnych, jakby ich nie można było załatwić normalnie. Podobnie zresztą jest na przejazdowych granicach międzypaństwowych, gdzie łatwo stracić orientację, co gdzie się załatwia, a rzesza mężczyzn podbiega do samochodu oferując pomoc. Przewalająca się masa ludzi, samochodów i autobusów jest całkowicie dezorientująca. Oczywiście, każdy oczekuje wynagrodzenia.

Ten wszędobylski chaos ma oblicze ludzkie. „Mon ami" zwraca się nasz szofer do przechodnia pytając o kierunek, „chef" mówi do policjanta, który na drogach co kilkadziesiąt kilometrów sprawdza dokumenty lub prosi o łapówkę. „Sa va", „bon", „merci", „s'il vous plait", „bon voyage" i uśmiechy towarzyszą rozmowom lub gestom. Ludzie okazują sobie pomoc, są życzliwi, pozytywnie nastawieni do innych. Bezpośredni stosunek między przypadkowo spotykającymi się ludźmi robi wrażenie długoletniej przyjaźni. Lecz *kwesi bluni*, jak mówili siedzący na progach swych lepianek ludzie

szczepu Fanti w południowej Ghanie, gdy przejeżdżaliśmy przez ich odległą od głównych dróg wioskę, jest przybyszem z innego świata, zakłóca krajobraz i dlatego też stąpa po tej ziemi niepewnie wystawiony na nieznane, raczej drobne przestępstwo, oszustwo, może nawet gwałt. Tubylczy przewodnik czy towarzysz jest niejako gwarantem bezpieczeństwa dla turysty.

Od wieków styl życia podyktowany był przez środowisko. Dzień, którego długość w pobliżu równika jest mniej więcej stała, od 6-tej rano do 6-tej wieczór oraz upał nadają specyficzny rytm życiu, jakby rytm kołyszących się bioder kobiety idącej powolnym, zdecydowanym krokiem, niosącej na głowie dzban z życiodajną wodą i niemowlę w chuście na plecach, nieraz kilka kilometrów, codziennie, bez końca, niemal od dzieciństwa i prawie do śmierci. Wokół niej gromadzą się dzieci pełne życia, a jej pierś karmi nie tylko własne dzieci lecz bywa, że i cudze. (Nie widziałem dzieci wokół mężczyzny.) Harmonia barwnych szat zarysowuje jej sylwetkę na szaro-różowej suchej ziemi, od której bezpośrednio zależy życie. Okresowy deszcz przynosi owoc ziemi, jego brak niesie głód. Ten deszcz wymywa ściany glinianych lepianek – domostw, więc trzeba je corocznie odświeżać nową okładziną z gliny.

Rytm konieczności, powtarzalnych życiowych czynności i zadań wyzwala z pośpiechu, docelowości, ostatecznych terminów do wykonania. Te są naturalne, w jedności z odwiecznym zegarem wszechświata. Rytm schematu społecznego, w który należy się wpasować, by móc funkcjonować w niewielkiej, lecz w pełni zdanej na siebie grupie społecznej, wyznacza czas tych ludzi. Rytmiczność bębnów i grzechotek z owocu baobabu towarzyszących ważniejszym wydarzeniom i okazjom przenika system nerwowy, wcielając ducha wspólnoty w zsynchronizowane ruchy ciał. Radosna spójnia człowieka z naturą nie zna wymagań tempa stechnologizowanego świata. Tu informacja zawodzi: wywieszony w banku kurs waluty nie odpowiada aktualnej wymianie, opóźnione lub odwołane bez uprzedzenia autobusy i loty, brak nazw ulic dezorientują i nie ułatwiają ruchu turystycznego, na co utyskują biznesmeni. Lecz tubylcy znają swoją przestrzeń i czas. Pozytywna relacja między ludźmi przenosi się w sferę tolerancji religijnej. Na przykład, mimo iż katolicy w Mali stanowią tylko około 1,5% ludności, pogrzeb katolickiego arcybiskupa Bamako odbył się na koszt skarbu państwa. Urzędnicy państwowi – muzułmanie wynajmują katolickie sale konferencyjne, a katolicki biskup zatrudnia muzułmanów. Czy są to zjawiska zrozumiałe dla człowieka z zewnątrz? Czy można przebrnąć przez te formy i dotrzeć do ich treści lub choćby je uogólnić?

Obawa

Kwesi bluni bez trudu wykorzystał tu dawno wypróbowaną metodę „divide et impera", budując handel niewolnikami na międzyszczepowych animozjach: brat zaczął sprzedawać brata. W muzeum niewolnictwa w Ouidah (Benin) zobaczyć można obraz „ucywilizowanego" Europejczyka, poganiającego batem zakutych w kajdany „nieucywilizowanych" hebanowych niewolników. W twierdzy w Elmina (Ghana) z balkonu wychodzącego na plac otoczony lochami dla niewolników, ucywilizowany chrześcijanin wywoływał z nich kobiety i przed zgwałceniem kazał je myć. Jeśli zaszły w ciążę, pozwalał matce na zatrzymanie dziecka, stąd do dziś można natknąć się w okolicy na chrześcijańskie nazwiska. Naprzeciw balkonu była kaplica, z cytatem z psalmu 132, 13: „Pan bowiem wybrał Syjon, tej siedziby zapragnął dla siebie" prowadzona przez księży katolickich. Nieposłuszni niewolnicy byli karani śmiercią głodową. W tych i innych twierdzach, zapoznać się można ze sposobami „pakowania" niewolników na statki: mężczyzn twarzą w dół, by łatwiej było ich kontrolować i bić, kobiety twarzą do góry, gdyż tak łatwiej było je gwałcić. Przez „bramy bez powrotu", zdaniem przewodnika, przeszło podobno około 12 milionów ludzi.

Gorycz wywołana wieloletnim niszczeniem godności ludzkiej pozostała w tubylcach. Lecz nie o ból chodzi, ten w stosunkach ludzkich jest zjawiskiem normalnym i powszechnym. *Kwesi bluni* zakłócił i zakłóca struktury społeczne, kulturowe, ekonomiczne, polityczne, a także ekologiczne. Pomijając eksploatację ekonomiczną czasów niewolnictwa, arbitralne rozbiory Afryki Zachodniej przez Europejczyków kilkakrotnie przecinały politycznymi granicami etniczne więzy. Rozbiorcy nie inwestowali, rozbiorcy kradli. Niezależność polityczna od lat 60. zastała te kraje bez kapitału, zaplecza ekonomicznego i społecznego, bez szkół, zwłaszcza wyższych, bez bibliotek oraz potencjału intelektualnego i dyplomatycznego. Tak więc, w znacznej mierze pozostają nadal w zależności od eksploatującego je kapitału poprzednich władców. Kolonizacyjny spadek przekłada się na język bezrobocia i korupcji, czyli na poniżający obraz „wyciągniętej ręki".

Wyciągnięta ręka

Obraz ten nie ogranicza się tylko do ręki dziecka proszącego o „cadeau", policjanta proszącego o pieniądze, stróża parku wyrywającego na ulicy aparat fotograficzny pod pozorem zakazu fotografowania i domagającego się zapłaty za pozwolenie, czy chłopaka przedstawiającego receptę z prośbą o pieniądze na zakup lekarstw. Są jednak poważniejsze formy „żebractwa". Istnieje bieda przeludnionych szkół, w których pensje nauczycielskie są groszowe lub niewypłacane przez szereg miesięcy. Istnieje tragedia państwowego uniwersytetu w Abidżanie o 2 tysiącach studentów, którego dwieściepięćdziesięciotysięczna, nieskomputeryzowana biblioteka, obsługiwana jest przez dwóch zawodowych bibliotekarzy (dyrektor biblioteki jest profesorem uniwersytetu a nie bibliotekarzem), ma pieniądze na zakup 20 regularnych periodyków, a przedmiotowy katalog ukazuje niewiele publikacji z lat 1990. Biblioteka nie otrzymuje nawet wydawnictw rządowych.

Problemu blisko 70% stopy analfabetyzmu nie rozwiązują nieliczne szkoły chrześcijańskie, żyjące z „wyciągniętej ręki" zachodnich ofiarodawców, gdyż większość rządów jest wobec ich pracy obojętna. Działalność ośrodka społeczno-edukacyjnego w diecezji Mopti (Mali) opiera się na skromnej pomocy finansowej z Watykanu oraz na własnej hodowli zwierząt domowych, owoców i wynajmu budynków. Lecz na prośby o pomoc finansową dla szkół katolickich w Lome (Togo) watykańska Kongregacja dla Spraw Krzewienia Wiary nie odpowiada. Aczkolwiek administratorami diecezji i parafii są tubylcy, większość katolickich wychowawców jest z Europy, Ameryki Południowej i z Indonezji. Spotkani przeze mnie Afrykanie z doktoratami zdobyli swoje stopnie naukowe na stypendiach europejskich i amerykańskich. Nawiasem dodam, iż prezydent Mali, dr Alpha Oumar Konare, archeolog z dyplomem Uniwersytetu Warszawskiego (podobnie jak jego żona), mahometanin, jest uważany za najwybitniejszego przywódcę krajów Afryki Zachodniej. Niestety, instytucje muzułmańskie prowadzą wyłącznie szkoły Koranu nie zajmując się inną pracą edukacyjno-społeczną, mimo iż islam obejmuje około 40% społeczeństwa. Ponieważ nie ma żadnych ubezpieczeń społecznych, jedynym ubezpieczeniem jest ilość dzieci w rodzinie. Międzynarodowe organizacje religijne i świeckie prowadzą ośrodki poradnicze dla kobiet, tanie lub bezpłatne apteki i pełnią inne usługi społeczne.

Miasto

Miasto jest symbolem dynamizmu, przemian społecznych, przytułkiem dla nieporadnych i dżunglą dla śmiałych. Ponieważ tu zlewają się siły, zwyczaje i nędze społeczne, przedstawienie obrazu mieszczaństwa jest trudne. Do stolic powoli dociera współczesna architektura. Abidżan ma nawet eleganckie przedmieście. Lecz w śródmieściu Bamako, stolicy Mali, ścieki sa-

nitarne płyną wzdłuż ulicy. Większa część stolicy oraz wszystkie inne miasta odwiedzone przeze mnie mają piaszczyste w suszy a błotniste w deszczu ulice zatłoczone budami, sklepikami i lepiankami. Przewalają się przez nie tłumy wśród spalinowego smrodu, hałasu, zwłaszcza motocykli, i kurzu. Wydaje się jednak, że poza fasadą lepianek kryje się jeszcze wiejski styl życia.

Wieś

Czym jest afrykańska wieś, w której mieszka większość ludności? Turysta, który może zaobserwować tylko nieliczne jej przykłady, nie może wejść do jej duszy, lecz może wstydliwie zajrzeć przez jej podwoje.

Wieś, położona wzdłuż szos, po których poruszaliśmy się, wydaje się być chaotycznym konglomeratem lepianek, służących jedynie do ucieczki przed żarem i nocnego spoczynku. Panują tu „otwarte drzwi" ze wstępem kiedykolwiek, dla każdego, zwłaszcza dla dzieci, będących jakby wspólną własnością. Nierzadko się ponoć zdarza, że kobieta karmi piersią nie tylko swoje lecz i cudze dzieci. Tym niemniej okrąglaki spichlerzy stojące obok domu, z małymi drzwiami umieszczonymi dwa metry ponad ziemią, są szczelnie zamknięte, gdyż nawet w tych zwartych społecznościach kradzież żywności, zwłaszcza w okresie nieurodzaju, jest spotykana.

W północnej części Mali, domy przypominają budowle egipskie: otoczony murem podwórzec zamyka w sobie kilkupokojowe pomieszczenia w zależności od wielopokoleniowości rodziny. Kuchnia, a właściwie palenisko, bywa na zewnątrz domu. Urządzenia higieniczne w obrębie zabudowania mają swoje wydzielone miejsce. Mimo poczucia intymności, jakie sprawia mur bez wychodzących na zewnątrz okien, brama jest na oścież otwarta, a sąsiedzi i przyjaciele są wszędobylscy. Podobny mur zresztą, z oknami do wewnątrz, mają marokański i wczesnoafrykański styl Sahel, w których zbudowane jest średniowieczne, ongiś bogate miasteczko Djenne.

Unikalnym zjawiskiem w Mali jest pasmo podgórskich domów Dogonów. Kilkanaście wsi na skarpie stoi od tysiąca lat, gdy Dogonowie wypędzili stąd pigmejski szczep Telemów. Wzgórze jest gęsto zabudowane czworokątnymi, jednopomieszczeniowymi domami, obok których stoi okrągły spichlerz. Labirynt ciasnych, kamienistych, pnących się pod górę przejść znają tylko ich mieszkańcy. U podnóża góry są pola uprawne, które również służą potrzebom higienicznym, gdyż odpowiednich urządzeń wieś nie ma. Na stosunkowo małej przestrzeni jednej ze wsi, Tireli, mieszka 1600 osób. Ponad wioskami, wysoko w skałach są jaskinie (z wejściem po linach), dawne siedziby Telemów, służące Dogonom za cmentarzysko. Od tysiąca lat więc przodkowie patronują z góry swoim następcom.

Wioska Biancouma, szczepu Yacouba, leży w północno-wschodniej części Wybrzeża Kości Słoniowej. Droga dzieli współczesną muzułmańską wieś od wsi tradycyjnej, jakby zastygłej w średniowieczu. Każda rodzinna grupa posiada własne miejsce kultu, okrągłą świątynkę oznaczoną dla odróżnienia od otaczających ją domostw drzewkiem Youba. Kobiety i mężczyźni mają osobne chaty. Mężczyzna jest zobowiązany zapewnić każdej żonie chatkę. Tak potencjał „nieruchomościowy" określa możliwości matrymonialne w tym poligamicznym społeczeństwie.

Religia

W społeczności tradycyjnej, jaką zasadniczo jest wieś afrykańska, schematy społeczne różnią się od szczepu do szczepu jak ich języki, mity i nazwy bogów. Ogromne przestrzenie, zwłaszcza dla bosonogiego wieśniaka, który znajduje się na niepewnym i obcym gruncie po przejściu kilkunastu kilometrów, wytworzyły przez wieki kulturową mozaikę. Pomiędzy stylem

życia a religią istnieje symbioza. Religia nie jest teoretycznym abstraktem, dogmatem, lecz konkretem dnia codziennego gdzie wierzenia, zwyczaje, odwaga życiowa i strach, struktura grupy i rodziny są ściśle ze sobą powiązane. Postawy, tak indywidualne jak i społeczne, projekcja przeżycia otaczającej rzeczywistości, przybierają charakter religijny i jawią się w formie ukonkretyzowanych duchów. Afrykanin ma duchową relację ze światem. Ten bliżej nieokreślony czynnik – „duch" ma pozytywny lub negatywny wpływ na jego życie. Jest jeden Bóg, Stwórca, na ogół współdziałający w akcie stworzenia z elementem żeńskim, na przykład z ziemią. Bóg jednak jest oddalony, niedostępny. Nie jest On duchem lecz Najwyższą Siłą. Kontakt z Nim wymaga pośredników. Na przykład w szczepie Guere, Wybrzeże Kości Słoniowej, droga do Boga – Gnonswa (etymologicznie: źródło człowieka), wiedzie poprzez duchy, przodków i „kapłana" – srassagnan. U Dogonów między człowiekiem a przodkami lub „nieznaną" rzeczywistością w ogóle pośredniczy Hogon – duchowy przewodnik, najstarszy człowiek we wsi. Różni wróżbici i fetysze mają również w przekonaniu ludzi powiązania ze światem pozamaterialnym i moc zabezpieczenia przed złem i kary za nie. Bogowie, a raczej emanacje Boga, są na wszelką okazję: wojny, pokoju i urodzaju. W nich personifikuje człowiek swoje emocjonalne przeżycia. Uzmysławiają ich tancerze w maskach występujący na tradycyjnych festiwalach, na przykład corocznym festiwalu w Man. Tak więc nie są to formy politeizmu, lecz konkretny stosunek do „nieznanego", od którego człowiek jest zależny, choć próbuje na to „nieznane" wywrzeć korzystny dla siebie wpływ.

Antropologia religii pierwotnych wyraża się na przykład w szczepie Guere, w troistości elementów „składowych" człowieka: ciała, wewnętrznej siły (*souhou*) i duszy – osobowości źródła człowieczeństwa odróżniającego go od zwierząt, które posiadają dwa pierwsze elementy. Człowiek umiera, gdy pozbawia się go *souhou*. Człowiek może mieć wspólne *souhou* ze zwierzęciem, tak iż śmierć zwierzęcia powoduje śmierć człowieka, który dzieli z nim *souhou*.

W społeczności nie opartej na dokumencie pisanym życie regulowane jest zwyczajem. Zwyczaje są ściśle zespolone z wierzeniami, motywowane nimi, a czynności człowieka mają swoje „nadprzyrodzone" zaplecze. Aczkolwiek wiele decyzji podejmowanych jest kolegialnie, szczepy mają swoje indywidualne świeckie i religijne autorytety. Niektóre szczepy Dan, w ważnych społecznie okolicznościach, odwołują się do Maski. Otacza ją mistycyzm i kult, gdyż niesie ona bożą siłę. Przez nią człowiek łączy się z niewidzialnym światem; zwraca się do niej tylko w poważnych sytuacjach wymagających interwencji bożej, takich jak susza, wojna lub choroba. Maska więc pełni poważną rolę w życiu szczepu i od jej decyzji nie ma odwołania. Wiara w skuteczność i siłę Maski przynosi oczekiwane rezultaty. Maska ma swoje mistyczne pochodzenie – nie jest zrobiona przez człowieka, lecz wierzy się, iż kobieta znalazła ją przypadkowo w lesie. (Mówiąc o mistycyzmie Maski powiedziano mi, iż były autentyczne wypadki, gdy fotografowanie Maski bez zezwolenia powodowało zepsucie się aparatu fotograficznego.)

We wszystkich wioskach jest miejsce święte, miejsce ofiar, miejsce ważnych wydarzeń społecznych. U wejścia do Tireli, stoi święty słup w formie męskiego członka, od wieków chroniący wioskę przed nieprzyjacielem. Tu składa się ofiary prosząc o błogosławieństwa. W centrum wsi jest Toguna, oparte na czterech kamiennych filarach zadaszenie z setki poziomów nałożonej słomy, a więc wysokie i widoczne. Miejsce to jest świętym symbolem jedności szczepu, daje siłę społeczną i autorytet. Tu i na placu przed nim odbywają się posiedzenia rady starców, ważne społecznie ceremonie jak inicjacje wprowadzające młodych do życia społeczności czy – co trzy lata – ceremonie wyzwalania duchów zmarłych z powiązania ich ze wsią, by mogły złączyć się ze swoimi przodkami. Tu też odbywają się rytualne tańce towa-

rzyszące wszystkim znaczącym dla życia okazjom, wyrażające radość życia, prośby o deszcz i dziękczynienia, np. za żniwa.

Społeczności są na ogół zamknięte pod względem zwyczaju, języka i religii. Mężczyźni, kobiety i dzieci mają swoje miejsce i zadania społeczne i rodzinne, a granice między nimi są stosunkowo ścisłe i nieprzekraczalne. Istnieje szereg formalnych postaw i zachowań funkcjonujących w szczepie. Konieczna jest więc kilkumiesięczna indoktrynacja młodzieży odbywająca się poza wioską i bez kontaktu z nią, w dżungli lub na sawannie. Tu, kwalifikowani starsi wprowadzają dojrzewającą młodzież w arkany życia, uczą tradycji, znajomości leczniczych ziół, odwagi, odporności na ból, samodzielności, obowiązków rodzinnych. Kończy się ona inicjacją dającą pełnoprawne uczestnictwo w życiu szczepu. Pogwałcenie zwyczajów wiąże się z poważnymi konsekwencjami społecznymi do ostracyzmu włącznie: rodzice odcinają się od dzieci, społeczność od swojego członka. Wejście do innego szczepu jest prawie niemożliwe, gdyż wymagałoby ono inicjacji w danym szczepie, a tego się w wieku dojrzałym już nie robi. Samotność bywa równoznaczna z wyrokiem śmierci. Oczywiście istnieją również mniej surowe formy ekspiacji, lecz zadośćuczynienie jest zawsze wymagane.

Kwestia ciągłości szczepu jest podstawowa, stąd płodność odgrywa ogromną rolę. Panuje wielożeństwo. Postronnemu trudno zapoznać się z tą intymną stroną życia szczepu. Jednym z wyrazów akcentowania seksualnej strony życia ludzkiego jest obrzezanie. Religijne uzasadnienie obrzezania wynika z wiary, iż człowiek rodzi się z podwójną duszą: męską i żeńską. Dusza żeńska u mężczyzn znajduje się w napletku, natomiast męska u kobiet w łechtaczce. By człowiek funkcjonował poprawnie w społeczeństwie, dusza żeńska u mężczyzny i męska u kobiety muszą być usunięte. Zatem obrzezanie w tradycyjnym społeczeństwie dotyczy tak kobiet jak i mężczyzn. Obrzezanie kobiet, mimo zakazu prawa, jest nadal stosunkowo powszechne. Pytając (mężczyznę) o uzasadnienie tej praktyki otrzymałem odpowiedź, iż podyktowane jest ono egoizmem męskim, gdyż obniżając próg wrażliwości seksualnej u kobiety zwiększa się prawdopodobieństwo jej małżeńskiej wierności. Istnieje znaczna presja społeczna, ponieważ mężczyźni nie chcą poślubiać nieobrzezanych kobiet. Niestety, stopień śmiertelności powodowany tym zabiegiem jest wysoki, nawet dochodzący do 10%, głównie na skutek niehigienicznych warunków, w jakich się go dokonuje, często rozbitym szkłem lub żyletką i oczywiście bez znieczulenia. Ściganie przestępstwa jest trudne, gdyż przyczyna śmierci jest ukrywana.

Obrzezanie mężczyzn, zależnie od szczepu, dokonywane jest w niemowlęctwie lub w okresie dojrzewania. To ostatnie odbywa się grupowo, ceremonialnie. We wsi Songo (Mali) pod obficie zdobioną symbolami jaskinią skalną odbywają się zbiorowe obrzezania okolicznej młodzieży. Nieobrzezany mężczyzna nie może być pełnoprawnym członkiem społeczeństwa i brać udziału w decyzjach szczepu. Wypracowane formalizmy związane z zawarciem małżeństwa również odzwierciedlają stosunek do życia. W zależności od szczepu obejmują one szereg stopni poczynając od pośredników i darów pomiędzy rodzicami przyszłych małżonków do ostatecznej zgody panny młodej, która wyraża ją milczeniem. O miłości nie mówi się otwarcie. Są i małżeństwa aranżowane wyłącznie przez rodziców jeszcze w niemowlęctwie lub przed dojrzewaniem dzieci. Podobnie ważną rolę odgrywa obecność na pogrzebie osób związanych ze zmarłym. Pogwałcenie tego zwyczaju prowadzi do poważnych konfliktów pomiędzy rodzinami.

Przebaczenie

W opinii moich katolickich rozmówców dopiero chrześcijaństwo wniosło do Afryki ideę przebaczenia. Jest to jednak koncept na tyle podstawowy,

na ile trudny. W mentalności ludności tubylczej wszystko ma swoją przyczynę. Jeżeli jest ona materialnie niewytłumaczalna, np. śmierć, choroba lub wypadek, przyczyny muszą być widocznie pozamaterialne i tych się poszukuje. Za zło ktoś zawsze jest odpowiedzialny i konsekwentnie musi czymś odpłacić, by oddalić ducha zła od człowieka, od rodziny, od szczepu. Na przykład panuje przekonanie, że nikt nie umiera bez przyczyny, nawet starzec. Ktoś jest za tę śmierć odpowiedzialny, ktoś rzucił „urok" – klątwę, czyli ktoś musi zostać ukarany, by przebłagać „złego ducha". Przedstawiciel tubylczego domu królewskiego w Lome ilustrował zwyczaje voodoo przykładem złodzieja. Musi on zostać ukarany. Jeżeli nie da się go zidentyfikować, można orzec, iż nieszczęście, np. choroba, które dotknęło jednego z członków społeczeństwa, jest dowodem jego winy, w tym wypadku kradzieży. By odkupić winę, rodzina tak zidentyfikowanego „złodzieja" jest zobowiązana do zadośćuczynienia przez złożenie określonych ofiar posuniętych nawet do konieczności przekazania dziecka, zazwyczaj córki, na służbę miejsca świętego i fetysza. Winnych identyfikuje się również przez wystawienie człowieka na próby fizyczne, podobne do średniowiecznych sądów czarownic. Niestety, otwiera to drogę nienawiściom i porachunkom. Dziś oczywiście zwalcza się te praktyki, lecz nie zawsze skutecznie. Niezależnie od nich życie jest w Afryce cenione, lecz głównie z punktu widzenia jego przydatności społecznej. Radykalnym przykładem tej ostatniej jest zabijanie dzieci urodzonych z ułomnościami.

* * *

Afryka Zachodnia pozwala spojrzeć na życie jakie istniało wiele pokoleń wstecz, jak gdyby w międzygwiezdną przestrzeń, z której światło dociera do nas z tysiącletnim opóźnieniem. Potencjał twórczy Afryki osłabia mozaika szczepów i języków. Rytm życia nie mierzonego czasem, życia z naturą i poczucie wobec niej bezradności, buduje między ludźmi więź i gotowość do wyciągnięcia pomocnej ręki. Personifikując przyrodę człowiek nadaje życiu wartość. Świat staje się emanacją Boga, harmonią, którą człowiek Zachodu nazywa ekologią. Wartości wyrażane w odmiennych od Zachodu kategoriach mają tę samą treść: związek z życiem, które również, jak powiedział ks. dr Clement Zohagnan, jest fundamentem wszystkich religii afrykańskich, niezależnie od formalnych różnic między nimi.

Wojciech Zalewski

MIROSŁAW WÓJCIK

Julian Tuwim w listach Emila Zegadłowicza

Przyjaźń Emila Zegadłowicza i Juliana Tuwima zaświadczają publikowane wspomnienia i listy. Przechowywana w archiwum Zegadłowicza w Gorzeniu Górnym koło Wadowic korespondencja autora *Balu w Operze* została ogłoszona drukiem w wyborze listów Tuwima wydanym w roku 1979.[1] Listy te – krótkie, niemal zdawkowe noty – z pewnością nie mogą zadowolić miłośników talentu Tuwima i Zegadłowicza oraz wszystkich spragnionych wiadomości o naturze towarzyskich kontaktów w świecie literackim dwudziestolecia międzywojennego. Szczegóły tej przyjaźni możemy jednak odtworzyć z obfitej korespondencji Emila Zegadłowicza do Mariana Ruzamskiego (1889–1945), bliskiego, zaufanego współpracownika pisarza w dziele wydawniczym *Motorów*. Szczególnie cenny w tym względzie jest list z 2 lipca 1937 roku, w którym znajdujemy interesujący, a przy tym podany z właściwym autorowi dowcipem, opis wizyty Zegadłowicza w warszawskim mieszkaniu Tuwima. Fragmenty tego listu opublikował przed laty Andrzej Piwowarczyk, który w niejasny sposób wszedł w posiadanie Zegadłowiczowskich rękopisów.[2] Dziś list ten możemy przytoczyć w całości, jako że wraz z innymi rękopisami Zegadłowicza, dokument ów nieoczekiwanie odnalazł się w Książnicy Beskidzkiej w Bielsku-Białej.[3]

Do pierwszego spotkania Zegadłowicza i Tuwima doszło najprawdopodobniej w dniach 12-14 maja 1920 roku, jako że obaj byli wówczas uczestnikami pierwszego w niepodległym kraju Zjazdu Literatów Polskich. Emil Zegadłowicz, wówczas urzędnik Ministerstwa Sztuki i Kultury, zadbał skrzętnie o to, by do jego prywatnego archiwum trafiła szczególna pamiątka owego zjazdu, a mianowicie „Lista obecnych na 1sms organizacyjnem Zebraniu Związku Zawodowego Literatów Polskich", na której swoje podpisy złożyły dziewięćdziesiąt trzy osoby. Emil Zegadłowicz, dziesiąta osoba na liście, zdobył ów wyjątkowy autograf autografów i dziś jeszcze w muzeum poety w Gorzeniu Górnym można podziwiać sygnatury czołówki polskich artystów – od Xawerego Glinki do Jana Kasprowicza. Pozycję 30. na liście zajmuje nazwisko Tuwima i adres poety: Królewska 41.

Okazją do lepszego poznania się pisarzy były późniejsze zjazdy poetów urządzane w Pławowicach, we dworze Ludwika Hieronima Morstina, w czerwcu 1928 i latem 1929 roku. Wizyta Zegadłowicza u Tuwima, o której traktuje przytoczony in extenso list miała miejsce w końcu czerwca 1937 roku.

[1] Julian Tuwim: *Listy do przyjaciół-pisarzy*. Opracował Tadeusz Januszewski, „Czytelnik", Warszawa 1979. Spośród cytowanych w książce rękopisów Tuwima dziś w Gorzeniu Górnym zachowały się cztery listy (z 24 września 1937, 30 listopada 1937, 25 września 1938 i 27 listopada 1938).

[2] Andrzej Piwowarczyk cieszył się zaufaniem Emila Zegadłowicza, który wielokrotnie wyrażał się z uznaniem o pracowitości młodego typografa. Z zachowanych listów Zegadłowicza pisanych do różnych osób wiadomo, że Piwowarczyk dysponował wieloma rękopisami pisarza, powierzonymi mu do oprawy i druku. Niestety, po wojnie dokumenty te nie wróciły do ich prawnego (wskazanego w ostatniej woli pisarza) właściciela, to jest rodziny Emila Zegadłowicza.

[3] Listy Zegadłowicza do Mariana Ruzamskiego sprzedała Książnicy Beskidzkiej w roku 1985 Barbara Chęcińska, wdowa po Andrzeju Piwowarczyku, z zastrzeżeniem kilkunastoletniego okresu nieujawniania korespondencji. Dokumenty te (74 listy i 7 kart pocztowych z lat 1936-1938) wraz z innymi, odnalezionymi w archiwach prywatnych, listami Zegadłowicza ukażą się niebawem w druku nakładem Wydawnictwa Akademii Świętokrzyskiej w Kielcach. Fragmenty przygotowywanej książki opublikowane zostały w roku 2000 w „Akcencie", nr 1–2.

Treść listu odtworzono z oryginału znajdującego się w Książnicy Beskidzkiej w Bielsku-Białej. Zachowano stylistyczne, leksykalne, ortograficzne i interpunkcyjne właściwości dokumentu. Miejsca nieczytelne i uzupełnienia oznaczono nawiasem kwadratowym.

2 VII 1937 r.
Gorzeń Górny[4]

Kochany Panie Marianie –

– oczywiście, powinienem był o Tuwimie więcej powiedzieć – zwłaszcza, że wspaniałe trzy godziny z nim spędziłem; najpierw to się w ogóle trudno do niego dostać – lecz zaprosił mnie jeszcze listownie, więc telefony etc. – no i na tę a tę godzinę – ; – nie widziałem go od sześciu, siedmiu lat; – w ogóle moje z nim spotkania sporadyczne i rzadkie: raz w kawiarni taka rozmówka z dowcipuszkami koszałki-opałki, nic, druga na zjeździe poetów w Pławowicach u hrabi faszystowatego Morstinka,[5] no to już kilka dni, zbliżenie serdeczne (nawet pożyczyłem od niego 10 zł), tamże ukuł ten znany pseudonim: Emilencja,[6] po raz trzeci we Lwowie na zjeździe bibliofilów i bibliotekarzy,[7] tedy wypiliśmy onego czasu butlę wina (złote francuskie Chabli[8] [...] – nie pamiętam) – a teraz po raz czwarty –

– otóż: spory pokój pełen książek (około 5000 tomiszczy) na tym tle smukły, ruchliwy (lecz już bez tego iskrzącego niepokoju, co to przedtem, że gdzie go tknąłeś to iskry trzaskały, cały był zawsze w płomieniach jak w raju motyli) popielato odziany pan, mocno posiwiały; wycałowaliśmy się, rozpuściliśmy taradajki śpiesznych zdań, które się wciąż z sobą zderzały; bardzo kocham jego poezje – i bardzo mi fizycznie dogadza (i wśród tej samej płci, zwłaszcza wśród tej samej płci musi być porozumienie i skłonność płciowa; to w ogóle decyduje o współżyciu) – wymiana w tym „molekularna" obopólna – więc mijają takie godziny spotkania jak z bata strzelił; że zaś znów coś mu się tam koło dwunastnicy odezwało, więc z wina nic (z czego Emilencja rada, bo bardzo wtedy chora), natomiast „trinks the coffe"[9] – ; – po chorobie i ciężkich przejściach psychicznych (było z nim bardzo źle – nie sypiał tygodniami – rozstrój nerwiczny tak dokładny, że... u wrót obłędu, telefon wyłączony, nikogo na oczy – czasem tylko w godzinach popołudniowych zjawiał się blady i zgorączkowany, z czarną pomyłką w węglowych ślepiach – w którejś z kawiarń i kabaretów nocnych – siekł twarze spojrzeniem i znikał; istny duch Puszkina[10] (– to ta

[4] Fragment tego listu opublikował Andrzej Piwowarczyk we wspomnieniowym szkicu o Julianie Tuwimie *Drukowałem jego wiersze* w: *Wspomnienia o Julianie Tuwimie*, Warszawa 1963, s. 180. Inne listy Zegadłowicza do Ruzamskiego omawia i cytuje Piwowarczyk w artykule *Trąbienie dwu słoni*, „Twórczość" 1956 nr 11.

[5] W Pławowicach, we dworze Ludwika Hieronima Morstina, urządzane były dwukrotnie zjazdy poetów: pierwszy w dniach 8-10 czerwca 1928 roku i drugi latem 1929 roku. Wśród zaproszonych gości pierwszego zjazdu znaleźli się oprócz Emila Zegadłowicza między innymi: Jarosław Iwaszkiewicz, Józef Wittlin, Maria Pawlikowska-Jasnorzewska, Antoni Słonimski, Jan Lechoń, Julian Tuwim. O wydarzeniu tym pisał Jarosław Iwaszkiewicz w artykule *Wiec poetów* – „Wiadomości Literackie" 1928 nr 27.

[6] Pseudonim Emila Zegadłowicza użyty przezeń między innymi w głośnym, piętnującym hipokryzję religijną i obyczajową intelektualnej elity poznańskiej, *Liście pasterskim* opublikowanym w „Dwutygodniku Literackim" 1931 nr 1.

[7] Towarzystwo Bibliofilów Polskich powstało w Warszawie w roku 1921. Mowa o trzecim zjeździe bibliofilów zorganizowanym we Lwowie w roku 1928. Emil Zegadłowicz dedykował uczestnikom tego zjazdu sto spośród trzystu pięćdziesięciu egzemplarzy tomu *Widma wskazówek. Elegie* wydanego przez Jana Kuglina w Poznaniu w 1928 roku.

[8] Chablis – wytrawne białe wino burgundzkie z okręgu Chablis.

[9] Poprawnie: drinks coffee – (ang.) pije kawę. Zegadłowicz myli słowa niemieckie z angielskimi.

[10] Aleksandr Siergiejewicz Puszkin, 1799-1837, poeta rosyjski, prozaik i dramaturg, klasyk literatury rosyjskiej. W przekładzie Juliana Tuwima ukazały się w Polsce: *Jeździec*

skala poety i atmosfera podobna –); groza szła przed nim i za nim; konwojowało go szaleństwo; – co? pytasz, Panie Marianie? – no... tak... wiem; i coś mnie wstrzymuje, aby to brutalnie wypisać; całą sprawę przeżyłem osobiście bardzo ciężko (– wide filianie w *Pokoju dziecinnym*,[11] porównaj załączony – z prośbą o zwrot – list Tuwima,[12] oraz kilka wierszy w *Treści gorejącej*[13]–) solidaryzowałem się z poetą – – i tego skurwisyna, który... [14] –

– po półgodzinnej rozmowie weszła żona[15] jego – przed jej przyjściem rzekł: „zaraz tu przyjdzie Wenus na użytek domowy"; pokręciła dupką i pofilozofowawszy w przelocie: „czy aby ciepła kawa, a może keksów jeszcze?" – wywiała w nieznane mi przestrzenie dalszych pokoi.

Tedy (z negocjacją pełną zastrzeżeń) przeczytał mi wspaniały poemat pt. *Bal w operze*[16] – poemat spory (kilkadziesiąt stronic) pełen nieprawdopodobnej ekwilibrystyki słownikowej (i słowiczej) kapitalnego nurtu społecznego (druk będzie musiał być „prywatny" konfiskata pewna) kilka scen z „gliną" i szpiclami – niezwykle sugestywne, nurt wartki, oszałamiający; – ale to nie o tem; otóż rozkoszą jest tu co innego – : czytanie Tuwima – rytm i muzyka – nie popsute nic patosem ani recytacją (śmierć poezji!!) –

– potem usiedliśmy społem na wspólnym koniku: książki; biblioteka Tuwima mądrze kompletowana, dużo rarytasów i cymelii – rozkochany w tem jest namiętnie i zmysłowo –

miedziany. Opowieść petersburska, 1931 (nagroda polskiego PEN-Clubu za przekład); i zbiór *Lutnia Puszkina*, Warszawa 1937.

[11] Emil Zegadłowicz, *Pokój dziecinny. Dramat*, Gorzeń Górny 1936, przedruk w „Dialogu" 1959, nr 8.

[12] Sześć listów Juliana Tuwima do Emila Zegadłowicza z lat 1933-1938 opublikowanych zostało w: Julian Tuwim, *Listy do przyjaciół-pisarzy*, opr. Tadeusz Januszewski, „Czytelnik", Waszawa 1979, s. 165-174. Nie ma wśród tej korespondencji wspomnianego tu listu.

[13] Julian Tuwim, *Treść gorejąca. (Poezje)*, Warszawa 1936.

[14] Mowa najprawdopobniej o mnożących się w prasie prawicowej napaściach na Juliana Tuwima. Dla przykładu: J. O. [Jan Olechowski?] pisał, iż „Poezja Tuwima nie jest i nie będzie nigdy klejnotem poezji polskiej. Może być tylko klejnotem poezji żydowskiej – nigdy polskiej, a to dlatego, że przynależność poezji to nie tylko talent, język, ale duch, sposób odczuwania wszelkich zjawisk, a w poezji Tuwima duch jest żydowski. Wiersze jego, podbijające talentem, budzą zawsze w Polaku wstręt psychiczny" – tenże, „»Bunt Młodych« o kwestii żydowskiej", „Ruch Młodych" 1937 nr 3 – cyt. za: Jan Józef Lipski, *Antysemityzm ONR „Falangi"*, w tegoż: *Tunika Nessosa. Szkice o literaturze i o nacjonalizmie*, Wydawnictwo PEN, Warszawa 1992, s. 107.

[15] Stefania Tuwimowa z domu Marszew, od roku 1919 żona Juliana Tuwima.

[16] Poemat Tuwima *Bal w Operze* powstał w roku 1936 i jego fragmenty były drukowane w kilku czasopismach – w całości opublikowany został dopiero po wojnie w tygodniku „Szpilki" (1946, nr 30-46) i w *Dziełach* Tuwima, t. 3, Warszawa 1958.

– pracownię ma obok biblioteki – mały pokój: biurko, półki, otomana, kilka obrazów (jeden góralski, poza tem rysunki) –

– jak tam przeskoczyły te trzy godziny – nie wiadomo – uczyniły to zwinnie i wtedy, gdy nasza uwaga była zaprzątnięta czemś innem, czemś co przezwycięża właśnie czas – i już Warszawa daleko (mieszkałem w ostatnim domu Warszawy, na końcu Grójeckiej szosy bo to jeszcze nie ulica, względnie: już nie) –

Oto krótka a pouczająca opowieść o spotkaniu się dwu poetów w sto lat po r. 1837-mym[17]; a za dalsze sto lat...

═══

Jedno z najtęższych zdań, jakie przeczytałem na przestrzeni tych lat kilku (dajmy na to licząc od przekładu *Fausta*) – jest to z Pańskiego listu: = (w Polsce) – może się rozwijać tragedia wielkiej sztuki, ale nie sztuka[18] = <u>To zdanie przetrwa wieki</u>!!! –

– uciekam też z Polski do... Egiptu; mam książkę J. H. Breasteda: *Historia Egiptu, sztuka egipska*[19] – 350 ilustracji! – wycofuję się po trosze z Grecji (Rzym był mi zawsze obcy – obcy i wstrętny – Historia Egiptu – jak każda inna: państwo! mocarstwo! więc ucisk, niewola, tłamszenie myśli, męka człowiecza; jak zawsze; („szczęście" żywota ludzkiego może być tylko poza państwem – jestem pewny, że i poza „ojczyzną" – to są przecież nazwy więzień, szkół gladiatorów, wmówień z których żyje kilkunastu łotrów lub wypędków rządzących – i kilka tysięcy uprzywilejowanych koryciarzy) – tak; ale sztuka egipska jest olbrzymia! – lecz o tem może kiedy indziej –

═══

Ruzameum[20] (na razie prowizoryczne) czeka! Więc obmyślimy jak to zrobić; Pan ma głos pierwszy; jest Pan fundatorem! –

═══

Zabawnie warczy na siebie kler i wojsko (Sapieha i Sławoj)[21] – pies im mordę lizał! – Co nas to obchodzi? –

═══

[17] Zegadłowicz najprawdopodobniej ma na myśli spotkanie Adama Mickiewicza i Juliusza Słowackiego, do jakiego doszło w dniu 25 grudnia 1840 roku na uczcie urodzinowo-imieniowej autora *Pana Tadeusza* wyprawionej mu w hołdzie przez Eustachego Januszkiewicza. Podczas tego spotkania doszło do pojedynku dwóch wieszczów na improwizacje. Relacje świadków tego wydarzenia są sprzeczne – zob. Tomasz Łubieński, *M jak Mickiewicz*, „Świat Książki", Warszawa 1998, s. 213-215.

[18] Cytowany tu list nie zachował się.

[19] James Henry Breasted, 1865-1935, historyk amerykański. Uzyskał doktorat w Berlinie. Dyrektor Instytutu Orientalnego w Chicago, uczestnik wielu wypraw archeologicznych do Egiptu i na Bliski Wschód. Opublikował między innymi: *A History of Egipt*, 1905; *A History of the Ancient Egiptians*, 1908; *Ancient Times: A History of the Early World*, 1916.

[20] Używane przez Zegadłowicza określenie projektowanej galerii prac Mariana Ruzamskiego w Gorzeniu Górnym. Projekt ten nie został zrealizowany.

[21] Mowa o powstałym w dniu 23 czerwca 1937 roku zatargu pomiędzy rządem i władzą kościelną. Arcybiskup krakowski Adam Sapieha, wbrew woli prezydenta Ignacego Mościckiego, zarządził przeniesienie trumny ze zwłokami Józefa Piłsudskiego z krypty św. Leonarda do krypty Srebrnych Dzwonów. Ówczesny premier, Felicjan Sławoj-Składkowski, podał się do dymisji. Przeciwko decyzji Sapiehy protestowały liczne organizacje społeczne. Konflikt zakończyło wyjaśnienie arcybiskupa, które prezydent uznał za wystarczające.

Natomiast zagłada Basków[22] – to wielka ludzka tragedia. A papież pozwala wyrżnąć swe owieczki.[23] Świnia.

Ucałowania
E. Z.

PS
– może Pan zrobi wywiad z p[anem] Dr. S[tarostką][24] co do tego: czy (a tak piszą w prospektach) i kiedy należy powtórzyć zastrzyki Larostidiny?
Jakie są jego zapatrywania?
Jakie ma doświadczenia w tym kierunku – ?

E. Z.

4 lipca

w dzień antypodycznej
bytności M-R-Y-ta na
„Dzisiejszych czasach" Chaplina[25]

Kochany Autoportrecisto –
– list z wielu dni jest – zawstydza mnie rzetelnie – lecz trzeba wybaczyć rekonwalescentowi, że tak marudzi –

[22] Baskowie – Euskaldunak, najstarsza przedindoeuropejska grupa etniczna zamieszkująca Baskonię (Kraj Basków, hiszp. País Vasco), krainę w północnej Hiszpanii, przy granicy z Francją nad Zatoką Biskajską. W okresie republiki (1936-1939) Baskonia uzyskała autonomię, ale utraciła ją w czasie dyktatury generała Francisco Franco, który bezlitośnie rozprawił się z separatystycznymi dążeniami Basków, którzy w wojnie domowej w Hiszpanii opowiedzieli się po stronie republikanów. 26 kwietnia 1937 roku niemiecki Legion Condor, wysłany przez Adolfa Hitlera na pomoc generałowi Franco zbombardował miasto Guernica y Luno, starożytną stolicę Basków, zabijając jedną trzecią mieszkańców miasta. Wydarzenia te stały się inspiracją dla Pabla Picassa, który protestując przeciwko temu ludobójstwu stworzył obraz *Guernica*.

[23] Zegadłowicz ma na myśli postawę Kościoła rzymskokatolickiego i jego hierarchów w czasie wojny domowej w Hiszpanii. W opinii współczesnego nam historyka „Kościół rzymskokatolicki, zdominowany przez ultrareakcyjną hierarchię, był głęboko zainteresowany sprawami gospodarczymi jako największy właściciel ziemski i zarządca rozlicznych instytucji i przedsiębiorstw – od *Banco Espiritu Santo* po madryckie tramwaje. (...) W efekcie powstała szczególnie tępa i oporna społeczna twierdza złożona z księży, właścicieli ziemskich i oficerów, która regularnie stawała na drodze wszelkich reform mogących zagrozić jej interesom. Protesty społeczne miały charakter desperacki, gwałtowny i antyklerykalny. (...) 18 lipca 1936 roku (...) Generał Francisco Franco (...) wydał manifest. Hiszpania miała zostać uratowana przed czerwoną rewolucją; wojska stacjonujące w Afryce Północnej miały się nie zawahać przed użyciem oddziałów Maurów. Jak to ujął jeden z sympatyków Republiki, »krucjatę przeciwko marksizmowi mieli podjąć Maurowie przeciwko katolikom« (Arthur Koestler, *Spanish Testament*, Londyn 1937). (...) Armia (...) Ogólnie rzecz biorąc, mogła liczyć na poparcie polityczne hierarchii Kościoła katolickiego, wielkich posiadaczy ziemskich oraz tych, którym zależało przede wszystkim na przywróceniu prawa i porządku. Niemal od początku otrzymywała pomoc wojskową od Portugalii, hitlerowskich Niemiec i faszystowskich Włoch" – Norman Davies, *Europa. Rozprawa historyka z historią*, przekład Elżbieta Tabakowska, „Znak", Kraków 1998, s. 1042-1043. Papieżem w latach 1922-1939 był Pius XI (Achilles Ratti), niechętny reformacji, rewolucjom społecznych, liberalizmowi, socjalizmowi i komunizmowi. W roku 1931 Pius XI wydał encyklikę *Quadragesimo anno*, którą odczytywano jako ukłon papiestwa w stronę faszyzmu. 20 lipca 1933 roku Stolica Apostolska podpisała konkordat z hitlerowską Rzeszą niemiecką (pierwszy układ międzynarodowy, jaki zawarł Hitler) i z frankistowską Hiszpanią, a 19 marca 1937 roku, w encyklice *Divini redemptoris* potępiony został „bezbożny komunizm".

[24] Doktor Tadeusz Starostka, lekarz z Tarnobrzega, bliski znajomy Mariana Ruzamskiego.

[25] Film Charlesa Spencera Chaplina (1889-1977) *Dzisiejsze czasy* (*Modern Times*) z roku 1936 był pamfletem społecznym, po którym przyszła antyhitlerowska satyra *Dyktator* (*The Great Dictator*, 1940). Jerzy Toeplitz pisał w 1936 roku, iż *Dzisiejsze czasy* „są

– góry i potoki! Panie Marianie Drogi! – Toćże tu wszystko na oścież otwarte na przybycie Pana! – O co idzie? – gdy załapię pierwszą forsę – prześlę – dajmy na to – 20 zł – przecież to już na drogę wystarczy – więcej nic nie potrzeba! – Dom by się aż zachwiał z radości! – Żech[26] ma przyjechać około 10-go b.m. – a kiedy Pański brat zjeżdża do T.[arnobrzega] – ? – wtedy najporęczniej chyba bo i Matka miałaby opiekę
–więc:
jazda! – direktion: G.[orzeń] G.[órny]!!
Uściski smocze
E. Z.

W uzupełnieniu przytoczonego tu listu dodać możemy jeszcze kilka fragmentów korespondencji Zegadłowicz – Ruzamski, w której pojawia się postać Tuwima:

16 czerwca 1937 roku

– dawno nie pisałem; tym razem przechorowałem się ciężko – ataki bólu były groźne; zaczęły się w Warszawie; Tuwim, który właśnie co dopiero był po kuracji w Grajfenbergu[27] – namawiał mnie pilnie na te zastrzyki larostidinowe – tak więc przyjeżdżał do mnie codziennie lekarz – wziąłem tych zastrzyków 25 – dopiero po piętnastu zelżały bóle – chociaż nawet nie wiadomo z czego, bo i kurację równocześnie przeprowadzam; dieta Leubego, Alucol – papaweryna – belladona – jest w tej chwili tak, że ataków nie ma – lecz poboliwania częste –

31 października 1937 roku:

– wprost przeciwnie niż mi wmawiasz! – dzisiaj właśnie odpowiem Ci na wszystkie pytania zawarte w Twem piśmie odręcznem z dn. 22 b.m. b.r.: – pytanie: [...] – Jak długo potrwa depresja Tuwima (pytanie) – depresja Tuwima potrwa tak długo jak długo Hitler będzie nauczał, że impresjonismus, expresjonismus – alles ist bolszewismus[28] (odpowiedź); Czy mu nie posłać informacji co do Żecha – pyta Tarnobrzeg – Gorzeń odpowiada: informacji co do Żecha mu (Tuwimowi) nie posyłać – jest bowiem Tuwim w tej chwili istotnie w depresji – graniczącej z kliniczną melancholią – nie interesuje się zjawiskami t. zw. zewnętrznemi –

filmem aktualnym. Ukazują śmiesznego człowieka w świetle nowych problemów dnia. Życie włóczęgi zostaje wplątane w skomplikowany świat maszyn, strajków i bezrobocia (...). Wiek maszyny i mechanizacji pracy został bezlitośnie wyszydzony przez Chaplina i może dzięki prymitywnej masce komicznej *Nowym czasom* [takie tłumaczenie tytułu *Modern Times* przyjął Toeplitz] udało się prześliznąć przez nożyce cenzury. Film jest rewolucyjny i tragiczny (...)" – Jerzy Toeplitz: *Nowy film Chaplina*, „Wiadomości Literackie" 1936 nr 9. Cenzura hitlerowskich Niemiec (przemysłem filmowym zawiadywał minister propagandy Joseph Goebbels) zakazała rozpowszechniania filmu *Dzisiejsze czasy* w Niemczech. Komentarzem tej decyzji była fraszka Juliana Tuwima na Adolfa Hitlera pt. *Niebezpieczeństwa*: „Pierś wypina, zad wypina / Pięścią wali, tupie nogą / I nie boi się nikogo, / Prócz Stalina i Chaplina" – „Wiadomości Literackie" 1936, nr 31. Cytaty za: Stefania Beylin, *Nowiny i nowinki filmowe 1896-1939*, Wydawnictwa Artystyczne i Filmowe, Warszawa 1973, s. 256-257.

[26] Mowa o Stefanie Żechowskim (1912-1984), utalentowanym rysowniku z Książa Wielkiego, ilustratorze między innymi *Motorów* Zegadłowicza.

[27] Greifenberg – niemiecka nazwa Gryfic, miasta w obecnym województwie zachodniopomorskim.

[28] Zdanie żartobliwie upodobnione do niem.: „Impressionismus, Expressionismus – alles ist Bolschewismus" – impresjonizm, ekspresjonizm – wszystko to bolszewizm.

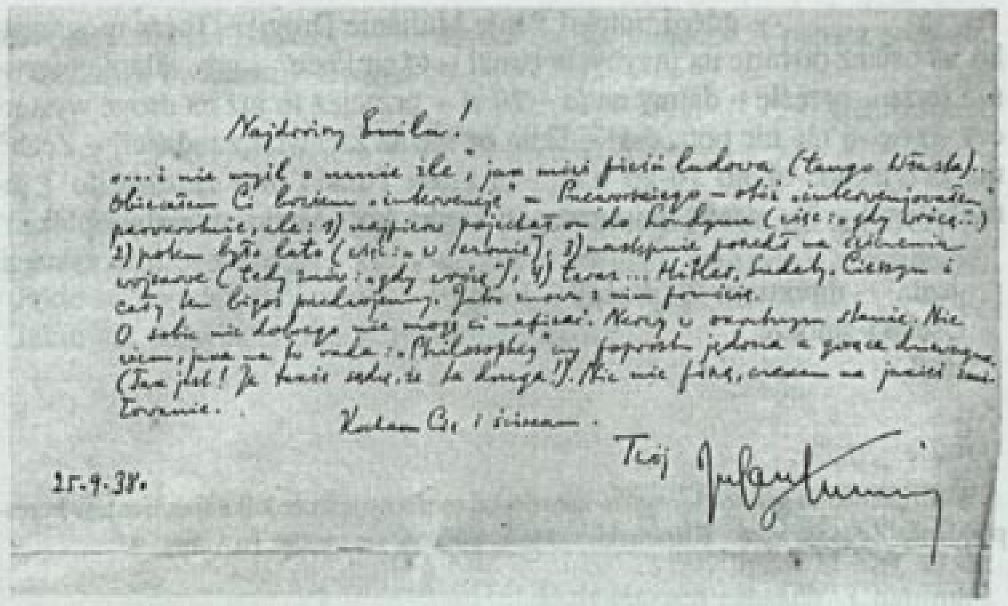
Najdroższy Emilu!
Kocham Cię i ściskam.
Twój
25.9.38.

9 listopada 1937 roku:

– z Tuwimusem znów kiepsko – nawet na listy nie odpisuje, a te wiersze w „Wiad.[omościach[Lit.[erackich]" są rozpaczliwe! – a przecież on byłby wymarzonym (pisz-maluj!) przedmówcą do Twych fraszek –

– ostatecznie zrobię to ja – i też będzie musiało być! –

12 grudnia 1937 roku:

– co do casus Tuwima – tak samo (niestety) myślę, jak Ty – ten specyficzny oportunizm warszawski i jego nadgryzł – mam na to (niestety) dowody maleńkie rozgryweńki (po co n.b. było odpisywać tym sraczom dziennikarskim – ?) – rujnują czas i wykrzywiają właściwy obraz życia!

11 stycznia 1938 roku

nasz – mój i Twój – największy złośliwiec to niezawodnie Tuvimus Magnus! – wyznam Ci, że bardzo przehulałem tę sprawę! – ileż mógł dobrego zrobić Żechowi ile słuszności poprzeć ile skrzywień naprościć! – nie zrobiłem tego! – a, jak słusznie pisałeś, miał czas (i zdumiewającą mnie ochotę!) odżerać się[29] gówniarzom i półgłówkom – Piasecki[30], Młodożeniec[31]

[29] Julian Tuwim, *Odpowiedź recenzentom*, „Wiadomości Literackie" 1937 nr 47 – reakcja Tuwima na krytyczne uwagi dotyczące jego przekładu sztuki M. Gogola, *Ożenek* i adaptacji sztuki Ryszarda Ruszkowskiego *Jadzia-wdowa*. Zegadłowicz ma na myśli artykuły Stanisława Piaseckiego *Pod znakiem krotochwil*, „Prosto z mostu" 1937 nr 38; i Jana Chmurki (pseudonim Stanisława Młodożeńca), *„Jadzia wdowa", krotochwila Ryszarda Ruszkowskiego spaprana szmoncesami Juliana Tuwima*", „Goniec Warszawski", 1937 nr 225.

[30] Stanisław Piasecki, 1900-1941, publicysta, krytyk literacki, prozaik, działacz polityczny. W latach 1920-1925 był członkiem organizacji studenckiej Młodzież Wszechpolska, następnie związany z Stronnictwem Narodowo-Demokratycznym i Obozem Narodowo-Radykalnym. Od 1931 w redakcji „ABC", w roku 1935 założyciel i do 1939 redaktor i wydawca tygodnika „Prosto z mostu". W grudniu 1939 założył i do 1940 redagował konspiracyjny tygodnik Stronnictwa Narodowego „Walka", 1940 był szefem propagandy Narodowej Organizacji Wojskowej; rozstrzelany przez hitlerowców. W swojej twórczości propagował idee nacjonalistyczne, formułowane z pozycji programu ideologii narodowo-radykalnej. Ogłosił antykomunistyczną powieść *Związek Białej Tarczy*, 1929, zbiory: artykułów krytycznych *Prosto z mostu*, 1934 i szkiców publicystycznych *Prawo do twórczości*, 1936.

[31] Stanisław Młodożeniec, pseudonimy Jan Chmurek, Jan Ruta, 1895-1959, poeta, prozaik. W latach 1915-1918 przebywał w Rosji, następnie po powrocie do Polski studiował

– przecież to znane dranie i kanalijki; – takie pomysły pomylone (mówię wciąż o replice Tuwima) to się lęgną jedynie w kołowaciźnie: ips – ziem – wiad – lit – simon – stecki – ips – itd. – to się wydaje całym światem – to jest małomieszczaństwo stolicy – kołtuneria metropolii – – i ja to też lubię – lecz dłużej jak tydzień nie wytrzymuję – a Tuwim jest złożony z jednego wielkiego talentu i stu małych fobii – no i stąd to wszystko –

22/23 lutego 1938 roku:

O wywiadzie Tuwima nic nie wiem; pisał[32] do mnie: „wyzwalająca książka!" (wykrzyknik Tuwima) – możliwe więc, że w wywiadzie mógł powiedzieć coś wręcz przeciwnego; – kręte są drogi fobii! –

[...] Coś tam wczoraj napisałem o Tuwimie niezbyt czule – trzeba mi to udowodnić skąd i dlaczego: otóż dwa razy przydarzyło się tak, wiesz, nie za bardzo! – Raz (kiedyś w lecie) napisałem do niego w interesie mniejsza z tem – ważny nieważny (– szło o to aby w „Sirinksie" – gdy jeszcze goręcej o tym wydawnictwie myślałem – wyszedł jego „Bal w Operze" z ilustracjami Żecha –) (było to jeszcze podczas Twej bytności w Gorzeniu; zamilczałem wtedy) – i właśnie na ten list nie odpisał – i w późniejszych nie dotknął tej materji; ja też nie, może list zaginął. – Sprawa druga: mam taką obsesję aby przełożyć i wydać – raz wreszcie w całości – 1001 noc[33] – zdaje mi się, że tylko b[yła] Czarnogóra i Polska nie ma tego dzieła w swem piśmiennictwie (oczywiście z oryginału nie potrafię, lecz – już przed laty – rzecz tę omawiałem z świetnym znawcą literatur i języków orientalnych profesorem Kowalskim[34] (był nawet kilka razy u mnie) – porobiłem też studia – krótko

polonistykę (1918-1922) na Uniwersytecie Jagiellońskim. Współpracował z orientacją formistów Tytusa Czyżewskiego. Jako członek grupy poetyckiej krakowskich futurystów założył z Brunonem Jasieńskim klub „Katarynka". W latach 1922-1939 był nauczycielem gimnazjalnym w Kielcach, Zamościu i Warszawie. W roku 1928 redagował czasopismo „Ku słońcu", w latach 1929-1930 współpracował z pismem „Europa". Działacz kulturalny Stronnictwa Ludowego i ZMW „Wici". 1939 przedostał się ze swoją jednostką wojskową przez Węgry do Syrii i Egiptu. 1941-1942 redagował „Gazetę Polską" w Jerozolimie. Od roku 1942 przebywał w Londynie, pracował w sekcji propagandy rządu londyńskiego. 1944-1954 redaktor gazety „Jutro Polski". Powrócił do kraju w 1957 i podjął współpracę z ZSL. Debiutował jako eksperymentator poetycki w stylu futurystycznym, w tomikach *Kreski i futureski*, 1921; *Kwadraty*, 1925. Łączył poetykę ludowego prymitywizmu i tematykę wiejską z zasadami futuryzmu w zbiorach *Niedziela*, 1930; *Futuro-gamy i futuro-pejzaże*, 1934. Po roku 1939 tworzył w duchu klasycyzującym, opisowo-refleksyjnym i patriotycznym. Jako prozaik opublikował powieść *Na budzeniu*, „Wici" 1937-1938; opowiadania *W dolinie małej wody*, 1958.

[32] List Juliana Tuwima do Emila Zegadłowicza z dnia 30 listopada 1937 roku – przedrukowany w: Julian Tuwim, *Listy do przyjaciół-pisarzy*, opracował Tadeusz Januszewski, „Czytelnik", Warszawa 1979, s. 171-172. Rękopis w Muzeum Emila Zegadłowicza w Gorzeniu Górnym.

[33] *Baśnie z 1001 nocy* (*Księga tysiąca i jednej nocy*) – (arab.: *Kitab alf lajla wa lajla*) popularny, istniejący już w X w. w Egipcie, zbiór bajek i podań lud. literatury arabskiej, ostatecznie ukształtowany w poszczególnych wersjach w XVI-XVIII w., spopularyzowany na Zachodzie dzięki francuskiemu przekładowi Antoine'a Gallanda dokonanemu w latach 1704-1717 – z tego przekładu tłumaczono *Baśnie* na inne języki europejskie. Przekład polski Łukasza Sokołowskiego, *Awantury arabskie, lub Tysiąc nocy i jedna* (tom 1-12, 1767-1769).

[34] Jan Tadeusz Kowalski, 1889-1948, orientalista. W latach 1907-1911 studiował pod kierunkiem R. Greyera na uniwersytecie w Wiedniu, 1911-1912 u Th. Nöldekego i E. Litmanna w Strasburgu oraz u G. Jacoba w Kolonii; 1912-1914 pracownik Instytutu Orientalistyki w Wiedniu; od 1919 profesor i kierownik Katedry Filologii Orientalnej Uniwersytetu Jagiellońskiego; 6 listopada 1939 aresztowany w ramach Sonderaktion Krakau, do lutego 1940 więziony w Sachsenhausen; po powrocie do Krakowa opiekował się zbiorami orientalistycznymi Biblioteki Jagiellońskiej; od 1927 członek Polskiej Akademii Umiejętności; 1936-39 sekretarz Wydziału I (Filologicznego), od 1939 sekretarz

mówiąc – przygotowany jestem nieźle do tej 2-3 letniej pracy; oczywiście tylko z ilustracjami Żecha – do czego dokładnie go już podjudziłem; przedsięwzięcie wielkie – bo to około 6000 stronic i jakieś 350 ilustracji (6 kolorowych – reszta piórkowe) – zamykam główny nawias) – otóż podczas bytności mojej u Tuwima – wiedząc, że ma bliskie stosunki z Przeworskim[35] – nie tylko bliskie lecz jest tam doradcą i kierownikiem jakiegoś działu – zagadałem go o tę sprawę 1001 nocy – czy by Przeworski na to nie poszedł – odrzekł mi od razu, że tę sprawę już rozważali (tzn. tego wydawnictwa) i doszli do przekonania że tylko wybór się kalkuluje i że to będzie robiła jego siostra Irena.[36] Więc dobrze. Teraz – z ankiety „Wiad[omości] Lit[erackich]" – dowiaduję się, że to Wittlin[37] dla Przeworskiego będzie robił – ; – drobiazg oczywiście. Lecz to nie jest drobiazg w moim guście. Ja bym to inaczej... zwłaszcza w połączeniu z propozycją... kradzieży grubszej forsy... pamiętasz: – – Tyle o tem.

---

generalny PAU; od 1923 członek Polskiego Towarzystwa Orientalistycznego, od 1947 jego prezes; członek wielu zagranicznych towarzystw naukowych; jeden z najwszechstronniejszych orientalistów polskich, znawca języków i kultury muzułmańskich ludów Bliskiego Wschodu, specjalista w zakresie turkologii, arabistyki i iranistyki; autor ponad dwustu prac naukowych, między innymi *Karaimische Texte im Dialekt von Troki*, 1929, *Na szlakach islamu*, 1935; *Zagadnienie liczby mnogiej w językach tureckich*, 1936; *Relacja Ibrahima ibn Jakuba z podróży do krajów słowiańskich*, 1946.

[35] Marek Przeworski, 1903-1943, syn Jakuba Przeworskiego (1875-1935, księgarz i wydawca; prowadził w Warszawie od roku 1903 antykwariat i od 1933 księgarnię i wydawnictwo, współzałożyciel Związku Księgarzy Polskich), po śmierci ojca do 1939 r. prowadził jego wydawnictwo. Firma Przeworskiego wydawała dzieła autorów obcych i polskich z zakresu filozofii i socjologii, historii kultury, biografistyki i prozy powieściowej. Drukowali tu swe utwory m.in. Antoni Słonimski, Julian Tuwim i Kazimierz Wierzyński.

[36] Irena Tuwim, 1900-1987, poetka, prozaik. Siostra Juliana Tuwima. Debiutowała w roku 1916 w dzienniku łódzkim „Godzina Polski". Związana z grupą Skamander, współpracowała z „Wiadomościami Literackimi". W latach 1920-1939 i od 1947 mieszkała w Warszawie, 1939-1947 we Francji, Wielkiej Brytanii, Kanadzie i USA. Autorka zbiorów poezji, między innymi *24 wiersze*, 1921; *Miłość szczęśliwa*, 1930; *Wiersze wybrane*, 1958. Opublikowała wspomnienia *Łódzkie pory roku*, 1956. Jest ponadto autorką książek dla dzieci, np. *Marek-Wagarek*, 1955 i przekładów z literatury angielskiej (m.in. utworów A. A. Milne'a: *Kubuś Puchatek*, 1938; *Chatka Puchatka*, 1938), hiszpańskiej, niemieckiej i rosyjskiej.

[37] Józef Wittlin, 1896-1976, poeta, prozaik, krytyk. Odbył krótką służbę ochotniczą w polskim Legionie Wschodnim, 1916 wcielony do armii austriackiej. Studiował we Lwowie i w Wiedniu germanistykę, romanistykę i historię sztuki, później filozofię i polonistykę. W latach 1919-1921 był nauczycielem w prywatnych gimnazjach. 1919-1920 związany z ekspresjonistyczną grupą Zdrój w Poznaniu, następnie ze Skamandrem. 1922 przeniósł się do Łodzi, gdzie był kierownikiem literackim Teatru Miejskiego i wykładowcą w Szkole Dramatycznej. 1927 zamieszkał w Warszawie. Wybuch II wojny światowej zastał go we Francji, skąd udał się przez Portugalię do USA. W latach 1941-1942 był redaktorem „Tygodniowego Przeglądu Literackiego Koła Pisarzy z Polski", następnie (1943-1947) „Tygodnika Polskiego" w Nowym Jorku. Współzałożyciel PEN-Clubu Writers in Exile. Debiutował jako poeta zbiorem ekspresjonistycznych wierszy *Hymny*, 1920. Pacyfistyczny zbiór esejów *Wojna, pokój i dusza poety. Szkice literackie i przemówienia*, 1925 poprzedził głośną powieść antywojenną *Sól ziemi*, 1936 – pierwszą część cyklu *Powieść o cierpliwym piechurze* (rękopis części drugiej zaginął podczas wojny), za którą pisarz otrzymał Złoty Wawrzyn Polskiej Akademii Literatury. Ponadto: gawęda *Mój Lwów*, Nowy Jork 1946; eseje *Orfeusz w piekle XX wieku*, Paryż 1963. Pośmiertnie wydane *Poezje*, 1978.

noty

ANETA WYSOCKA

RZECZ GARDZIENICKA

Nocą z 18 na 19 maja w dworskich zabudowaniach podźwigniętych bądź stopniowo podnoszących się z ruiny i w otaczającym je parku Teatr Gardzienice dał kolejne przedstawienie. W ciągu niewielu godzin przywołał prawosławną Rosję, średniowieczną Europę trubadurów, antyk chrześcijański i poezję Mickiewicza. Śpiewały słowiki, grała huculska kapela. Wszystko to artyści przekornie nazwali *Kosmosem*.

Szamani z Nepalu, kiedy przestają pełnić swoje ziemskie funkcje (na ogół są tragarzami) i wchodzą w role uzdrawiaczy, zmieniają sposób mówienia. Słowa języka naturalnego, plemiennego, służącego codziennemu porozumieniu, zamieniają na „mowę podróżną" i „mowę graniczną" – opowiadał przed czternastu laty Michael Oppitz, etnograf biorący udział w sympozjum *Przyroda słowa w kulturach teatralnych*, jakie odbywało się wówczas w Ośrodku Praktyk Teatralnych Gardzienice (zob. „Akcent" 1988, nr 1 i 2). Z „mową podróżną" – kontynuował badacz – mamy do czynienia wówczas, gdy szaman odbywa fantazmatyczny „lot przez świat". Aby wydobyć duszę pacjenta z Krainy Umarłych, a tym samym uleczyć jego ciało, musi udać się po nią do tej krainy. Podróż ta ma, jak wszystko w szamanizmie, charakter duchowy. Uzdrowiciel przy akompaniamencie bębna wywołuje kolejne nazwy miejsc, które przebywa. Swój „lot" kończy na przełęczy stanowiącej granicę terytorium etnicznego – przed symboliczną Bramą Śmierci. W szczególnym momencie transu, gdy szaman opuszcza już ziemską rzeczywistość i wkracza w świat metafizyczny, dochodzi do transformacji mowy codziennej w „mowę graniczną". Przemiana polega na stopniowym zatracaniu zwyczajnych właściwości języka. Najpierw następuje rytmizacja wypowiedzi, nadanie jej formy metrycznej. Potem pojawia się coraz więcej elementów asemantycznych, aż w końcu dochodzi do rozmywania się i zacierania sensu. *Takie wykorzystanie języka oznacza, że szaman osiąga doświadczenie graniczne, krańcowe. Dla laików jest to znak, że szaman osiąga taki punkt w doświadczeniu, do którego oni nigdy nie dotrą.*

Sztuka w Gardzienicach przemawia w swoistej „mowie podróżnej", a czasem w „języku granicznym". Polszczyźnie nadano w przedstawieniach funkcję „mowy codziennej" – stanowi ona podstawę dialogów i pieśni oraz służy eksplikacji. Obok niej są liczne frazy rosyjskie, łacińskie, greckie, angielskie. Nie bez powodu. Artyści – jak nepalscy szamani – zabierają przecież widzów w fantazmatyczną, duchową, mistyczną podróż. Przemierzają Europę od krańca do krańca. Od Rosji (w której niektórzy wolą już dostrzegać „zachodnią placówkę" Azji) aż do wybrzeży Atlantyku, a stamtąd nad Morze Śródziemne. Pojawiające się obce słowa są znakami odwiedzanych krain. Czasem bywają one opatrywane polskim objaśnieniem, semantyzowane, czasem zaś pozostają wyłącznie w swej pierwotnej postaci. Wówczas pełnią funkcję swoistych punktów topograficznych, słupów granicznych, kamieni milowych wyznaczających odległość w przestrzeni i czasie.

Do czego jeszcze porównać *Kosmos*? Do antycznej „trójjedynej chorei", gdzie sztuka urzeczywistnia się poprzez muzykę, taniec i słowo? Na pewno tak. Może do dzieł dawnej sztuki chrześcijańskiej: tryptyku i misterium. Tryptyk, gdyż tworzą go trzy spektakle: *Żywot protopopa Awwakuma*, *Carmina Burana* i *Metamorfozy*. Misterium, bo owe sztuki splatają się w jedno z intermediami: śpiewem słowików, dźwiękami huculskiej kapeli, Mickiewiczowskim monologiem Gustawa w ruinach... Takie porównania można by mnożyć. Jednak o jakimkolwiek utożsamieniu nie może być mowy, gdyż ta sztuka, choć

składają się nań znajome i – chciałoby się powiedzieć – uświęcone tradycją elementy, jest wyjątkowa i nowatorska.

Panuje tu poetyka fragmentu. Epoki, miejsca i wydarzenia są jedynie wywoływane, sygnalizowane. Do widza docierają ułomki fabuł, na pozór słabo ze sobą połączone, nawet sprzeczne. Do tego mowa jest niezwyczajna, bo zrytmizowana, sprzężona z muzyką, czasem wręcz asemantyczna. Dochodzi ponadto do nieustannych zderzeń, konfrontacji stylów i estetyk. We wzniosłość cerkiewnej pieśni wkracza profanum (*Żywot protopopa Awwakuma*). Król Marek i szlachetny Tristan obrzucają się łacińsko-plebejskimi obelgami, a Merlin wygłasza „Hymn św. Pawła o miłości" (*Carmina Burana*). Chłopi w kufajkach przywdziewają greckie chitony i zmieniają się w filozofów, zaś dionizyjski fallus przeistacza się w Chrystusowy krzyż (*Metamorfozy*).

Widzowie *Kosmosu* wędrują po parku i zabudowaniach przy blasku pochodni, oprowadzani przez „adeptów szamanizmu" – studentów Akademii Praktyk Teatralnych. Uczestniczą w kolejnych spektaklach i intermediach. Zadziwieni jednym, mają tylko chwilę – kilka, kilkadziesiąt kroków – by przygotować się na coś nowego, nie mniej fascynującego. Raz po raz są czymś zaskakiwani, niepokojeni. To pobudzani do śmiechu, to do zadumy. Dezorientowani nieustanną przemianą. Artyści – nazywający się skromnie realizatorami – niby wszystko swoim widzom tłumaczą. Każdą ze sztuk opatrują komentarzem dotyczącym jej genezy, a nawet tematyki. *Podczas pracy nad „Awwakumem" cały nasz zespół wędrował po wsiach polsko-rosyjskich, polsko-ukraińskich.* [...] *Śpiewaliśmy, recytowaliśmy teksty* [...] *piliśmy z ludźmi wódkę i przeklinaliśmy podłe życie, słuchali i uczyli się ich pieśni...* – to o *Żywocie protopopa Awwakuma*. A o *Carmina Burana*: *W naszym spektaklu poezja ta* [liryka prowansalska] *splata się z anglonormańską opowieścią o Tristanie i Izoldzie, pochodzącą z tej samej ery historycznej i – podobnie – należącą do fundamentalnych dzieł kultury europejskiej* [...] *nasze przedstawienie traktuje o miłości...* Do *Metamorfoz* komentarz jest następujący: *Pieśni te pozostają w związku z księgą, do której filozofii odwoływaliśmy się w pracy* [*Metamorfozy...* Apulejusza z Madaury]. *Jest to wielka księga przełomu, kiedy odchodził Stary Bóg, Dionizos i Apollo, i wkraczał Nowy Bóg, Chrystus* [...] *To, na co was zapraszamy* [...] *to przede wszystkim śpiewanie w starożytnych tonacjach, starożytnych liniach melodycznych, głosami dzisiejszymi...* Niby wszystko jest wyjaśnione i – jak przystało na Akademię – uzasadnione naukowo, a jednak ma się wrażenie, że gardzienicką sztukę lepiej tłumaczą słowa, które słyszy się w jednym ze spektakli: *Trzeba, abyś nie rozumiał!* Mimo iż intelekt może być nie w pełni usatysfakcjonowany (można poczuć się jak niewtajemniczony obserwator mistycznego obrzędu) przeżycie emocjonalne i estetyczne jest niepowtarzalne.

Ostatnie wydarzenie artystyczne w teatrze w Gardzienicach stanowi swoistą summę dotychczasowych dokonań zespołu kierowanego przez Włodzimierza Staniewskiego. Składające się nań spektakle – przyczynki do wielkiej księgi europejskiej kultury – narastały przez ponad dwa dziesiątki lat. Przez te lata Akademia Praktyk Teatralnych wypełniała wciąż to samo zadanie – wskrzeszała i ożywiała dawną pieśń. Twórcy z Gardzienic zajmowali się w tym czasie *sui generis* archeologią kulturową. Docierali do najdawniejszych przekazów, w jakich zamyka się europejska tradycja, i interpretowali je. Owe przekazy miały bardzo różny charakter: od starożytnej poezji wyrytej w kamieniu, poprzez ruch i taniec zastygły w rysunkach z greckich waz, aż do pieśni zasłyszanej od wiejskiego ludu. Wszystko, co udało się artystom wyczytać z tych tekstów kultury, przetworzyli w nową jakość. Jest w tym nieco białej magii, doskonałość techniczna, a przede wszystkim głęboka świadomość, skąd pochodzi sztuka europejska i jakie przybiera formy.

Czym jednak tłumaczyć nadanie temu przedstawieniu tytułu *Kosmos*? Wydaje się on bardzo przekorny. Kosmos to przecież synonim ładu, harmonii, statyki i całościowości. Tymczasem sam spektakl najlepiej charakteryzują określenia antonimiczne: wielość, różnorodność, dynamika i fragmentaryczność – tak jak kulturę europejską, gdy spojrzeć na nią z perspektywy historycznej. Gardzienicka sztuka, na podobieństwo naszej tradycji kulturowej, nie przypomina – że posłużę się geologiczną metaforą – skały przeobrażonej: granitu czy bazaltu. Poszczególne składniki nie stopiły się w niej w jednolitą całość. Jest raczej podobna do zlepieńca, konglomeratu różnorodnych elementów – połączonych, a jednocześnie odrębnych. Mimo to – i w kulturze, i w spektaklu – mamy poczucie jedności w wielości. Spoiwem dla niejednolitych, czasem niezgodnych z sobą fragmentów *Kosmosu*, jest pieśń. To dzięki niej „z chaosu ład się tworzy". A widz nabiera przekonania, że słyszy muzykę sfer.

Aneta Wysocka

ŁUKASZ MARCIŃCZAK

KOLEKCJONERZY W „SUKIENKACH"

Michał Choromański – pisarz, którego biografia przypomina wachlarz rozpościerający się przed zdumionymi oczami, w jednej ze swych mniej znanych dzisiaj powieści sportretował – mniejsza o to, czy mamy do czynienia z rysunkiem z natury czy też tworem czystej imaginacji – solidnego majora 7 pułku artylerii polowej, Łasiborskiego. Hobbystę, kolekcjonera, który po służbie poligonowej, w domowym zaciszu, oddawał się wklejaniu do specjalnego sztambucha wycinków prasowych poświęconych ni mniej, ni więcej tylko samobójcom. Wklejone tam być miały również kawałki sznurów, w których – jak wolno przypuszczać – pan major widział – wyrażając się metaforycznie – ostatnią nić, jaka wiązała z życiem dobrowolnych wisielców. Nie wchodząc głębiej w ten nadzwyczaj osobliwy przypadek kolekcjonerstwa dodajmy tylko, że major Łasiborski w jednej z ostatnich scen książki rzuca się pod straszliwie dymiący – rzecz działa się przed ostatnią wojną – pociąg kurierski.

Znowuż król Jan Sobieski namiętnie kolekcjonował rzadkie okazy fauny. U bawiącej we Francji Marysieńki zamawiał papugi i kanarki, synom – których posłał w podróż kształcącą po Europie – surowo przykazał przywieźć salamandrę i małpę. Zamówił nawet krokodyla, który – ku strapieniu monarchy – zdechł już w Gdańsku. Wiadomo, że latami żałował strusia, znalezionego w namiocie wezyra z odciętą głową, ale wiadomo też skądinąd, że posiadał w Wilanowie kazuara i tajemnicą króla pozostanie, jak zdobył tego egzotycznego, pochodzącego aż z Australii ptaka. Była podobno w Wilanowie prawdziwa menażeria królewska, gdzie trzymano rysie, bawoły, niedźwiedzie, ale największą sławą w kolekcji Sobieskiego cieszyła się oswojona wydra imieniem „Robak", którą podarował królowi – acz z żalem – imć pan Jan Chryzostom Pasek.

W naszej opowieści pragniemy jednak zająć się kolekcjonerami większego kalibru, jak najdalszymi od tego, by upodobania swoje wypełniać treścią prywatnie. Kolekcjonerami, którzy wierzyli, że mają do wypełnienia pewną misję, kolekcjonerami – powiedzielibyśmy – pro publico bono. W tym miejscu – pragnąc, aby nasze stanowisko pozostało tu bez niejasności – pozwalamy sobie przed osobami, o których mamy zamiar opowiedzieć, pochylić czoła.

Trzy kwadranse koleją od Lublina leżą Puławy. Należały do Czartoryskich, ale w gruncie rzeczy od początku do końca były dziełem jednej kobiety – małżonki niedoszłego polskiego króla, Adama Kazimierza i matki okrzykniętego królem polskiej emigracji Adama Jerzego. Przede wszystkim jednak była księżna Izabela Czartoryska chyba najoryginalniejszym kolekcjonerem w całej naszej historii, a jej kolekcja puławska z pewnością najosobliwszą.

Izabela była bardzo romansowa, bardzo inteligentna i jeśli nabiła sobie czymś główkę, zdążała ku temu z żelazną konsekwencją. W roku 1794 wpadła na myśl wyborną, choć docieczenie jej źródeł sprawia nam dzisiaj nieco kłopotu. Trzeba by wziąć pod uwagę ówczesny – popowstaniowy – stan umysłów, klasyczny typ XVIII-wiecznego wykształcenia oraz szczyptę książęcej tromtadracji. Efektem tego wszystkiego stało się arcyniezwykłe muzeum w Puławach. Z dawnej świetności niewiele tu zostało, lwia część zbiorów jest dzisiaj w Krakowie, ale przeglądając stare księgi inwentarzowe musimy dać się porwać owym zawartym tam ciągom enumeracyjnym, bo drugi raz już chyba kolekcja taka się nie narodzi.

Dzieje tego sanktuarium sztuki, patriotyzmu i niewątpliwie czegoś jeszcze, choć trudnego do nazwania, podzielić trzeba na trzy etapy. Bohaterem pierwszego jest Piotr Aigner – z urodzenia i zawodu (był nadwornym architektem) puławianin, z serca i duszy – filohellen. Ten człowiek zgodnie z życzeniem Izabeli postawi w parku puławskim cały szereg budowli, z których interesują nas dwie – one bowiem stanowić będą oprawę kolekcji. Pierwsza jest wierną repliką świątyni Westy z Tivoli pod Rzymem, budowlę tę Izabela ochrzci mianem świątyni Sybilli, druga to tzw. domek gotycki. Ramy są więc swoistą mieszaniną antyku i średniowiecza, tak jak widziano je na przełomie wieku XVIII i XIX. Mamy więc romantyczny już posmak religijności wyżywającej się w adoracji kamieni i przemożnej skłonności do opiewania bogów i bohaterów oraz zmieszane z tym starorzymskie przekonania obywatelskie i nowożytne cnoty intelektualne. To także jakaś część prawdy o Puławach.

Bohaterem etapów kolejnych jest wyłącznie Izabela. Kiedy wszyscy prawdziwi mężczyźni żuli bezsilnie wąs na emigracji lub usychali w kazamatach, Izabela postanawia działać. Idea księżnej jest prosta i po kobiecemu powikłana. Marzą się jej Puławy jako stolica duchowa kraju. Zebrane tu pamiątki po sławnych Polakach, ojcach narodu, królach

i hetmanach mają podtrzymywać w narodzie płomień, który w odpowiedniej chwili ogarnie sobą cały kraj. Narodowe sanktuarium, ołtarz Ojczyzny – piękna, wysoce idealistyczna, zgoła macierzyńska idea.

Początki kolekcji były skromne. Laska, którą marszałek Małachowski otworzył Sejm 4-letni, szabla księcia Józefa, emaliowana tabakierka króla-wygnańca Leszczyńskiego. Izabela niczym kwestarz objeżdżała pałace, odwiedzała podziemia klasztorne, aż stanął na jej drodze Tadeusz Czacki. Czacki – sam zawołany kolekcjoner, chwytał się grubszych niż księżna metod i nie wahał zaglądać także do grobów. Spotkanie to zaowocowało w obie strony. Ona przyjęła trochę jego metod, on przejął się jej ideami i rychło zbiór czaszek królów i uczonych uświetnił zbiory puławskie. Na korzyść Czackiego powiedzmy, że częstokroć oglądano wtedy sceny, gdy pijane żołdactwo profanowało świątynie, dużo obiecując sobie po bogato zdobionych grobowcach i bywało, że kości hetmanów walały się po całym kościele. Takie to były czasy – jedni szukali w grobach precjozów, dla innych drogocenne były gołe kości.

W każdym razie w tych niełatwych czasach uciekała się Izabela do rozmaitych forteli i spora część majątku Czartoryskich spoczęła w szkatułach kanoników i zwykłych mieszkach posługaczy kościelnych. Kiedy pewnego razu, po bytności Izabeli i Czackiego w Krakowie, odkryto, że grobowce wawelskie pozbawione są wielu ozdób i niektóre trumny wydają się być naruszone, a kapituła milczy jak zaklęta, w mieście zawrzało. Rymotwórcy krakowscy załamywali ręce nad losem ojczyzny: „Mniejsza, że cię obdarły i Scyty i Goty, to gorsza że cię darły własne patryoty". Oczywiście największe cięgi zebrała Izabela i długo jeszcze wspominał Kraków „o tym wandaliźmie, którego się dopuściła spódnica". Potem, gdy nikt już nie podawał w wątpliwość szlachetnych pobudek, którymi kieruje się Izabela, posyłano do Puław narodowe pamiątki hurtowo. Jak wezbrana rzeka płynęły zewsząd: karabele, strzemiona, listy sławnych Polaków.

Zajrzyjmy wreszcie na karty rejestru tego puławskiego pół-skarbca, pół-relikwiarza, sporządzonego ręką Izabeli w r. 1825. Znajdujemy tutaj: czaszki Chrobrego, Śmiałego, Kopernika, Kochanowskiego, Czarnieckiego i Żółkiewskiego. Po tę ostatnią księżna wyprawiła się sama, kiedy dotarły do Puław wieści o obleganiu Żółkwi przez Austriaków. Notabene czaszkę tę przed laty żona hetmana wykupiła była z rąk Turków, by po wielu latach Izabela mogła wyrwać ją z rąk Austriaków. Dodajmy tu jeszcze, że o relikwie po Chodkiewiczu monitowała wielokrotnie jego rodzinę i czyż – powiedzmy to na usprawiedliwienie Izabeli – mogą pozostawiać wątpliwości najlepsze intencje księżnej, która do prawnuka hetmana, wyrażającego widać niejakie skrupuły, pisała prawie histerycznie: „Do Polaka mówię, do Polaka, który dał dowody, że nim jest i że Ojczyznę kocha!"

Dalej w inwentarzu idą: ułomek z grobu Łokietka, trzy słupki marmurowe z grobowca Kazimierza Wielkiego, kula żelazna z trumny Jagiełły, krzyż żelazny z grobu Jana III, marmurowa gałka z grobu Kazimierza Jagiellończyka, cały nagrobek Jana Kochanowskiego z kościoła w Zwoleniu oraz gwoździe (sztuk cztery) z trumny Anny Jagiellonki. Nie wchodząc już w to, jaką koleją rzeczy relikwie te dostały się pod skrzydła Sybilli, kontentujmy się tym, że były i patriotycznie nastrojone umysły znajdowały w tym pociechę. Czytamy dalej: dwa miecze krzyżackie, które Wielki Mistrz ofiarował Jagielle i Witoldowi tuż przed bitwą grunwaldzką, grawerowana szabla Stefana Batorego, modlitewnik Władysława II, naszyjnik królowej Jadwigi, kule armatnie spod Racławic, kamień wydłubany z progu domu Kościuszki na Litwie, nadesłany przez magistrat toruński kawałek gzymsu z izby, w której urodził się Kopernik, cegła z Bramy Lubelskiej w Zamościu, pod którą powracający spod Byczyny Jan Zamoyski przeprowadził sromotnie pobitego austriackiego arcyksięcia itd., itp.

W miarę upływu czasu zbierackie zapędy księżnej przekraczają ramy narodowe. Obok pamiątek po wielkich Polakach Izabela zaczyna gromadzić świadectwa po sławnych mężach innych narodów, a że na guście jej nie zbywało, zabiega o przedmioty po najświatlejszych. Zamyka się pierwszy etap zbierania kolekcji – powstańczy, patriotyczny, a zaczyna praca u podstaw. Wizyta w Puławach to nie ma już być trąbka do boju, ale lekcja historii, nasiąkanie wielką cywilizacją przez obcowanie ze śladami olbrzymów. W gromadzeniu tej oryginalnej kolekcji Izabela znowu gra pierwsze skrzypce. W Anglii prowadzi boje z rodziną Szekspira o jego fotel, który w końcu zdobywa. Potem kupuje jeszcze cząstki drzewa z krzesła Ariosta, a od ciotki Jana Jakuba Rousseau w Genewie kompletne ubranko dziecinne, w którym wielkiego Russa ochrzczono. W Edynburgu wchodzi w posiadanie kosmyka włosów Marii Stuart, a od siostry kapitana Cooka nabywa jego kordelas. W Paryżu targuje pionek z szachownicy pani de Staël, sfatygowane pantofle pani de Maintenon oraz „gwóźdź z okrętu zwanego Bellerophon, na którym płynął Napoleon na wyspę św. Heleny".

Siedząc w Puławach prowadziła Izabela kupiecką bez mała korespondencję z dziesiątkami ludzi, których darzyła zaufaniem. Przebywający na emigracji gen. Sokolnicki przetrząsał dla niej Niemcy i Belgię i posyłał do Puław niecierpliwie oczekiwane paki zdobywanych w ten czy inny sposób eksponatów. Sokolnicki miał jakiś dar do wynajdywania kuriozów – posłał np. nogę od łoża sławnego grafa Gleichen, który, po ostatniej krucjacie, za zezwoleniem papieża, miał dwie żony. Poza tym posyłał paki z witrażami ze zrujnowanych kościołów w Belgii. Jego darem była też żelazna rękawica Fryderyka Rudobrodego, druciana koszulka Jana Bez Trwogi i szpada Marcina Lutra, gdy sławny herezjarcha był jeszcze zwyczajnym sobie studentem w Wittenberdze. Sędziwy już Niemcewicz powracając z Ameryki wiedział, że nie ma się co pokazywać w Puławach bez czegoś mogącego zaspokoić wybredną księżną – przywiózł filiżankę Waszyngtona.

Izabela rozpętała też manię rodzinną – wszystkie listy pisane do dzieci kończyła usilnymi prośbami o rozglądanie się za najrozmaitszymi unikatami, jakie dodałyby splendoru Puławom. Córka, Maria Wirtemberska posłała matce kałamarz Machiavella, kawałek sukni Hussa oraz – z Padwy – fragment szafki samego Petrarki. Ale w puławskich zbiorach były też (ofiarodawca pozostał nieznany) cząstki kostki z ręki Laury, nie licząc innych sławnych kochanków – Cyda i Jimeny, Heloizy i Abelarda, także fragment kamienia z grobu Romea i Julii. Co zaś do kamieni, to w antyczne sztuki zaopatrywał Puławy syn Izabeli – Adam Jerzy, późniejszy ambasador cara Aleksandra, a w końcu król emigracji. Podzielający idee surowej matki czy też po prostu posłuszny jeździł na Akropol, do Pompejów, zatrudniał ludzi do kopania na Forum Romanum. Miała więc Izabela dwa kamienie ze Skały Tarpejskiej, kamień z domu wiejskiego Pompejusza, z pałacu Cezara, z łaźni Tytusa, ze świątyni Jowisza, z łuku Konstantyna, z mauzoleum Hadriana; były też pompejańskie mozaiki i sztuka lawy z Wezuwiusza. Były kawałki świątyni druidów i cegły z Bastylii. W Izabeli zaś czasem odzywały się iście książęce fanaberie – zasypuje syna listami, aby wystarał się o niezbędny do pałacu starożytny posąg pantery lub lwa i zniecierpliwiona pisze: „Przysyłasz mi głowę Safony, kiedy ja chciałam biust fauna, pantery albo sfinksa". To właśnie uległy matce Adam Jerzy przyczynił się szczególnie do podniesienia artystycznej wartości puławskiej kolekcji – to on zakupił dla niej we Włoszech do dziś najsłynniejszy obraz w zbiorach polskich *Damę z gronostajem* Leonarda da Vinci.

Dziś kolekcja Izabeli jest już uładzona, nikt nie kwapi się pokazywać kuriozów i rzeczy niepewnego pochodzenia – choć kto dowiedzie, że ten czy ów kamień nie był de facto stąd czy stamtąd. Coś musiało być na rzeczy, albowiem prawie wszystkie eksponaty podpisane były nazwiskiem ofiarodawcy, a większość z nich to ludzie solidni – Jan Śniadecki, Tadeusz Matuszewicz, poważny Franciszek Sapieha, który z wojażu po Azji Mniejszej przywiózł rzeczy zupełnie tuzinkowe, a przecież wystawiono je bez upiększeń – kamienie z rzeki Skamander oraz nieco trawy z miejsca, gdzie stała Troja. Byli też w tym gronie rozmaici prałaci, książęta, baronowie, jest lord Elgin, ba, jest nawet król Francji Karol X, który posłał do Puław plecionkę z włosów Agnieszki Sorel – kochanki swego imiennika Karola VII.

Może ludzie dawniejsi mniej skłonni byli do fałszerstw, o czym świadczy choćby to tylko, że w te eksponaty wierzono powszechnie i żaden trzeźwy umysł nie powątpiewał podówczas w ich autentyczność. A kto dziś dałby wiarę w te gwoździe z Bellerofonta, od razu uznano by to za oszustwo, bałamucenie poważnych ludzi. Słowem, staliśmy się niesłychanie sceptyczni. A chyba lepiej żyło się wśród ludzi staroświecko naiwnych, szczerych, dobroduszych, a jeśli choćby połowa z darczyńców księżnej taka była, to najmniej połowa tych osobliwości jest autentykiem. Bo o tym, że nie wszystko brano na poważnie, świadczy napis na jednym z eksponatów: „Strzała jakoby Wilhelma Tella".

A teraz otwieramy akt drugi niniejszej opowieści. Zmieniają się dekoracje – z leżących na północny zachód od Lublina Puław przenosimy się do Sandomierza, który położony jest odeń na południe. Miasto jest stare, pamiętające czasy wypraw krzyżowych, tzn. zachowały się groby sandomierzan, którzy do Ziemi Świętej orężnie pielgrzymowali; jednym z kanoników przy tutejszej katedrze był sam Jan Długosz. Długosz wybudował tu dom, który dziś jest Muzeum Diecezjalnym. Jest to muzeum bardzo szczególne; pod pewnym względem ogromnie przypominające puławskie. Po trosze gabinet osobliwości, lapidarium, relikwiarz, zarazem będące czymś pomiędzy galerią a rupieciarnią. Powiedzmy sobie od razu – jest to najbardziej niezwykłe ze wszystkich muzeów krajowych. Ta niezwyczajność, w jakiej muzeum sandomierskie naśladuje puławskie, polega też na osobach ich twórców. O ile kobieta kolekcjoner to już samo w sobie pewne kuriozum, to może większe jeszcze zdziwienie budzi kolekcjoner ksiądz.

Ksiądz Józef Rokoszny – drugi z bohaterów tej opowieści – pojawił się w Sandomierzu w roku 1897, rozpoczynając wykłady z historii sztuki kościelnej w tutejszym seminarium.

Od pierwszych dni oczarował go przepych, jakaś swoboda, z jaką sypnięto w tę ziemię mrowiem arcydzieł, a zaraz potem przeląkł się poufałości, z którą z owym arcybogactwem poprzestawano. Nie brała się ze złej woli, po prostu obcowano z tym na co dzień od zawsze, więc jeśli była w tym jakaś niezwykłość, niestosowność, to uchwytna mogła być jedynie dla człowieka przybywającego z zewnątrz.

Ksiądz Rokoszny – po części z pobudek zawodowych – zadrżał, załamał ręce, po czym rzucił się ratować co jeszcze ratować się dało. Zachowały się wspaniałe opisy jak to szacowny profesor sandomierskiego seminarium niczym śledczy objeżdża plebanie. Wdrapuje się na skrzypiące ze starości dzwonnice, przetrząsa chóry z organami, zakrystie, garbarnie kościelne, nicuje kościelne szafy, kufry, szuflady. Z obłędem w oku wyciąga ze strychów pokryte wiekowym kurzem XV-wieczne obrazy, dziesiątki bezcennych sarmackich portretów zagracających piwnice, średniowieczne tarcze heraldyczne, mszały nadgryzione przez myszy i zalegające komory koronki i adamaszki, w których harcują bataliony pająków. I wszędzie taka sama bezceremonialność w obejściu się z bezcennymi często dziełami. W swoim notatniku ks. Rokoszny zapisał: „Los tych przedmiotów jest rozmaity, ale ostatecznie co drewniane idzie do pieca, co metalowe sprzedaje się na wagę handlarzom". Doskonale pojmował, że z każdym dniem tych rzeczy w sposób nieodwracalny ubywa. Dlatego dwoił się i troił, i w końcu trzy pokoje w dawnym klasztorze Benedyktynek, które darowano mu dla muzealnej działalności, przypominały monstrualną graciarnię, gdzie piętrzyły się stosy ornatów, spróchniałe figury, stara porcelana i malowane na deskach obrazy starsze niż niejeden sandomierski kościół.

Musiało upłynąć jeszcze z górą ćwierć wieku, aby godny następca księdza Rokosznego ks. Edward Górski spełnił marzenia swojego poprzednika, bowiem w roku 1937 doprowadził do utworzenia Muzeum Diecezjalnego, które nieprzerwanie funkcjonuje do dziś w zabytkowym Domu Długosza.

Gotycki domek Długosza jest niewielki, do poszczególnych salek przechodzi się wąskimi korytarzykami lub wspina się po stromych drewnianych schodkach. Eksponatów stale przybywa, więc dziś muzeum przypomina czasy, w których ksiądz Rokoszny pokazywał zbiory w trzech pokoikach klasztornych. Istotą tego muzeum jest chaos, jakieś pierwotne pomieszanie wszystkiego ze wszystkim.

Ale cóż to za cudowne odmęty, ocean rzeczy wszelakiego autoramentu, które łączy to tylko, że kiedyś znalezione je na strychu lub w skrzyni pozostałej po dawno zapomnianych ludziach. Czasem tylko zadrży człowiek patrząc na wynurzające się z tego bezliku dzieło godne Uffizich, spoczywające latami w kościelnym lamusie.

Od pierwszego postawionego tu kroku w głowie powstaje zamęt i przychodzą na myśl niezwykle konkretne zaświaty, w których wszystkie rzeczy koniec końców lądują, niczym ludzie po śmierci. Może cokolwiek co było, choćby przez chwilę, musi trwać po tamtej stronie i w ten sposób babcine naparstki, zużyte stalówki i starte w proch posągi tracąc kształt tutaj, w jednej chwili odzyskują go tam?

Zaraz przy wejściu niczym najzwyczajniejszy oleodruk wisi Matka Boska z Dzieciątkiem Cranacha Starszego, tuż obok XV-wieczny relikwiarz pełen sproszkowanych szczątków nieznanych z imienia męczenników Kościoła, a nieco dalej filigranowe, wyścielane czerwonym aksamitem pudełeczko, w którym rozsypano drobne włoski. Ono także przypomina relikwiarz, bowiem jak informuje zapisana kaligraficznym (może kobiecym) pismem bibułka ofiarodawcy z początku XIX stulecia – pudełeczko zawiera pukiel włosów samego Napoleona. Znowu jak w Puławach, ale widać wszystkie stany miały wtedy Napoleona po trosze za Boga. Dalej mamy: modlitewnik księdza Kordeckiego, brewiarz księdza Skorupki, fragment pnia lipy, którą miał sadzić św. Stanisław, listek róży zbroczony krwią św. Benedykta, kromkę chleba z czasów oblężenia miasta przez Szwedów, cegiełkę ze Złotej Bramy w Kijowie, ikonę cara Aleksandra I, na którą przysięgać mieli dekabrzyści, miniaturowe, nie większe od paznokcia wydanie *Bajek* Mickiewicza oraz XVIII-wieczną, wykonaną w kości słoniowej tarkę do ucierania tabaki. Drewnianych rzeźb z XV i XVI wieku wielkie mnóstwo – potężne, naturalnej wielkości, polichromowane lub złocone, stoją niczym zaklęty tłum i wydaje się, że jest ich tyle, ile wykonanych w Chinach terakotowych żołnierzy cesarza Shi Huangdi.

Dla szczupłości miejsca w wąskim i mrocznym korytarzyku poustawiano ułomki romańskich figur, fragmenty obramowań okiennych z renesansowej rozbudowy sandomierskiego zamku, fragment mozaiki z cerkwi przy placu Saskim w Warszawie zburzonej w r. 1918 i bęben, który pozostawili w Sandomierzu żołnierze austriaccy salwując się ucieczką w roku 1809. Zagospodarowano każdy cal przestrzeni i bywa, że mniejsze antyki lokowane są w większych, a te dopiero zajmują wąskie powierzchnie w antycznych szafach i staro-

świeckich komódkach. Mamy więc XIV-wieczne cegły obok scytyjskiech kolczyków, lamp chanukowych, nożyc do objaśniania świec, putt z XVIII-wiecznych ołtarzy, szkaplerzyków i specjalnych krzyży hiszpańskich do odpędzania zarazy morowej. Na XVI-wiecznym antyfonarzu leżą też jak gdyby nigdy nic stopy słonia. Jak się tu znalazły, pozostaje tajemnicą, taką samą jaką otoczone są prawie wszystkie zgromadzone tu rzeczy. Ile razy przechodziły z rąk do rąk – dziedziczone, ofiarowywane, pozostawiane w zawierusze wojennej, a w końcu trafiające na strychy kościelne, skąd je wydobywano tysiącami – to na zawsze pozostanie domysłem.

Przy którejś z kolei bytności tutaj – rozpoznany i obdarzony zaufaniem – mogłem sam połazić po ciasnych wnętrzach, niewidziany przez nikogo zatrzymywać się dowolnie długo przed tym czy owym. I uległem pokusie – pukałem lekko paznokciem z XIV-wieczne drewno tak cudownie ulepione palcami, gładziłem śliski i chłodny kurdyban, podnosiłem do światła XVI-wieczne norymberskie misy chrzcielne. I rozumiałem, wchodziłem w dusze kolekcjonerów. W to dobroduszne maniactwo podszyte miłością, która kontentuje się kawałkiem materii niczym żywą i piękną istotą, a ręka sama skłania się do pieszczoty, jakby wszelka szorstkość, grubość nigdy nie istniała.

Łukasz Marcińczak

BOGUSŁAW BIELA

ODSŁONY Z NIEDALEKIEJ PRZESZŁOŚCI

Och nie – to nie kres nocy, to raczej szelest milczenia tych osiemnastu lat. Wydawało się wtedy, że samolot przeniesie również nasze myśli, złości, niepokoje – odmieniając je, bo przecież tysiąc pięćset kilometrów dalej powinno być inaczej. Tymczasem przestrzeń nie tylko niczego nie zmienia, ale jeszcze dodatkowo każe siebie odkrywać. Kapryśność pór roku, gwałtowność wiatru, wyniosłość drzew patrzących z wysokości swoich dwudziestu pięciu czy trzydziestu lat, nie tak znowu szybko oswaja z tym, co nazywamy nowym.

Wyjechać, to jakby trochę umrzeć – twierdzą Francuzi. Opuszczając wydeptane drogi, znajome drzewa, stare kamienice i znane od lat – wytarte butami – schody nie uciszymy krzyku, gwaru i nawoływań sąsiadów. Ich twarze będzie przesuwał wiatr, układając w Sekwanie coraz jaśniejsze obrazy, szybko znikające pod falą. Mijani przechodnie będę mieli twarze naszych przyjaciół, a ich szept będzie odtąd oznaczał siedem przypadków polskiej deklinacji. Tak upłynie wiele lat. W tym czasie sporo się zmieni na świecie. Dawno niesłyszane języki słowiańskie i bałtyckie wypowiedzą swój ból z wyjątkową siłą. Inni wybiorą szybki sąd i egzekucje. Wybieleją kamienice paryskie. Niektóre dzieci będą musiały zdać egzamin ze znajomości dziesięciorga przykazań, które szybko zapomną. Przybędzie nam zmarszczek na twarzy i siwych włosów.

Wiec wyjazd czym jest? W normalnych warunkach zmianą miejsca pobytu, skokiem w inną przestrzeń. Wtedy, w osiemdziesiątym drugim, z dwojgiem małych dzieci i dwoma torbami, uszytymi na zamówienie u krawca w Krakowie, był wyjazd jakąś postacią marzenia o innej cywilizacji. Nagość, nędza, głupota i nikczemność systemu, w którym żyliśmy, wydawały się tak wielkie, że zapomnieliśmy o prawie względności, przywracającym jednak właściwe proporcje naszemu światu. Ale też szarość, nijakość i beznadzieja życia w kolejce, nie umacniają postawy stoickiej. Wyjazd jest więc odruchem na nienormalność. Trudno powiedzieć, na ile jawi się on nam jako decyzja świadoma. Wydaje się raczej, że stanowi pewnego rodzaju unik, będąc czymś pośrednim między myślą a emocją. Spojrzenie zatrzymuje się na starannie wypisanym bilecie samolotowym, myśl powoli analizuje trzydzieści lat życia. Wszystko odbywa się szybko, sprawnie: włączają silniki, podjeżdża autobus.

Dopiero spotkanie z nowym językiem pokazuje nam dokładnie, że są rożne sposoby opisu świata. Wtedy też słowo „wyjazd" wyzbywa się powoli naszej mitologii, zostaje włączone do innego słownika, nabiera nowych znaczeń – na pewien czas rozpływa się. Nie umyka nam jednak całkiem. Wraca przecież, wspomniana wyżej, przestrzeń. Przemierzając ją codziennie, oddzielamy sen od jawy, marzenie od rzeczywistości, rozmowę od zdawkowej wymiany zdań, słowo „wyjazd" od słowa „przyjazd".

Wdzięczny wam jestem, ludzie średnich wieków, za tę symetryczną bryłę z kamienia, którą nazwaliście katedrą w Chartres. Pewnego dnia pomyśleliście zapewne, że te kolorowe stroje, stoły biesiadne, rubaszne dowcipy, dzbany pełne wina, kosze zapełnione owocami – nie stworzą waszych snów, ani nie uchronią was od strachu przed śmiercią. I wtedy mocne i zdrowe dłonie dotknęły kamienia. Po ciężkiej całodziennej pracy wino doskonale gasiło pragnienie, a taniec miał jakiś inny, nieznany wcześniej powab. Spojrzenia kobiet lustrowały wasze napięte muskuły, zmarszczki na twarzy, obfity pot zraszający kraciaste koszule, podczas gdy wy, nieśmiało mrużąc oczy, myśleliście o nieposłusznym kamieniu.

Jeśli ten sen był śladem dnia zaledwie, to nagle, mocą jednej decyzji, zmuszono go do objęcia aż czterech pokoleń. Wczesnym rankiem, wkładając buty, myślał Jean François o czasie tworzenia. Wieczorem, znużony pracą, układał przy stole mozaikę witraża. Sny czerwono-żółto-niebieskie zyskały na intensywności, codzienne rozmowy nasycono dźwięcznym językiem rzemiosła.

Wyciągnięto narzędzia z ciężkich, drewnianych skrzyń. Przypomniano sobie o snach pradziadów. Jeszcze słychać echa wyuzdanych uczt, a już anioł zwiastuje triumf kamienia. Stanęła budowla i zabrakło wam słów. Zrozumieliście, że stoicie w miejscu, gdzie milczenie jest jedynym możliwym słowem, na które tak długo czekaliście. Zbudowaliście świat. Wszak katedra to obraz świata.

Jest niewątpliwy związek między otwarciem skrzyni pełnej narzędzi, a otwarciem ciężkich, drewnianych drzwi katedry. Jest głęboka zbieżność wczorajszego z dzisiejszym, ponieważ wyniosłość świątyni, jej powiedziałbym nachalna obecność, zmusza do wstrzymania kroku. Czy to nadmiar wrażeń dyktował wam tak niezwykłe pomysły? A może tęsknota za precyzją, ładem, harmonią jako przeciwwagą rozpasanej wrzawy życia? Zapewne mogło i tak być.

Buntować się przez tyle lat przeciwko zastygłym formom, pozie, wydumanym mitom. Buntować się przeciwko spłyceniu, gadulstwu, źle rozumianej towarzyskości. Buntować się, nade wszystko, przeciwko sobie. Ujawniać fałsz chwilom, którym pozwalamy tak łatwo i bezkarnie odchodzić.

Nieprzyległość słów. W czasie spotkań z innymi słowa roztapiają się, tracą swój korzeń – stają się zwrotem, wyrazem, zdaniem tylko, oznajmieniem zaledwie. Mówić tak (czy można?), aby słowo było pełne słońca, wody, ziemi. Mówić tak do siebie i do innych.

Przyzwyczajenie, a właściwie nawyk (tak trudno je rozdzielić!) pracy w kuchni. Kuchnia jest zwykle mała. Sprzęty pokazują się dokładnie w ich właściwej funkcji. Stół chybocze się pod naciskiem maszyny do pisania, twarde krzesło, naczynia odpoczywające po gotowaniu, kuchenka elektryczna, na której możesz znowu postawić czajnik z wodą, aby po chwili wypić jeszcze jedną herbatę, szum wody w kranie. Kuchnia ustawia cię we właściwym miejscu. Między fizjologią jedzenia a pracą nasyconego mózgu. Ale kuchnia to również ciepło pokarmu, zapach obieranych jarzyn i życie sprzętów. Pokój – to co innego. Tam są meble, książki, telewizor. Pokój jest jak gdyby cząstką cywilizacji i kultury. Kuchnia jest raczej warsztatem pracy. Tutaj jesteś bardziej z sobą, bardziej z rzemiosłem w sensie dosłownym, mniej z gestem kultury, mniej z rolą.

To wszystko jest także sprawą obecności w przestrzeni. W kuchni (najczęściej małej) musisz być poważniej natężony, skupiony, ograniczony do siebie. W pokoju pomaga ci przestrzeń i odmienność dekoracji. Oglądasz telewizor, możesz przekartkować książkę lub gazetę, posłuchać radia – przedmioty ci wyraźnie pomagają w rozmowie.

Jak ważny jest dom człowieka! Sprzęty, które lubi, książki w biblioteczce przykryte kurzem tylu lat czytelniczych, pejzaż, który widzi z okna, tak bardzo go wprowadzający w świat. Zdjęcia w albumie sprzed dziesięcioleci, odsłaniające tak chętnie kiedyś oglądane twarze, a dzisiaj pewnie zmienione nie do poznania...

Jak uporać się z językiem? Jak wypracować właściwą takiemu zadaniu dyscyplinę? Prawie wszystko trzeba zaczynać od początku. Nauczyć się mówić, pisać, myśleć. Może to paradoksalne, ale tych zmartwychwstań jest bardzo wiele w naszym życiu. Dobrze jest również odrzucić większość przyzwyczajeń, ponieważ to właśnie one wprowadzają rutynę w nasze życie. Oglądać słowa z namysłem, tak jak obrazy w muzeum i nie rozpraszać się, w drobnych utarczkach z codziennością. Zgłębiać styl – jego soczystość i porowatość, zmysłową dotykalność i widzialność w delikatnym szumie słów. Rozwijać zdanie tak, aby płynęło miarowe, wystukując powoli każdą myśl, doświadczenie, zdobytą wiedzę i włożoną pracę.

Odrzucić złudny impresjonizm. Słowo winno obejmować rzecz, ale nie bratać się z nią. Między rzeczą a słowem jest dystans. Tym dystansem jestem ja.

W kuchni, z zeszytem siedzę, posuwam się tak wolno, że czas nader delikatnie podsuwa mi zegarek, abym nie zapomniał o zmianie koloru liści, a też o ludziach wracających z pracy.

Kiedy życie objawia się w pełni? Kiedy jest tobą, z tobą i dla ciebie. Chyba również wówczas, kiedy je potrafisz docenić, kiedy nie uciekasz. Chwila gęstnieje, myśl krzepnie i twoje kroki nabierają pewności.

Powaga przedmiotów – ich cierpliwość, jakby powiedział Zbigniew Herbert – przywołuje życie. Więc nie ma człowieka bez przedmiotów. Nie, to nie fetyszyzm. To raczej ważność człowieka w jego otoczeniu. Przedmioty są bowiem dotykalnym śladem jego obecności. Być może dlatego w Kościele tak ważna jest liturgia. Kielich, opłatek, tabernakulum, gesty.

Biegaj tam, gdzie cię nogi poniosą. Drzewa pochylone układają z liści zieloną katedrę. Brzydka, pomarszczona twarz pozdrawia cię. Na zlanych potem policzkach mięśnie wyciskają poranne uśmiechy. Psy cierpliwie czekają na swoich właścicieli. Samochody zatrzymują się jak punkciki w przestrzeni. Niebo ciemnieje. Odchodzi jeszcze jeden dzień w podparyskim lesie, z dala od nagrzanego asfaltu i szklanych biurowców stolicy.

Po ogłoszeniu stanu wojennego w Polsce, w ambasadzie polskiej w Paryżu pito szampana i wznoszono toasty za powodzenie, tego ze wszech miar niezwykłego przedsięwzięcia i wiekopomnej decyzji. Niektórzy z uczestników tego spotkania (i licznych jeszcze innych spotkań) są dzisiaj profesorami i na pewno inaczej przedstawiają ten tak dawno przecież miniony okres. Odsłony historii zależą bowiem od miejsca. W różnych miejscach można różnie interpretować rzeczywistość. W czasie stanu wojennego można było, na przykład, powiedzieć z katedry uniwersyteckiej, że „na socjalistycznym uniwersytecie studiuje socjalistyczna młodzież", a w kilkanaście lat później podawać się za jednego z założycieli „Solidarności" na uczelni, w polskiej prasie. Powtarzam: ważny jest czas, ale nade wszystko miejsce.

Staszek Pyjas przyszedł wtedy do akademika i pokazał swój dowód osobisty z wydartym zdjęciem. „Nie ma mnie" – powiedział. 7 maja 1977 roku, na ulicy Siennej w Krakowie, zawodowy bokser zachował się tak, jakby znał to zdanie. Odtąd, z roku na rok, widzę coraz wyraźniej puste miejsce Staszkowego dowodu osobistego.

Od lat odsłaniają się obrazy, czasem wolniej, a czasem w rytmie niesłychanie przyspieszonym. Słowa jednak muszą mieć czas na owocowanie. Dlatego pozwólmy im jeszcze poczekać.

Bogusław Biela

BRONISŁAWA KARST

LIST DO HENRYKA GRYNBERGA

Buffalo, 11 marca 2001

Mój drogi,

Skończyłam niedawno lekturę Twojej książki *Memorbuch*. Bardzo byłam nią wzruszona, poruszona, zdeprymowana, zadowolona, że można już tak w Polsce drukować.

Rozumiem, że ta powieść, historia pewnego człowieka, mogłaby być historią kogoś zupełnie innego: wystarczyłoby zmienić parę imion, parę dat i te same prawdy, podobne fakty funkcjonowałyby zupełnie dobrze. Ta sama groza i tu, i tam. Czy nie jest to potworne? I to suche, prawie statystyczne wyliczanie zabitych, zamordowanych, zagazowanych, zamęczonych. Suche, bo inaczej nie można.

Od razu uderzył mnie tytuł *Memorbuch*. A więc książka, w której zapis ludzkiego życia jest zarazem zapisem śmierci, pasmem śmierci, listą zmarłych. Lub odwrotnie, gdzie zapis śmierci jest zarazem kroniką życia. Nie wiem, czy istnieje inny naród, który może to samo o sobie powiedzieć i który może wypełnić karty swej *Memorbuch* tak szybko, jak stało się to u Żydów, zapisać całe tomy tak prędko, jak wiatr rozwiewa dym. Mam nadzieję, że nie ma takiego narodu.

Jak wspaniale napisana jest ta książka! Ilu ludziom mogłam się przyjrzeć w czasie lektury... Bardzo podobał mi się pomysł opisu Żydów w każdym z miast odwiedzonych w czasie czytania. I dodanie, prawie na końcu, historii innych osób. Bo przecież losy Bromberga nie były ani wyjątkowe, ani odosobnione, mniej lub bardziej tragiczne od tylu innych, będąc oczywiście okropne. Ani przed shoah, ani po. Powiedzieć, że nie były wyjątkowe wydaje mi się straszne, ale przecież tak to jest, tak to było...

Więc czytałam Twoją książkę, a potem patrzyłam przez okno i nie wiedziałam, czy mam się cieszyć, że świat nadal istnieje, czy być tym zgorszoną. Nie wiem, może po prostu robię się sentymentalna na starość, może takie mam czasami nastroje.

Byłam tej zimy w Kambodży; widziałam tak wiele wspaniałości, cudownych świątyń, pięknych posągów. A także „killing fields", te pola śmierci ukwiecone i zielone jak sielskie łąki, z chmarami unoszących się nad nimi motyli. Zwiedziłam szkołę, gdzie torturowano „wrogów narodu", gdzie z fotografii patrzyły na mnie ofiary, wśród nich wiele twarzy przestraszonych dzieci. Ciągnie się ta nić w nieskończoność.

Wybacz, że Ci zawracam głowę moimi nastrojami, że nudzę Cię. Chciałam Ci po prostu podziękować za książkę, to znaczy za możliwość przeczytania powieści, która nie chce się ode mnie odczepić.

Przesyłam moc pozdrowień i serdeczności.
Bronka

Henryk Grynberg: *Memorbuch*, Wyd. W.A.B., Warszawa 2000, ss. 357.

LESZEK SOBKIEWICZ

OSAD, CZYLI ZDANIE.
SZKIC O TŁUMACZENIU JEDNEGO WIERSZA

Kawa wypita bez namysłu późnym wieczorem owocuje bezsennością. Bezsenność prowokuje do różnych zajęć. Kwadrans spędzony na łamaniu bezsennej głowy przyniósł takie oto rezultaty:

Satz
Der Stein der das Innere des Wasserkessels bewächst
der gelbe Satz auf den Zähnen, der Staub im Mund,
Staub im Rachen und auf der Kleidung –

unser Leben im Gedicht.

Wiersz Dariusza Sośnickiego, odczytany w języku (np.) Paula Celana.

W oryginale, pochodzącym z tomiku *Marlewo* brzmi on tak:

Osad

Kamień porastający ścianki czajnika,
żółty osad na zębach, kurz w ustach,
kurz w gardle i na ubraniu –
nasze życie w wierszu.

Już pierwsza czynność w trakcie tłumaczenia wiersza wywołuje przyjemne zaskoczenie, zaciekawienie i błysk w oku. A wszystko to dzieje się za sprawą słowa *osad*. Jak w wierszu, tak i w życiu, osad bywa różny. Nie dręczę więc głowy o niestosownej porze i sięgam od razu po szkolny słownik niemiecko-polski Langenscheidta i czytam: *osad* to *Bodensatz* (czyli coś co osiadła na gruncie, na dnie), *Rückstand* (czyli coś co pozostało po czymś), *Niederschlag* (coś co opadło skądś), *Abscheidung* (coś co zostało wytrącone z czegoś) i geologiczny termin *Ablagerung*. Ponieważ mam umiarkowane zaufanie do słowników, mówię sobie... hola, nie tędy droga, ponieważ osad to po prostu... *Satz*. I tu otwiera się przede mną całe uniwersum możliwości: *Satz* ma kilkanaście znaczeń; w tym przede wszystkim jest to zdanie (gramatyczne), a dalej: twierdzenie (filozoficzne), skład (drukarski), część utworu muzycznego etc. Jak okaże się później, najważniejsze wśród tej różnorodności znaczeń będzie to pierwsze, czyli *zdanie*. Wydobędzie ono z polskiego tekstu dodatkowy, niejako ukryty sens.

Dlaczego jednak *Satz* jest *osadem*, skoro słownik tego znaczenia nie podaje? *Satz* jest tym, co *osiada*, czy też *osadza* się (*sich absetzt*) lub ogólniej: nominalna forma efektu wszelkich czynności, które w swym werbalnym rdzeniu posiadają wrostek *-setz-*. W złożeniach będzie to morfem określany (*-satz-*) będzie można więc wyobrazić sobie dużą ilość morfemów określających, a więc i znaczeń; choćby np. to co pozostaje po zaparzeniu kawy – *Kaffeesatz*, czyli fusy po kawie itd. Innymi słowy, *-satz-* jako niedookreślony morfem będzie właśnie tym *osadem* ogólnym, abstrakcyjnym, a więc i wieloznacznym, niezdefiniowanym.

Wróćmy jednak do proponowanego przez słownik słowa *Bodensatz*. Niemieckojęzyczny czytelnik będzie kojarzył je z osadem na dnie jakiegoś naczynia, jak choćby z rzeczonymi fusami po kawie. Bardzo wyraziście współbrzmieć będzie tu również owa (istniejąca w tekście oryginalnym, choć nie nazwana) metafora esencjonalności, dotarcie do dna (*Boden*) jako istoty czegoś, sedna (jakiejś) sprawy. W trakcie lektury wiersza mimowolnie wszak powstaje w myśli metafora: *osad naszego życia* (a więc i niemieckie: *der Bodensatz des Lebens*). W pierwszej wersji tytułu *Satz* efekt jest taki: słowo–tytuł koresponduje ze słowem w drugiej linijce wiersza i odwzorowuje zarazem układ oryginału. Dochodzi tu jednak jeszcze jedno znaczenie, ale o tym później... W wersji drugiej tytułu (*Bodensatz*) zabraknie już owego powtórzenia. Tytuł brzmieć będzie już może nazbyt konkretnie, a w przypadku jego metaforycznego rozumienia (którego nie sposób wykluczyć, także w przypadku tytułu *Satz*) zbyt dowolnie w stosunku do oryginału, tj. niezrozumiale.

Nie mogę jednak wybrać tytułu *Bodensatz*, gdyż w wierszu mowa jest o osadzie *na ściankach*, a nie *na dnie* (*Boden* = dno czajnika). Wybieram więc pierwszą wersję tytułu, by nie dopuścić się grzechu nadinterpretacji. Za wyborem tytułu *Satz* przemawia również długośc słowa, identyczna z długością tytułu w oryginale. Przekładam pierwszy wers. *Ścianki czajnika* sprawiają pewien problem w translacji; nie wchodzą w grę, gdyż użycie zdrobnienia od słowa *Wände* nie jest w tym przypadku po prostu możliwe. Z pomocą przychodzi mi jednak nieufność tłumacza: dokładne spojrzenie na rzeczony przedmiot uświadamia mi, że *ścianki* w czajniku (o klasycznym, okrągłym kształcie) są tylko umownym określeniem; osad pojawia się natomiast tylko na wewnętrznej stronie czajnika oraz na jego dnie. *Ścianki* zastępuję więc *wnętrzem* (*Inneres*). W tłumaczeniu znika też „herbata" (*czaj*) z *czajnika*; w języku niemieckim różnica między naczyniem do gotowania wody, a zaparzaczem do herbaty jest większa niż polskie zdrobnienie w nazwie naczynia podobnego kształtem, lecz mniejszego. Zamiast „herbaty" pojawi się więc „woda", czyli *Wasserkessel*. I choć „herbata" czyli *czaj* z czajnika nie jest w wierszu Sośnickiego znakiem, na upartego mógłbym jeszcze użyć słowa *Teekanne*, oznaczającego czajniczek, ale delikatna brązowa błonka, pojawiająca się na powierzchni herbaty jakieś trzy kwadranse po jej zaparzeniu, która wraz z ubywaniem cieczy z czajniczka przechodzi na jego ścianki, nie jest przecież tym samym co chropowaty osad wapienny wewnątrz aluminiowego naczynia; dumny dowód na to, że woda nie jest tylko płynem.

W momencie, kiedy zacząłem pisać ten tekst, postanowiłem już dokonać w pierwszej wersji przekładu kilku zmian: „wyrzucam" pisownię wielkich liter (wizualnie wiersz będzie przez to bardziej surowy i (konsekwentnie) wszystkie rodzajniki w mianowniku (nie będą potrzebne). Choć pora jest dziwna, szybko pojawia się jeszcze jedna wątpliwość: *gelber Satz auf den Zähnen*, z drugiej linijki wiersza. Określenie to już na samym początku wydawało mi się kłopotliwe, tak się po prostu nie mówi. Chciałem jednak w ten sposób uniknąć słowa *Zahnbelag*, które oznacza kamień nazębny, tu jednak chodzi o osad, przywołujący na myśl owo codzienne, nieprzyjemne wrażenie, drobny, acz odczuwalny znak upływającego czasu. Z drugiej strony słowo *Satz* doskonale odnosi się do tytułu, o czym już mówiłem. Wybieram więc *Belag auf den Zähnen*; zmiana czyni znaczenie bardziej czytelnym, a *Belag auf den...* to wcale nie to samo co *Zahnbelag*, gdyż złożenia w języku niemieckim mają bardzo ściśle określone znaczenie; to terminy techniczne, które po rozbiciu na czynniki pierwsze tracą swój pierwotny sens. Wiersz wygląda więc teraz tak:

satz
stein der das innere des wasserkessels bewächst
gelber belag auf den zähnen, staub im mund,
staub im rachen und auf der kleidung –

unser leben im gedicht.

Czy po tej operacji przekład będzie jednak nadal komunikatywny? Usunąłem przecież z wiersza jedyne słowo, które wyjaśniało czytelnikowi niejednoznaczny tytuł wiersza. Odpowiedź brzmi: tak. Lojalność wobec konkretu jest w tym przypadku ważniejsza od powtórzenia tytułu w tekście, gdyż znaczenie tytułu realizuje się i tak poprzez lekturę pierwszych trzech linijek wiersza, które owo znaczenie konkretyzują.

Po kilku godzinach snu i wypiciu porannej kawy sam jednak wątpię w taką nterpretację mojego przekładu. Sądzę, że wiersz nie będzie zrozumiały: morfem *satz* oznaczający ów abstrakcyjny, wieloznaczny osad nie powtarza się przecież już w wierszu. Mam więc taki pomysł: w oryginale pojawia się tylko jedna metafora: *kamień porastający*... Przy pierwszej lekturze doszedłem do wniosku, że wprowadza ona do wiersza pewną ciekawą asymetrię. W tym suchym, chropowatym świecie, pełnym kurzu i kamienia pojawia się przecież ten osamotniony znak szczątkowej biologii, sem rośnięcia; to coś, jak karłowata roślinność w górach, albo raczej ciemisty krzak na pustyni. Teraz jednak zadaję sobie pytanie: czy *kamień porastający*... to metafora zamierzona, czy może raczej synonim, pozwalający uniknąć bliskiego powtórzenia słów (*osadzający się – osad*) o tym samym rdzeniu w sąsiadujących ze sobą linijkach wiersza. Skłaniam się raczej ku drugiej odpowiedzi. Jestem jednak przekonany, że choć „kamień porastający" wyniknął niejako z konieczności, to stanowi on znaczący element oryginału. I właśnie ta „pragmatyczna" interpretacja pozwala mi rozwiązać problem przekładu. Ponieważ powtórzenie mi nie „grozi", mogę spokojnie w pierwszej linijce napisać o *osadzaniu się kamienia*. Tym samym znaczenie tytułu (przez powtórzenie słowa o podobnym rdzeniu: *-satz, -setz-*) będzie niejako utrwalone, co nie znaczy jednak, że zniknie wieloznaczność (wielość osadów), ani też dychotomia, którą przemilczałem na początku.

W przekładzie między pierwszym a ostatnim słowem wiersza pojawia się mianowicie dodatkowy sens, którego nie ma w oryginale. Można powiedzieć, że znaczenie to ma charakter epifanii, pojawia się zaledwie jak krótki błysk, niemniej jednak w ten właśnie sposób istnieje. *Satz* (*zdanie*) stoi w opozycji do *gedicht* (*wiersza*) i ewokuje znaczenie, które nie powinno umknąć uwagi czytelnika oczytanego we współczesnej literaturze niemieckojęzycznej. Od późnego Wittgesteina *zdanie* kojarzy się bowiem bardzo źle. Dla wszelkiej krytyki języka, która wyszła czy też wyjdzie spod niemieckojęzycznego pióra, konstelacja podmiotu, orzeczenia i dopełnienia będzie synonimem języka pozbawionego intencji i metafizyki. *Zdanie* to gorset, dyby i trumna wszelkiego znaczenia. Zdanie ogranicza, pęta i grzebie wszystko, co żywe. Tę intencję zawarł Handke w *Kasparze*, gdzie słowo *zdanie* aktorzy wyrzucają z siebie oskarżycielskim tonem chyba kilkadziesiąt razy, w różnych wariantach. Dobitnie... Tutaj znaczenie to pojawia się tylko jako błysk. Jest ono ulotne. Pozbawione ewidencji szybko pojawia się i równie szybko znika, jak szybko pojawiają się i znikają rozkosze płynące z łamania bezsennej głowy.

Postanawiam zrezygnować z zastosowania minuskuł w pisowni niemieckich rzeczowników – byłaby to jednak nadinterpretacja – a wieloznaczność słowa *Satz* wystarczy podkreślić zapisując je wielkimi literami! Jak brzmi więc wersja ostateczna?

SATZ
Stein, der sich im Innern des Wasserkessels absetzt,
gelber Belag auf den Zähnen, Staub im Mund,
Staub im Rachen und auf der Kleidung –

unser Leben im Gedicht.

Toruń –Ustanówek, wrzesień 1998 (tłumaczył)
Warszawa 2000 (napisał o tym)

Leszek Sobkiewicz

Wykaz salonów prasowych oraz wybranych punktów sprzedaży „Akcentu" w sieci RUCH SA

Andrychów, ul. Lenartowicza
Biała Podlaska, ul. Orzechowa 34
Białystok, ul. Raginisa 9/10
Bielsk Podlaski, ul. Mickiewicza
Bielsko-Biała, ul. Warszawska 28
Bydgoszcz, ul. Kruszwicka (Geant),
ul. Długa 11,
ul. Podwale 11,
ul. Magnuszewska 6 (ETC)
Chełm, ul. Lubelska 70
Ciechanów, ul. Warszawska 62
Częstochowa, Al. Pokoju
Elbląg, ul. 1 Maja,
ul. Bałuckiego
Gdańsk, ul. Długi Targ,
Podwale Grodzkie,
ul. Złota Brama
Gdańsk-Żukowo, ul. Gdyńska
Gdynia, ul. Starowiejska,
ul. Świętojańska
Gorzów Wlkp., ul. Sikorskiego 126/128
Jasło, ul. Baczyńskiego 15
Jelenia Góra, Pl. Ratuszowy 26
Kalisz, ul. Narutowicza 1
Katowice, Al. Korfantego 9,
Dworzec PKP – hall główny,
Dworzec PKP
Kętrzyn, ul. Powstańców Warszawy
Kielce, ul. Paderewskiego 11,
ul. Warszawska 5
Kłodzko, ul. Rodzinna 42
Kozienice, ul. Warszawska
Kraków, ul. Bora Komorowskiego 37,
ul. Andersa 9,
ul. Kościuszki, ul. Pawia 20
Leszno, ul. Rynek,
Osiedle Armii Krajowej,
ul. Leszczyńskich 2
Lubin, ul. Kilińskiego
Lublin, ul. Zamojska 24,
ul. Krakowskie Przedmieście 59
ul. Peowiaków 12,
Dworzec PKP (peron 1),
Krak. Przedmieście (Ogród Saski)
Łomża, Al. Legionów 50, paw. 8
Łowicz, ul. Browarna 9
Łódź, ul. Dąbrowskiego 60,
ul. Sienkiewicza 59,
ul. Zgierska 26
Malbork, ul. Dworcowa
Morąg, ul. 3 Maja
Mrągowo, ul. Królewiecka
Nowy Sącz, Rynek 17
Olsztyn, ul. Dybowskiego,
ul. 1 Maja
Opole, ul. Ozimska – „Opolanin" ,
ul. Piastowska (Urząd Woj.)
Ostrołęka, ul. Głowackiego 5 (księgarnia UNDERGROUND)
Piła, ul. Matwieja 16 B, Hotel Ratło
Płock, ul. Kobylińskiego 2
Poznań, ul. Stary Rynek 83,
ul. Gwarna 11,
ul. Grochowska/ Marcelińska
Puławy, ul. Centralna 10
Radom, ul. Toruńska 1 (E.Leclerc)
Rzeszów, ul. Zygmuntowska 5,
ul. Podwisłocze 6/4
Sandomierz, ul. Mickiewicza
Sanok, ul. 3 Maja
Sopot, ul. 3 Maja
Starogard Gd., ul. Paderewskiego,
ul. Sikorskiego,
ul. Hallera
Staszów, ul. Rynek 16
Suwałki, ul. Waryńskiego 18
Szczecin, pl. Hołdu Pruskiego 8,
ul. Czackiego 3
Tczew, ul. Dąbrowskiego,
ul. Saperska
Toruń, ul. Grudziądzka 45,
ul. Kraszewskiego 1/3,
ul. Grudziądzka 162
Wałbrzych, ul. Puszkina
Warszawa, ul. Abrahama 12,
ul. Grójecka 26,
ul. Mikołajczyka 12,
ul. Wąwozowa (paw. 4),
ul. Kłobucka 8,
ul. Bagatela 14,
ul. Dobra 56/66,
Al. Jana Pawła II/ Elektoralna,
ul. Ekologiczna 8,
ul. Kochanowskiego 39,
ul. Ostrobramska 75A,
ul. Rembielińska 6
Włocławek, ul. Miedziana 2/4
Wodzisław, ul. Księżnej Konstancji 123,
ul. 26 Marca
Wrocław, ul. Kiełbaśnicza 7a,
Pl. Kościuszki 11,
Pl. Solny 6/7a / Ruska 68
Zamość, ul. Partyzantów (Nowe Miasto)
Ząbkowice Śląskie, ul. Rynek 31
Zielona Góra, ul. Bohaterów Westerplatte 19a
Złotów, ul. Wojska Polskiego

Informujemy Czytelników, że sprzedaż AKCENTU prowadzą m.in. księgarnie:

Lubelskie Centrum Taniej Książki „Lotos"
Wieniawska 3
20-071 Lublin tel. 532-54-41

Księgarnia „Ezop"
Krakowskie Przedmieście 62
20-076 Lublin tel. 532-56-15

Księgarnia Medyczna
Krakowskie Przedmieście 29
20-002 Lublin tel. 532-61-53

Księgarnia Uniwersytecka
Plac M. Curie-Skłodowskiej 5
20-031 Lublin tel. 537-54-13
Księgarnia prowadzi sprzedaż wysyłkową „Akcentu".

Księgarnia „Bibliopola"
ul. Narutowicza 27
20-004 Lublin tel. 532-20-32

Księgarnia im. Kazimierza Szczepańskiego
ul. Rynek 6
20-111 Lublin tel. 534-65-87

Galeria ZPAP
Krakowskie Przedmieście 62
20-076 Lublin

Księgarnia „Akcent"
Rynek Kościuszki 17
15-421 Białystok tel. 745-59-54

Księgarnia Wydawnictw Naukowych „Elefant"
ul. Podwale 6
31-118 Kraków tel. 422-90-57, 422-37-17

Księgarnia Akademicka
ul. Św. Anny 12
31-008 Kraków tel. 422-04-11 w. 167

Poznańska Księgarnia Naukowa „Kapitałka"
ul. Mielżyńskiego 27/29
61-725 Poznań tel. 852-45-16

Główna Księgarnia Naukowa im. B. Prusa
ul. Krakowskie Przedmieście 7
00-068 Warszawa tel. 826-18-35

Księgarnia ORPAN „BIS"
ul. Twarda 51/55
00-818 Warszawa tel. 697-88-35

Księgarnia „Odeon"
ul. Hoża 19
00-521 Warszawa tel. 621-80-69

Księgarnia „Czytelnik"
ul. Wiejska 14
00-490 Warszawa tel. 621-36-55

Księgarnia WSP
Al. Wojska Polskiego 69
65-625 Zielona Góra tel. 326-35-20 w. 220

Tu do nabycia m.in. numery:

z 1996: 1 – opowiadania M. Głowińskiego, szkice o Brunonie Schulzu i Johnie Cage'u; **2** – artykuły o T. Konwickim, prezentacja literatury „cyberpunkowej" i relacja R. Matuszewskiego z Nowogródczyzny; **3** – poematy (A. Sosnowski, D. Foks, W. Wirpsza, K. Brakoniecki, W. Michalski), sensybilizm K. Głaza; **4** – esej R. Kapuścińskiego, prezentacja polskiej liryki kobiecej i współczesnej twórczości Indian amerykańskich;
z 1997: 1 – m.in. szkic o twórczości Marca Chagalla i „Noc poetów" B. Zadury; **2** – polsko- i anglojęzyczna twórczość „polskich Amerykanów"; **3** – najnowsza eseistyka, poezja i proza ukraińska; **4** – poezja debiutantów i szkice o Herbercie, Kuncewiczowej, Kosińskim;
z 1998: 1-2 – nowe piosenki W. Młynarskiego, opowiadania M. Głowińskiego, D. Mostwin, M. Pankowskiego, eseje K. Delaney i Ch. Shmeruka; **3** – pt. „Karol Wojtyła – poeta, dramaturg, filozof"; **4** – „Berlin – Lipsk – Wiedeń";
z 1999: 1 – proza T. Mirkowicza, S. Pokraki, A. Wiedemanna, korespondencja E. Stachury, listy Z. Kossak-Szczuckiej do J. Birkenmajera; **2** – sylwetka W. Maja, notatnik E. Zegadłowicza, rozmowa z G. Herlingiem-Grudzińskim, grafika G. Mazurka; **3-4** – 10 polskich poetów, szkice o twórczości ks. J. Twardowskiego, o kulturze Hucułów, poezja Węgrów z Siedmiogrodu;
z 2000: 1-2 – szkice o dramaturgii Gombrowicza, listy Zegadłowicza, proza A. Appelfelda, grafika S. Bałdygi; **3** – „Czytanie Ukrainy" (współczesna proza i poezja ukraińska); **4** – eseje o M. Głowińskim, H. Grynbergu, T. Śliwiaku i A. Zielińskim, proza M. Pietrzeli, Z. Masternaka, T. Zubińskiego.

Zainteresowani zakupem archiwalnych numerów mogą się także zwracać bezpośrednio do redakcji „Akcentu".

W ciągu minionych pięciu lat udzieliły redakcji wsparcia:
Fundacja Kultury, Fundacja Batorego, Rada Miejska Lublina, Rada Miasta i Gminy Zwierzyniec, Rada Miasta Nałęczowa, Ambasada Amerykańska, Ambasada Węgierska, Centertel SA.

Dziękujemy!

Wdzięczni jesteśmy Autorom, którzy zrezygnowali z honorariów za swoje publikacje w „Akcencie".

Wschodnia Fundacja Kultury AKCENT składa gorące podziękowania wszystkim, którzy dokonali wpłat na jej działalność. Byli to m.in: Ambasada USA w Warszawie, Ambasada Węgier w Warszawie, Aharon Appelfeld, Stanisław Bask-Mostwin, Centertel SA, Tadeusz Chabrowski, Włada Chałko, Anna Frajlich-Zając, Fundacja Władysława i Nelli Turzańskich, Benjamin Harshav, Ferdynand Hebal, Alina Kochańczyk, Adam Lizakowski, Ryszard Löw, Sofia Majdańska, Wojciech Młynarski, Montex S.A., Alina Nowicka, Polski Fundusz Wydawniczy w Kanadzie, Mira Puacz, Magdalena Rudiuk, ks. prof. Tadeusz Styczeń, Western Union, Maciej Woliński.

Pamiętamy o poetach i krytykach, którzy w całości lub w części przekazali na konto Fundacji swe honoraria za udział w „wernisażach literackich" AKCENTU:

Monice Adamczyk-Garbowskiej, Elżbiecie Cichli-Czarniawskiej, Tadeuszu Chabrowskim, Marku Danielkiewiczu, Kate Delaney, Leszku Długoszu, Józefie Fercie, Krystynie Głowniak, Marianie Grześczaku, Michale Jagielle, Ryszardzie Kapuścińskim, Tadeuszu Karabowiczu, Marianie J. Kawałko, Tadeuszu Konwickim, Istvánie Kovácsu, Henryku Kozaku, Janie Leończuku, Ewie Mazur, Regine Möbius, Edzie Ostrowskiej, Bronisławie Pietraku, Stanisławie Popku, Tadeuszu Szkołucie, Jerzym Święchu, ks. Alfredzie Wierzbickim, Adamie Zielińskim.

Regularne otrzymywanie „Akcentu" zapewnia prenumerata!

POLSKIE RADIO 2

FILHARMONIA DWÓJKI

reprezentacyjne pasmo koncertowe - transmisje i odtworzenia koncertów z Polski i najsłynniejszych sal świata

poniedziałek	20.30 - **transmisja koncertów Euroradia**
wtorek	20.00 - **recitale solistów i koncerty kameralne**
środa	20.00 - **muzyka dawna** (od średniowiecza do baroku)
czwartek	20.00 - **koncerty symfoniczne, muzyka współczesna**
piątek	19.30 - transmisje koncertów z **Filharmonii Narodowej**, z siedziby **Narodowej Orkiestry Symfonicznej Polskiego Radia w Katowicach** i innych sal
niedziela	10.30 - **"100 lat Filharmonii w Warszawie"** - wielka retrospektywa muzycznych wydarzeń minionych sezonów
	18.00 - **transmisje i retransmisje koncertów** (m.in.: ze Studia im. W.Lutosławskiego)

POLSKIE RADIO SA

www.radio.com.pl

program 3 INTELIGENTNY WYBÓR

POLSKIE RADIO SA

ZAPRASZAMY DO TRÓJKI

program

Kwartalnik „Akcent" od początku swego istnienia (1980 r.) drukowany jest przez Lubelskie Zakłady Graficzne - obecnie działające pod zmienioną nazwą MULTIDRUK S.A. Firma ta istnieje już ponad 50 lat. To, że co kwartał możecie Państwo otrzymać nasze pismo w niezmiennie starannej szacie graficznej, zawdzięczamy fachowości, doświadczeniu i solidności pracowników tej firmy. Także Wy możecie skorzystać z ich usług!

Redakcja „Akcentu"

MULTIDRUK
SPÓŁKA AKCYJNA W LUBLINIE

20-950 LUBLIN, UL. UNICKA 4
TEL. (0-81) 747 14 37, 747 35 00
FAX: (0-81) 747 14 37, 747 15 21

OFERUJE USŁUGI POLIGRAFICZNE
W ZAKRESIE DRUKU:

- ❑ KSIĄŻEK
- ❑ KALENDARZY
- ❑ FOLDERÓW
- ❑ PLAKATÓW
- ❑ GAZET
- ❑ ETYKIET

- W TYM NA MATERIAŁACH SAMOPRZYLEPNYCH
ORAZ **INNE** WEDŁUG ŻYCZEŃ ZAMAWIAJĄCEGO